

Milion przygód

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Milion Przygód

(Przełożyła: Elżbieta Zychowicz)

Za sto lat bulwar Gogola w Moskwie będzie kilkakrotnie poszerzony i przekształcony w park botaniczny.

Będą tam sosnowe bory, dąbrowy i brzeźniaki, zarośla bambusowe, aleja palm kokosowych, sztucznie wzniesiona góra z modrymi świerkami i szarotkami na szczycie, jezioro zarośnięte olbrzymimi liliami wodnymi i papirusem, oranżeria, w której znajdą się rośliny przywiezione z innych planet, a nawet niewielka sawanna z baobabem pośrodku.

W pobliżu placu Arbackiego, za pomnikiem Gogola tonącym w cieniu cyprysów i eukaliptusów, stanie dość niezwykła stacja biologiczna. Niezwykła – ponieważ jej pracownikami będą dzieci najwyżej dwunastoletnie.

Nie sądzmy jednak, iż młodym biologom tylko zabawa i głupstwa w głowie. Pragną oni zostać w przyszłości prawdziwymi naukowcami i pracę swą traktują ogromnie serio.

Paweł Geraskin jest inżynierem-genetykiem, Arkasza Sapożkow uprawia pole doświadczalne, Masza Bielaja wraz ze swą siostrą Nataszą badają życie delfinów i ryb w basenie z wodą morską, Alicja Sielezniewa i Dżawad Rachimow mają zaś pod swą opieką niewielki ogród zoologiczny.

Podczas wakacji biologowie wyruszają na ekspedycje. W roku, o którym będzie mowa, odwiedzili Morze Śródziemne, wyspę Jawę i kilka dalekich planet, znaleźli pitekantropa, flotę tyrana Diostura, zwyciężyli w ucziwej walce Czarnego Rycerza, poznali tygroszczura i wystrychnęli na dudka piracką mamę. W ogóle przeżyli milion przygód, o których przeczytacie w tej właśnie książce.

CZEŚĆ PIERWSZA

NOWE PRACE HERKULESA

PRACOWNIA AUGIASZA

Wiosenny poranek zaczął się spokojnie, skończył natomiast wielkim skandalem.

Pierwszy, jak zwykle, przyszedł Arkasza. Pospieszył na poletko, na którym hodował czułokwiaty.

Wszystkie rośliny są obdarzone zdolnością odczuwania, ale kto się w tych odczuciach połapie.

Na widok Arkaszy kwiaty zaczęły kiwać główkami. Rozchylały płatki, poruszały listkami manifestując swą radość. Arkasza podłączył wąż ogrodowy i zaczął podlewać swych podopiecznych ciepłą witaminizowaną wodą.

Następnie zjawiał się Dżawad. Nakarmił zwierzęta w klatkach i wypuścił na swobodę pitekantropa Heraklesa, który z miejsca popędził w stronę domku zamieszkanego przez trzy psy – Połkana, Rusłana i Sułtana, będące – o dziwo! – siostrami. Psy pracowały latem u geologów odnajdując węchem złoża rudy i skamieniałości głęboko pod ziemią. Ponieważ sezon jeszcze się nie zaczął, siostry miały wolne i zaprzyjaźniły się z Heraklesem, który sprytnie tę przyjaźń wykorzystywał zjadając dwa śniadania – u siebie i u nich.

Przybiegły bliźniaczki Masza i Natasza, szczuplutkie, wielkookie, z identycznymi zadrapaniami na kolanach. Z wyglądu podobne do siebie jak dwie krople wody, charakterem różnią się całkowicie. Masza, bardzo poważna, zapewnia, że kocha wyłącznie naukę, okropnie zaś lekkomyślna Natasza ma w głowie nie tyle naukę, co zwierzęta i tańce. Na widok dziewczynek delfiny Griszka i Medea wychyliły się aż do połowy z basenu – tak się stęskniły przez noc.

Alicja Sielezniewa spóźniła się. W Centrum Kosmicznym, w którym miała ustalić termin wycieczki na planetę Penelopa, powiedziano jej, iż na razie nie wiadomo, czy będą miejsca, i kazano zgłosić się za miesiąc. Była tak zmartwiona, że nie spostrzegła nawet wyciągniętej łapy Heraklesa, który czy to chciał się przywitać, czy też miał nadzieję na jakiś przysmak.

Weszła do nie wysokiego budynku, w którym mieściła się pracownia, aby się przebrać i zostawić teczkę. Po chwili wybiegła, wołając z gniewem:

– To istna stajnia Augiasza, a nie pracownia!

Herakles, który czekał na nią przy drzwiach, nic na to nie odpowiedział, jako że nigdy nie czytał greckich mitów, a poza tym znał tylko słowa „jadalne”. Mimo wysiłków nauczycieli nie udało mu się wyjść poza wyrazy „banan”, „jabłko”, „mleko”, „cukier”

Okrzyk Alicji usłyszała Maszeńka Biełaja.

– Mowa – rzuciła. – Paszka Geraskin siedział tam wczoraj do późnego wieczora, ale na sprzątanie, oczywiście zabrakło mu czasu.

– Otóż i on – odezwała się Natasza. – O wilku mowa.

Paszka Geraskin szedł wolno kokosową aleją w kierunku stacji, czytając po drodze książkę. Na okładce rzucał się w oczy wypisany dużymi literami tytuł: „Mitologia grecka”.

– Spójrzcie tylko – wycedziła złośliwie Maszeńka. – Ten młodzieniec chce się dowiedzieć, jak

się czyści stajnie Augiasza.

Paszka usłyszał, przystanął i założywszy palcem stronicę, rzekł:

– Pozwolę sobie wyjaśnić, że Herakles „dokonał wielu niezwykłych czynów na skutek prześladowań Hery”. Na marginesie – Hera to żona Zeusa.

Pitekantrop Herakles, usłyszawszy swoje imię, natychmiast zareagował:

– Daj banana.

Paszka popatrzył nań z zadumą i stwierdził:

– No cóż, nie nadajesz się do wielkich czynów. Za niski jesteś.

– Słuchaj no, Paszka – posepnie spytała Alicja – co robiłeś wczoraj w pracowni? Można by pomyśleć, że od trzydziestu lat nikt tam nie sprzątał.

– Kiedy wpada mi do głowy jakiś pomysł – odrzekł Paszka – nie zwracam uwagi na drobiazgi.

– Ale my zwracamy – powiedziała Maszeńka.

– Przestańcie się ciskać – przerwał jej Paszka. – Zaraz posprzątam. Za pół godziny wszystko będzie na wysoki połysk.

– To brzmi pięknie, tyle że trudno uwierzyć – wtrącił Arkasza. – Proponuję na czas sprzątania zabrać Paszce książkę. Zaczyta się i o bożym świecie zapomni.

Po krótkiej utarczce Paszka oddał wreszcie książkę i udał się do pracowni lizać rany i obmyślać zemstę.

Nie chciało mu się sprzątać, to takie nudne zajęcie. Podszedł do okna. Maszeńka siedziała na brzegu basenu, obok niej leżały kurtki z cyframi. Delfiny wkuwały tabliczkę mnożenia. Nie opodał Natasza wiła wianek z pierwszych żółtych mleczów. Dżawad dyskutował o czymś z Alicją, a nad nimi górowała smutna, głupia, ciekawska żyrafa o imieniu Szelma, z jednym rogiem pośrodku czoła.

„Jakim cudem udało mi się tak naśmiecić?” – zdumiał się Paszka.

Na podłodze wały się zmieyte kawałki papieru, ścinki taśmy magnetofonowej, próbki gleby, gałązki, skórki z pomarańczy, strużyny, okruchy rozbitych kolb, szkiełka przedmiotowe, skorupki orzechów – ślady wczorajszej burzliwej działalności, kiedy to Paszka wpadł na genialny pomysł stworzenia zwierzęcia bez płuc i skrzeli, zdolnego do życia w próżni. Pomysł wziął w łeb gdzieś koło jedenastej i właśnie akurat wtedy zadzwoniła mama, przykazując, by natychmiast wracał do domu.

„Fakt, iż jesteś entuzjastą i żyjesz wśród entuzjastów, ma również swoje złe strony” – pomyślał Paszka. Wszystkie dzieci, nie wyłączając Paszki, spędzały na stacji cały wolny czas, prosto ze szkoły spieszyły do swych zwierząt i roślin, a w sobotę oraz niedzielę często przesiadywały tam od rana do wieczora. Mama Paszki gderała, że całkiem już rzucił sport i robi błędy w wypracowaniach. W czasie wakacji dzieci planowały podróż na Penelopę do prawdziwej, nie zbadanej jeszcze dżungli – jak tu zrezygnować z takiej frajdy?

Paszka westchnął, wziął gąbkę i zaczął przecierać stół laboratoryjny, zrzucając niepotrzebne rupiecie na podłogę. „Szkoda – pomyślał – że mi zabrali Mitologię grecką. Przydałoby się teraz przeczytać, w jaki sposób Herakles wyczyścił stajnie Augiasza. Może użył jakiegoś fortelu?”

Gdy po półgodzinie do pracowni zajrzał Dżawad, Paszka zdążył już przetrzeć wszystkie stoły, poustawiał na miejscu kolby i mikroskopy, pochował przyrządy do szaf, tylko na podłodze piętrzyła się jeszcze większa sterta śmieci.

– Długo masz zamiar się grzebać? – spytał Dżawad. – Może ci pomóc?

– Dam sobie radę. Za pięć minut kończę.

Zgarnął szczotką śmiecie na środek pokoju – urosła z nich góra prawie po pas.

Dżawad poszedł sobie, Paszka zaś przystanął przed stertą zastanawiając się, jak by tu ją wynieść za jednym zamachem.

Nagle w otwartym oknie ukazała się głowa pitekantropa. Na widok śmieci Herakles aż jęknął z zachwytu.

I wtedy Paszce wpadł do głowy wspaniały pomysł.

– Chodź no tu – powiedział.

Herakles posłusznie wskoczył przez okno.

– Powierzam ci sprawę ogromnej wagi – oznajmił Paszka. – Jeśli wyniesiesz to z naszej pracowni Augiasza, dostaniesz banana.

Herakles wyteżył swój nedorozwinięty mózg i rzekł po namyśle:

– Dwa banany.

– Dobra, niech będą dwa – zgodził się Paszka. – Muszę pobiec na chwilę do domu. Żeby do mojego powrotu było tu czysto.

– Bę-zro – odpowiedział pitekantrop.

Prośba Paszki wcale Heraklesa nie zdziwiła. Często posługiwano się nim przy różnych pracach, które nie wymagały zbyt wiele rozumu. Co prawda niczego nie robił za darmo.

Paszka wyrzwał przez okno. Ani żywej duszy. Przeskoczył przez parapet i pobiegł do domu.

Herakles popatrzył na śmiecie i poskrobał się w głowę. Sterta była ogromna, nie da się jej wynieść na jeden raz. A pitekantrop był strasznym leniem. Myślał przez całą minutę, jak tu zarobić banana bez wysiłku, aż wymyślił.

Na polanie obok pracowni leżał wąż do podlewania. Herakles umiał się nim posługiwać, podczas upałów czatował na przechodniów, oblewał ich od stóp do głów, wydając okrzyki radości.

Wyskoczył z pracowni, odkręcił kran i puścił strumień wody do wewnątrz. Strumień był słaby, po chwili na podłodze utworzyła się wielka kałuża, w której pływały śmiecie.

To go nie zadowoliło. Odkręcił kran do oporu i wczepiwszy się łapami w nieposłuszny koniec węża, skierował gruby strumień w błotnisty śmietnik, który niegdyś był pracownią.

Woda uderzyła w stertę. Papierki, szmatki, okruchy szkła, drewienka zniosło pod przeciwległą ścianę. Wąż miotał się w łapach Heraklesa i nic dziwnego, że woda zmyła wszystko, co stało stołach – kolby, przyrządy, butelki i probówki. Na szczęście ocalał mikroskop i oszklone szafki.

Drzwi pracowni pod naporem wody ustąpiły i rwąca rzeka, niosąca ze sobą mnóstwo przedmiotów, runęła na zewnątrz, zbiła z nóg Arkaszę i zawirowała wokół nóg żyrafy Szelmy.

Do Heraklesa dotarło, że narozrabiał jak pijany zajac. Rzucił wąż, wdrapał się błyskawicznie na mangowiec i zerwawszy owoc, zaczął go obierać, udając, iż cała sytuacja go nie dotyczy.

Paszka wrócił po pięciu minutach, kiedy pierwsza burza już minęła. W końcu Natasza Bielaja nawet się nad nim użaliła, ponieważ zdenerwował się bardziej od innych. Arkasza zwrócił mu „Mitologię grecką”, mówiąc:

– Nie zdążyłeś jeszcze przeczytać najciekawszej historii i nie wiesz, że nasz pitekantrop czyścił pracownię według starożytnego przepisu.

– Jak to? – zdziwił się Paszka.

– A tak to. Herakles skierował do stajni Augiasza pobliską rzekę.

– Pełna zgodność – powiedziała Maszeńka. – Z małym wyjątkiem: w stajniach Augiasza nigdy nie było mikroskopów.

POJAWIENIE SIĘ HERAKLESA

Warto przy okazji wyjaśnić, skąd się wziął w stacji pitekanthrop.

Alicja, Arkasza, Dżawad i Paszka byli w Instytucie Czasu.

Dawno już chcieli się tam wybrać, ale kabiny czasu były z rocznym wyprzedzeniem zarezerwowane dla naukowców, turystów zaś nie wpuszcza się do przeszłości. Mało to się może zdarzyć?

Na szczęście Alicja Sielezniewa ma duże chody również i w tym instytucie. Zdarzało się jej już bywać w przeszłości.

Pewnego dnia w stacji biologicznej rozległ się dzwonek i na ekranie wideofonu ukazał się młody kędzierzawy chudzielec nazwiskiem Richard Tempest.

– Niespodziewanie zwolniła się duża kabina – oznajmił. – Wszystko załatwiłem. Jedną nogą już tam jesteście.

Nie minęło nawet pół godziny, gdy biologowie stanęli przed drzwiami Instytutu, gdzie już czekał Richard.

– A więc – powiedział – chcecie zobaczyć, gdzie, kiedy i w jaki sposób małpa przekształciła się w człowieka?

– Właśnie – potwierdził Dżawad. – Obowiązkiem uczonych jest uchwycenie tego właśnie momentu.

– W takim razie zechciejcie mi powiedzieć – ciągnął Richard prowadząc dzieci do środka ogromnego budynku – Którego dnia, miesiąca czy choćby roku przed naszą erą miało miejsce to wydarzenie. Przy okazji może mi przypomnicie, w jakiej części kuli ziemskiej się to zdarzyło.

– Dokładnie nie mogę określić, ale w przybliżeniu... – zadumał się Dżawad.

– Zaczniemy od przybliżonej daty.

– Mniej więcej od miliona do dwóch milionów lat wstecz.

Alicja i Paszka roześmieli się, Richard zaś z bardzo poważną miną zapisał tę datę i powiedział z westchnieniem:

– Dzięki za informację. No, a teraz podajcie mi miejsce tego zdarzenia.

– Gdzieś w Afryce albo w Azji Południowej.

– Cóż za niezwykła dokładność – Richard znów coś zapisał. – A zatem wyruszamy gdzieś na południe w czasy o milion do dwóch milionów lat wcześniejsze. I jeśli nam się powiedzie, zobaczymy, jak małpa staje się człowiekiem.

Oczywiście były to żarty. Naukowcy już od dawna interesowali się tym problemem i kilkakrotnie latali w przeszłość w poszukiwaniu prehistorycznego człowieka. Wiadomo, że nikt nie mógł zaobserwować, jak małpa stała się człowiekiem, ponieważ takiego momentu po prostu nie było. Udało się natomiast odnaleźć na Jawie stado naszych bardzo dalekich przodków – pitekanthropów.

Najpierw Richard oprowadził biologów po Instytucie Czasu.

Były tam wszystkiego trzy sale z kabinami do podróżowania w przeszłość. Jak wiadomo, w przyszłość pod podróżować nie sposób, ponieważ jeszcze jej nie ma.

Ile kabin, tyle wydziałów.

Pierwszy – to wydział historyczny. Pracujący tu naukowcy piszą szczegółową, dokładną, ilustrowaną historię ludzkości.

Dzieci weszły do galerii, gdzie wisiały wielkie kolorowe fotografie słynnych ludzi przeszłości. Były wśród nich portrety Homera, Joanny d'Arc, młodego Leonarda da Vinci oraz starego Leonarda da Vinci, wodza Hunów Attyli, a nawet Ilji Muromca, który okazał się młodym błękitnookim wąsaczem. Były tam tysiące zdjęć z różnych epok. Na przykład widok Babilonu z lotu ptaka, płonący Rzym podpalony przez Nerona, a nawet wioska znajdująca się ongiś na miejscu Moskwy...

Paszka Geraskin, skrecając się z zazdrości, szepnął Alicji:

– Chyba przeniosę się do historyków. Ci to mają ciekawe życie.

– A ja nigdy przenigdy nie zdradzę biologii – zarzekał się Dżawad. – Historycy tylko objaśniają to, co się już zdarzyło, natomiast my, biologowie, zmieniamy świat.

– Jałowa dyskusja – przerwał im Richard otwierając drzwi do następnej sali. – Wszyscy zmieniamy świat, historycy również. Nasz świat istnieje nie od dziś i jutro się nie skończy. Kiedy dowiadujemy się czegoś nowego o przeszłości, zmieniamy tym samym nie tylko przeszłość, ale i teraźniejszość. Rozumiecie?

Zatrzymali się przed portretem trzymetrowej wysokości: młoda, ładna kobieta z kędzierzawym chłopczykiem na ręku. Dziecko było czymś podenerwowane, lada chwila wybuchnie płaczem.

– Kto to? – spytała Alicja.

– Unikalne zdjęcie – powiedział Richard. – Nasi polowali na nie przez okrągły rok. Malutki Puszkina na rękach u mamy.

– Zwariować można! – jęknął Paszka, przechodząc do kolejnej sali.

Tu znajdowało się całe wyposażenie historyków: odzież, buty, broń, ozdoby. Rzędami ciągnęły się szafy z muszkieterskimi kaftanami i płaszczami, stały w szeregu botforty i rzymskie sandały, piętrzyły się kapelusze z piórami i zielone turbany wysadzone rubinami i brylantami. Pod ścianą – rzędem zbroje rycerskie.

– To wszystko autentyczne? – spytał Paszka.

Nikt nie odpowiedział. To przecież jasno, że wszystko pochodzi stamtąd. Kiedy naukowiec, zajmujący się czasem, udaje się w przeszłość, uczy się języka i obyczajów „swojej” epoki dokładniej niż niegdysiejsi szpiedzy. Następnie specjalna komisja sprawdza jego przygotowanie. Jeśli uzna, że jest niedostatecznie gotów – nie ma mowy, by go puściła.

Nogi Paszki jakby wrosły w podłogę – nie, nie odejdzie stąd to ponad jego siły. Richard musiał go za rękę wyciągnąć z sali.

Piętro wyżej mieścił się wydział badawczy. Pracowali tu specjaliści z najrozmaitszych dziedzin nauki. Przeszłość może odpowiedź na wiele nie rozwiązanych problemów.

Geologowie wyruszają milion lat wstecz, żeby dowiedzieć się, w jaki sposób przesuwały się kontynenty, jaką głębokość miały pierwotne oceany, botanicy przywożą z przeszłości wymarłe rośliny do wykorzystania w gospodarce, astronomowie na własne oczy, oglądają zaćmienie Słońca, które miało miejsce trzy tysiące lat temu w Indiach Południowych...

Trzeci wydział Instytutu, dokąd Richard już dzieci nie zaprowadził, ale tylko o nim opowiedział,

wydał się Alicji najciekawszy.

Nazywał się tak: „Wydział naprawiania historycznych błędów i niesprawiedliwości”.

Osobom postronnym wstęp był zabroniony, a to dlatego, że naukowcy przeprowadzają tu tak subtelne i ryzykowne operacje, iż najmniejszy błąd może drogo kosztować całą Ziemię.

– Na przykład – opowiadał Richard – wiadomo, że Gogol spalił drugi tom swojej powieści „Martwe dusze”. A przecież każdy z nas może go przeczytać.

– Mam to w domu – powiedział Paszka.

– Nic dziwnego. A było to tak: pracownik trzeciego wydziału przeniknął w przeszłość dokładnie tego dnia, gdy Gogol zabierał się do palenia swojej powieści, i w ostatniej chwili zdołał niepostrzeżenie podłożyć zamiast niej plik czystego papieru. Bieg historii pozostał nie zakłócony, natomiast my, potomni Gogola, mogliśmy przeczytać całą powieść.

– No, a co jeszcze? – spytała Alicja.

– Jeszcze? Słyszeliście o Bibliotece Aleksandryjskiej?

– Ja słyszałem – powiedział Arkasza. – Znajdowała się w Egipcie, w Aleksandrii, i spłonęła podczas oblężenia Aleksandrii przez Juliusza Cezara.

– Podczas tego pożaru spłonęło wiele tysięcy papirusów. Niedawno nasz Instytut postanowił bibliotekę uratować. Udało nam się wynieść trzy tysiące osiemset rękopisów z ogarniętego płomieniami budynku. Wiele razy nasi pracownicy rzucali się w ogień i dym, wracali stamtąd osmaleni, na wpół uduszeni i natychmiast, oddawszy swą zdobycz, spieszili z powrotem...

– A biblioteka Iwana Groźnego? – spytał Dżawad. – Odnaleźliście ją?

– Odnajdziemy na pewno – odparł Richard. – Nie schowa przed nami. No dobra, czas na nas. Sami szykujemy się do podróży w przeszłość.

W sali wydziału badawczego musieli jeszcze poczekać parę minut. Kabina wciąż była zajęta, czekano na powrót z przeszłości fizyków, którzy obserwowali upadek meteorytu Tunguskiego.

Tymczasem Richard pokazał gościom doświadczalny ekran czasu, umieszczony poziomo nad stołem. Wszystko, co się pod nim znajdzie, zaczyna się poruszać wstecz w czasie. Nie w taki sposób jak w kabinie, gdzie człowiek może przelecieć milion lat i ani trochę się nie zmieni. Gdyby położyć pod ekranem motyla, po pewnym czasie przekształci się w poczwarkę, a następnie w gąsienicę. Szmata zamieni się w obrus, którym była niegdyś, a na kartce papieru z zatartymi literami można wkrótce odczytać dawną treść. Przyrząd ten został skonstruowany na prośbę konserwatorów starych obrazów i rękopisów, z pewnością jednak przyda się do wielu innych celów.

Zabuczała syrena – wracali fizycy.

Dzieci pobiegły do sali, by nie przegapić tego momentu.

Nad kabiną zapłonął napis: „30 czerwca 1908 roku”.

Drzwi się otworzyły, z kabiny wyszło dwóch mężczyzn. Byli dziwnie ubrani – w waciaki i wysokie buty z cholewami.

Jeden z operatorów zapytał:

– No i co? Widzieliście?

– Widzieliśmy – odparł ze znużeniem jeden z przybyłych, zdejmując furazerkę i ocierając pot z czoła. – Jądro komety, tak jak mówiłem.

– O tym jeszcze podyskutujemy – powiedział drugi, ściągając z ramion zielony plecak i ostrożnie kładąc go na podłodze. – Tu są wszystkie filmy, zapisy i próbki. Ale w tej chwili mam tylko jedno marzenie – wziąć gorącą kąpiel i zapomnieć o komarach.

Fizycy nie zdążyli jeszcze wyjść z sali, gdy do dzieci podbiegła niewysoka, drobna kobieta.

– Prędej! – zawołała. – Bo nas wygonią astronomowie. Czekaają na kabinę od wczoraj rana. Richard, zaprowadź ich do komory dezynfekcyjnej. Daj im maski i żebyście za pięć minut byli tu z powrotem. Przez ten czas wybiorę kod. Jawa, milion-dwanaście według krzywej Pietrowa, prawda?

W ciągu kilku minut dzieci oczyszczono ze wszystkich mikrobów – nie wolno przecież zawieźć w przeszłość jakiegoś mikroskopijnego upominku z dwudziestego pierwszego wieku – i wydano im maski ochronne z filtrami. Zanim się obejrzel, byli już w kabinie, która natychmiast zabrzączała, zamigotała lampkami, szykując się do skoku długości miliona lat.

Sam przelot na pierwotną Jawę trwał mgnienie oka. Uczucie jednak było nieprzyjemne, zwłaszcza dla podróżujących po raz pierwszy. Jakby zapadanie w bezdenną przepaść, i taki kołowrotek, że nie wiadomo, gdzie góra, gdzie dół.

Kabina stała na wierzchołku niewysokiego, porośniętego trawą i rzadkimi zaroślami wzgórza nad krętą rzeczką.

Richard otworzył drzwi i dzieciaki wysypały się z kabiny jak groch. Twarze owionęło im gorące, wilgotne powietrze.

– Proszę nigdzie nie odchodzić bez mojego pozwolenia! – przykazał Richard. – To niebezpieczne.

Jego głos, przytłumiony maską, brzmiał głucho.

– A bo co? – odezwał się Paszka. – Całkiem tu fajnie. Można by zostać.

Duża mucha podleciała do Paszki chcąc na nim usiąść.

– Odczep się – przemówił do niej Paszka. – Możesz ty kąśliwa.

– I z całą pewnością jadowita! – dorzuciła Alicja.

Paszka odstąpił o krok. Mucha – za nim. Odszedł parę kroków, mucha – ciągle za nim. Paszka odskoczył... ale Richard powiedział wtedy:

– Spokój! Albo już nigdy nie zabiorę dzieci. Uwierzyłem wam, że jesteście prawdziwymi naukowcami...

– Spójrzcie – przerwał mu Dżawad. – Tam, nad rzeką...

I nagle zobaczyli stado pitekantropów.

Okazało się, że przodkowie człowieka byli małpami podobnymi do szympansów, wzrostu dziesięcioletniego dziecka. Ze wzgórza widać, jak niektóre przechodziły z miejsca na miejsce na tylnych łapach, nie dotykając rękami ziemi, a jeden, duży pitekantrop, najpewniej przewodnik stada, trzymał gruby kij.

Co innego oglądać film lub czytać książkę, a co innego zobaczyć na własne oczy świat swych przodków, mało – zobaczyć, odczuć ten upał, wilgotny powiew wiatru, słyszeć szelest liści i pokrzykiwanie pitekantropów.

– Popatrz – szepnął Dżawad – dziecko.

Jeden z pitekantropów, mniejszy od innych, odwrócił głowę w ich stronę, podniósł łapę do oczu, osłaniając je od słońca, i usiłował dojrzeć, kto to zawitał w gości. Mama trzepnęła go po karku i malec rozryczał się.

– Można podejść trochę bliżej? – spytała Alicja.

– Wykluczone! – zabronił Richard. – Szukaliśmy tego stada prawie przez dwa lata. Jeśli zmienią miejsce pobytu, znów będziemy musieli ich szukać. Patrzcie!

Zza drzew wypadł nagle ogromny pręgowany tygrys z obnażonymi kłami wielkimi jak szable. Na sekundę przywarł do ziemi i skoczył.

Pitekantropy z piskiem rozpierchły się na wszystkie strony. Tylko przewodnik stada, podniósłszy kij, usiłował osłonić pozostałych.

Tygrys chybił – przewodnik zdążył uskoczyć i wdrapać się na drzewo. Drapieżnik rozglądał się za kolejną ofiarą.

Okazał się nią młodzieńki pitekantrop, który nie domyślił się, że należy schronić się na drzewie, lecz pobiegł otwartym zboczem wzgórza. Tygrys pomknął za nim.

– Do kabiny! – krzyknął Richard, chwytając za rękę Alicję, która stała najbliżej.

Alicja nie zdążyła nawet mrugnąć, gdy znalazła się w kabinie. Dżawad i Arkasza wcisnęli się za nią.

– Paszka! – krzyczał Richard. – Nie wygłupiaj się!

Przez przezroczystą ściankę kabiny widać było, jak Paszka biegnie na ratunek popiskującemu pitekantropowi, a ku nim skokami pędzi tygrys.

Paszka zdążył pochwycić uciekiniera w ostatniej chwili, gdy tygrys już-już miał zatopić w nim swe szablaste zębiska, a uratował ich Richard, który wyciągnawszy pistolet, wpakował kulę ze środkiem usypiającym prosto w pysk drapieżnika.

Tygrys runął na ziemię łapami do góry i zaczął chrapać.

Paszka, z pitekantropem w objęciach, wepchnął się do kabiny, za nim – Richard.

Wtedy dopiero Richard zorientował się, że pasażerów przybyło.

– Kompletnie zbzikowałeś! – oburzył się. – Natychmiast wypuść zwierzaka.

Ale zwierzak wyraźnie zrozumiał, co mu grozi, i tak wczepił się w Paskę, że nie można go było oderwać. Skrzeczał przy tym, jakby go zarzynano.

Drzwi kabiny zamykały się powoli.

– Czy ty rozumiesz, że z dodatkowy obciążeniem możemy w ogóle nie trafić do domu? – Richard wciąż usiłował oderwać pitekantropa od Paski.

– Za późno – powiedział Arkasza.

I miał rację, ponieważ w kabinie ściemniło się i znów rozpoczęło się gwałtowne spadanie. Kabina pędziła przez czas...

Drzwi się otworzyły. Znajdowali się w znajomej pracowni. Drobnutka kobieta, sterująca całą podróżą zawołała z oburzeniem:

– To absolutnie niedopuszczalne! Nabraliście tyle trofeów, że miałam straszne przeciążenie. Nie wiem, jakim cudem udało się was wyciągnąć... Ach!

Z kabiny wyskoczył przestraszony pitekantrop, wdrapał się na stół i wyszczerzywszy zęby, dawał do zrozumienia, że bez walki się wrogom nie podda.

– Oho! – odezwał się któryś z operatorów. – Oj, dostanie ci się, Richard, od dyrektora. Nie wolno przecież zabierać z przeszłości istot żywych. Zapomniałeś o tym?

– Gdybyśmy go nie wzięli – tłumaczył Richard – pożarłby go tygrys... No i co robić? Wysłać go z powrotem? Stado już uciekło...

Wówczas z kabiny wyszedł Paszka. Młody pitekantrop pisnął, skoczył ku niemu i objął z całych sił jak utraconego brata. Rozłączyć ich nie dało się żadnym cudem.

I tak oto w stacji biologicznej przy bulwarze Gogola pojawił się nowy mieszkaniec. Dzieci ochrzciły go imieniem Herakles i teraz czekają chwili, kiedy przekształci się w człowieka.

Ale Heraklesowi nie pilno. Całkiem mu odpowiada życie pitekantropa.

DRUGIE URODZINY

– Popatrz tylko – rzekł ponuro Arkasza Sapożkow, spostrzegłszy Alicję. – Nie mam zielonego pojęcia, co robić.

Jeszcze wczoraj na doświadczalnym poletku kłosiła się grządka pręgowanych cytrusojabłek z planety Penelopa. Cytrusojabłka, kiedy już dojrzeją, niczym nie będą się różnić od normalnych jabłek – ani smakiem, ani też kształtem, tyle że są wielkości ziarenka grochu i rosną w kłosach.

Jeszcze wczoraj wszyscy podziwiali kłoszące się cytrusojabłka, a tu przez noc wylazły z ziemi penelopiańskie chwasty – kłujące pnące krzewy – i całkowicie zagłuszyły działkę, z trudem tylko można było wypatrzeć w ich cieniu pochylone kłosa.

– Powyrywaj je z korzeniami – podpowiedział Paszka Geraskin, który właśnie się zjawił. – Chcesz, to ci pomogę?

– Nie da rady – westchnął Arkasza. – Spójrz.

Z całej siły pociągnął za pęd rogatego chwastu. Dobrą chwilę krzew stawiał opór, po czym z trzaskiem ustąpił, wyrrywając mocnymi długimi korzeniami metr kwadratowy ziemi.

– Szkoda – westchnął Paszka. – Nie zdążyły dojrzeć twoje jabłuszka.

Chwasty już od dawna były bolączką Arkaszy. Żeby nie wiem jak przebierać nasiona roślin z innych planet, zawsze jakimś cudem przedostanie się na grządkę chwast.

I tym razem w ciągu jednej nocy chwasty zniweczyły cały miesiąc pracy.

– Nie, nie poddam się – powiedział Arkasza prostując szczupłe ramiona i podnosząc jak bicz wyrwany z korzeniami chwast. – Dobiorę się do was!

Tegoż dnia po obiedzie wybrał się do Instytutu Czasu do Richarda Tempesta.

– Pamięta mnie pan? – zapytał.

– Oczywiście, że tak. To wy przywieźliście jesienią pitekantropa, a ja z waszego powodu miałem bardzo nieprzyjemną rozmowę z dyrektorem. O co chodzi? Chcesz wysłać pitekantropa z powrotem?

– Nie, niech sobie żyje! Ma również pewne zalety. Potrzebuję na kilka dni waszego ekranu czasu.

– Tego, pod którym czas biegnie wstecz?

– Nie uszkodzę go.

– To chyba niemożliwe – powiedział Richard. – Sam rozumiesz, że to nie zabawka.

– A ja wcale nie mam zamiaru się bawić. Udręczyły mnie te chwasty. Niech mi pan pomoże pozbyć się ich.

– Ale co ma do tego ekran?

– Mam pewien konstruktywny pomysł.

– Mogę pójść z tobą do dyrektora Instytutu, jestem jednak stuprocentowo pewny, że się nie zgodzi.

– Mimo wszystko spróbujmy – powiedział z mocą Arkusza. – Mam dar przekonywania

dyrektorów.

I miał rację.

Nazajutrz technicy z Instytutu Czasu ustawili na poletku doświadczalnym Arkaszy Sapożkowa ekran czasu.

Bujne zarośla rogowych cierni wypełniły już całą grządkę i osiągnęły wysokość prawie dwóch metrów. Po cytrusojabłkach nie było nawet śladu.

– No, a teraz opowiedz, jak będziesz walczył ze swoimi chwastami – poprosiła Maszeńka Biełaja, oglądając ze wszystkich stron dziwny przyrząd. Nad grządką cytrusojabłek rozpięty był biały błyszczący ekran, od którego ciągnęły się przewody i rurki aż do oddalonego o dwadzieścia metrów pulpitu sterowania, umieszczonego pod mangowcem.

– Bardzo prosto – odparł Arkasza. – Wszystko przemyślałem. Można włączyć.

Technik włączył ekran.

– Chwasty pojawiły się niedawno, jakieś dwa dni temu. Cytrusojabłka zaczęły się kłócić wcześniej. A więc – objaśniał Arkasza – musimy się cofnąć o dwa dni, kiedy to chwasty zaczynały dopiero wylazić z ziemi. I wtedy je wypielimy. Proste – jak wszystko, co genialne.

Arkasza obejrzał się na technika i zapytał:

– Kiedy czas pod ekranem cofnie się o dwa dni?

– Za jakieś piętnaście minut – odparł technik. – Uważaj, żeby nikt tam nie podlażył.

Technik był młodym, bardzo poważnym człowiekiem. Obawiał się, że dzieci nie traktują go z odpowiednim szacunkiem.

– Proszę się nie martwić – powiedział Paszka Geraskin. – Przez piętnaście minut nic się nie zdarzy.

Mylił się jednak. Piętnaście minut to wcale nie tak mało. Maszeńka Biełaja oddaliła się do basenu z delfinami, Dżawad poszedł zbadać przyczynę kłótni żyrafy z królikami, Alicja zaś przypomniała sobie, że nie zamknęła klatki z ptakiem-szałaputem. Działki pilnowali tylko Arkasza z Paszką.

I licho nadało, że właśnie wtedy pytonowi Archimedesowi znudziło się leżenie na gałęzi mangowca. Podpełzł do grubego sęka wystającego nad pulpitem sterowania, żeby popatrzeć, co robi pod jego drzewem obcy człowiek.

Technika zapomniano uprzedzić, że na drzewie mieszka siedmiometrowy pyton. Można sobie wyobrazić jego zdumienie, gdy usłyszał nagle syk i zobaczył w odległości pięciu centymetrów od własnego nosa nieruchome oczy ogromnego węża. Podskoczył na metr w górę o mało nie zwalając pulpitu, wyrócił krzesło, w końcu straciwszy równowagę runął do basenu i zniknął pod wodą.

Zawstydzony Archimedes przestraszył się i popęzł z powrotem na wierzchołek drzewa, delfiny zgodnie dały nurka, jako że po prostu uwielbiają ratować tonących, a o takich w stacji biologicznej niezwykle trudno, rzucili się do wody również Paszka z Arkaszą.

Padając, technik zaczepił o pulpit sterowania i ekran zaczął pracować na pełną moc. Chwasty skurczyły się błyskawicznie, widać już było między nimi leżące kłoski cytrusojabłek. Pierwszy zauważył je kogut, którego podarowała stacji biologicznej pewna babcia. Kupiła sobie kiedyś kurczątko, żeby jej się nie nudziło. Kiedy kogucik podrośł, rozzuchwalił się, o świcie budził pianiem cały dom, zadziobał niemal na śmierć kota sąsiadki, a na babcię przestał w ogóle zwracać uwagę. Cierpliwość babci wreszcie się wyczerpała i tak kogut znalazł się na stacji. Od dwóch miesięcy włączył się po całej stacji i zadzierał ze wszystkimi.

Kłoski zainteresowały go wyraźnie. Wszedł na działkę i zaczął je dziobać. Ekran pożerał czas z szybkością dwóch miesięcy na minutę. W ciągu jednej minuty grzebień koguta skurczył się, a jego wspaniały rudy ogon zmniejszył się dwukrotnie. Jeszcze minuta – i kogut stał się kurczątkiem. Zdumiony spostrzegł, że stoi na pustej grządce. Zanim swoim rozumkiem zdołał wykoncypować, co robić dalej, zmniejszył się jeszcze bardziej i po chwili był już białym jajkiem.

Jajko zaś nawinęło się przed oczy Heraklesowi.

Pitekantrop uwielbiał jajka, ale dawano mu je rzadko w obawie przed spowodowaniem nieprawidłowej przemiany materii.

Jeden skok i Herakles już był pod ekranem. Usiadł na ziemi, podniósł jajko i chciał je zjeść. Ku jego wielkiemu zdumieniu jajko wciąż się zmniejszało w jego łapach. Pochylił głowę usiłując zrozumieć, co się dzieje, a następnie zdecydował, że lepiej je połknąć, póki całkiem nie zniknęło. Rozdziawił paszczę, włożył do niej jajko, ono jednak zniknęło, zanim zdążył poczuć językiem. Herakles, dotknięty w swych uczuciach, zaryczał z urazą.

Alicja nie spiesząc się wracała do ekranu. Zauważyła kompletnie mokrego technika siedzącego na brzegu basenu i krzątające się wokół niego dzieci. Zdziwiła się – cóż to, czyżby postanowił wykopać się w ubraniu? I nagle dostrzegła pod ekranem Heraklesa.

– Herakles, do mnie! – krzyknęła pędząc w kierunku grządki.

Pitekantrop nie zwracał na nią uwagi. Przyglądał się swojej dłoni, z której znikły odciski – poróżowiła i stała się dwa razy mniejsza.

Alicja połapała się, że Herakles młodnieje. Nie wolno tracić ani sekundy!

Rzuciła się pod ekran, chwyciła na ręce piszczącego malca i po kilku sekundach rozpaczliwej walki wywlokła go na zewnątrz.

Wówczas mokry technik podbiegł wreszcie do pulpitu. Rzuciwszy okiem na licznik czasu, jęknął i wyłączył ekran.

Ale już się stało.

Po pierwsze, przepadło z kretesem wszystko, co zasadził Arkasza – i to zarówno chwasty, jak i cytrusojabłka. Po drugie, zniknął kogut. Po trzecie, Herakles odmłodził prawie o pół roku. A po czwarte, odmłodziła i sama Alicja. O ile – trudno powiedzieć.

Technik, zbierając aparaturę z miną winowajcy i od czasu do czasu wygrażając pięścią śpiącemu pytonowi, oświadczył, że Alicja przebywała pod ekranem nie więcej niż piętnaście sekund. A więc odmłodziła o dwa tygodnie. Można zignorować taką błahostkę.

Alicja, oczywiście, nie protestowała i od tej chwili postanowiła obchodzić urodziny dwa razy w roku z dwutygodniowym odstępem. Drugie urodziny obchodzą wyłącznie w stacji – to ich „biologiczna” tajemnica.

ZLITUJCIE SIĘ NAD MAŚLAKAMI

Jest rzeczą oczywistą, że wszyscy w stacji lubią zwierzęta – w przeciwnym razie jacyż byliby z nich przyrodnicy? Ale Arkasza jest głęboko przekonany, że rośliny nie są ani trochę głupsze od zwierząt.

Zaprzyjaźnił się z psychologiem Pluffdekerem, ten zaś podarował mu niewiarygodnie wrażliwą porzeczkę, która kulila się, gdy przechodził obok niej chuligan Herakles, i czerwieniała, gdy opadały z niej liście, ponieważ uważała za rzecz niezbyt przyzwoitą stać tak całkiem nago. Pluffdeker dał Arkaszy również proszek-stymulator. Jeśli posypać nim nawet tak nieczułą roślinę jak kaktus, z miejsca stanie się wrażliwy, a co dopiero delikatna mimoza – omal że udaje jej się przemówić.

Wieczorem, gdy już wszyscy zbierali się do domu, rozgorzał gorący spór.

Natasza Bieląja namówiła Paskę i Alicję, by wybrali się z nią o świcie na grzyby, Arkasza zaś, usłyszawszy o tym, stanął okoniem.

– To nieludzkie – głosił, wymachując cienkimi rękami. – Niegodne dumnego miana człowieka.

– Nie masz racji, Arkadij – oburzyła się Alicja. – Człowiek nie stałby się istotą rozumną, gdyby w czasach pierwotnych nie zbierał grzybów, zanim wynalazł łuk i strzały. Popatrz tylko na Heraklesa – to istny mistrz w zbieraniu.

– Co można wybaczyć pitekantropowi – nie ustępował Arkasza – jest hańbą dla człowieka. Powinniśmy naprawiać błędy przodków, nie zaś je pogłębiać. Ileż dokładamy wysiłków, aby odtworzyć lasy i oczyścić rzeki! Ile wymarło ptaków i ssaków, ile wyginęło roślin, a teraz hodujemy je od nowa lub przywozimy z przeszłości.

Trzeba powiedzieć, że Arkasza nikogo nie przekonał. W nauce zawsze znajdzie się ktoś o skrajnych poglądach, a trzeba szukać złotego środka.

Złoty środek polegał na tym, że Natasza odkryła w borze sosnowym w oddalonym końcu bulwaru, w zacisznym i prawie nie uczęszczanym miejscu, całą kolonię małych maślaków – do rana powinny nieźle podrosnąć. Wybrać się na nie trzeba o świcie ponieważ jakiś grzybiarz z sąsiedztwa mógł również wypatrzeć tę kolonię.

– A więc jutro o szóstej spotykamy się przy wejściu na bulwar – powiedział Paska.

– Nie chcecie mnie wysłuchać? – zdenerwował się Arkasza.

– Grzecznie cię wysłuchaliśmy – roześmiała się Natasza. – I w dniu, kiedy przestaniesz jeść chleb upieczony z wrażliwej pszenicy oraz obżerać się pomidorami i ananasami, my przestaniemy zbierać grzyby.

Dzieci poszły sobie, Arkasza zaś powiedział, że musi zostać jeszcze na chwilę, zapisać poczynione w ciągu dnia obserwacje.

Gdy już wreszcie ostatnia osoba opuściła stację, Arkasza pobiegł do pracowni, wyjął z szafy paczkę z proszkiem-stymulatorem, złapał rozpylacz i popędził wzdłuż bulwaru do sośniaka.

Droga prowadziła przez aleję kokosową, obok alpejskiej łąki, gdzie pomiędzy kamieniami drzemały kuropatwy, obok jeziora z czarnymi łabędziami i flamingami, zarośli bambusa, zagajnika eukaliptusowego, w którym kręciły się układając do snu niedźwiadki koala, przez prześwietający o zachodzie brzeźniak, tam gdzie za ciemnym lasem świerkowym zaczynał się sosnowy gąszcz.

Ledwie zdążył – już zaczynało się ściemniać i głębi pod gałęziami wszystko tonęło w liliowym cieniu. Udało mu się jednak wypatrzeć brązowe kapelusiki maślaków.

– Ach wy, moje biedaki – szeptał przykucając, żeby łatwiej wypatrzeć grzyby. – Uratuję was.

Grzyby milczały.

Następnego dnia o szóstej rano spotkało się przy wejściu na bulwar troje grzybiarzy z koszykami w rękach.

Lekka mgła otulała bulwar Gogola, w dali za drzewami widniały wierzchołki drapaczy chmur. Trawę pokrywała rosa.

– Fatalnie – pokręcił głową Paszka. – Nic w tej mgle nie zobaczymy.

– Opadnie, zanim dojdziemy – pocieszyła go Alicja.

– Zaraz was dogonię – powiedział Paszka.

– A ty dokąd?

– Wezmę Heraklesa. Obiecałem mu. Jeszcze tu nie zbierał grzybów. To jego pierwsze lato w dwudziestym pierwszym wieku.

– Może obejdziemy się bez niego? – rzekła niezdecydowanie Natasza. – Jeszcze coś zmaluje.

Ale Paszka nie słuchał – biegł już w kierunku stacji biologicznej.

Dogonili dziewczęta w lesie świerkowym. Już z daleka było słychać ich tupot – hałasu narobili niczym rozwścieczony słoń. Ujrawszy Alicję z Nataszą, Herakles, któremu smutno było samemu nocą w domku, ucieszył się bardzo i rzucił do całowania. Z trudem go odpędziły.

– Zaczekajcie, niech odetchnę – wysapał Paszka. – Kompletnie mnie zgonił. Widocznie przez ostatni milion lat straciliśmy formę sportową.

Hałas obudził na jeziorze białego żurawia, który frunął w powietrze. I jakby na sygnał z głębi lasu świerkowego wyleciały komary i wściekle zaatakowały Paskę.

– Zdumiewające – powiedział. – Czegośmy to nie wynaleźli, a z głupimi komarami do tej pory nie możemy sobie poradzić. Skąd, na miłość boską, wzięły się komary w centrum Moskwy?

– Aleś ty śmieszny – odparła Natasza. – Przecież ten las od najbliższej ulicy dzieli z piętnaście minut drogi. Moskwa to w pięćdziesięciu procentach las.

Nie pocieszyło to Paski. Nie pocieszyło również Heraklesa, któremu też się dostało od komarów. Szczerzył zęby i podskakiwał, żadnego jednak z bezecników nie udało mu się dopaść.

– Zajmę się komarami – postanowił Paszka. – Bezwzględnie.

– I jak masz zamiar z nimi walczyć? – spytała Natasza.

– Spokojna głowa. Jeszcze zostawię po sobie ślad w biologii!

Jak wiadomo, skromnością Paszka nie grzeszył.

– Czas na nas – powiedziała Alicja. – Cóż to, zapomnieliście, po co tu przyszliśmy?

Mgła niemal już całkiem opadła, w sośniaku panowała cisza, szczebiotały tylko ptaki. Ziemia była gęsto pokryta igliwem.

– Gdzie twoje maślaki, Natasza? – spytała Alicja.

– Zaraz zobaczysz.

Poszli dalej. Ani jednego maślaka. Tylko duży muchomor stoi niczym semafor.

Herakles aż jęknął z radości na widok tak pięknego grzyba i wyciągnął łapę chcąc go zerwać.

– Nie dotykaj! – krzyknął Paszka. – Umrzesz, jeśli odgryziesz choć kawałtka.

Herakles zrozumiał, odskoczył w tył i pogroził muchomorowi pięścią.

Natasza przykucnęła, rozgrzebała ręką igły i zobaczyła dużego maślaka.

– Pierwszy – powiedziała. – Teraz pójdą tysiącami.

Wycięła grzyb i wrzuciła go do koszyka.

Więcej jednak grzybów nie znaleźli. Na próżno rozgarniali igliwie i gałązki – nic.

Przed nimi zaczynał się gąszcz nie do przebycia.

Paszka wyjął maślaka z koszyka Nataszy i pokazał Heraklesowi.

– Jak takie zobaczysz.

Pitekanthrop powąchał grzybek, straszliwie skrzywił pysk i pobiegł w gęstwinię. Dzieciaki za nim.

Musieli się jednak zatrzymać – dosłownie jak gdyby ktoś nakazał drzewom spleść gałęzie, by ich dalej nie przepuściły.

– Oj, dziewczynki! – zawołała Natasza. – spójrzcie tylko!

Za plataniną gałęzi, na niedużej polance otoczonej ścianą sosen i świerków, stały tysiące grzybów. Przeważnie maślaki, trochę borowików i surojadek.

Całe to zgromadzenie okrażał niczym warta honorowa łańcuch pomarańczowych muchomorów i białych psiarek.

– Nic strasznego – powiedział Paszka. Dał mi swój koszyk Heraklesowi i polecił mu: – Przedrżnij się tam i narwij maślaków.

– Uhu – zgodził się Herakles.

– Nie podoba mi się to – odezwała się Alicja. – Dlaczego wczoraj grzyby rosły sobie najzwyczajniej w świecie, a dziś skupiły się na niedostępnej polance?

Herakles z trudem przecisnął się między gałęziami i zbliżył do grzybów. Dzieci obserwowały go, opędzając się od komarów.

Na widok Heraklesa najzdrowsze i najsilniejsze muchomory zaczęły kołysać kapeluszami i poskrzypywać.

– Idź, Heraklesie, to tylko wiatr – uspokoił pitekantrupa Paszka.

Ledwie Herakles zdołał uczynić jeden krok, muchomory ruszyły z miejsca i uformowały pomiędzy nim i maślakami zwarty szpaler.

Spostrzegłszy, iż grzyby suną mu naprzeciw, pitekanthrop nie wytrzymał. Upuścił koszyk i rzucił się do ucieczki. Pozostawiając kłaki sierści na kolczastych gałązkach, przecisnął się wreszcie do dzieci, obłapił Paskę za kolana i zawył, skarżąc się na straszliwe przeżycia.

– No tak – zdenerwował się Paszka – jak teraz wydostać koszyk?

– Daj spokój – powiedziała Alicja. – Musimy teraz wrócić do stacji.

– Aha – domyślił się Paszka – myślisz, że to sztuczka Arkaszy?

– A widziałeś kiedykolwiek, żeby muchomory broniły maślaków?

– Jeśli to nie sen – odparł Paszka – to widzę coś takiego po raz pierwszy w życiu.

– Ach! Spryskał je swoim stymulatorem! – zawołała Natasza. – Niech sam teraz wyciąga koszyk.

Arkaszę spotkali przy wejściu do stacji. Najwyraźniej nie wytrzymał i wstał wcześniej.

Najpierw zajrzał do koszyków. Zobaczywszy, że są puste, powiedział jak gdyby nigdy nic:

– Marni z was tropiciele. Nie wam grzybów szukać.

– A no – posępnie zmarszczyła brwi Alicja – powtórz przyrzeczenie młodych biologów, którego

zobowiązałeś się dotrzymywać, kiedy przyszedłeś do stacji!

– Jakie przyrzeczenie?

– Zapomniałeś?

– Pamiętam, ale po co mam je powtarzać?

– Powtórz – naciskał Paszka.

– Każdy młody biolog ma prawo doświadczenia naukowe, które uważa za użyteczne, potrzebne lub interesujące...

– Dalej...

– Dalej?... Nie powinien jednak wykonywać doświadczeń, które mogą zaszkodzić lub też przeszkodzić innym ludziom.

– Dalej!

– Ten, kto naruszy tę zasadę, okryje się hańbą i będzie przepędzony ze stacji.

– Wszystko jasne? – spytała Alicja podając Arkaszy pusty koszyk. – Możesz uzyskać przebaczenie, jeśli przyniesiesz pełną kobiałkę grzybów.

– I moją także – dodała Natasza.

– A trzecią, Paszki, znajdziesz na polanie.

– Ależ ja nie robiłem doświadczeń. Bronilem tylko grzybów przed takimi barbarzyńcami jak wy.

– A kiedy przyniesiesz trzy koszyki grzybów, usmażymy je i wcale cię nie poczęstujemy.

– To okrucieństwo.

Ale dzieci poszły już do stacji. Herakles za nimi.

W godzinę później zjawił się Arkasza z trzema pustymi kobiałkami. Nie mógł podnieść ręki na grzyby.

Tymczasem Paszka był zaabsorbowany po uszy problemem uwolnienia świata od komarów, Alicja i Nataszka swoimi sprawami.

Grzybów nazbierali następnego ranka, gdy skończyło się działanie stymulatora.

DOKĄD ODLATUJĄ KOMAROGĘSI?

Paweł Geraskin postanowił wytepić komary.

Tego lata ogromnie się ich namnożyło – polubiły zabawy nad strumieniami i polanami bulwaru Gogola, wieczorem zaś dawały się we znaki zakochanym i biologom.

Będąc człowiekiem dumnym i przekonanym o własnych zdolnościach, Paszka nie ukrywał, podobnie jak niektórzy geniusze, swoich zamiarów.

Jeszcze przed rozpoczęciem doświadczeń krążył po stacji i rozmyślał głośno; zwracając się do swego wiernego satelity, pitekantropa Heraklesa:

– Jaki sposób wybrać? Tepić komary za pomocą trucizny? Tego już próbowano, a one nic sobie z tego nie robią!

Herakles kiwał głową, żując obarzanek zerwany ukradkiem z obarzanekowego drzewa wyhodowanego przez Arkaszę.

– Są i metody biologiczne – na przykład przywabia się samce, tak jak to robią samice, i komary nie mogą się dalej rozmnażać, a zatem powinny wyginać. Tymczasem nie giną.

Herakles rzucił obarzanek, celując w róg żyrafy Szelmy – najpocziwszego pod słońcem, smutnego stworzenia.

– A więc trzeba znaleźć drogę, którą nikt dotąd nie poszedł. A my nią pójdziemy. Ale jaka to droga? Jaka, zapytuję?

Herakles rozłożył ręce, jak gdyby chciał powiedzieć: jeżeli taki biologiczny geniusz jak Paszka Geraskin nie potrafi załatwić komarów, to ja pasuję!

Rozwiązanie przyszło nagle – jak grom z jasnego nieba.

Paszka stał zamyślony nad działką Arkaszy i przyglądał się szpakom pracowicie wydziobującym z grządki robaki.

– Pracusie – pochwalił je.

– Ach – z goryczą odparł Arkasza – w czasie burzy zważyło wczoraj dwa domki dla szpaków. Dopiero co urządziły sobie przytulne gniazdko i już muszą na nowo mieszkania szukać.

– Tak – zgodził się Paszka – przelatujesz pół świata, a tu...

– Co ci jest? – spytał Arkasza.

– Mam – wolno odpowiedział Paszka. – Wiem już, co zrobić z komarami.

– Tylko zaznaczam – uprzedził Arkasza – że jeśli zamierzasz je unicestwić – stanowczo się sprzeciwiam. To okrutne, a poza tym może zachwiać równowagę ekologiczną.

– Dziękuję za tę uwagę. Nie martw się, wymyśliłem humanitarne rozwiązanie. Wyhoduję komary przelotne.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz! Gdzie leży całe zło? Zimą komar śpi albo w ogóle się jeszcze nie urodził.

A latem napada na ludzi i zwierzęta... Trzeba sprawić, żeby dokąś na lato odlatywał.

– Jak masz zamiar to zrobić?

– To już błahostka. Zasadniczą sprawą jest wszczepienie mu instynktu przelotnego. Gdy się ociepli, będzie odlatywał do Arktyki lub Antarktyki. Wysysać krew rybom i fokom. A ludzie będą uratowani.

– Przecież tam też zimują ludzie, naukowcy...

– Co lepsze – uchronić przed komarami kilka tysięcy polarników czy też setki milionów mieszkańców strefy umiarkowanej, w tym starców i dzieci?

Paszka, nie wysłuchawszy kontrargumentów, pobiegł do pracowni.

Zastał tam grubaska Dżawada studiującego podręcznik weterynarii – już drugi dzień Szelmę bolało ucho.

– Dżawad, bądź przyjacielem – poprosił Paszka. – Powiedz, jakie ptaki odlatują na lato do krajów polarnych?

– No, na przykład gęsi. Poza tym...

Paszka ma paskudny zwyczaj nie wysłuchiwanie do końca rozmówcy, jeśli uzna, że już się dowiedział tego, o co mu chodziło. Gdyby Dżawadowi przez myśl przeszło, jaki skutek będą miały jego słowa, raczej by język sobie odgryzł, niż wspomniał choć słowem o gęsiach. Są przecież i małe ptaszki, które odlatują do krajów polarnych. Powiedział jednak: „gęsi” i znów wsadził nos w podręcznik.

Następnego ranka Paszka zniknął: popędził do Instytutu Inżynierii Genetycznej po geny szarych gęsi. Komarów miał do dyspozycji aż za dużo. Tak więc po obiedzie praca zawrzała.

– Coś to Paszka nie wyłazi z pracowni – zauważyła Maszeńka Biełaja po kilku dniach.

– Chce wytepić komary – odpowiedziała Alicja.

Karmiły właśnie delfiny, które skakały tak zawzięcie, że o mało nie wychlapały całej wody z basenu.

– Ale dlaczego milczy? Wyobrażasz sobie, by Paszka w normalnym stanie milczał?

– Tak, to wysoce podejrzane. Chodź, uchylmy rąbka tajemnicy.

– W jaki sposób?

– Pójdziemy do niego. Na pewno aż go skreca, żeby się pochwalić.

Zajrzały do pracowni. Paszka siedział przy mikroskopie elektronowym i nawet nie zauważył, kiedy weszły. Na stole stała jakaś skrzynka przykryta czarną tkaniną.

– Paszka, chodź pograć w siatkówkę – z niewinną minką powiedziała Alicja.

– Odczep się – opędził się Paszka. – Nie widzisz, że jestem zajęty?

– Paszka, Herakles za tobą tęskni – spróbowała z innej beczki Maszeńka.

– Wytrzyma – odparł Paszka.

– Słuchaj, co się stało? To do ciebie niepodobne.

Paszka milczał.

– Powiedz chociaż, nad czym pracujesz – poprosiła Masza.

– Jak skończę – zobaczycie.

– Nie, to do ciebie całkiem niepodobne – powtórzyła Alicja. – I w ogóle nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek z nas robił tajemnicę ze swojej pracy.

– A ja właśnie robię – butnie odparł Paszka. – Bo wy sobie gracie w dziecinne gry, a ja przygotowuję przewrót w biologii.

– To znaczy, że nie powiesz?

– Później, później...

Dziewczynki wyszły z pracowni zdenerwowane. Obok przechodził właśnie Arkasza.

– Słuchaj, Arkasza – zagadnęła go Alicja – nie wiesz przypadkiem, czym jest tak pochłonięty Paszka Geraskin?

– Wiem – odrzekł Arkasza. – Usiłuje wyhodować przelotnego komara.

– Po co?

– Żeby komary odlatywały na lato do krajów polarnych i nie gryzły ludzi. Z czymś tam je krzyżuje.

– Coś mnie tu niepokoi – mruknęła Alicja i pobiegła do Dżawada, który zmieniał kompres na uchu Szelmy. Żyrafa stała przed nim z wyciągniętą do przodu szyją niczym starodawny szlaban kolejowy.

– Dżawad – spytała Alicja – nie wiesz przypadkiem, z czym Paszka chce krzyżować komary?

– A on je krzyżuje?

– Właśnie, żeby tak jak przelotne ptaki odlatywały na lato do krajów polarnych.

– Co-o?!

Dżawad aż podskoczył, a nie spodziewająca się niczego żyrafa dziobnęła nosem w piasek.

– Czego się tak przestraszyłeś?

– Przestraszyłem to mało, wręcz mnie zatkało z przerażenia. Przecież on mnie pytał, które ptaki odlatują na lato do krajów polarnych.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Powiedziałem: „gęsi”.

Zapadło milczenie.

– Trzeba go natychmiast powstrzymać. On nie sobie sprawy, czym się to może skończyć – odezwiała się wreszcie Maszeńka..

Nie zdążyła jednak dokończyć. Z pracowni dobiegł bowiem radosny wrzask Paszki:

– Udało się! Udało! Jest przelotny komar!

Podbiegli do okna pracowni i zajrzeli do środka. Czarna tkanina okrywała szklany klosz, pod którym pobłyskiwało coś dużego i trochę straszego.

Paszka stał przy kloszu. Spostrzegłszy widzów, wydeklamował:

– Oto on, komar przelotny! Nikomu dotąd nie przyszło na myśl skrzyżować komara z ptakiem przelotnym. Dopiero początkujący, acz utalentowany inżynier-genetyk, Paweł Geraskin, rozwiązał ten problem i wyhodował komarogęś.

Paszka dumnie patrzył na swych widzów, a tymczasem jego twór stanął na sześciu cienkich nogach zakończonych błoniastymi łapami. Błyszczący chitynowy pancerz komarogęsi miejscami przysłaniały szare pióra, przezroczyste skrzydła były pokryte puchem, a zamiast dzioba z gęsiej głowy wysuwało się żądło półmetrowej długości.

Komarogęś natężyła się, opierając się o ściankę klosza, który rymnął na podłogę. Paszka odskoczył w bok, a groźny hybryd rozprostował skrzydła i gniewnie rozejrzał się wokół w poszukiwaniu odpowiedniej ofiary.

Ofiary znajdowały się całkiem blisko – stały przy oknie. W jednej chwili zdały sobie sprawę z grożącego im niebezpieczeństwa i rozbiegły się we wszystkie strony.

Komarogęś wyfrunęła przez okno, nabrała wysokości i okrążyła polanę.

– Nie wolno jej wypuścić! – krzyknęła Alicja. – Przecież ona może kogoś w mieście zakłuć na śmierć!

– Przyniosę sieć! – odkrzyknął Dżawad i pobiegł do składziku.

Zwierzęta miały się w klatkach, na szczęście jednak komar nie mógł się precyzyjnie przemieszczać między prętami, pyton ukrył się w listowiu mangowca, żyrafa na podobieństwo strusia schowała głowę w piasek w nadziei, że hybryd weźmie ją za ozdobę architektoniczną, a tu jeszcze na dobitkę z pracowni wyskoczył Paszka i zaczął wrzeszczeć:

– Nie ważcie się jej dotknąć! To jedyny egzemplarz!

Dżawad biegał z siecią po placu niczym rzymski gladiator, ale komarogęś, choć nowo narodzona, zwęszyła od razu niebezpieczeństwo i nie próbowała go atakować.

Wszyscy zapomnieli o drzemającym pod drzewem Heraklesie. Hałas zbudził go, ale nie chciało mu się ruszyć z miejsca. Leżał w cieniu niczym stary mędrzec i pobłażliwie obserwował bieganinę.

Może w jego epoce trafiały się komary jeszcze większe od tego hybryda.

Komar gonił właśnie Alicję, ale uratowały ją delfiny. Zaczęły chrząkać przywołując ją do basenu, więc dała nura do wody. Komar wzbiał się w górę i po chwili zapędził do basenu również Maszeńkę. Potem już całkiem dobrowolnie znaleźli się tam Arkasza z Paską, przy czym ten ostatni nie przestawał żądać, by zostawiono hybryda w spokoju.

Na polanie został jedynie Dżawad z siecią i Herakles. Z powodu braku innych ofiar komar zainteresował się pitekantropem, który zrozumiawszy, że z tym łotrem nie ma żartów, zerwał się na równe nogi, a gdy komar był już całkiem blisko, podskoczył i złapał za gałąź, chcąc się ukryć wśród liści. Gałąź z trzaskiem pękła i Herakles rąbnął o ziemię.

– Prędszej, prędszej do nas! Do basenu! – wykrzyknęła Alicja.

Ale Herakles nie cierpiał wody.

Wywinął się przed komarem, a gdy ten znów ruszył do ataku, stanął mu odważnie na drodze wznosząc kij.

Z zadziwiającą u pitekantropa zimną krwią odczekał na moment, gdy komar był tuż-tuż, i z całym rozmachem palnął go w głowę.

Coś chrupnęło i komar upadł na trawę.

Herakles, wsparty na swej maczudze, czekał, aż biologowie wygramolą się z basenu.

– Oto jak małpy przekształcają się w ludzi – z powagą stwierdziła Maszeńka, patrząc na Heraklesa.

– Zmuszają je do tego okoliczności – dodał Dżawad.

Tylko Paszka był tak przygnębiony, że nie znalazł dla Heraklesa dobrego słowa.

– Głupole – mruknął. – Czy nie lepiej było poczekać, aż sam odleci do krajów polarnych?

DŹINN NA OKRĘCIE

Rankiem Stas odleciał pęcherzem nad maleńką zatoczkę za skałami Zeusa. Paszka Geraskin, oczywiście razem z nim. Na pożegnanie Stas jak najsurowiej zabronił Maszeńce i Nataszy kąpać się i w ogóle zbliżać się do wody – złapały bowiem okropny katar, a jak wiadomo, pod koniec dwudziestego wieku człowiek poradził sobie ze wszystkimi chorobami z wyjątkiem kataru.

Po śniadaniu Alicja wyszła na brzeg i przywołała delfiny Griszkę i Medeę. Odezwały się od razu, stęskniły się przez noc.

Wywracały koziółki, klaskały, szczebiotały, przywoływały Alicję by prędzej dała nura do wody.

Ranek był chłodny, świeży, ale słońce zaczynało już przypiekać – za parę godzin będzie upał. A woda ciepła jak świeżo dojrzone mleko, jednakowa dniem i nocą.

– Dzień dobry – przywitała delfiny Alicja. – Płyniemy do zatoki Kaliakris?

Założyła okulary i wzięwszy rozbieg chlupnęła w czystą sprężystą wodę, wzbijając fontannę migotliwych bryzgów. Z brzegu dobiegło ją jeszcze wołanie Nataszki:

– Wracaj na obiad.

...Biologowie mają przyjaciela Stasa, konstruktora i archeologa podwodnego. Wiele osób uważa, że gdyby zajął się czymś jednym, stałby się wielkim człowiekiem.

– Wielkim – może – zgadza się Stas. – Ale szczególnym – nigdy. I jeszcze nikt nie dowiódł, co jest lepsze.

Na przykład jeśli w biurze konstrukcyjnym dojrzeźwa wynalazek lub zbliża się ku końcowi jakaś ważna praca, okazuje się, że w Morzu Śródziemnym odkryto kolejną Atlantyde. Od tej chwili Stas pracuje byle jak, marząc wyłącznie o jednym – jak najprędzej dać nurka w Morze Śródziemne i nie wyłazić, póki nie wyciągnie Atlantydy na wierzch.

Nie zdąży jednak wytaszczyć swojej Atlantydy, gdy otrzymuje list od przyjaciół konstruktorów – narodził się wspaniały pomysł! I Atlantyda z miejsca traci połowę atrakcyjności – teraz znów Stas rwie się do powrotu.

Już drugi tydzień biologowie i delfiny gościli u podwodnych archeologów na wyspie Probos na Morzu Śródziemnym. Stas zabrał ich na wyprawę, której zadaniem było wydobycie z morskiego dna floty tyra Diostura, zaginionego bez wieści dwa i pół tysiąca lat temu. Ruszył na podbój Aten i zniknął jak kamfora. Starożytni historycy opowiadali, że bogowie byli niezadowoleni z postępowania tyra. Zeus cisnął weń gwiazdę, zerwała się straszliwa burza i fale rozbiły okręty o skały.

Niektórzy uważali, iż flota nigdy nie istniała, a cała ta historia to tylko legenda. I oto wiosną geolodzy badający okolice wyspy Probos natknęli się na rozrzucone w zatoce szczątki drewnianych okrętów. I od razu przy pierwszym zanurzeniu znaleźli pod zwałem skorup pozostałych z glinianych amfor złotą koronę ze starogreckim napisem: „Diostur”.

Niebawem zlecieli się tam podwodni archeolodzy z różnych krajów, by zbadać zatopioną flotę i wydobyć na powierzchnię wszystko, co interesujące.

Stas, bez którego nie obeszała się żadna podwodna ekspedycja, wziął ze sobą na wyspę młodych biologów oraz ich przyjaciół – delfiny...

Przez pewien czas Alicja jechała wierzchem na Griszce, później zsunęła się do wody i popłynęła na wyścigi z delfinami. Chociaż niezły z niej pływak, nie było jeszcze człowieka, który wyprzedziłby delfiny. Toteż płynęły sobie bez pośpiechu.

Oto już trzy skały sterczące z morza niczym zęby zatopionego smoka. Za nimi – głęboka, zaciszna zatoka Kaliakris. Nie była jeszcze zbadana przez archeologów i Alicja obiecała Stasowi zajrzeć tam i sprawdzić, a nuż spoczywa tam jakaś galera, która odłączyła się od floty.

Zatoka wyglądała złowieszczo: urwiste brzegi zamykały ją z trzech stron, grzywacze rozbijały się o zębiska skał podchodzące aż pod powierzchnię wody. Były tu również zdradliwe wiry, Stas jednak nie obawiał się o Alicję – wiedział, że gdy tuż obok są delfiny, nic się nie może zdarzyć. Alicja również o tym wiedziała, a w dodatku była świetnym nurkiem i mogła oddychać pod wodą przez trzy godziny – wystarczyło tylko połknąć specjalną pigułkę.

Alicja dała nurka. Tuż pod powierzchnią woda był błękitna, pełna słonecznych refleksów, głębiej zielona i coraz ciemniejsza. Z odmętów wynurzały się włosy długich wodorostów, obok przepłynęła meduza i Alicja odskoczyła, by się nie oparzyć. Delfiny kręciły się w sąsiedztwie, goniły stadko rybek. Alicja opuściła się na samo dno. Griszka prześlizgnął się obok niej – nie chciał tracić jej z oczu. Dziewczynka opłynęła skałę, za którą otworzyła się ogromna nisza, jak gdyby jakiś gigant zaczął wygryzać w skale norę, ale się rozmyślił.

Spodobało jej się to miejsce. Dobrze byłoby znaleźć galerę albo nawet zatopione miasto.

Z daleka łatwo było przekonać samą siebie, że kikuty skał są ruinami pałaców, ale obejrzawszy je z bliska, Alicja rozczarowała się i postanowiła wypłynąć na powierzchnię – wielkiego odkrycia nie zrobiła.

Chciała tylko jeszcze obejrzeć podłużną skałę przywaloną kamiennymi blokami, znajdującą się najgłębiej w niszy.

Wyglądała tak, jakby ktoś przed wrzuceniem jej tutaj najpierw ja ociosał. A po jakimś czasie obrosła muszelkami i porostami.

Alicja oderwała omułka i zdumiała się – spod muszelek wyrzała gładka matowa powierzchnia przypominająca metal.

Popłynęła wolno wzdłuż całej skały. Gdziekolwiek ją poskrobała, wszędzie odkrywała taką samą gładką powierzchnię.

Najpierw doszła do wniosku, że to prawdopodobnie jakaś zatopiona łódź podwodna, nigdy jednak nie słyszała, żeby taka łódź była podobna do migdała dwudziestometrowej długości.

A jeśli to pojazd kosmiczny?

Spodobała jej się ta myśl. Czemu by nie? Przecież odnaleziono pojazd kosmiczny, który spadł na Ziemię trzy tysiące lat temu na pustyni Kalahari!

Ale w pojeździe kosmicznym powinien być luk.

Poszukiwania zajęły jej dwadzieścia minut. Delfinom znudziło się pilnować przyjaciółki i podpłynęły wyżej. Od czasu do czasu Alicja widziała ich cienie przesuwane się w górze.

Luk trudno było znaleźć nie tylko dlatego, że zarósł muszelkami, ale również dlatego, iż obok niego upadł niegdyś odłamek skalny i zaklinował go na amen.

Wyciągnąć klin było niełatwą sprawą, kiedy jednak Alicja wreszcie go odwaliła i oskrobała muszle, zobaczyła cienką linię – krawędź luku.

Spróbowała wetknąć ostrze noża w cieniutką jak nić szczelinę i ku jej zdziwieniu luk otworzył się lekko, jakby nie dalej niż wczoraj był naoliwiony. Wewnątrz też była woda.

Alicja zapaliła latarkę przymocowaną do czoła i dostrzegła z drugiej strony komory jeszcze jeden luk.

Griszka podpłynął do niej z góry, jakby spadł z nieba, Alicja jednak odgoniła go, żeby nie przeszkadzał.

Weszła do środka i ledwie dotknęła wewnętrznego luku, poczuła za plecami ruch wody. Obejrzała się i zobaczyła, że zewnętrzny luk szybko się zamyka. Chciała się wydostać, ale było już za późno. Luk był zamknięty.

Woda błyskawicznie uchodziła z komory – po chwili było w niej sucho, nad głową zapłonęło światło. Automatyka zatopionego pojazdu była sprawna.

Otworzył się luk wewnętrzny, jakby zapraszając do środka. Alicja weszła.

Znalazła się w kabinie. Przed sobą zobaczyła pulpit sterowania z mnóstwem nieznanym przyrządów.

W dalszym końcu kabiny stała przezroczysta wanna wypełniona zielonkawym płynem, w którym pływało ciało kosmonauty. Alicja podeszła do wanny i kilkakrotnie dotknęła jej ręką – wanna była zimna.

Jeszcze do niedawna, gdy ludzie nie potrafili przeskakiwać przestrzeni, na każdym statku kosmicznym znajdowały się takie wanny do anabiozy. Kosmonauci pogrążali się w głębokim śnie i czas się dla nich zatrzymywał.

A kiedy zbliżali się już do miejsca przeznaczenia, włączał się sygnał i kosmonauci budzili się...

W górze zapłonęło jaskrawe światło, zamigotały światełka na pulpitych.

Pokrywa wanny zaczęła się z wolna unosić.

Kosmonauta poruszył się. A to fart! Alicji udało się nie tylko odnaleźć statek kosmiczny z nieznanego planety, któremu przytrafiło się nieszczęście, lecz w dodatku uwolnić z więzienia podróżnika z tejże planety!

Kosmonauta oparł się czterema długimi brązowymi rękami o brzeg wanny i wstał.

By i straszliwie chudy, trzykrotnie cieńszy od normalnego człowieka. Twarz miał spłaszczoną po bokach, jakby w dzieciństwie usiłował precyzyjnie się przez wąską szczelinę. Uszu nie miał w ogóle, a spiczastą brodę porastał rzadki żółtawy zarost.

Z pewnością komuś, kto do tej pory nie stykał się z mieszkańcami innych planet, wygląd tego nieszczęsnego przybysza wydałby się raczej nieprzyjemny, Alicja jednak wiedziała, że w Galaktyce żyją tak różne istoty, że stosować do nich ziemskie miary byłoby głupotą. Toteż powiedział:

– Dzień dobry, ogromnie się cieszę, że odnalazłam pański statek.

Posługiwała się kosmolingwą – językiem galaktycznym, który znała doskonale.

Kosmonauta zmarszczył czoło, potarł skronie, najwyraźniej zbierał myśli.

– Proszę usiąść – Alicja wskazała mu fotel. – Musi pan przyjść do siebie. Zaraz wyruszę po pomoc i wydobędę pana na powierzchnię.

Przybysz nic nie odpowiedział, w fotelu jednak usiadł.

– Nie rozumie mnie pan czy też spadł pan tak dawno, że jeszcze nie było kosmolingwy?

Alicja mówiła powoli, cichym głosem. Przecież to tragedia: tyle lat spędzić pod wodą na obcej

planecie, bez nadziei na ratunek.

– Rozumiem wszystko – wyskrzypiał kosmonauta zardzewiałym głosem.

– Przy upadku pańskiego pojazdu – odezwała się Alicja – kamień spadł z góry i zaklinował luk?

– Tak – odparł kosmonauta.

– I wtedy postanowił pan pogrążyć się w anabiozę i poczekać, aż pana odnajdą?

– Tak.

– Co za szczęście, że natknęłam się na pana...

– Tak.

– Z daleka pan do nas przyleciał?

– Tak.

– A dawno?

– Tak.

Trafił jej się niezbyt rozmowny kosmonauta. Nie chcąc być natrętną, Alicja oznajmiła:

– Popłynę wezwać pomoc żeby wydobyli pański statek. Niedaleko stąd pracują archeolodzy, mają odpowiedni sprzęt. Za godzinę będzie pan na brzegu. Proszę się nie martwić.

Kosmonauta nic nie odpowiedział. Alicja podeszła do drzwi.

Były zamknięte.

– Proszę mi otworzyć – powiedziała.

Kosmonauta milczał.

– O co chodzi?

Kosmonauta powoli wstał z fotela i podszedł blisko do Alicji. Nim zdołała oprzytomnieć, boleśnie wpił się w jej ramię kościstymi palcami i odepchnął pod ścianę.

– Stój tutaj – nakazał jej cicho.

– Dlaczego? – zdziwiła się Alicja.

– Nie lubię powtarzać – powiedział. Górował nad Alicją jak żywy szkielet. Trąciło od niego zgnilizną. – Przyleciałem tu na podbój Ziemi. Było to dwa i pół tysiąca lat temu. Mój statek wzięto za spadającą gwiazdę, a burza, jaka się zerwała, gdy wpadłem do morza, zatopiła całą flotę. Ale, jak na złość, przywaliły mnie ogromne skały... – Skrzywił się na samo wspomnienie.

– A dlaczego chce pan podbić Ziemię? – spytała Alicja.

– Ponieważ wygnano mnie z mojej planety, uznawszy za tyrana. Chciałem podbić Ziemię, zwerbować armię i srodze ukarać tych, co wazyli się podnieść na mnie rękę...

– Ale teraz już za późno – wtrąciła Alicja.

– Nigdy nie jest za późno – odparł tyran.

– A Ziemia też już nie jest taka jak przedtem. Wątpliwe, by dało się nas ujarzmić.

– Tak, Ziemia już nie ta... Gdy mijało pierwsze tysiąclecie, przysiągłem, że temu, kto mnie uratuje, podaruję połowę skarbów Ziemi. Gdy mijało drugie, postanowiłem, że daruję mu życie. A w trzecim...

– Przysiągł pan zabić wybawcę – podpowiedziała Alicja.

– Milcz. Zaraz się przekonasz, jak bliska jesteś prawdy.

– Ale jaki sens miałoby zabicie mnie? – spytała Alicja

– Owszem, ma sens – wyszczerzył zęby kosmonauta. – Zabiję cię i przybiorę twoją postać. Niełatwo byłoby mi podbić Ziemię we własnej postaci. A w twojej skórze będzie to znacznie łatwiejsze.

– Przecież nic pan o mnie nie wie – powiedziała Alicja. – To śmieszne.

– Zbadam twój mózg, odczytam myśli, rozłożę cię na atomy i złożę z powrotem. Na to wszystko wystarczy mi godzina. Potem wydostanę się na powierzchnię i los Ziemi będzie przesądzony.

Tyran podszedł do ściany, przycisnął guzik i ściana się rozsunęła. Oczom Alicji ukazała się wnęka z mnóstwem przyrządów.

– Nie próbuj stawiać oporu – powiedział – nie pokonasz mnie. Nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Nikt nie wie, że jesteś tutaj... I możesz być dumna, że w twojej dawnej powłoce będzie żył i działał największy tyran wszechczasów.

– Nie – szybko odparła Alicja. – Kiedy odpływałam, zostawiłam notatkę, gdzie mnie szukać. Moi przyjaciele bez wątpienia tu przyplłyną.

– Nie będzie cię już wówczas pośród żyjących. Przywitam ich w twojej postaci i powiem, że znalazłem statek kosmiczny, a w nim martwego kosmonautę – moje dawne ciało. Wszystko obmyśliłem, dziewczynko, wszystko co do joty.

Zajął się przyrządami nie spuszczając z Alicji tylnego oka.

Dwie jego ręce pracowały, drugą parę wyciągnął ostrzegawczo w jej stronę.

– Nic z tego nie będzie – powiedziała Alicja. – Moi przyjaciele są o wiele bardziej wykształceni od pana. Nawet jeśli mnie pan zabije, za dwa dni pana zdemaskują.

– Cóż, to niemało – stwierdził tyran. – Przez dwa dni można wiele zdziałać...

– Nie zdąży pan nawet wydostać się na zewnątrz...

– Zdążę. Podczas gdy leżałem pogrążony w anabiozie, moje przyrządy obserwowały wszystko, co się dzieje dokoła. Wiem nawet, że płynęłaś tu z dwiema wielkimi rybami. Trudno ci odmówić odwagi.

– I czegoż tu się bać, przecież to oswojone delfiny – wzruszyła ramionami Alicja.

– Jeśli nie usiłują cię pożreć, to znaczy, że się ciebie boją – powiedział tyran. – Innego wyjścia nie ma. Wszystkie istoty żywe dzielą się na słabe i silne, mądre i głupie. Głupim i słabym pisane jest być niewolnikami silnych. Te ryby są w niewoli u ciebie, a ty u mnie...

– Nieprawda! – wykrzyknęła Alicja. – Istnieje jeszcze przyjaźń...

– Przyjaźń! – opędził się trzema rękami tyran. – To pociecha dla słabych. Przyjaźń z rybami!

Zaskrzypiał, zachichotał i począł zbliżać się do Alicji trzymając cienką igłę z ledwie migocącym na końcu nikłym białym ogieńkiem.

– Nie bój się – mówił śmiejąc się jak szalony. – Cha, cha, cha! Wszystko odbędzie się błyskawicznie – porażenie prądem – i po wszystkim.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi. Pewnie i mocno.

Tyran zamarł.

– Jesteś tam, Alicjo? – dał się słyszeć głos Stasa.

Tyran odrzucił igłę, złapał Alicję i wyszeptał prędko:

– Milcz!

– Co się stało? – pytał Stas. – Czemu nie wychodzisz?

– Alicja jest u mnie w niewoli – powiedział tyran. – Słyszycie? Jeśli ktoś tu wejdzie – zginie! Nie mam nic do stracenia.

– Chcę usłyszeć głos Alicji – zażądał Stas.

– Jestem tu – zawołała Alicja. – Przykro mi, Stas, ale rzeczywiście jestem u niego w niewoli. Nie wiedziałam, że on chce podbić Ziemię.

– Wszystko w porządku – powiedział Stas. – Radzę ci, amatorze przygód, natychmiast wypuścić dziewczynkę i otworzyć drzwi. Ziemia to nie miejsce na eksperymenty z ludźmi.

– Proszę, się zgodzić – poradziła Alicja. – Stas nie lubi żartów.

– A gdzie gwarancje? – spytał tyran.

– Znudziło mi się czekać – zdenerwował się Stas. I równocześnie po metalowych drzwiach przeleciała kuliście złota iskra, a krąg metalu metrowej średnicy wpadł do kabiny. Za drzwiami ukazał się Stas z palnikiem laserowym w ręku.

– Chodź tu, Alicjo – powiedział.

Pirat zwolnił chwyt. Na szczęście nie stracił głowy tak dalece, by zdecydować się na popełnienie głupstwa.

Z drugiej strony luku stało jeszcze trzech archeologów i Paszka Geraskin. Nie opodal kręciły się delfiny.

Griszka rzucił się do Alicji. Czuł się winny – jasne, nie upilnował!

Kiedy już wszyscy, nie wyłączając tyrana, znaleźli się na kutrze oczekującym na powierzchni morza, Alicja powiedziała:

– Czuję się winna wobec delfinów.

– Pewnie, nadenerwowały się co niemiara – zgodził się Stas.

– Griszka z Medeą przypędziły do nas jak szalone – dodał Paszka – i zaczęły mamrotać, że jesteś w tarapatach. Wyglądały jak kupka nieszczęścia.

Ponury tyran siedział podparłszy twarz czterema rękami.

– Jakim cudem zdążyli tu dotrzeć? Przecież wszystko przewidziałem! – mruczał zrozpaczony.

– Czyżby pan nic nie zrozumiał? – zdziwiła się Alicja. – Nie wszyscy dzielą się na panów i niewolników. Delfiny to moi przyjaciele.

– Gdyby nie one – dodał Paszka Geraskin, zazdroszcząc, iż to nie jemu przypadła w udziale taka niezwykła przygoda – to jutro, Alicjo, podbiłabyś całą Ziemię. Byłabyś dziewczyną-tyranem.

CZEŚĆ DRUGA

ZAGRANICZNA KSIĘŻNICZKA

LECIMY DO DŻUNGLI NA PENELOPE

Tamtego dnia Alicja Sielezniewa wpadła do stacji młodych przyrodników, jakby goniła ją sfora kosmicznych smoków, i już od progu zawołała:

– Wszystko w porządku!

Zdawałoby się – nic szczególnego.

Jednak normalne życie stacji z miejsca zostało zakłócone.

Dżawad, który właśnie karmił małpy, wyrwał banana z rąk pitekantropa Heraklesa i zjadł razem ze skórką.

Arkasza Sapożkow rozsypał nasiona błyskawicznego grochu, które momentalnie wykiełkowały, a po dziesięciu sekundach łodygi oplatały go niczym węże trojańskiego kapłana Laokoona.

Masza Bielaja, jeżdżąca na delfinie Griszce po całym basenie, wpadła do wody i delfiny musiały nurkować, szukać jej na dnie i nosami wypychać na powierzchnię.

A Paweł Geraskin, który w owej chwili pracował nad wyhodowaniem olbrzymiej ważki, zwałił na podłogę mikroskop elektronowy i pomieszał geny, które od rana sortował według wielkości.

Młodzi biologowie otoczyli Alicję i na wyścigi pytali:

– Czyżby pozwolili?

– A kiedy lecimy?

– Co brać ze sobą?

– Kiedy wracamy?

– Spokój, koledzy! – zawołała Alicja. – Wy tłumaczę wszystko po kolei. Pozwolono nam lecieć na Penelopę. Na całe wakacje. Będziemy mieszkać w dżungli, zbierać okazy roślin i zwierząt do naszego muzeum, a jeśli nam się poszczęści – robić odkrycia. A poza tym będziemy się kąpać, opalać i tak dalej. Jasne?

– Jak słońce!

– Odlatujemy pojutrze. Najpierw na Plutona, a stamtąd gwiazdowym liniowcem na Penelopę. Nic zbędnego ze sobą nie zabierać! Mój ojciec umówił się, że dadzą nam tam wszystko, co będzie potrzebne.

– A kto z dorosłych leci?

– Na szczęście nikt. Za to na Penelopie spotka nas znajoma taty i pojedzie z nami do dżungli.

– Szkoda – powiedział Paszka. – Lubię swobodę.

– Nie zwracaj na niego uwagi – odezwała się poważna Maszeńka. – Znasz przecież mamę Paszki. Jeszcze go może w ogóle nie puścić.

– Posiadam pełną swobodę – zaprotestował Paszka. – W granicach rozsądku.

Pitekantrop Herakles, któremu znudziło się czekać, aż sobie o nim przypomną, pociągnął Dżawada za rękaw i powiedział:

– Ba-nan.

Heraklesa już od pół roku uczono mówić, ale ciągle ograniczał się tylko do słów oznaczających pokarm.

– Wezmę ze sobą zielniki – powiedział Arkasza. – Na Penelopie z pewnością jest z tym słabo.

– A ja – swój batyskaf – dodała Masza.

– A ja – obwieścił Paszka – uważam za konieczne uzbroić się. W dżungli mogą czyhać różne niebezpieczeństwa.

– Gdyby tam było niebezpiecznie, toby nas nie puszczono – powiedziała Alicja.

– Na lwa nie wystarczą gołe ręce – nie zgodził się Paszka.

– Nie słuchajcie go – powiedziała Masza. – W ogóle nie rozumiem, jak taki człowiek może zajmować się biologią. Powinien raczej udać się w przeszłość, by wojować z Juliuszem Cezarem.

– Mam nadzieję – odezwał się Paszka – że i w naszej epoce dość jest niebezpieczeństw w otwartym Kosmosie. Jeszcze przylecicie do mnie z wrzaskiem: „Paszeńka! Ratuj!”

– Spójrzcie tylko na niego! – powiedziała Masza. – Rycerz bez trwogi!

Paszka poczerwieniał, jasne włosy rozsypały się w nieładzie, oczy błyszczały. Podskoczył do Dżawada trzymającego kiść bananów w ręku, oderwał jeden i wycelował z niego w delfina Griszkę, który płonąc z ciekawości wynurzył się z basenu.

– Łapy do góry, potworze! – krzyknął. – Dzielny rycerz Sir Lancelot wyzywa cię na pojedynek.

PENELOPA I ŻANGLE-WIELOKROPEK

Wypada teraz opowiedzieć, czemu młodzi biologowie tak bardzo chcieli wyruszyć na Penelopę.

Otóż przed dwudziestu laty statek kosmiczny „Mała Niedźwiedzica”, lecący pod dowództwem Polugusa Zemfirskiego do swej ojczystej Pilagei, odkrył nagle obok znanej gwiazdy Kasandry planetę, której nikt nigdy dotychczas nie widział, chociaż przelatywały tędy tysiące statków. Rzecz jasna, Polugus Zemfirski kazał lądować. Na planecie były zielone lasy, białe ośnieżone góry, ciemnoniebieskie oceany. Nad polanami fruwały motyle i ptaki z długimi ogonami wygiętymi i rozcapierzonymi podwójnie, potrójnie i nawet poczwórnymi. Pod drzewami smyrgały niebieskie, zielone i pomarańczowe wiewiórki, w trawie skakały złote pasikoniki.

Podczas chłodnawych nocy woda w rzeczках była ciepła, w upalne dni robiła się chłodniejsza. Wszystkie owoce na drzewach były dojrzałe, deszcze padały tylko tam, gdzie nie było ludzi, wiatry bywały słabe, najwyżej umiarkowane.

Polugus Zemfirski spędził na planecie, dwa miesiące, codziennie kąpał się w przejrzystych rzekach, zjeżdżał na nartach z ośnieżonych gór, opalił się i przybrał na wadze trzynaście kilogramów, ale nie spotkał tam ani jednego człowieka, ani jednego drapieżnika, ani jednego nawet komara.

Wreszcie z trudem udało mu się zebrać po lasach i polach swoją załogę i namówić do powrotu.

Wzdychając i narzekając opuszczali kosmonauci gościnną planetę.

– Czekać na nas – powtarzali jak gdyby w obawie, że planeta zejdzie z orbity i umknie w drugi koniec Galaktyki. – Czekać na nas tak jak Penelopa na swego Odyseusza. – I oni to właśnie nazwali planetę Penelopą.

Kiedy Polugus opowiedział na Pilagei o odkrytej planecie, z początku nikt mu nie uwierzył. Wówczas odważny kapitan rozebrał się do spodenek i wszyscy zobaczyli bajeczną, brązową opalenizną pokrywającą jego muskularne ciało.

– Gdzie mógłbym się tak opalić, skoro dopiero wczoraj wróciłem z długiej kosmicznej delegacji? – zapytał sceptyków.

Dopiero wtedy wszyscy uwierzyli w istnienie Penelopy.

Na planetę wyruszyło kilka ekspedycji. Entuzjastyczna opowieść Polugusa Zemfirskiego potwierdziła się w zupełności i postanowiono uczynić z Penelopy ośrodek turystyczny będący jednocześnie rezerwatem.

Była jednak pewna niedogodność. Planeta leżała bowiem na uboczu od innych systemów gwiazdnych. Tak daleko nie każdy polecą na urlop – podróż w obie strony zajmie niemal cały wolny czas. Dlatego też w wybudowanym tam mieście turystycznym większość hoteli świeciła na ogół pustkami, tylko roboty-sprzątacze biegały po korytarzach, ścierały kurz ze stołów i zmieniały pościel w pokojach.

Specjalna komisja, która wymyśliła i zaprojektowała stolicę turystycznej Penelopy, długo nie

mogła podjąć decyzji, jak ją nazwać. Ktoś zaproponował, by nazwa składała się z pierwszych liter planet, które zbudowały miasto. Wyszło z tego ZPPPKRSTFKUG, co oznaczało: Ziemia, Pluton, Pilageja, Popokatepepa i tak dalej. Spróbujcie to wymówić, w dodatku jeszcze szybko! Był i drugi wariant – wziąć pierwsze sylaby nazw planet. Tym razem wyszło: Zieplupipokerasotrufukuggr. Oczywiście, to słowo łatwiej wymówić. Ale mimo wszystko... Co tu zrobić, żeby nikogo nie urazić?

Wobec tego kazano mózgowi elektronicznemu podać pierwsze z brzegu ładne słowo w jakimkolwiek języku galaktycznym. Maszyna powiedziała: „ŻANGLE”, co oznacza pilagejsku: „światlisty wiatr wiejący z wysokiej góry”.

Ta nazwa wszystkim się spodobała. Podano ją malarzom i poetom, by rozgłosili po całej Galaktyce, gdzie się najprzyjemniej odpoczywa. Po dwóch dniach artyści przynieśli swoje dzieła. Pierwszy malarz pokazał obraz przedstawiający przyszłe miasto otoczone lasami i jeziorami, a poeta przeczytał umieszczony pod nim podpis:

*Jak najprędzej zjaw się tu
W słynnym mieście Żangletu!*

– Co takiego? – dał się słyszeć wzburzony głos. – Miasto nazywa się Żangle!

– Nic strasznego – odparł poeta. – Miasta jeszcze nie ma. A spróbujcie wymyślić rym do słowa Żangle. Nie wychodzi? No to posłuchajcie, jak ładnie brzmi: „Żangletu, Żangletu, jak najprędzej zjaw się tu”.

– A właściwie dlaczego nie nazwać miasta Żangletu? – spytał delegat z planety Fukruk. – Niechaj będzie Żangletu, „Żangletu, zjaw się tu”.

Pozostali członkowie komisji zgodzili się, po czym wezwali drugiego poetę i drugiego malarza.

Malarz rozłożył zdumiewające płótno. Wyobrażało ono tłumny, roztańczony, kolorowy karnawał. Rozległy się oklaski, wszystkie spojrzenia spoczęły na poecie w oczekiwaniu na jego wiersze. Poeta odczytał:

*Najpiękniejszy karnawał
Spędzisz w mieście Żanglewał!*

– Jak to? – zdumiała się komisja. – Przecież miasto nazywa się Żangletu! No, ostatecznie Żangle.

– A jak mam zrymować Żangle ze słowem „karnawał”? – zdziwił się z kolei poeta. – A zresztą miasta jeszcze nie ma, więc nie jest ważne, jak się nazywa.

– Trzeba będzie poszukać rymu – powiedział Fukruk. – Miasto już otrzymało nazwę.

– Ach tak! – wykrzyknął malarz. – Zabieram z powrotem mój obraz, ponieważ mnie ten wiersz się bardzo podoba.

– Odlóżmy zatem naszą ostateczną decyzję do obejrzenia kolejnego płótna – powiedział Iwan Tristanowicz Sirigh – delegat Ziemi.

Wszedł trzeci malarz. Jego obraz zachwycał swą niezwykłą, żywą kolorystyką. Nieważne, co przedstawiał, w każdym razie było to coś ogromnie czarującego.

– Znakomite! – rozległy się głosy. – Każdy człowiek, ujrawszy ten obraz, natychmiast wybierze się do Żangle... – I wszyscy zamilkli spłoszeni, nie wiedzieli bowiem, co usłyszą od trzeciego poety. On zaś odczytał:

*Takie piękno cię upoi
W słynnym mieście Żangletoi!*

– To też nazwa? – spytał Iwan Tristanowicz.

– A czy jest gorsza od innych? – odparł pytaniem poeta.

Komisja nie spierała się z nim, lecz wezwała czwartego poetę, który wydeklamował:

*Jeśli zmogło cię zmęczenie,
Przyleć, odpoczniesz w Żanglenie!*

Piąty poeta zaproponował:

*Jeśliś znużony i chandra cię gniecie,
Odpoczniesz tylko w słynnym Żanglecie!*

– Wszystko już wiemy! – stwierdził Iwan Tristanowicz. – Przesłuchiwanie wierszy zakończone. Komisja udaje się na naradę.

Komisja naradzała się przez trzy godziny bez przerwy. Następnie Galaktyka dowiedziała się o podjętej decyzji.

Ponieważ w konkursie brali udział czcigodni poeci, którzy napisali czcigodne wiersze, komisja postanowiła nikogo nie urażać. Odtąd stolicę Penelopy każdy ma prawo nazywać tak, jak mu się podoba, pod warunkiem, że nazwa będzie się zaczynała od słowa Żangle. A dalej – jak kto woli.

Wszyscy mają takie prawo. Czyelnicy tej opowieści również. A nawet ci, którzy żyli w XIX wieku przed naszą erą.

W oficjalnych dokumentach i na mapach gwiazdnych nazwa stolicy Penelopy jest pisana: „Żangle...” – to znaczy Żangle-wielokropek. Mieszkańcy Galaktyki nazywają to miasto Żanglepupem, Żangletonem, nawet Żanglekokiem. A co z tym słowem wyczyniają poeci – aż strach pomyśleć!

*Każdy poeta inne rymy macha
O słynnym mieście Żanglecha -
cha cha cha!*

WSZYSTKIE KŁOPOTY PRZEZ ROMANTYKĘ

Najwięcej utrapień miała Alicja z powodu Paszki Geraskina.

Pierwszy raz znalazł się w Kosmosie – wcześniej nie puszczała go mama, tak jakby w naszych czasach można było utrzymać człowieka na Ziemi. No i przesadziła.

Już na kosmodromie przy załadunku, kiedy dzieci oddawały wszystkie zbędne przedmioty i domowe ciasteczka z powodu ograniczeń wagi, Paszka sobie tylko znanym sposobem przemycił na statek swój wspaniały scyzoryk z trzydziestoma trzema ostrzami, piłką, a nawet nożycami ogrodowymi. Ba, żeby tylko przemycił, ale on w dodatku się nim posłużył na Plutonie.

Czekając tam na przesiadkę na gwiazdny liniowiec, dzieci poszły pospacerować dookoła bazy. Wszyscy byli asekurowani linami. Na wszelki wypadek towarzyszył im tamtejszy geolog. Wydawałoby się, że na zamieszkanym Plutonie nic się nie może przytrafić zwyczajnym uczniom. A jednak się przytrafiło. I to, oczywiście, Paszce.

Jak wiadomo, na Plutonie żyją śnieżniki. Nie udało się jeszcze żadnego schwytać, choć jest ich niemało, tylko z daleka każdy przybysz może je obejrzeć.

Dlaczego tak trudno je schwytać? Ponieważ są dwupostaciowe. Żyją na granicy słońca i cienia. Jeśli je gonić po cienistej stronie, natychmiast uciekają na słońce, wlatują obłoczkiem pary – i tyleście je widzieli. A kiedy nie ma niebezpieczeństwa, pasą się w cieniu w postaci migotliwych, prawie przezroczystych kul składających się z drobnych zamarzniętych kryształków. Cudowne widowisko!

W trakcie spaceru po Plutonie dzieci zauważyły śnieżniki i zaczęły je fotografować. Nagle Paszka spostrzegł, że jeden spośród śnieżników zapędził się daleko w cień.

Paszka doskonale zdawał sobie sprawę, że póki trzymają go na linie niczym szczeniaka na smyczy, nie uda mu się gonić za śnieżnikiem – od razu go zawrócą. Wykorzystał więc moment, gdy nikt na niego nie patrzył, i wyciągnąwszy ukryty w kieszeni skafandra scyzoryk, przeciął ogrodowymi nożycami linę i rzucił się w pogoń za tajemniczym mieszkańcem Plutona.

Brak chłopca zauważono w jakieś trzy minuty później. Lina przecięta, a młody biolog zniknął jak kamfora – zdążył już pomknąć hen daleko za śnieżnikiem, który, choć stworzenie nierozumne, najwyraźniej zorientował się, iż prześladowca nie jest niebezpieczny, i postanowił wodzić go za sobą wśród skał.

Na Plutonie ogłoszono alarm. Setki ludzi zostały oderwane od swych obowiązków, wszystkie mechanizmy i kutry planetarne ruszyły na ratunek zaginionemu chłopcu. A jemu tymczasem nawet przez myśl nie przeszło, że to on stał się powodem alarmu. Kiedy go odnaleziono, jeszcze się wyrywał krzycząc, że jest na granicy wielkiego odkrycia – o mało nie schwytał gołymi rękami

śnieżnika, a tu mu przeszkadzają.

Później, już w drodze na Penelopę, wzdychał co chwila z goryczą:

– Ech, gdyby nie ci asekuranci z Plutona, mielibyśmy żywego śnieżnika w naszym ogrodzie zoologicznym.

– Przewiózłbyś go w kieszeni? – uszczypliwie spytała Maszeńka Bielaja.

– Naiwniaczka – odparł Paszka. – Zamieniam go w parę i – do słoika. I w słoiku wiozę. Potem w domu znów go zamrażam. Wszystko zaplanowałem.

Cała grupa musiała poręczyć za niego, że już więcej nie będzie przynosił wstydu biologii i urządził przedszkola z ekspedycji naukowej. Mimo wszystko naukowcy z Plutona uprzedzali: „Nie wiercie mu! Teraz jest szczerzy, a za chwilę zapomni o swych obietnicach. Nie dlatego, że jest zły czy fałszywy, po prostu zbyt się entuzjazuje. Dla takich nie ma miejsca w Kosmosie”.

No dobra, zlitowali się nad nim.

Na liniowcu System Słoneczny-System Kasandry Paszka zachowywał się prawie idealnie, gderał tylko, że minęły już czasy przygód, a i statek – jego zdaniem – jest zbyt cywilizowany. Mimo to sam kąpał się w basenie znajdującym się na statku, grał w piłkę nożną, a nawet uczył się jeździć konno na syntetycznych koniach w ujeżdżalni.

Gdy przylecieli na Penelopę, dzieci zdążyły już zapomnieć o plutońskim śnieżniku, Alicja jednak nie ufała Paszce i postanowiła mieć go na oku, kiedy już znajdą się w dżungli. W mieście raczej nic mu nie groziło. Tam jest romantyka głównie turystyczna, bezpieczna.

Pierwszego dnia zabrano dzieci na wycieczkę po Żangletonie i pokazano im niektóre osobliwości miasta. Na przykład przyrodnicze. Najciekawsza z nich to skała z okrągłym otworem. Gdy się patrzyło przez otwór, widoczne było jezioro, które dzieli od skały odległość trzydziestu kilometrów, tymczasem wystarczyło przejść przez otwór, a jezioro zniknęło, natomiast za skałą ciągnął się nieprzebyty las. Były tam źródła lecznicze, które w trzy minuty goją wszelkie rany. Tyle że są one wrzące i jeśli umoczyć skaleczony palec bezpośrednio w źródle, a nie w przestudzonej wodzie, to niewielkie zadrapanie zmieni się w rozległe oparzenie. Następnie dzieci zwiedziły „Małą Niedźwiedzicę”, która odkryła tę planetę. Trzy lata temu statek, który był już stary, wycofano z floty kosmicznej i postawiono na jednym z placów Żangle-wielokropka. Wprawdzie dopóki placu nie otaczają domy i dopóki się nie wie, że jest to plac miejski, można pomyśleć, że statek stoi na leśnej polanie.

Reszta osobliwości miała czysto turystyczny charakter. Po pierwsze, hotele. Zwyczajne, jeśli nie brać pod uwagę hotelu dla Krokosów. Ten hotel był przezroczystą kulą, w której wewnątrz Krokosy miały pływać i napawać się widokami. Co prawda jeszcze ani jeden Krokos na Penelopę nie przyleciał i hotel stał pusty. Tuż obok niego znajdowały się cysterny z wodą kolońską, która zastępuje Krokosom powietrze. Kiedyś cały hotel zostanie tą wodą wypełniony po brzegi.

W Żanglegradzie założono również wspaniały park z atrakcjami przywiezionymi z różnych planet. Na razie jeszcze park jest nieczynny, ale po otwarciu znajdzie dla siebie rozrywkę każdy mieszkaniec Galaktyki: podziemne tunele pełne niespodzianek i widziadeł, huśtawki pędzące z prędkością światła, karuzele na powietrznej poduszce, sale płaczu i śmiechu, fontanna z sokiem pomarańczowym, basen do zapasów z ośmiornicą, placyk do współzawodnictwa w zbieraniu muchomorów, żywa biblioteka i mnóstwo innych.

Paszce zwłaszcza spodobała się przyszła atrakcja – turniej rycerski. Jego uczestnicy mają przywdziewać zbroje, dosiadać koni i walczyć na kopie. Z trudem udało się go wyciągnąć stamtąd,

i to dopiero wtedy, gdy robot-przewodnik objaśnił, iż konie i broje są sztuczne, a kopie – z miękkiego plastiku.

– To dla dzieci – oświadczył wówczas Paszka. – Nie znoszę imitacji. Poczekamy na dżunglę.

– Ale w dżungli nie ma rycerzy – zauważył przewodnik, który, rzecz jasna, wziął słowa Paszki całkiem serio.

– Może i nie ma – zgodził się Paszka, – Za to mogą być inne niebezpieczeństwa. Spotkania z dzikimi zwierzętami i tak dalej.

– Niebezpiecznych dzikich zwierząt do tej pory jeszcze nikt nie spotkał – odparł przewodnik.

– O właśnie – do tej pory – nie dał się przekonać Paszka. – Dlatego trzeba być przygotowanym na wszystko.

Maszeńka Bielaja westchnęła ciężko, uważała bowiem Paszkę za lekko stukniętego. Dla niej największą przygodą byłoby dokonanie jakiegoś odkrycia w biologii, wszystkie inne przygody wypływają wyłącznie z głupoty. Nawet myśleć o nich nie warto.

W hotelu czekała na dzieci wiadomość od miejscowego biologa Swietlany – przyjedzie po nich swoim mobilem o siódmej wieczorem, żeby zdążyli przed kolacją do leśnej stacji, w której pracuje i gdzie ma być rozbity obóz młodych biologów.

Dzieci zjadły obiad. Arkasza zasiadł do pisania dziennika. Dżawad położył się spać, a Maszeńka z Alicją pisały domu. Po upływie godziny Alicja spytała:

– A gdzie Paszka?

– Pewnie śpi – odparła Maszeńka.

– Mam niedobre przeczucie – powiedziała Alicja. – Żeby tylko nie wybrał się na poszukiwanie przygód.

– Nie przejmuj się – uspokoiła ją Masza. – Siedzi w swoim pokoju i duma, gdzie tu zdobyć kosmiczne działo, żeby ustrzelić z niego ważkę lub muchę.

Nie przekonało to Alicji. Próbowała się porozumieć z Paszką przez wideofon, ale nikt nie odpowiadał. Wybiegła na korytarz i zajrzała do kolegów. Paszki tam również nie było.

Postanowiła nie denerwować niepotrzebnie Maszeńki, wróciła do pokoju i powiedziała:

– Idę odetchnąć świeżym powietrzem. Wrócę za godzinę.

– A list?

– Nie ma na razie o czym pisać. Lecieliśmy, lecieliśmy i dolecieliśmy. Prześlij w swoim liście pozdrowienia ode mnie. Dobrze?

– Dobrze – odparła Maszeńka.

Alicja obiegła wszystkie piętra, wypytała wszystkich napotkanych i dowiedziała się, że chłopiec, o którego jej chodzi, godzinę temu wyszedł z hotelu i do tej pory nie wrócił.

Do przyjscia Swietlany pozostało jeszcze półtorej godziny.

UCA PARA

Na widok Alicji drzwi hotelowe rozsunęły się i wypuściły ją na zewnątrz.

Świeciło słońce, szczebiotały ptaki, od pobliskich błękitnych gór wiał orzeźwiający wietrzyk. Turyści wsiadali do autobusu jadącego do Lecznicych Wód. Inni nie spiesząc się spacerowali po placu.

Kilka osób stało pośrodku placu pod ogromną wiszącą w powietrzu kulą. Patrzyły na kulę i dyskutowały zawzięcie.

Kula była drogowskazem. Widniały na niej napisy, dokąd się udać.

Niestety, ogromnie spodobała się ptakom. Niektóre zdążyły już przylepić do niej gniazda, inne goniły się stadkami wokół niej tak szybko, że aż w oczach migotało. Cała wierzchnia część kuli pokryta była czapą ptasich odchodów niby arktycznym lodem. Od bieguna do tropików ciągnęły się języki lodowców. W ogóle było trudno zorientować się, co tam napisane.

Na innej planecie przegoniono by ptaki, wymyto kulę i sprawa załatwiona. Ale na Penelopie obowiązuje prawo: nie wolno przeszkadzać ptakom. Dlatego też mieszkańcy Żangletonu postanowili podarować zniszczoną kulę ptakom, obok zaś powiesić jeszcze jedną, tak śliską, by nic nie mogło się na niej utrzymać. Zanim przyszło co do czego, postawili pod kulą robota-sprzątacza spisanego na straty z powodu wieku, aby – jako stary tubylec – udzielał wyjaśnień.

– Co tam jest napisane czarnymi literami? – spytał turysta z Aldebarana, którego Alicja bez trudu odróżniła od mieszkańca Ziemi, ponieważ kolana miał z tyłu, a łokcie z przodu.

Mały błyszczący robot odjechał na bok, zastanowił się i odpowiedział:

– Szwajcaria Penelopiańska.

– A co to takiego Szwajcaria? – spytał turysta z Aldebarana.

– To planeta, na której żyją szwajcarzy, czyli portierzy – odparł robot.

Robot przypominał garnek na nóżkach i mówił ochryłym basem.

Alicja wiedziała, że robot się myli, ale nie chciała się wtrącać, by nie obrazić staruszka. Ona sama nie była jeszcze w Szwajcarii, nie spotkała żywego Szwajcara, wiedziała jednak, że mieszkają tam Szwajcarzy, a nie szwajcarzy. A to ogromna różnica.

– Przepraszam – zwróciła się do robota. – Czy nie widział pan tu chłopca?

– Ile nóg? Ile rąk? Z jakiej planety? – przerwał jej robot.

– Dwie ręce, dwie nogi, jedna głowa, a na niej granatowa czapeczka z daszkiem.

Robot podniósł oczy na kulę i zamyślił się.

– Widziałem go – odezwał się wreszcie. – Odczytywaliśmy razem napisy.

Turyści rozstąpili się, żeby Alicja z robotem mogli obejść kulę dookoła.

– O – rzekł robot – tam poszedł.

Alicja próbowała odczytać napis z boku kuli, który wyglądał mniej więcej tak: gniazdo – U –

śpiący ptak – CA – gniazdo – PA – rój motyli – R – gniazdo – A.

– Nic nie rozumiem – rozłożyła ręce.

– Niestety, ja również zapomniałem – powiedział robot.

– A może to ulica Paralityczna? – spytała Alicja.

– Ależ skąd! – obraził się robot. – U nas nie może być takiej nazwy.

– Ulica Spacerowa – podpowiedział turysta z Aldebarana.

– Nie – odparł robot – do spacerów mamy park, a nie ulicę.

– To przecież proste – powiedział turysta o dwudziestu trzech nogach. – Ulica Parzysta.

– Nie – pokręcił głową robot. – Parzysta jest w innej stronie miasta.

Każdy starał się pomóc Alicji i proponował swoją nazwę. Kiedy już wyczerpały się nazwy w języku kosmicznym, niektórzy zaczęli podpowiadać słowa w swych ojczystych językach.

– Ulica Zapakordana – krzyczał dwugłowy Weganin.

– Ulica Sparumarkula?

– Ulica Padu-wan-re-wan-nia?

– A może to ulica Parkowa? – spytała Alicja.

Robot milczał. Najwyraźniej nie przypuszczał, że może być aż tak dużo ulic.

Nie wiadomo, jak długo by to trwało, gdyby któryś z chłopców nie rzucił kanapką w kulę, i to tak celnie, że trafił prosto w rój motyli. Motyle wzleciały i okazało się, że przesłaniały sobą litery: „MIĄTKA”.

Powstał napis: „U..CA PAMIĄTKAR..A”.

– Przypomniałem sobie! – wykrzyknął robot. – To ulica Pamiątkarska!

– Teraz to i bez pana pomocy widzę, że Pamiątkarska – zgodziła się Alicja. – Jak mogę tam trafić?

– A to już całkiem proste. Idź w tamtą stronę i sama zobaczysz.

Kiedy Alicja odeszła, robot zawołał za nią:

– Ten chłopiec o dwóch nogach, dwóch rękach i jednej głowie w granatowej czapce z daszkiem pytał mnie, gdzie tu można kupić broń albo konia bojowego.

WSZYSTKO DLA SZPIEGA

Przechodząc przez park, w którym w oczekiwaniu na gości zamaryły rozmaite atrakcje, Alicja zatrzymała się przed dużym szyldem w ciężkiej złotej ramie:

„*ULICA PAMIĄTKARSKA*”

Spojrzała w głąb ulicy i osłupiała ze zdumienia: czegoś takiego nie spodziewała się zobaczyć nawet na Penelopie w słynnym Żanglegradzie!

Ulica była zrobiona specjalnie dla turystów szukających romantyki.

Była to bardzo wąska, długa, kręta ulica, przy której stały zabytkowe domy. Pierwszy z prawej był z kamienia, o wysokich wąskich oknach. Pierwsze piętro wystawało nad parterem, a drugie – nad pierwszym. Nad drugim piętrem opadał stromo dach z czerwonej dachówki. Naprzeciwko wznosił się dom składający się z mnóstwa ciasno ustawionych kolumn. Kolumny były rzeźbione, a drzwi tak wąskie, że można się było przez nie przecisnąć tylko bokiem, wstrzymując oddech. I tak dalej...

Na parterze domów mieściły się sklepy i sklepiki, nad nimi wisały wymyślne szyldy, wzdłuż ulicy ciągnęły się latarnie naftowe. O jeden ze słupów oparta była drabina, na której stał człowiek w czarnym cylindrze i odsunawszy szybkę zapalał światło.

Dopiero wtedy Alicja zdała sobie sprawę, że się już zmierzcha i trzeba się spieszyć. I tak już straciła z dziesięć minut przed kulą na placu.

– Przepraszam – zwróciła się do latarnika. – Nie widział pan tu chłopca na dwóch nogach?

Latarnik zamknął szybkę i spojrzał w dół. Miał długie melancholijne wąsy.

– Widziałem. Pytał mnie, gdzie można kupić broń i przybory myśliwskie.

– Zgadza się. To on.

– Ten chłopiec mnie obraził. Jak?

– Nazwał mnie latarnikiem.

– A pan nim nie jest?

– Jestem kominiarzem. To nawet ślepy by zobaczył.

– W takim razie czemu zapala pan latarnie?

– Ach, moje dziecko – latarnik zszedł z drabiny i wyjął z kieszeni fajkę. Zapalając ją ostrożnie, by nie osmalić wąsów, ciągnął: – W słynnym Żangleszunie postanowiono stworzyć ulicę Pamiątkarską dla romantyków. Wszystko tu musi być zabytkowe i autentyczne. Po całej Galaktyce szukano dziwaków, którzy zgodziliby się mieszkać w tych domach, palić w piecach i kominkach oraz sprzedawać pamiątki. I dotarli również do mnie – ostatniego prawdziwego kominiarza na Ziemi. Ucieszyłem się, że będę mógł popracować w swoim fachu, jako że już od osiemnastu lat przyszło mi trenować alpinistów – przecież na całej Ziemi nie pozostał nawet jeden czynny przewód kominowy. I co się okazało? Znalazło się tylko dwóch dziwaków, którzy zgodzili się mieszkać przy romantycznej ulicy, palić w piecu, posługiwać się lampami naftowymi i gotować jedzenie na kuchni. Jeden z nich

to ja, a drugi – Fuuks.

– Nic w tym dziwnego – powiedziała Alicja.

– Owszem, nic dziwnego, ale przykro. Cóż więc zrobiono? Pozostawiano tylko latarnie na ulicy, a wewnątrz domów wszystko urządzono normalnie – dostawa żywności, wanny z pianą i całe nowoczesne wyposażenie. Ale przecież nie wyjadę stąd! Tu choć latarnie stoją. Więc pracuję. Obiecują zbudować w przyszłym roku jeden duży komin specjalnie dla mnie. Żyję tylko tą nadzieją.

– Ale dokąd poszedł chłopiec, który nazwał pana latarnikiem?

– Poszedł dalej ulicą.

– Dawno to było?

– Z godzinę temu. Zdażyłem już przez ten czas zapalić osiem latarń i dolać do nich nafty.

– I nie wracał?

– Nie.

– A czy mógł iść gdzieś dalej?

– Ta ulica jest ślepa – oznajmił kominiarz. – Zajrzyj do sklepu starego Fuuksa. Ja na miejscu romantycznie nastawionego chłopca na pewno wstąpiłbym do tego sklepu. I może wcale bym z niego nie wyszedł.

– Co pan chce przez to powiedzieć?

– Wstąp tam, to sama zobaczysz – powiedział kominiarz. – Pozdrów ode mnie Fuuksa. Tylko błagam, nie wierz mu ani trochę!

– Nie wierzyć?

– W żadnym razie! To bardzo ryzykowne.

Zmierzchało. Żółte światło latarń na wąskiej uliczce potęgowało jeszcze to wrażenie. Powietrze nabrało granatowej barwy. Na parterach zabytkowych domów świeciły jaskrawo witryny z pamiątkami. Tylko jakoś nie było widać klientów. Raz czy dwa Alicja spotkała przechodniów przyglądających się egzotycznym wystawom i szyldom. Szła dosyć wolnym krokiem, ponieważ zapomniała spytać, jak nazywa się sklep starego Fuuksa, któremu nie należy ufać. Poza tym Paszka mógł utknąć w jakimkolwiek innym sklepie. Albo na wystawie znaczków z Syriusza, która mieściła się w okrągłej wieży najeżonej blankami.

Dom Fuuksa Alicja przegapiła. Przytłaczały go dwa sąsiednie budynki – jeden pękaty jak samowar, rozsiewający pomarańczowy blask, drugi przypominający niegdysiejszy parowóz. Szary, zbudowany z okrągłych belek domeczek między nimi był niemal niezauważalny. Jego witrynę oświetlała jedynie lampa naftowa. Skąpe światło padało na kwadratowy arkusz białego papieru.

Alicja minęła już ten sklep, nagle jednak zatrzymała się i odwróciła. Przecież kominiarz mówił, że na całej ulicy są tylko dwaj miłośnicy antyków – on i Fuuks. A na wystawie pali się lampa naftowa!

Zawróciła.

Tak jest. Nad wąskimi drzwiami mały blaszany szyldzik: „Sklep Fuuksa”.

Alicja przysunęła nos do samej szyby, żeby przy słabym świetle lampy naftowej przeczytać, co jest napisane na kartce papieru.

„WSZYSTKO DLA SZPIEGA!

Sprzedajemy i kupujemy tajemnice państwowe!

Wymieniamy tajne dokumenty na tajne dokumenty!

*Zapewniamy potajemny przyjazd do dowolnego punktu Galaktyki!
W sprzedaży znajdują się autentyczne dokumenty wszystkich planet i systemów gwiazdnych!
Szpiegzy i awanturnicy, spieszcie do nas!
Tylko w sklepie Fuuksa w słynnym mieście Żanglebumsie!
To, o czym zapomniano w Galaktyce, można przypomnieć sobie u nas!
Ostatni rycerze Wielkiej Drogi i awanturnicy gwiazdnych szlaków, SPIESZCIE DO NAS!”*

– Jeśli Paszki tu nie ma, to w każdym razie na pewno musiał tu być – powiedziała na głos Alicja i pchnęła drzwi prowadzące do sklepu.

DWA OBLICZA FUUKSA

Drzwi głośno zaskrzypiały, wewnątrz sklepu odezwał się dzwoneczek. Sklep okazał się długim, ciągnącym się w głąb domu pomieszczeniem.

Na bocznych ścianach wisiały stare, przetarte na zgięciach mapy nieznanymi wysp i zatok, pod szkłem – ryciny z żaglowcami pod piracką banderą. Ryciny były popstrzone przez, muchy i pociemniałe ze starości, co robiło wrażenie, jakby statki spowijał dym prochowy. Pośrodku sklepu znajdowała się beczka, obok niej – trzy taborety, a koniec pomieszczenia odgradzony był ladą, na której stały rzędem szklanki, filiżanki, kilka starych butelek i wałała się sterta podartych książek. Na podłodze, na samym środku sklepu, stał nie wiedzieć czemu dziecienny nocniczek z niezapominajkami po bokach.

Skądś zza lady bezszelestnie wyszedł spasiony rudy kocur z czerwonym nosem, popatrzył na Alicję i ułożył się w kącie, nie spuszczając z niej oka, jak gdyby w obawie, że może ona okraść sklep.

– Jest tu kto? – spytała Alicja.

Żadnej odpowiedzi. Antyczny zegar wybił szóstą.

Alicja postąpiła parę kroków naprzód w kierunku lady. Podłoga skrzypnęła głośno, a siedząca na przybitym do ściany suchym sęku wypchana sowa zakołysała się, i przekreśliła się głową w dół.

Alicja podeszła do lady zerkając na sowę – a nuż ożyje? W takim sklepie nigdy jeszcze nie była.

Nagle za drzwiami wiodącymi na zaplecze rozległ się dziecięcy płacz, a potem tubalny głos spytał:

– Gdzież się podziało to przeklęte naczynie?

Jednocześnie wypadł zza tych drzwi mały łysy człowieczek w ciemnych okularach, z bardzo długim i potężnym nochem, który ciągnął go w dół, stąd człowiek ów biegł niczym pies myśliwski tropiący zdobycz.

Nie zauważywszy Alicji, skierował się w stronę nocnika z okrzykiem: „Oto on!” – jak gdyby odkrywał właśnie Amerykę.

Za nim wbiegł do sklepu chłopczyk około pięciu lat, umazany po pas konfiturami z wiśni. W roku niósł niczym szpadę długi pasiasty lizak.

– Tatusiu! – zamiauczał. – Pamela znów zerwała firankę i zjada ją.

Łysy człowieczek zobaczył Alicję i jęknął cicho: „Och!”

Schwycił nocnik, podskoczył do chłopca, podniósł go za kołnierz i zasyczał głośno:

– Czy nie widzisz, że mamy klienta?

Z tymi słowami zniknął, tylko zza drzwi doszedł tupot i pisk. Rudy kot westchnął, wskoczył na ladę i ułożył się pomiędzy butelkami.

Alicja pomyślała, że wypchanej sowie niewygodnie wisieć głową w dół. Wspięła się na palce

i spróbowała ustawić ją prawidłowo, ale sowa znów fiknęła koziołka.

Pochłonięta tym Alicja nie zauważyła, kiedy nosal wrócił do sklepu.

Gdyby nie nos i ciemne okulary, trudno by się domyślić, że to on przed chwilą biegał po sklepie z dzieckiem i nocnikiem w rękę

Zdażył narzucić czarny chałat haftowany w gwiazdy, na głowę zaś wdział czarny słomkowy kapelusz.

– Do pani usług, mademoiselle – wymówił głuchym basem – Co pani życzy sobie nabyć, sprzedać lub wymienić?

– Dzień dobry – powiedziała Alicja starając się nie uśmiechać. – Czy to pan nazywa się Fuuks i jest kierownikiem tego sklepu?

– Baltazar Fuuks, mistrz czarnej, białej i zielonej magii, do pani usług – skłonił się człowieczek, nagle jednak nos przeważył i Alicja ledwie zdażyła podtrzymać Fuuksa, by nie stuknął nosem o beczkę.

– Dziękuję, bardzo pani uprzejma – rzekł Fuuks poważnie.

– Pozdrowienia od kominiarza – odparła na to Alicja.

– Zna go pani?

– Niedawno się poznaliśmy.

– A więc proszę go przy okazji również pozdrowić. Muszę panią uprzedzić, że nie sprzedaje się tu zwykłych pamiątek.

– Proszę mi powiedzieć, czy nie wstępował tu niedawno chłopiec?...

– W granatowej czapce?

– O, właśnie.

– Niestety, to tajemnica.

W tej chwili zza lady dały się słyszeć straszliwe głuche jęki. Zapomniawszy o wszystkim, Fuuks rzucił się w tamtą stronę i wyciągnął brzuchatą wazę, z której sterczały maleńkie nóżki w czerwonych skarpetkach.

Trzymając wazę pod pachą, Fuuks usiłował wyciągnąć dziecko na zewnątrz, lecz ono albo utknęło na dobre, albo też wcale nie miało zamiaru wyjść, chociaż ryczało jak bawół, ponieważ dźwięki odbijając się od wewnętrznych ścianek wazy potęgowały się do niesamowitych rozmiarów. Kot, wygiąwszy grzbiet, w najwyższym przerażeniu dał susa w otwarte drzwi.

– Które to z was? – spytał Fuuks wsadzając nos do wazy.

– Ja-a-a-a! – odpowiedział mu ryk.

– Dalej nie wiem! Ale to nieważne – powiedział Fuuks. – Trzeba będzie rozbić wazę młotkiem. Zapomnijmy o jej wartości. Dzieci są cenniejsze.

Fuuks postawił wazę na podłodze i zniknął za drzwiami na zaplecze. Naraz w sklepie zjawili się dwaj chłopcy. Jednego Alicja już знаła – to on umazany był konfiturami, drugiego przedtem nie widziała – ten był upaprany żółtkiem jajka.

– Pamela wlaźła tam po miód – powiedział chłopczyk umazany konfiturami z wiśni.

– To my jej powiedzieliśmy, że tam jest miód. A to wcale nieprawda – dodał drugi.

– Tu jest muuuusztarda! – rozległ się głuchy dudniący głos z głębi wazy.

– Wyciągnijmy ją, zanim się otruje – powiedziała Alicja.

– Tata poleciał po młotek – wyjaśnił wiśniowy chłopczyk.

Alicja podeszła do wazy i pociągnęła Pamelę za nogi. Pamela okazała się ciężką, grubą

dziewczynką, opierała się przy tym, a chłopcy wiercili się obok i przeszkadzali Alicji.

– Lepiej niech tata młotkiem! – krzyczeli. – Będzie ciekawiej!

Alicja położyła wazę na podłodze, usiadła, wparła się nogami w spadziste boki wazy i zaczęła ciągnąć dziewczynkę, ku sobie. Chłopcom się to bardzo spodobało, z kolei zaczęli ciągnąć Alicję, jak w bajce o rzepce.

Waza jęknęła: uuuch!

Dziewczynka wyskoczyła z niej jak korek, Alicja oraz chłopcy odlecieli pod ścianę, a Pamela przejechała z pięć metrów nosem po podłodze. Była tak umazana musztardą, że nawet Alicję zaczęło drapać w gardle.

Do sklepu wpadł Fuuks – poły chałata rozwiewały się, czarne okulary rzucały błyski. Taszczył ogromny młotek.

– Eeech! – krzyknął od lady i zamachnął się.

– Stać! – zawołała Alicja. – Pamela uwolniona.

Ale Fuuks już nie zdołał się zatrzymać. Młotek huknął w wazę, która rozprysnęła się w drobny mak, a chłopcy w najwyższym zachwycie wykrzyknęli:

– Wiwat! Teraz jeszcze coś rozbić!

– Gdzie moje dziecko? – mamrotał Fuuks, czołgając się na kolanach pośród okruchów wazy. – Czy ja ciebie nie roztrzaskałem przy okazji?

– Jestem tutaj, tatusiu – odezwała się Pamela.

Fuuks podniósł głowę i zobaczył Pamelę u Alicji na ręku.

– Żyjesz? – zdziwił się. Zapomniawszy wstać, przebiegł na czworakach przez pokój i odebrał Pamelę z rąk Alicji. Jednocześnie ostra woń musztardy uderzyła mu w nos, zaczął tak gwałtownie kichać i kasłać, że Pamela wyrwała mu się i wraz z braćmi umknęła ze sklepu.

GDZIE JEST PASZKA GERASKIN?

Wykasławszy się wreszcie i wykichawszy, Fuuks oznajmił Alicji:

– Jestem uczulony na musztardę. Czym mogę służyć?

– Pytałam pana o chłopca.

– A, w granatowej czapeczce? Przepraszam, zamknę tylko drzwi. Moja żona jest na konferencji, zostałem sam z dziećmi.

– Czyż nie ma u was robotów?

– Oszałała pani! Ja miałbym dopuścić, żeby moimi rodzonymi dziećmi zajmowały się jakieś plastikowe potwory? Dzieciom potrzeba ciepła rodzicielskiego.

Fuuks zamknął drzwi na żelazną zasuwę, a dzieci natychmiast zaczęły w nie łomotać.

– Proszę nie zwracać na to uwagi – powiedział Fuuks – to straszne uparciuchy.

– Wcale nie zwracam – odparła Alicja. – Tylko wazy szkoda.

– Jakiej wazy? Tej? Nic straszego. Mieszkał w niej przedtem dzinn, ale wypuściłem go na wolność i wątpię, czy wróci. Co mi pani proponuje?

– Nic. Muszę się dowiedzieć, gdzie się podział mój kolega Paweł.

– Rycerz Paweł? Jakżeż, przecież to mój dobry znajomy. Niestety, w niczym nie mogę pomóc. Nasz kantor umie dochowywać tajemnic. Co prawda może pani tę tajemnicę ode mnie kupić. Każdą tajemnicę można kupić.

– Ale ja nie mam pieniędzy. Nie wiem nawet, jakie tutaj są pieniądze.

– Pieniądze nie mają znaczenia! – Fuuks pstryknął się w nos, który odpowiedział głuchym dźwiękiem, jak gdyby był z tektury. – Czyż dziś można cenną tajemnicę kupić za pieniądze?

Usiadł przy beczie i podsunął Alicji drugi taboret.

– Proszę usiąść. Pani tu w charakterze szpiega?

– Nie jestem żadnym szpiegiem – oburzyła się Alicja. – Czyżbym wyglądała na szpiega?

– Gdyby szpiedzy wyglądali na szpiegów, nie trzeba by ich szukać. A co pani tu robi?

– Jesteśmy na wycieczce. Za godzinę mamy wyruszyć do dżungli, tymczasem Paszka ulotnił się jak kamfora.

– A jaki pani ma do niego interes?

– Przyjechaliśmy razem, odpowiadam za niego przed jego rodzicami. Nie wyobraża pan sobie, jaką ma surową mamę. I tak ledwie go puściła, a jeśli się dowie, że zaginął, nie przeżyje tego.

– Okropna historia! Ukrył to przede mną! Powiedział, że przyjechał szukać tu przygód! – wykrzyknął Fuuks. – Serce pęka mi ze współczucia dla jego nieszczęsnych rodziców. Sam jestem ojcem! Nie mogę jednak w niczym pomóc, ponieważ pani przyjaciela nie ma na Penelopie.

– Jak to nie ma? Żartuje pan?

– Niestety, jestem pozbawiony poczucia humoru i nigdy nie żartuję. Pani kolega z własnej woli

porzucił Penelopę i udał się na inną planetę.

– Tego właśnie się obawiałam. Jest kompletnym awanturnikiem, pewnie dlatego, że był krótko trzymany w domu. Do tej pory do szkoły odprowadza go babcia. Co teraz począć?

– Nie mam pojęcia! – Fuuks rozłożył ręce i stał tak, podobny do wielkiego czarnego ptaka. – Nie wiem nawet, kiedy wróci... i czy w ogóle wróci...

– Jak pan mógł dopuścić do takiego skandalu? – zdenerwowała się Alicja. – Przecież jest pan dorosłym człowiekiem!

– Jest pani pewna? – spytał Fuuks. – Moja żona ma wątpliwości.

Fuuks zamilkł smętnie i słychać było tylko, jak drzwi trzęsą się pod ciosami dzieci.

– Jak pani sądzi, czym moje kruszynki walą w drzwi?

– Pewnie taranem.

– Nie, bardziej mi to wygląda na maszynkę do mielenia mięsa. Na czym to stanęliśmy?

– Powiedział mi pan, dokąd powieźli Paskę.

– Sam tam pojechał. I teraz, kiedy już znam całą prawdę o waszej wycieczce i jego surowych rodzicach, nie posiadam się ze zmartwienia.

Fuuks wstał z taboretu, podszedł do lady, nalał dwie szklanki lemoniady i wrócił do beczki.

– Proszę wypić – powiedział. – To podnosi na duchu...

Sam wychylił duszkiem zawartość swojej szklanki i mówił dalej:

– Proszę sobie wyobrazić – dzieci płaczą, kasza manna się przypala, a pani przyjaciel żąda prawdziwych rycerskich przygód. Sprzedałem mu za bezcen dokumenty i bilet na planetę, na którą chciał się dostać. Okropność! Co powie moja żona, gdy się o tym dowie?

Żal i skrucha Fuuksa mogłyby się wydać szczere, gdyby przy tym jego wargi się nie uśmiechały. Toteż Alicja wierzyła mu i zarazem nie wierzyła.

– Niech pan ściągnie Paskę z powrotem! – powiedziała.

– Nie mogę! – wykrzyknął Fuuks. – Nie mam chwili wolnej. Najwyższy czas przygotować kolację. Poza tym pani przyjaciel zapłacił uczciwie za bilet i dokumenty. Proszę spojrzeć.

Fuuks odchylił połę chałata i wyjął z kieszeni spodni pięć jednakowych znaczków wyobrażających chłopca na delfinie – były to znaczki Towarzystwa Młodych Biologów. Paska wziął ich ze sobą pełną garść.

– Jakaś bzdura – powiedziała Alicja. – Kpi pan sobie ze mnie. Znaczki jak znaczki...

– Bynajmniej – odparł Fuuks. – Dla pani to znaczki, a dla mnie rzecz ogromnej wartości. Pewien człowiek obiecał mi za nie autentyczną piracką mapę z zaznaczonym na niej skarbem.

I co na to odpowiedzieć? Zrozumiałe, że Alicja pominęła to milczeniem.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Fuuks mówił dalej:

– Jest jedno wyjście... Nie wiem tylko, czy pani odpowiada?

– Jakie?

– Jeśli ma pani trochę czasu, może poleci pani za swym przyjacielem?

– Niby jak? Za godzinę musimy być w hotelu!

– Dam pani bezpłatnie dokumenty. I bilet.

– Ale ja mam do dyspozycji tylko godzinę! A do kosmodromu jedzie się dłużej.

– Statek czeka na podwórzu mego domu.

– Jak to? Tutaj?

Fuuks wyciągnął rękę i wziął od Alicji szklankę.

- Jesteśmy solidną firmą – oznajmił – bardzo solidną. Znaną w całej Galaktyce.
- Ale powinnam chociaż wrócić do hotelu i uprzedzić kolegów – nie ustępowała Alicja.
- Wtedy już pani donikąd nie zdąży. A jeśli zdecyduje się pani polecieć dla swego kolegi na inną planetę, to być może za godzinę, dwie będzie pani z powrotem.
- Nie żartuje pan?
- Mówiłem już, że nigdy nie żartuję. Wszystko w naszym świecie jest względne. I czas, i odległości... i wierność wobec przyjaciół, i odwaga, i tchórzostwo. A może doprawdy lepiej, by pani wróciła do hotelu i czekała na kolegę. Jeśli on, oczywiście, wróci...
- Po co tracimy czas? – odrzekła na to Alicja. – Proszę mnie zaprowadzić na statek.

DOKUMENTY DLA KSIĘŻNICZKI

– Proszę zaczekać – powiedział Fuuks. – Tak się spraw nie załatwia. Przecież nie można lecieć na obcą planetę bez dokumentów.

– Dlaczego? – spytała Alicja. – Tutaj przylecieliśmy zwyczajnie.

– Zaraz, zaraz, moja panienko. To na cywilizowanych planetach zniesiono dokumenty, a na niektórych jeszcze do tego nie doszli. Twój przyjaciel prosił o szczególną planetę – z rycerzami, przygodami i tak dalej. Tam dokumenty są w obiegu. Dlatego trzymaj! – Rzucił na beczkę drewniany sześcianik.

– Co to takiego?

– Bierz. To przepustka do miasta.

– Nic tu nie jest napisane.

– I nie musi być. Oni tam nie są najmocniejsi w czytaniu i pisaniu.

– No, można już iść? – spytała niecierpliwie Alicja.

– Ona znów swoje. Iść – to najłatwiejsze ze wszystkiego. Nawet twój nedorzeczny przyjaciel okazał się pojętniejszy od ciebie. A kim ty, wybacz niedyskretne pytanie, chcesz tam być?

– Jak to kim? Sobą.

– W tej postaci nie zrobisz tam nawet dwóch kroków. Konieczny jest kamuflaż.

– A Paszka?

– On wybrał lepiej. Błędny rycerz. Tego właśnie pragnął. Ale ty nie możesz być błędnym rycerzem...

Fuuks wyciągnął z kieszeni plik różnokolorowych papierków i rozłożył je na beczce. Wodząc po nich nosem, mamrotał:

– Może zrobić z ciebie pokojówkę... nie, ty nie potrafisz usługiwać... chłopkę... nie, jeszcze cię ktoś obrazi, a i do pałacu cię nie wpuszczą... wiedźmę... spalą przypadkiem... Aha!

Fuuks wyszarpnął z pliku różowy arkusik i pomachał nim przed nosem Alicji.

– Tak. Tego właśnie nam trzeba, bierz.

Na arkusiku narysowany był herb: tarcza z pięcioma różami i trzema bocianami trzymana przez dwóch nagich olbrzymów z pałkami. Podpisu nie było.

– A to co takiego? – spytała Alicja.

– Twoje dokumenty. I twój herb.

– A kim ja jestem?

– Zagraniczną księżniczką, która przyjechała z nieoficjalną wizytą. Jeśli się nie mylę, jesteś nawet daleką krewną owdowiałej królowej-macochy.

– Oj, a może coś prostszego?

– Dostyc. Albo jedziesz, albo nie. Ja lepiej wiem, jakie ci dać dokumenty. I tak już przez ciebie

rozbiłem węzę, zostawiłem dzieci bez kolacji, a tu tylko czekać, jak żona wróci z konferencji. Co jej wtedy powiemy?

Fuuks zerwał się i pobiegł do drzwi prowadzących na zaplecze.

Alicji nie pozostało nic innego, tylko pójść za nim.

Fuuks odsunął zasuwę i pociągnął drzwi do siebie. Otworzyły się nagle i wszystkie jego dzieci wysypały im się pod nogi.

Fuuks żwawo przeskoczył przez nie i pociągnął Alicję do pokoju, w którym pod ścianą stała stara drewniana szafa. Szafa była otwarta na oścież, wylewała się z niej sterta najrozmaitszych sukien, koszul, szlafroków i ręczników. Na tym wszystkim spokojnie spał tłusty rudy kocur.

– Ach, psotniki – zmartwił się Fuuks – a jednak poradzili sobie z zamkiem. Ale czym?

– Toporkiem, tatusiu – rozległ się głos od drzwi.

Ale Fuuks nic już nie słyszał, ku oburzeniu kota dał nura w ciuchy i po chwili wyciągnął ze sterty białą suknię.

– Prędeż! – krzyknął podając ją Alicji. – To suknia ślubna mojej żony. Kiedyś żona była całkiem szczuplutka.

– Niech pani nie wierzy ojcu – zapiszczał od drzwi dziecięcy głosik.

– A tyś jej wtedy nie widział – zaprotestował Fuuks.

Alicja chwyciła oburącz sukienkę, Fuuks wepchnął jej jeszcze srebrne pantofelki, przebiegli przez kuchnię, gdzie kipiała na płycie zupa, i wypadli na podwórze.

Podwórko było duże, zarosnięte piołunem, łopianami, rzepikiem. Nad chwastami uwijały się w wieczornym półmroku ptaki i motyle. Opodal wznosiła się zardzewiała stara rakietka, jakie już dawno wycofano z okolicy ziemskich szlaków. Luk był szeroko otwarty, trzymał się tylko na jednym zawiasie.

– Prędeż! – popędzał Alicję Fuuks. – Zostały tylko dwie minuty. Zaraz wróci z pracy moja żona i wszystko przepadło.

Złapał poniewierający się w trawie taboret i pierwszy pobiegł wąską ścieżką ku rakiecie. Alicja za nim. Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyła nawet powiedzieć, iż taką rakieta niebezpiecznie wypuszczać się w otwarty Kosmos.

Fuuks przystawił taboret do luku i podsadził Alicję, gadając przy tym bez ustanku:

– Rakietka jest automatycznie sterowana, odstawi cię, gdzie trzeba. Idź, idź, nie bój się, tam jest całkiem bezpiecznie, nie zabłądzisz. No, prędeż! Poczekaj, pomogę ci zamknąć luk. Latałaś już, wiesz, jak przypiąć pasy.

Alicja schyliła się i weszła do ciemnego wnętrza. Przed nosem smyrnął jej rudy kot. Minę miał obrażoną, wąsy sterczały na wszystkie strony. No chyba, nie dają odetchnąć w spokoju.

Fuuks, stojąc na taborecie, mocował luk.

– Hej, księżniczko! – zawołał. – Słyszysz mnie?

– Słyszę.

– Weź tylko pod uwagę, że nie we wszystko trzeba wierzyć. Jeśli się nie we wszystko wierzy, to jakoś to będzie. Mówiłem o tym Paszce, ale według mnie niezbyt uważnie słuchał. Przypomnij mu, żeby nie we wszystko wierzył. Słyszysz?

– Słyszę.

– I nie siedź tam za długo. Bo im dalej, tym trudniej nie wierzyć.

– Chwileczkę! – krzyknęła Alicja widząc zwięzającą się szczelinę luku. – A kiedy będę mogła

wrócić? Przecież czekają na nas.

– Nic się nie bój, zatrzymam czas – odparł Fuuks. – Niezależnie od tego, jak długo tam będziecie, tu nie minie nawet godzina. Firma daje na to gwarancję.

Luk zatrzęsął się i ostatnie, co usłyszała Alicja, to daleki cienki krzyk któregoś z dzieci Fuuksa:

– Nie wierz tatusiowi, Alicjo!

I odgłos klapsa.

Odnalazła jakimś cudem fotel startowy, usiadła w nim i przypięła zakurzone pasy.

Przed nią zapłonął napis:

„Dziesięć sekund do startu”.

Równocześnie w okienku zaczęły wyskakiwać cyfry: 7... 6... 5... 4... 3... 2... 1...

ZBROJE NA ZŁOM

Alicja była przekonana, że znajduje się w starym wolnobieżnym statku, a tu nie minęły nawet trzy minuty od startu, gdy zapalił się napis:

„Uwaga! Przystępujemy do superhiperskoku”.

Niepokojące buczenie wypełniło statek. Alicja usadowiła się wygodniej w fotelu, sprawdziła, czy pasy są dobrze zapięte, a kiedy znów spojrzała przed siebie, jaśniał tam już inny napis: „Rozpoczynamy lądowanie”.

Zapaliło się przyćmione światło. I zanim zdołała oprzytomnieć, pojawił się trzeci napis: „Lot zakończony”.

Alicję ogarnęły wątpliwości: a może to wszystko jest złośliwym żartem starego nosala? Nie widział Paszki na oczy, a ją zapędził na jakiś pobliski asteroid. Stała niezdecydowana, trzymając w rękach suknię i pantofle żony Fuuksa. Przebierać się, czy najpierw popatrzeć, dokąd ją losy rzuciły?

Wtem zauważyła na podłodze coś błyszczącego.

Schyliła się i podniosła znaczek: chłopiec na delfinie.

Mógł go zgubić tylko Paszka.

To znaczy, że stary Fuuks nie kłamał. Paszka był tutaj.

Dzięki i za to.

Alicja włożyła suknię na kombinezon. Suknia była za duża, ale nie bardzo – co prawda wlokła się po podłodze i nie można było w niej biegać. Ale czy zakładać pantofle? I tak ich nie widać. Nie, lepiej posłuchać Fuuksa. A jeśli tu rozpoznają księżniczki po butach?

No i gotowe. Alicja przeszła się po kabinie. Niezbyt wygodnie, ale da się wytrzymać.

Podeszła do luku i pchnęła go. Otworzył się ze zgrzytem na oścież, wypadłszy z zawiasów. Całe szczęście, że nie w Kosmosie, pomyślała Alicja.

Spodziewała się zobaczyć kosmodrom i oczekujących. Przygotowała nawet sześcian i różowy arkusik.

Okazało się jednak, że statek wylądował na leśnej polanie. Otaczały ją drzewa i zarośla, z jednej strony pomiędzy nimi widać było koślawy płot.

Dzień był pochmurny, obłoki sunęły nisko nad lasem, lada moment mógł spaść deszcz. Cicho. Tylko ćwierkanie konika polnego i szelest wiatru wśród listowia.

Alicja uniosła długą białą suknię, zeskoczyła z luku i obeszła raketę dookoła. Ani żywego ducha.

Polanę przecinała ścieżka przebiegająca akurat pod statkiem.

Alicja spojrzała pod nogi, czy nie ma tam przypadkiem znaczka. Może Paszka postanowił zostawić ślady jak Tomcio Paluch. Nie, nie wpadło mu to na myśl.

Przymknęła luk, ścisnęła w dłoni sześcian owinięty w różowy papierek z herbem. Oby tylko

deszcz nie zaczął padać – to ci będzie zagraniczna księżniczka w mokrej sukni!

Na prawo ścieżka ginęła w gęstych zaroślach. Na lewo – wiodła w stronę prześwitu między drzewami. Tam właśnie poszła Alicja.

Najwidoczniej musiał tu rano padać deszcz. Ścieżka była śliska, w zagłębieniach stały kałuże, wysoka trawa uginała się pod ciężarem kropel wody, Alicja musiała unieść suknię, ale i tak jej dół oraz pantofelki całkiem przemokły. Ponieważ patrzyła pod nogi, zauważyła dwie kobiety zbierające chrust dopiero wtedy, gdy zbliżyła się do nich na dziesięć kroków. Stała przypatrując się im.

Kobiety były bose, okrywały je łachmany. Na widok Alicji zamarły, jak gdyby zobaczyły tygrysa.

– Przepraszam – powiedziała Alicja. – Jestem księżniczką z sąsiedniego państwa. Nie przechodził tędy chłopiec?

Dźwięk głosu jakby obudził kobiety. Błyskając mokrymi piętami rzuciły się do ucieczki.

– Stójcie! – krzyknęła za nimi Alicja.

Ale kto je dogoni? A zwłaszcza w takiej idiotycznej sukni?

Może Paszka zdążył już tu narozrabiać?

Rycerzy do tej pory nie spotkała, a kobiety takie tu wystraszone.

Ścieżka doprowadziła do polnej drogi, łatwiej było iść. Alicja opuściła nawet suknię. Żeby tak znaleźć jakąś karetę. Ciekawe, czy są tu dorożki?

Zza chmur wyjrzało słońce, z miejsca zaczęło przypiekać. Las się skończył, droga prowadziła przez rozległe pustkowia.

Ziemia tu była wydeptana, jakby przeszło stado słońi, drzewa i krzewy sterczące gdzieniegdzie z błota pozbawione były liści, gałęzi, a nawet kory. Potem Alicja spostrzegła porozrzucane na ziemi jakieś kawałki żelaza i gałganki. Żelazo połyskiwało w słońcu, unosiła się nad nim para.

Z bliska okazało się, że są to części zbroi rycerskich – hełmy z połamanymi strusimi piórami, napierśniki i nałokietniki, kopie, miecze, strzępki płaszczów, czapraków i flag, a nawet podkowy.

Pod przydrożnym dębem stała duża taczka naładowana hełmami i częściami zbroi. Na taczce siedział ze zwieszonymi nogami człowieczek w dziwnym stroju, z fajką w zębach. Od pasa w górę jego kamizela podzielona była na dwie części – prawa czerwona, lewa zaś granatowa. A rajtuzy na odwrót – prawa nogawka granatowa, a lewa czerwona. Stroju dopełniały pantofle z bardzo spiczastymi noskami – prawy czerwony, lewy granatowy.

Człowiek ten nie był młody. Szpakowate kosmyki włosów miał zaczesane na łysinę, niebieskie oczka otoczone mnóstwem zmarszczek, a koniuszek ostrego nosa był trochę zagięty w dół, ku cienkim wargom.

– Dzień dobry – powiedziała Alicja.

– Witaj, księżniczko – odparł człowieczek. – Spacerujesz sobie? Nie przemoczyłaś nóg?

– Proszę się nie martwić, dzisiaj nie jest zimno. Co się tutaj stało?

– Przedwczoraj była tu bitwa. Wielka potyczka.

– Dlaczego?

– A dlaczego zdarzają się bitwy? Jak zwykle, z powodu głupstwa. Hrabia Wizysłoń Dwurogi nazwał barona Krypta Błękitnowąsą, rycerza Błękitnej Jamy, beznadziejnym bałwanem.

– Oj, jak nieładnie. I za co?

– Miał rację. Każdy w królestwie wie, że to najczystsza prawda.

– A baron?

– Baron, rzecz jasna, odpowiedział, że od bałwana to słyszy. Nawiasem mówiąc, to również

wszystkim wiadomo.

– I oni dwaj tak naśmiecili?

– Co też ty mówisz, księżniczko! Od razu widać, że przybywasz zza granicy. Za hrabią Wizysłoniem ujęła się cała Konfederacja Ujmicka, a za baronem Kryptem stanął murem cały wojujący Zakon Pierścienia i Sznura. I tak walczyli od świtu do zmierzchu.

– A kto zwyciężył?

– Spytaj jeszcze, do ilu – zachichotał dwubarwny człowieczek. – Oczywiście nie było zwycięzcy. Pozbierali zabitych i rannych i rozjechali się do swych zamków. Zarządzili przerwę przed wielkim turniejem. Ty też na pewno przyjechałaś tu na turniej?

– Nie, poszukuję znajomego.

– A kogo? Ja tutaj, uważasz, znam wszystkich. On jest szlachcicem?

– Jest rycerzem. Tylko wątpię, czy go pan zna. Też nie jest tutejszy.

– Więc opisz go własnymi słowami.

– Z wyglądu to jeszcze chłopiec, w granatowej czapeczce z daszkiem...

– Aha, podobny do chłopca! Znam. Zwą go Pawłem. Przechodził tędy godzinę temu. Szedł z kosmodromu. Jak zobaczył zbroje i kopie, dosłownie się zatrzęsł. Chodź, mówi, zrobmy zamianę.

– I zamieniliście się?

– On wziął zbroję, kopię, tarczę, miecz, a mnie dał znaczki z delfinem. Chyba z dziesięć. Prawdę mówiąc, nie zbieram znaczków, ale chłopak był strasznie natrętny.

– Jak można mu było dać prawdziwą broń? Przecież to jeszcze prawie dziecko.

– Sama mówiłaś, że rycerz. I sam mnie zapewniał, że jest rycerzem. Pokazał dokumenty. Wszystko jak w aptece. Rycerz Czerwonej Strzały. Miałem akurat pod ręką puszkę czerwonej farby – namalowaliśmy więc tę strzałę na tarczy.

– A to pańskie zbroje?

– Teraz moje. Bitwa pozostała nie rozstrzygnięta, a ziemia należy do mnie. Podarował mi ją jeszcze świętej pamięci król-ojciec. Bardzo zyskowna posiadłość. Przynajmniej raz na tydzień odbywa się tu jakaś potyczka.

– A za co dostał pan tę ziemię?

– Za służbę. Jestem w służbie królewskiej. Pracuję jako błazen. Ale czy można u nas wyżyć z jednej pensji?

Alicja kompletnie się załamała. Okazuje się, że Paszce nawet już zbroję udało się zdobyć. Teraz z pewnością narozrabia jak pijany zając.

– A dokąd później się udał? – spytała.

– Do miasta, a gdzież by. Tylko najpierw musi zdobyć konia. Co to za rycerz bez konia?

– Ale on nie ma pieniędzy. Znaczki też się już pewnie skończyły.

– Prawdziwy rycerz weźmie wszystko bez pieniędzy. Taki to rycerski obyczaj.

– Ale Paszka taki nie jest...

– Może kiedyś nie był taki, ale jak już trafił między rycerzy, będzie jak wszyscy. Grabieżca, ciemiężyciel sierot i biedaków, próżniak i bandyta.

– Ależ skąd! Pan po prostu nie cierpi rycerzy.

– Za co mam ich lubić?... No dobra, czas do miasta.

– A mogę iść z panem? Jestem tu po raz pierwszy...

– Chodź, księżniczko. A przepustkę masz?

– Mam. Oto ona.

Błazen rozwinął różowy papierek i ją przyglądać się herbowi.

– Patrzcie, patrzcie – odezwał się wreszcie. – Okazuje się, że pochodzisz z dobrego rodu. I w dodatku jesteś cioteczną wnuczką naszej owdowiałej królowej-macochy. Tak?

– Mówiono mi o tym – zgodziła się Alicja. – Tylko że ja jej zupełnie nie pamiętam.

– Jasne, nic dziwnego. Przecież królowa Izabella wyjechała od was jako młodzianka dziewczyna. Ty z pewnością jeszcze koszulkę w zębach nosiłaś. Weź swoje dokumenty. Wszystko w porządku. Możemy iść do miasta.

Błazen ujął długie rączki, z trudem podniósł taczkę i natychmiast, ją puścił. Chwycił się za krzyż i znieruchomiał zgięty wpół.

– Co za ból! – zajęczał. – Znow mnie złapało lumbago. Co tu począć, co począć?

– A na co panu te zbroje? Przecież są pogięte, połamane...

– Oddam je na złom. Płacą grosze, ale zawsze to pieniądz. Przy naszej biedzie... – W oczach błazna pojawiły się dwie wielkie łzy i powoli spłynęły po policzkach. Skurczył się cały, postarzał, zmalął.

– Pomogę panu – ulitowała się Alicja.

Podniosła taczkę. Stary błazen z chciwości naładował na nią przynajmniej ze sto kilo. Już po dziesięciu krokach Alicji ręce mało nie odpadły.

– Wytrzymaj – namawiał ją błazen. – O tam, do tego pagóreczka, dalej sam już powiozę. Przejdzie atak i zmienię cię. Nie myśl sobie, że...

Błazen rażno kroczył obok Alicji, nawet wybiegał naprzód, żeby usunąć z drogi kamień lub gałązkę.

– Na długo do nas? – spytał głosem uprzejmego gospodarza. – Nie spiesz się, nie wysilaj. Przy twojej pozycji społecznej nie musisz się wysilać.

– Odnajdę Paszkę – i z powrotem – odrzekła Alicja.

– Słusznie – zgodził się błazen. – Nie ma co się u nas zatrzymywać. Żyjemy w zacofaniu, ciemni z nas ludzie. Garstka rycerzy i książąt ciemieży prosty lud, który żyje w nędzy i bezprawiu. Czyste łajdactwo. Wyglądamy jak kania deszczu, kiedy rozpocznie się Odrodzenie. Może wówczas nieco odetchniemy. A u was jaka sytuacja?

– Lepsza – odparła Alicja, starając się głęboko oddychać jak podczas biegu na trzy kilometry.

– Nie zamierzacie wojować z nami?

– Z nikim nie zamierzamy wojować.

– To bardzo źle. Powiem ci, że nas można załatwić gołymi rękami.

– Jesteśmy już na pagórku – przypomniała Alicja błaznowi jego obietnicę.

– Coś mi serce nawala – odparł błazen. – Wciągnijmy taczki na górę i odpoczniemy trochę. Nie masz nic przeciwko temu?

Chwycił za rączkę i udawał, że pomaga Alicji, choć z jego pomocy nie było żadnego pożytku. A jego oczka miały taki chytry wyraz, że Alicja zaczęła podejrzewać – może on specjalnie czatował na jakiegoś naiwniaka, żeby samemu nie pchać taczki?

– A czemu pan nie kupi konia? – spytała. – I pracę pan ma, i kawałek ziemi, i ze złomu coś niecoś skapnie.

– Nie wolno – odpowiedział błazen. – Nie pochodzę ze szlacheckiego rodu. Rad bym kupić, ale nie wolno. Mam wprawdzie osła, ale wypożyczyłem go do królewskiego zoo, jeżdżą na nim

książątka, a mnie pieniądze lecą. Lepiej już się napocić, pchać taczkę samemu, za to pieniądze zostaną bez uszczerbku. Oszczędność – to moja dewiza, skoro nie przyszło mi być szlachetnie urodzonym.

Na szczycie pagórka Alicja postawiła taczkę i spojrzała przed siebie. Tam, w dolinie, leżało miasto. Było otoczone kamiennym zębatym murem, na rogach wznosiły się wieżyce, a przy otwartych bramach czuwali strażnicy. Ich zbroje błyszczały w słońcu. Pomiedzy wędrowcami i miastem rozciągały się orne pola, gdzieniegdzie ciemniały chałupy pokryte słomianymi strzechami. Od strony miasta niosło się dalekie bicie dzwonów.

- Jak pięknie – westchnął błazen. – Kocham przyrodę. No co, odpoczęłaś? Chodźmy dalej.
- Jeszcze chwileczkę – powiedziała Alicja.

OBRAŻONY MARKIZ

Zastukały kopyta, szczęknęła broń i na szczyt wzgórza wypadł bogato odziany gruby rycerz z obnażonym mieczem. Spod otwartej przyłbicy sterczał jak z okienka czerwony nochał i rude kocie wąsiska. Z tyłu, położywszy w poprzek siodła długą rycerską kopię, galopował młody kudłaty giermek w skórzanej kurtce.

– Gdzie on jest? – wrzasnął rycerz osadzając konia przed Alicją. – Gdzie ten łajdak?

– O kim pan myśli, wielmożny markizie Fafifaks? – spytał błazen.

– Rozerwę go na czternaście kawałków! Albo nawet na więcej, na osiem! – darł się markiz.

– Co za wstrząsająca ignorancja – wyszeptał błazen do Alicji. – Dam głowę, że w ogóle nie chodził do szkoły. Wyobrażasz sobie?

Alicja skinęła głową.

– Co tam mamrociesz? – spytał markiz. – Ze mną nie ma żartów. A możecie go ukryli? Gryko, zajrzyj do taczki.

Giermek wolno podjechał bliżej, ale nie kwapił się do grzebania w taczce.

– Trochę delikatniej, markizie – powiedział błazen. – Zapomniał pan, że taczka należy do mnie, ja zaś jestem ulubieńcem Najjaśniejszego Pana.

– Gwiżdżę na wszystko – oznajmił rycerz. – Dopóki nie odnajdę hultaja, który uwolnił z łańcuchów moich niewolników. Cóż to za rządzenie się cudzą własnością? Kto mu dał takie prawo?

– Może to prawo silnego? – spytał błazen.

– Silny – to właśnie ja. Wczoraj nie zląziłem z siodła przez trzydzieści jeden godzin, powaliłem trzech olbrzymów i ściałem głowy jednemu smokowi. Nie słyszeliście o tym?

– Któż by o tym nie wiedział, panie markizie? – zgodził się błazen. – Oto zagraniczna księżniczka specjalnie przybyła, by podziwiać pana na wielkim turnieju.

– Gryko, podstaw plecy! – wrzasnął rycerz. – Muszę przywitać się z księżniczką.

Giermek mrugnął do Alicji – był chudy, muskularny i opalony, jeszcze bardzo młody, nie miał nawet wąsów. Zeskoczył na ziemię i pochylił się przed rycerskim koniem, żeby jego pan miał na czym postawić nogę.

Rycerz ciężko osunął się z siodła, z całej siły następując na plecy giermka. Alicja przestraszyła się, czy nie złamał chłopcu kręgosłupa. Ale Gryko wyprostował się, jak gdyby nigdy nic, i podczas gdy markiz doprowadzał do porządku swoją zbroję, odezwał się do Alicji:

– Nie przejmuj się. Jestem silny, wodę na mnie można wozić.

Rycerz podszedł do Alicji, rozczesał żelazną rękawicą rude wąsy i powiedział:

– Rad jestem powitać cię, księżniczko. Jesteś zamężna?

– Nie – odparła Alicja. – I nie wybieram się za mąż.

– Czy nie zechciałabyś zostać damą mego serca? – spytał markiz.

– Jakoś o tym nie myślałam – powiedziała Alicja. – Jestem tu tylko przejazdem.

Rycerz podszedł bliżej i dotknął rękawicą rękawa sukni.

– Cóż za tkanina! – wykrzyknął. – U nas takich nie ma. Zagraniczny wyrób. Jesteś prawdziwą pięknoscią, mademoiselle.

– Nie przejmuj się – powtórzył giermek.

– Zechce pan wybaczyć, markizie – wtrącił się błazen. – Zdaje się, że uskarżał się pan przed chwilą na jakiegoś rycerza?

– Ach, nawet wspominać przykro. Tym bardziej w takiej chwili. Jakiś młokos zobaczył moich niewolników prowadzonych właśnie na sprzedaż i miał czelność ich uwolnić.

– To był tutejszy rycerz?

– Nie, obcy. Jego herb to czerwona strzała.

Błazen odwrócił się do Alicji i szepnął:

– To on.

Alicja już się domyśliła.

– A dokąd pojechał? – spytał błazen.

– Dokąd pojechał? Gdybym wiedział, dopędziłbym go i rozdarł na kawałki. – Markiz poruszył wąsami i mówił już nieco spokojniej. – Z pewnością do miasta. Poskarżę się nań królowi, popamięta jeszcze te chuligaństwa. Ale nie o to chodzi...

Rycerz znów odwrócił się do Alicji i oświadczył uroczyście:

– Pragnę klęknąć przed panią, księżniczko.

– Lepiej nie, wasza miłość – powiedział giermek – lewy nagolennik zardzewiał.

– No to klęknę na prawe kolano.

– Ależ, markizie – wtrącił błazen. – Na prawe klęka się tylko przed królem. Ktoś się dowie i doniesie Najjaśniejszemu Panu.

– Kto doniesie? – zdziwił się markiz.

– A ja to co? – spytał błazen. – Bezwzględnie doniosę.

– Tak, słusznie, ty na pewno doniesiesz – zgodził się rycerz. – Wybacz, księżniczko, hołd zostaje odwołany.

– A ja i tak doniosę – powiedział błazen słodziutkim głosem.

– Przecież nie ukląknę!

– Ale chciał pan.

– To nieszlachetnie!

– Nie jestem szlachetny. Lubię pieniądze.

– Błaznie, a skąd ja mam wziąć pieniądze? – zdziwił się rycerz. – Cały mój majątek to miecz i kopia. Nimi zdobywam sławę.

– Jeszcze i ludźmi handlujesz, panie – zauważył błazen.

– Musiałem oddać dług. A gotówki nie miałem ani grosika. Więc sprzedałem. Oni i tak są leniwi.

– Dobrze już, dobrze, nie doniosę – zgodził się błazen. – Ale pod jednym warunkiem. Mam strasznie ciężką taczkę, nie dopcham jej do miasta. Niech nam pomoże pański giermek.

– A kto będzie wioził moją kopię? – oburzył się markiz. – Poza tym nie wypada mi jeździć bez świty.

– Wypada, wypada – wtrącił się giermek. – Wczoraj przez cały dzień jeździłaś, panie, beze mnie:

do matki po pieniądze, potem na karty, a jeszcze później na kolację. I to wszystko beze mnie.

– Wczoraj walczyłem z olbrzymami – zaprotestował markiz.

– Dosyć – powiedział błazen stalowym głosem. Alicja aż się zdumiała, skąd się wziął u niego taki głos. – Niech pan jedzie, markizie. Znajdziemy pana w pałacu.

Markiz wciąż jeszcze się wahał z obawą.

Alicja pokazała, jak ciężko jej pchać taczkę pełną złomu, i zaczęła błagać:

– Markizie, proszę pana osobiście, niech pan zostawi nam swego giermka.

To było wyjście. Co innego ulec błaznowi, a co innego – zagranicznej księżniczce.

– Nie mogę odmówić ślicznej damie. Oddaję go do pani usług. Cała trójka pomogła rycerzowi wgramolić się na konia. Gryko podał mu kopie.

– Ciężka – przyznał rycerz.

– Proszę się nie spieszyć – powiedział błazen. – Wolno, wolniuteńko. Turniej się jeszcze nie zaczął. Może się pan nawet przespać z godzinkę gdzieś w cieniu.

– Proszę odpocząć, markizie – poparła błazna Alicja. Zrozumiała, że im później rycerz dotrze do miasta, tym lepiej dla Paszki. – Dziękuję za pomoc.

– Spotkamy się w pałacu – odparł na to markiz i skierował konia w bok.

Błazen poczekał, aż markiz skryje się za zakrętem, i rzekł:

– Jedziemy, co?

– Jedziemy – zgodził się Gryko. – Proszę wziąć mojego konia.

Poszli w dół, w kierunku miasta. Na przedzie giermek, który pchał taczkę, od czasu do czasu zerkając na Alicję i uśmiechając się. Alicja szła nieco z tyłu, przytrzymując brzeg swej zagranicznej sukni. Błazen prowadził konia za lejce i cicho nucił:

Na turniej zjechali się rycerze

W sławetnym mieście Żangleterze.

Najlepszego wnet poznacie

Na turnieju w Żangletacie!

– Przepraszam – spytała go Alicja. – Czy to miasto nazywa się również Żangle-wielokropek?

Błazen wzruszył ramionami.

– Każdy je nazywa, jak mu się podoba. A to z winy powszechnego analfabetyzmu.

DRUGIE ŻANGLE...

Most nad fosą u bram miasta był opuszczony, krata podniesiona. Obok strażników stojących po obu stronach bramy przechodzili chłopci z workami oraz naręczami chrustu, mieszkańcy miasta w wysokich kapeluszach, kobiety w strojnych spódnicach, mnisi w czarnych habitach przepasanych sznurem. Wolno posuwał się szereg półnagich ludzi skutych jednym łańcuchem.

– Sama widzisz, Alicjo – powiedział błazen, gdy stali przy moście w oczekiwaniu na swoją kolej – niektórzy młodzi ludzie pragną dostać się do średniowiecza, myśląc, że życie tam było jedną pasjonującą przygodą – rycerze galopowali po polach i oblegali zamki. A rycerze, powiem ci prawdę, byli dość ciemnymi i okrutnymi ludźmi. I dla wielu osób życie tu bynajmniej nie jest słodkie.

– Wiem – powiedziała Alicja. – Uczyliśmy się o tym w szkole.

– Uczyć się można w różny sposób – rzekł na to błazen. – Ty może i coś zapamiętałaś, ale twój przyjaciel prawie wszystko puścił mimo uszu. Nie masz pojęcia, ile niepotrzebnych kłopotów i nieprzyjemności powodują postrzeleni romantycy.

– Pan jednak bardzo dużo wie – zauważyła Alicja.

– Kawał życia mam już za sobą... No, chodźmy dalej.

Strażnicy opuścili halabardy zagrażając drogę.

– Kim jesteście? – spytał jeden z nich.

– Nie poznajesz, durna pało? – huknął nań basem błazen.

– Jesteś podobny do królewskiego błazna Fu-Fu – odparł strażnik. – Ale całkowitej pewności nie mam. W dodatku skąd masz konia?

– Koń nie jest mój, lecz markiza Fafifaksa. A to jego giermek.

– Tak jest – powiedział drugi strażnik. – Pozostaje wyjaśnić tożsamość tej panienki.

– Proszę – Alicja podała im arkusik papieru i sześcian. Strażnik zważył sześcian w dłoni i zwrócił go.

– W porządku – powiedział.

Następnie rozwinął różowy arkusik, obrócił go w palcach tak i owak, po czym wykrzyknął:

– Hej, komendancie, spojrzysz, kto przyszedł.

Z ukrytych w murze drzwi wybiegł trzeci strażnik w hełmie z kogucimi piórami. Wyrwał papier z rąk swego podwładnego i zawołał:

– Ślepy jesteś czy jak? Nie odróżniasz różowej przepustki od zwykłej? Przecież to co najmniej księżniczka.

– W dodatku zagraniczna – powiedział błazen.

– Widzę, że zagraniczna. Wszystkich swoich znam co do jednego. Czy Wasza Wysokość nie jest przypadkiem cioteczną wnuczką owdowiałej Najjaśniejszej Pani?

– No jasne – odparł błazen.

Z tyłu zgromadziła się już długa kolejka, niektórzy zaczęli burczeć: „Mamy tu do wieczora sterczeć czy co?”

– Milczeć! – ryknął komendant straży. – Jesteśmy na posterunku! Wykonujemy swoje obowiązki!

I ciągnął całkiem już innym głosem:

– A Wasza Wysokość zechce udać się do swych apartamentów w pałacu. Apartament z łazienką.

Oto klucz.

Komendant straży wy dostał duży złożony klucz i podał go Alicji.

– Witamy w gościnnym Żanglepupie!

A gdy giermek już ujął taczkę, by ruszyć dalej, komendant nachylił się do ucha Alicji i szepnął:

– Jeśli przemyca pani herbatę albo koronki, dam najlepszą cenę.

Błazen uśmiechnął się pod wąsem, usłyszawszy te słowa.

– Za późno. Ja już wszystko wykupiłem.

– No oczywiście – zdenerwował się komendant straży. – Kto wytrzyma twoją konkurencję?

Pewnieś czatował przy samej granicy?

Przemierzywszy plac, podróżni znaleźli się na wąskiej ulicy przypominającej czymś ulicę Pamiątkarską w drugim Żangle-wielokropku.

– Nie miej mi za złe, Alicjo – powiedział błazen – inaczej byśmy się od niego nie odczepili. Nigdy by nie uwierzył, że zagraniczna księżniczka może przyjechać bez żadnej kontrabandy.

– Jak amen w pacierzu – potwierdził giermek. – Dalej dokąd?

– Pomożecie mi zawieźć taczkę na złom a potem do pałacu.

– A może nie powinnam iść do pałacu? Nie mam zamiaru tu zostać. Chcę tylko odnaleźć Paskę Geraskina – i natychmiast wracamy.

– Gdzież ty go teraz chcesz szukać? Nie obejdzie się bez mojej pomocy. Zrobimy tak: pójdziesz do pałacu, a ja powęszę, co jeszcze twój przyjaciel zdążył zmalować. Jak tylko go znajdę, od razu dam ci znać. Jestem twoim pierwszym sprzymierzeńcem. Podobasz mi się, a tutejsze życie zupełnie mi nie odpowiada.

– Posłuchaj błazna, księżniczko – powiedział giermek. – Spryciarz z niego nielichy, drugiego takiego w całym królestwie nie uświadczysz.

– Pójdzie z tobą giermek – zdecydował błazen. – Na wszelki wypadek. To wesoły i uczciwy chłopak. Znam go od dziecka. Mieszkaliśmy po sąsiedzku z jego rodzicami.

– Tak, mama do tej pory ciepło pana wspomina – uśmiechnął się giermek.

– Tylko bez czułości! Ja, nadworny intrygant, bardzo tego nie lubię.

Skręcili w wąski ciemny zaułek, nad którym prawie stykały się dachy domów, i zatrzymali się przed bramą. Krzywo wisiał nad nią zardzewiały szyld:

PRZYJMOWANIE ZŁOMU

Oddawajcie stare garnki, zbroje, kotły, smoczą łuskę, tarcze i wszelki inny złom metali kolorowych i żelaznych.

Ceny do uzgodnienia.

– Tu się z wami pożegnam – powiedział błazen. – Gryko odprowadzi cię do pałacu, a ja ruszam do walki – o każdy hełm muszę się targować. Jak ja tego nie znoszę...

APARTAMENT Z ŁAZIENKĄ DLA KSIĘŻNICZKI

– Daleko do pałacu? – spytała giermka Alicja.

– Nie, z dziesięć minut drogi.

Alicja spojrzała na niego. Gryko był prawie o głowę wyższy od niej, pięknie zbudowany. Byłby z niego na pewno świetny sportowiec.

– Uprawiasz jakiś sport?

– Jeśli mi się uda, zostanę rycerzem.

– No, to jeszcze nie sport.

– Możliwe. Ale to dopiero jest życie. A ty co robisz?

– Jestem księżniczką.

– No oczywiście. Wyjdiesz za męża i będziesz siedzieć w wieży.

– Coś ty. U nas jest całkiem inny stosunek do ludzi. A przy okazji, czy chodziłeś do szkoły?

– Jeden rok, do klasztornej. Nawet umiem czytać. Drukowane litery. Ale ukrywam to przed moim markizem. Zaraz by mnie przepędził. I tak z trudem udało mi się znaleźć pracę. Nie wyobrażasz sobie, ile się nachodzili się moi rodzice, zanim mi takie dobre miejsce znaleźli.

– A może lepiej byłoby uczyć się dalej?

– I co potem? Pisarczykiem zostać? Albo do klasztoru?

– Tak, wybór skąpy. Mimo wszystko na twoim miejscu poszukałabym innej pracy. Wolałabym zostać marynarzem, podróżnikiem.

– Słuchaj no – obraził się giermek. – Co ty sobie myślisz, że jak jesteś szlachetnie urodzona, to wolno ci mężczyznę pouczać?

Alicja omal nie parsknęła śmiechem.

– Czego się śmiejesz? – spytał giermek. W gruncie rzeczy był to dobry chłopak.

– Dziwne uczucie, jak się tego wszystkiego słucha.

Musieli zejść na bok i przycisnąć się do muru, czterech służących niosło bowiem krytą lektykę z herbem na zasłonach. Dyszeli ciężko, jeden nawet utykał.

– Kim jest dla ciebie ten rycerz? – spytał gryko. – Narzeczony pewnie?

– Nie, kolega – odparła Alicja. – Zajmujemy się z nim wspólnie pracą naukową.

– Czytacie z gwiazd czy odprawiacie czary? Jeszcze się okaże, że jesteś czarownicą, i nieszczęście gotowe.

– Czy ja wyglądam na czarownicę?

– One są przebiegłe. Gdyby czarownice wyglądały na to, kim są, spalono by je wszystkie i basta.

– Nie, nie jestem czarownicą, słowo honoru – zapewniła Alicja. – I mój Paszka też wcale nie jest

rycerzem. On tylko ubzdurał sobie, że jeśli trafi na rycerską planetę, przeżyje najróżniejsze podniecające przygody.

– A wy nie macie swoich rycerzy?

– Dawno już wyginęli.

– To u was strasznie nudne życie.

– Weselsze niż u was. Może kiedyś uda ci się wybrać do nas, zobaczysz na własne oczy.

– Nie, boję się jechać za granicę. U was pełno smoków i czarowników na każdym kroku.

Alicja zrozumiała, że dyskusja z Grykiem jest niemożliwa. Jak mu wytłumaczyć coś, czego nigdy nie widział? Jej się wydaje, że jego świat jest nudny, a jemu – na odwrót.

– Ale pomożesz mi w razie potrzeby?

– Pewnie, że pomogę – przytaknął giermek. – Zwłaszcza jeśli twój przyjaciel jest wrogiem mojego markiza. Uczciwie mówiąc, choć jestem u niego na służbie, nie cierpię tego tłustego wieprza. Skąpy głupiec, pijanica, karciarz. Połowę swych chłopców sprzedał w niewolę. Ale trzeba się przed nim mieć na baczności. Dureń, bo dureń, ale spryciarz. Myślisz, że nas posłuchał, pojechał odpocząć? A guzik! Na pewno siedzi już u króla i donosi, żeby twojego przyjaciela wpakować za kratki.

– Więc co robić?

– Bez błazna nic nie zwojujesz. Fu-Fu, choć dworzanin, ale niezły człowiek. Jesteśmy sąsiadami z ulicy Krzywej. Do wszystkiego doszedł własną pracą.

Pałac okazał się budowlą bez ładu i składu, z mnóstwem przybudówek. Można by sądzić, iż ktoś wybudował trzypiętrowy dom z kolumnami i wieżami, a następnie, gdy były potrzebne nowe pokoje, dobudował doń po bokach jednopiętrowe oficyny, jeszcze później zaś każdy, komu przysła ochota, uzupełniał pałac oficynami; korytarzami, wieżyczkami.

Zakuty w zbroję strażnik – z otworem tylko na nos i uszy, żeby mógł oddychać i słyszeć – popatrzył na dokumenty Alicji i powiedział:

– Musi pani, księżniczko, pójść trzecim wejściem po schodach na pierwsze piętro, a potem na prawo do końca korytarza. Apartament numer szesnaście. A paż przenocuje w korytarzu, urządzimy mu tam legowisko.

Alicja chciała wyjaśnić, że Gryko nie jest jej paziem, ale on zdążył ją uszczypnąć – zrozumiała i zmilczała.

– Boleśnie szczypiesz – powiedziała z wyrzutem do Gryka, gdy już oddalili się od strażnika. – Będzie siniak.

– Przepraszam, ale jeśli bym cię nie uszczypnął, kazaliby mi czekać na markiza na podwórku. A przecież mogę ci się przydać.

Pałac od dawna nie widział remontu, farba oblażała, tynk gdzieś podpadał, a szyb w oknach w ogóle nie było.

Weszli po ciemnych schodach na pierwsze piętro i z trudem odnaleźli w końcu korytarza apartament numer szesnaście. Drzwi nie były zamknięte, ale Gryko musiał dobrze się zaprzeć, by je otworzyć. Całkiem się rozeschły.

W pokoju było mnóstwo dywanów – cała podłoga i ściany wysłane dywanami. W jednym rogu stało łóżko z liliowym baldachimem haftowanym w ptaki o dwóch ogonach. Na łóżku zmieściłaby się cała klasa Alicji. Pościeli – ani śladu. Leżało natomiast wiele skór zwierzęcych. Oprócz łóżka w pokoju znajdowały się dwa drewniane krzesła z wysokimi rzeźbionymi oparciami i długi kufer.

Więcej mebli nie było. Otwarte drzwi prowadziły do sąsiedniego pomieszczenia. Alicja od razu wsadziła tam nos.

– I to się nazywa łazienka! – zawołała.

– A co? – spytał Gryko usiłując przyglądać nieposłuszne kosmyki. – Luksusowo się będzie mieszkało, księżniczko.

Wanna okazała się drewnianą kadzią. Obok niej stał na podłodze nocnik.

– Łazienka z WC – powiedziała Alicja.

– Co takiego? – spytał Gryko.

– Sami sobie mieszkajcie w takim luksusie – wzruszyła ramionami. – Też mi królewski pałac!

– Przecież to średniowiecze! – powiedział Gryko.

– Za bardzo średnie – odparła Alicja, wróciła do pokoju i podeszła do okna. Było zaciągnięte gęstą drewnianą plecionką, ale nie miało szyb. Wychodziło na drugą stronę pałacu. Znajdował się tam stadion.

Niewysokie drewniane trybuny otaczały pole bez bramek.

– Grywa się tu u was w piłkę nożną? – spytała Alicja.

– W jaką piłkę nożną, księżniczko? – zdziwił się giermek.

– Cóż wobec tego odbywa się na tym polu?

– Przecież to plac turniejowy, na którym potykają się na śmierć i życie waleczni rycerze – wyjaśnił Gryko. – Wie o tym każde dziecko.

– Już ci powiedziałam, że u nas dawno nie ma rycerzy.

Oczy giermka błyszcząły, na policzki wystąpiły mu rumieńce. Patrzył na to wydeptane zakurzone pole jak zgłodniały żarłok na pudełko czekoladek.

– Szczęśliwy ten twój przyjaciel, rycerz Czerwonej Strzały – westchnął. – On już ma prawo zmierzyć swe siły z wielkimi rycerzami. Gdyby mi na to pozwoliło moje pochodzenie, w ogóle bym się stąd nie ruszał.

– Głupiś – powiedziała Alicja. – Jeszcze go utłuką bez potrzeby.

– A niech utłuką, lepiej umrzeć na polu chwały niż wieść nudny żywot!

Nim Alicja zdążyła odpowiedzieć temu zacofanemu młodzieńcowi, usłyszała znajomy skrzypiący głos:

– No, jak się urządziłaś, księżniczko, nie nudziłaś się?

– Oj! – Alicja podskoczyła ku staremu znajomemu. – Dowiedział się pan czegoś?

Błazen ubrany był tak jak poprzednio, zmienił tylko kapelusz na wysoki kołpak z podwójnym szpicem, obwieszony dzwoneczkami. Pokręcił przecząco głową, dzwoneczki brzęknęły cieniutko.

– W mieście nie udało mi się niczego dowiedzieć, więc pospieszyłem do pałacu, żeby wyprzedzić markiza. Kiedy przybiegłem do Jego Królewskiej Mości, mył właśnie ręce. To taka nowa zamorska moda. Jeśli król myje ręce, nie wolno mu przeszkadzać.

– I nic pan nie zdołał powiedzieć?

– Nie tylko ja, ale i markiz, który przyszedł ze swą skargą. Kazano mu poczekać do końca obiadu. Zbieraj się więc, idziemy do jadalni. Zawiadomiłem o twym przyjeździe królową-macochę. To w zasadzie zacna kobieta, ckni jej się tutaj. Będzie miała o czym z tobą porozmawiać – wspólni przyjaciele, krewni...

Alicji wydało się, że błazen spogląda na nią ironicznie.

– A ona mnie pamięta? – spytała.

– No pewnie. Huśtała cię na kolanach, gdy byłaś malutka. A twoja mama, kiedy towarzyszyła ojcu w wyprawach, zwykle oddawała cię pod opiekę swojej ciotce Izabelli. Liczę więc na jej pomoc.

„Źle się sprawy mają – pomyślała Alicja. – No i wpadłam z tą rycerską krainą! Jak wrócę, przez tydzień się do Paszki nie odezwę. Jeżeli wrócę... Najprawdopodobniej ta stara królowa pozna, że to oszustwo, i wtedy nie ma ucieczki... Jakże im wytłumaczę, skąd naprawdę przybyłam. Spalą mnie na stosie jako czarownicę”.

– No, na co czekamy? – spytał błazen. – Wszyscy już przy stole. A ty, Gryko, idź na podwórze, do innych służących, tam ci dadzą coś do jedzenia. Spotkamy się na turnieju.

– Powodzenia, Alicjo – powiedział giermek.

Alicja wyciągnęła doń rękę, on jednak nie śmiał jej dotknąć, skłonił się i wybiegł.

Alicja z błaznem długo szli ciemnymi korytarzami i słabo oświetlonymi schodami, w jednym miejscu przebiegł im drogę szczur, w innym – wypłoszyli sowę. Błazen niósł przed sobą lampę naftową, światło jej wywoływało długie, ruchome, niesamowite, jakby żywe, cienie. Błazen rozmyślał na głos:

– Potrzebnie ten twój przyjaciel uwalniał niewolników! Zgoda, niechby uprowadził cudzego konia, pobił kogoś, nawet ograbił. W przypadku rycerza to niewielki grzech. Ale wypuszczać na wolność niewolników – to już przestępstwo. Nie mam pojęcia, jak mu pomóc...

– A czy pan na jego miejscu postąpiłby inaczej? – spytała Alicja. Domyślała się, oczywiście, co usłyszy w odpowiedzi.

– To bzdura! – wykrzyknął błazen. – Walczyć z wiatrakami jak Don Kichot!

– Kto? – zdumiała się Alicja. Nie przyszłoby jej nigdy do głowy, że ktoś mógł tu słyszeć o tej książce.

– Był taki rycerz. A może się nazywał inaczej. Bo co?

– Nic.

– Uwolnić cudzego niewolnika to to samo, co wsadzić rękę do kieszeni sąsiada. Nigdy bym tego nie zrobił.

– Przecież Paszka został wychowany zupełnie inaczej. Na Ziemi nie ma niewolników, rozumie pan? Gdyby pan znalazł się u nas, dopiero by pan narozrabiał. I co, spalić pana na stosie?

– Mnie nie wolno – jestem na służbie królewskiej. Tylko Najjaśniejszy Pan może to zrobić. No, nie martw się. Coś wymyślimy. Są jeszcze na świecie dobrzy ludzie.

KRÓLEWSKI OBIAD

– Uważaj, tu jest stopień – ostrzegł błazen, gdy weszli do wysokiej mrocznej, byle jak oświetlonej dymiącymi pochodniami i świecami sali. Prawie połowę tej sali zajmował stół w kształcie podkowy. Był zastawiony potrawami, przy nim na ławach bez oparcia siedziało co najmniej sto osób. U szczytu stołu zasiadał na tronie król, obok – jego dworzanie.

Wokół stołu uwijali się słudzy z tacami. Na tacach leżały gęsi i prosięta. Za sługami kręciły się psy myśliwskie w nadziei, że spadnie z tacy jakiś smaczny kąsek.

– No, trzymaj się, księżniczko – powiedział błazen. – Zaczynamy przedstawienie.

Nagle stanął na rękach, tak że końce kołpaka wlokły się po kamiennej posadzce, i ruszył w kierunku stołu, skrzecząc przenikliwym głosem:

– Przeprowadziłem księżniczkę, która odmieniła mi ciało i duszę! Aj-aj-aj! Teraz już nigdy nie uda mi się stanąć na nogach.

Jego ostatnie słowa zagłuszył gromki rechot rycerzy i wielmożów siedzących przy stole. Rechot wzbił się pod sklepienie sali jak zbłąkane stado wron.

– A jeśli rozkażę ci stanąć na nogach? – ryknął brodacz w złotej koronie. – Staniesz czy nie?

– Rad bym! Rad bym! – odparł błazen. – Ale nie mogę. Trzeba będzie mi odrąbać ręce.

– Oto poczucie humoru – westchnęła Alicja.

– Niech twoja księżniczka przyjdzie tutaj – powiedział brodacz. – Znajdzie się u nas miejsce dla niej – Uniósł szeroką dłoń i wałnął po karku siedzącego obok chudego starucha. Staruch zwałił się z krzesła. Goście zarechotali jeszcze głośniejsze.

Alicja posłusznie podeszła do stołu, choć nogi się pod nią uginały. Okropnie się bała. Najważniejsze to nie zapominać, że jest księżniczką i całe życie spędziła w takiej właśnie kompanii.

Zwłaszcza nieprzyjemnie było iść wzdłuż szeregu wąsatych, brodatych, szczupłych, pyzaty, łysych, kudłatych, młodych i starych osobników – przestali nawet ruszać szczękami gapiąc się na gościa.

Czarny zarost sięgał królowi aż po oczy, mimo to widać było, że twarz ma przypłaszczoną, jakby go ktoś trzasnął w głowę i od tego uderzenia oczy wylazły na wierzch wysunęły się do przodu, a nos zadarł do góry. Ręce miał zajęte: trzymał barani udziec. Dlatego nie przywitał się z księżniczką, tylko zapytał:

– Po co przyjechałaś? Przecież cię nie zapraszaliśmy.

– Na turniej, Wasza Królewska Mość – odparła Alicja.

– Zuch. Dziewczynka, ale odważna. No, siadaj. Możesz mówić do mnie wujku. Hej, podajcie tu młodą gęś. Moja siostrzenica jest głodna.

Podbiegł sługa ze złotym talerzem, na którym leżała gęsia noga.

– Jedz – powiedział król. – U nas bez krępacji.

Alicja nie wiedziała, z której strony zabrać się do takiego nożyska, zwłaszcza że wcale jej się nie chciało jeść.

Podczaszy nalał jej kielich czerwonego wina.

– Wypij – rozkazał król. – Nie obrażaj naszego majestatu.

Lodowaty dreszcz na wskroś przeszedł Alicję.

Wtem usłyszała cichy melodyjny głos:

– Nie wstydz się, dziecko. Tylko wina chyba nie wypada ci pić. Udawaj, że pijesz.

Alicja odwróciła głowę. Na prawo od niej siedziała młoda kobieta olśniewającej piękności.

Miała ciemne wijące się puszyste włosy, fiołkowe oczy w oprawie czarnych rzęs. Była blada i smutna. Miała na sobie ciemnogrnatową suknię ze srebrnym haftem, na głowie błyszczała nieduża korona.

– Nie poznajesz mnie, Alicjo? – spytała.

– Ja... na pewno, ja zapomniałam..

– Oczywiście, byłaś przecież całkiem malutka. Jestem królowa Izabella, twoja cioteczna babka ze strony matki. Zwą mnie owdowiałą królową-macochą.

– Och, przepraszam – powiedziała Alicja. – Myślałam, że królowa-macocha koniecznie powinna być stara i zła. Przecież sam król jest już niemłody.

– Jego ojciec pojął mnie za żonę cztery lata temu – rzekła na to królowa-macocha. – Byłam młodsza od niego o trzydzieści cztery lata. Niebawem umarł, a na tron wstąpił jego syn, zostałam branką w tym pałacu. Przyjdzie mi tu pewnie spędzić resztę mego życia, jeśli wrogowie wcześniej nie otrują.

Król mlaskał głośno, pożerając barani udziec i zapijając go winem z pucharu wielkiego jak wiadro. Na szczęście natychmiast zapomniał o Alicji.

– Jak się miewa twoja mamusia? – spytała Izabella.

– Dziękuję, dobrze – odpowiedziała Alicja. Nie lubiła w ogóle kłamać, a w dodatku kłamać w żywe oczy takiej melancholijnej, sympatycznej kobiecie było jej potrójnie wstrętne.

– A tatuś?

– Tatuś również czuje się dobrze.

– Wrócił już do zdrowia po otrzymanych ranach?

– Tak.

– Zdaje się, że mu smok odgryzł nogę w bitwie o zaczarowany kielich? – spytała znów Izabella.

– Tak, zdaje się – odpowiedziała Alicja czując, że się rumieni, całe szczęście, że w sali było dość ciemno.

– A co słyhać u twojego brata? – pytała dalej królowa-macocha.

A jednak prawda tkwi w bajkach mówiących, że królowe-macochy to najbardziej podstępne osoby na świecie. Co za licho podkusiło ją tak wypytywać gościa o najbliższych?

– Po staremu – odparła Alicja.

– Jak on ma na imię, bo zapomniałam? – dopytywała się królowa Izabella.

Alicja w rozpaczy tak się wgryzła w gęsią nogę, aż jej zęby uwięzły. Nawet gdyby chciała coś teraz odpowiedzieć, za nic nie wyrwałaby zębów z twardego mięsa.

A nad uchem wciąż szemrał głos królowej-macochy:

– Ach prawda, na imię ma Benedykt. Rycerz Benedykt. Albo Paweł? Chyba Paweł?... Zdaje się, że wołałam na niego Pawełek... To on zwyciężył wilkołaka w bitwie nad Żałobnym Jeziorem?

Oczywiście, druga głowa wilkołaka zawsze wisiała w bibliotece twojego tatusia nad biurkiem...

Izabella patrzyła na Alicję, uniósłszy brwi. Nie pozostało nic innego, tylko kiwnąć głową. Taka odpowiedź całkowicie zadowoliła królową.

– Rzeczywiście – oświadczyła – wszystko się zgadza. Poznaję w tobie słynną córę gwałtownego rodu aktiańskich królów.

W tej chwili król odłożył udziec barani, wytarł ręce o brzuch i przypomniał sobie o zagranicznej księżniczce.

– No, jak się urządziłaś, łazienka ci się spodobała? – zapytał. – U was też się teraz myje ręce przed jedzeniem?

Alicja usiłowała uwolnić zęby z gęsiej nogi, ale nic z tego. Skręcała się w walce z przekłętą nogą, a nuż król uzna, że ona udaje.

Ale król zrozumiał wszystko. Jedną ręką ujął kość, drugą zaś mocno chwycił Alicję za włosy i szarpnął.

Łzy trysnęły jej z oczu, w uszach zadzwoniło i gęsia noga ze straszliwym młaśnięciem wyskoczyła z jej ust, król zaś podniósł ją do góry niby sztandar.

– Kucharz! – ryknął. – Kucharz do mnie!

Izabella wyjęła koronkową chusteczkę i otarła Alicji łzy.

– No widzisz – powiedziała – jakie u nas grubiańskie obyczaje.

– Gdzie jest kucharz? – wrzeszczał król.

Wszyscy milczeli. Nagle spod stołu wychynął kołpak błazna.

– Racz się nie gniewać, Najjaśniejszy Panie, ale kucharza stracono właśnie w tym tygodniu.

– A gdzie jego pomocnik?

– Uciekł łodzią na pełne morze.

– Któż więc przyrządzał gęś, która o mało nie stała się przyczyną śmierci naszego znakomitego gościa?

– Uczniowie szkoły gastronomicznej.

– Stracić ich wszystkich!

– Och, nie, nie, Najjaśniejszy Panie! – zawołała Alicja.

– Księżniczka ma rację – poparł ją błazen. – Ci uczniowie to nasza ostatnia nadzieja. Jeśli zostaną straceni, będziemy zmuszeni przejść na konserwy.

– Tak sądzisz? – spytał król. – Nienawidzę konserw. Podczas ostatniej wyprawy na Mumizmatów strzelaliśmy puszkami konserw z katapulty. Trzystu zabitych, reszta ranni. Całkowite zwycięstwo!

Król cisnął gęsią nogą w psa, który uciekł napełniając skowytem całą salę.

– Podawać kompot! – rozkazał król. – I przejdźmy do spraw urzędowych, inaczej nie zdążymy przed turniejem. Szambelanie, jakie mamy sprawy?

Tęgi mężczyzna z małą główką podbiegł do tronu, ocierając usta rękawem.

– Spraw państwowych na dziś nie mamy – oznajmił.

– A skargi są?

– Są.

– Od kogo i na kogo?

– Od znanych ludzi – odparł szambelan – na nieznanego rycerza.

– Zaczynaj więc.

Król wziął czarkę z kompotem i rozparł się na tronie.

SKARGI NA RYCERZA

– Kto chce złożyć skargę, niech podniesie rękę! – zawołał szambelan.

Nad stołem podniosło się kilka rąk.

Błazen wylazł spod stołu i wcisnął się pomiędzy Alicję i króla.

– Czego chcesz? – spytał król.

– Będę dawał rady.

– Przecież głupek z ciebie.

– Jeden głupek odradzi to, czego nadoradza dziesięciu mądrałów – odparł błazen.

– Dobra, zobaczymy. Przedstaw swoją skargę, markizie Fafifaks.

Przy końcu stołu wstał rudy grubas z czerwonym nosem.

– Znany kłótnik – powiedziała królowa-macocha.

– Najjaśniejszy Panie – poruszył rudymi węsami grubas. – Wnoszę skargę o grabież, złodziejstwo, obrazę i zniewagę.

– Kto śmiał obrazić mojego wiernego sługę?

– Rycerz Czerwonej Strzały.

– W czym zawinił?

– Ujrzawszy moich niewolników prowadzonych na sprzedaż, roztrzaskał mieczem okowy i pobił strażników.

– Poważne przestępstwo – oświadczył król. – A dokąd uprowadził niewolników?

– Markiz się zastanawia, jak tu zełgać – podpowiedział błazen. – Nikt mu niewolników nie uprowadzał. Tamten rycerz po prostu sobie zażartował. Przeciął im okowy i pojechał dalej. A markiz z powrotem pojmał niewolników i sprzedał.

– To prawda? – spytał król. – Nienawidzę, kiedy się mnie okłamuje w drobiazgach. Pan o tym nie wiedział dotychczas, markizie?

– Ależ to grabież! – wykrzyknął markiz.

– Zwykłe figle, a nie grabież. Każdy rycerz ma prawo wypróbować swoją broń na nisko urodzonych. A on nawet nikogo nie zabił. Siadać. Następny.

Jako następny wstał mężczyzna w futrzanej czapce, której nie zdjął nawet przy stole.

– Najjaśniejszy Panie, wnoszę skargę na rycerza Czerwonej Strzały.

– Co się stało, kupcze Puzanello?

– Ukradł konia z mego tabunu.

– Jak to?

– Napotkał tabun moich koni, wskoczył na jednego, a pastuchom zostawił pokwitowanie, że koń został wypożyczony, ponieważ rycerzowi nie wolno przybyć na turniej bez konia. – Kupiec pomachał karteczką papieru.

– Pokaż to – rozkazał król.

Papierek powędrował z jednych rąk do drugich. Król obejrzał go i rzekł:

– Pismo nieczytelne, nieszlacheckie. Jak ktoś jest szlachetnie urodzony, niech pisze drukowanymi literami. Słusznie mówię?

– Słusznie – wykrzyknęli wielmoże i rycerze.

– Może ja przeczytam? – powiedziała Alicja. – Potrafię odczytać to pismo.

– Ty? – zdziwił się król. – Rozbisurmanili się w waszym królestwie, skoro zaczęli uczyć księżniczki czytać i pisać. Jakbyś była moją córką, spuściłbym ci manto nie bacząc, że płynie w tobie błękitna krew.

– Nie przejmuj się. Te słowa są przeznaczone dla wielmożów, żeby nie kształcili swych córek – szepnęła królowa-macocha. – Jeszcze wywalczą równouprawnienie – i koniec z rycerstwem.

Na kartce wyrwanej z notesu było napisane ręką Paszki:

„Z tabunu został wypożyczony 1 koń (słownie: jeden). Zwrócę go wieczorem wraz ze wszystkimi trofeami, które zdobędę na turnieju. P. Geraskin, rycerz Czerwonej Strzały”.

– Aj, aj, aj – powiedział król. – Liczy na trofea.

– To żadne przestępstwo – wtrącił błazen. – A jak ma szlachetnie urodzony rycerz zdobyć konia, jeśli nie pożyczyć? Przecież ty sam, Najjaśniejszy Panie, kiedy walczyłeś w zeszłym roku, pożyczyłeś trzy miliony u lichwiarzy.

– Rzeczywiście! – wykrzyknął król. – A no, nalejcie mi kompotu! Nie może przecież rycerz na turniej bez konia przyjechać.

– A nuż go nie zwróci? – nastawał kupiec.

– A jeśli go nie zwróci? – spytał król błazna.

– Zwróci – odparła Alicja. – Ręczę za niego.

– A jeśli nie zwróci – przymrużył oczy błazen – to będzie zmuszony zrobić z kupcem Puzanello to samo, co ty, panie, z lichwiarzami, kiedy poprosili cię po wojnie o zwrot długu.

– A co ja zrobiłem? – dopytywał się król.

– Wszystkich ich kazałeś potopić.

Król wybuchnął takim śmiechem, że aż się zachłysnął kompotem. Podczas gdy błazen z szambelanem walili go po plecach, kupiec zerwał się zza stołu i zniknął.

– Są jeszcze jakieś skargi? – spytał król, wykasławszy się.

– Ja mam skargę, Najjaśniejszy Panie – wstał ze swego miejsca rycerz w złotej zbroi. Miał spiczasty nos, spiczaste uszy, wąskie oczy, a z ust na centymetr sterczały kły. Na piersi miał namalowany herb – czarny wilk z wyszczerzonymi kłami.

– Mów, szlachetny rycerzu Czarnego Wilka.

– Wnoszę skargę na rycerza Czerwonej Strzały.

– Znowu! – zirytował się król. – Cóż on jeszcze nawyprawiał?

– Stałem na ulicy i zaprowadzałem porządek.

– Jakiż to porządek zaprowadzałeś?

– Tłukłem kijem służącą, która przypaliła kaszę.

– Słusznie. I co dalej?

– Obok przejeżdżał rycerz Czerwonej Strzały, wyrwał mi kij i uderzył mnie. Słyszane rzeczy – kobiet niby to nie wolno bić!

– Zuch – powiedziała Alicja.

– Jak to nie wolno? – zdziwił się król. – No, może jeszcze księżniczek nie wolno, ale służące trzeba obowiązkowo!

– Co za mądrość! Co za królewski umysł! – rozległy się okrzyki na sali.

– Jeśli każdy będzie przychodził z pomocą cudzym służącym i uwalniał cudzych niewolników – powiedział szambelan – załamię się cały porządek.

– Pozwól, Najjaśniejszy Panie, rzec słowo głupkowi! – wykrzyknął błazen.

– Mów!

– Myślę, królu, że byłoby śmieszne, gdybyśmy się wtrącili do tej sprawy. Jeżeli nasi rycerze sami się obronić nie potrafią, to komu są tacy potrzebni? Nie trzeba było karku nadstawiać.

– Przecież ja byłem w samej piżamie – powiedział rycerz Czarnego Wilka. – A gdy pobiegłem po miecz, po rycerzu ślad zaginął.

– Wszystko to wygląda na burdę – stwierdził król. – Sam sobie szukaj sprawy.

– Mój pasierb jakoś łaskawy dzisiaj – zauważyła Izabella. – Mamy szczęście, nie będą karać twojego Paszki. Udało się. – Wymówiła to jak gdyby w złą godzinę, bo oto po drugiej stronie króla wstał wysoki, podobny do kruka mężczyzna w czarnym stroju ze złotym pasem i wysokiej czerwonej czapce.

– Ja również wnoszę skargę na rycerza Czerwonej Strzały – oświadczył. – Spodziewam się, że tym razem nikt go nie zdoła obronić.

– Posłuchaj, biskupie, jesteśmy już zmęczeni. Może odłożymy na następny raz?

– Nie, Najjaśniejszy Panie. On dopuścił się strasznego przestępstwa.

– Mów więc.

– Chcieliśmy spalić pewną czarownicę. Nagle zjawił się ów rycerz, rozpędził strażę, zdeptał ogień, uwolnił czarownicę, wsadził ją na konia i odjechał.

W sali zapadło grobowe milczenie. Alicja zrozumiała, że tego przestępstwa Paszce nie darują.

– To diabeł – rozległ się w głębokiej ciszy głos szambelana.

Wszyscy powtórzyli szeptem:

– Diabeł, diabeł...

– Na szafot z nim! – rycał król, odpychając dzban z kompotem. – Na stos! Nie ma litości! On chce zniszczyć moje państwo!

– Kiepska sprawa – powiedział błazen.

– Pozwól, że zapytam – usłyszała Alicja cichy głos wdowy Izabelli. – A gdzie jest ów rycerz? Kogo będziecie palić i tracić?

– Tak, właśnie, gdzie on jest? – spostrzegł się król. – Czemu do tej pory go nie przyprowadzono? Dlaczego go nie znam? I w ogóle, skąd do nas przybył?

– Widzisz, Najjaśniejszy Panie – mówiła dalej Izabella. – Podejrzewam, że jest to po prostu jakiś romantyczny młodzieniec z innego królestwa. Nie nauczył się jeszcze odróżniać prawdziwych czynów rycerskich od fanfaronady. A czarownica z pewnością rzuciła na niego urok. Wiesz przecież, panie, jak łatwo doświadczonej czarownicy opętać młodego rycerza.

– Nie słuchaj jej, królu – powiedział biskup. – Po pierwsze, to niedoświadczona czarownica. Ma zaledwie trzy lata. A po drugie, już dawno należałoby się przyjrzeć królowej Izabelli. Ona również pochodzi z innego królestwa.

– Tak, trzeba to zbadać... – stropił się król.

Wtem jednak z pomocą królowej Izabelli przyszedł błazen.

– Ostrożnie, Najjaśniejszy Panie. Dziś zjedzą twoją macochę, a jutro wezmą się za ciebie.

– Racja! – wykrzyknął król. – Kto śmie obrażać moją ukochaną mateczkę! I w ogóle, koniec rozpatrywania skarg. Jak schwytemy rycerza, to się nim wówczas zajmiemy.

Zaczęto wstawać od stołu.

– Zwołać rycerzy! – rozkazał król. – Żeby po trzecim gongu wszyscy byli na stadionie. Nie znoszę spóźnień.

– Och, otrulbym cię, pani – zasyczał wściekle biskup, przechodząc obok Izabelli.

– Nic z tego – odparła z uśmiechem królowa-macocha. – Sama dla siebie gotuję.

ROZPOCZYNA SIĘ TURNIEJ

Izabella poprowadziła Alicję specjalnym wejściem „Dla ważnych osobistości”, a mimo to kilkakrotnie zaczepiano je po drodze, czy nie mają zwykłego biletu.

W tłumie sunącym na stadion uwijali się sprzedawcy lodów i ciastek, podzwaniiali kubkami sprzedawcy słodzonej wody, okrzykami zachęcali klientów właściciele piwiarni. Panował nieopisany hałas.

Gęsty tłum sfłoczył się przed dużą tablicą, na której schodkami były namalowane postaci rycerzy: najwyższy ten, który najczęściej zwyciężał w poprzednich turniejach. Alicja poznała go – był to znieważony przez Paszkę rycerz Czarnego Wilka w złotej zbroi. A gdzież gruby markiz Fafifaks? Ach jest, pośrodku tablicy.

– Słyszałeś o nowym rycerzu? – dotarły do uszu Alicji słowa jakiegoś kibica.

– Któż to taki?

– Rycerz Czerwonej Strzały. Występuje poza konkursem.

– Obcokrajowiec?

– Powiadają, że przybył z zagranicy.

– Nie dopuszczą go – stwierdził kupiec w futrzanej czapie, od którego Paszka pożyczył konia. – Nie jest szlachetnie urodzony. Nawet nie rycerz, tylko zwykły czarownik i łotrzyk spod ciemnej gwiazdy.

Oj, Paszka! Przecież bez wątpienia zjawi się na turnieju, pomyślała Alicja. I wówczas go schwytają. Co prawda błazen szuka go, by go uprzedzić, ale nuż się nie spotkają? Albo Paszka nie posłucha błazna?

– Może podyżuruję przy wejściu? – spytała Alicja.

– Nie – odparła Izabella. – Rozpoznają cię i zawrócą na stadion. Myślę, że lepiej być bliżej króla. Jeśli coś się zdarzy, będziemy mogły na niego wpłynąć.

Lokaj w czerwonej kamizeli zaprowadził je na górę, do loży, gdzie już siedzieli w fotelach wielmoże i krewni królewscy.

– Proszę tutaj, do balustrady – powiedział lokaj.

– Wiem – odparła Izabella. – Nie jestem pierwszy raz na turnieju.

Usiadły przy samej balustradzie. Fotele po obu stronach świeciły pustką. Po lewej – fotel dla króla, po prawej – dla biskupa.

Widzowie na trybunach poznali Izabellę, rozległy się oklaski.

– Cieszę się sympatią ludu – uśmiechnęła się królowa-macocha. – Po pierwsze, ze względu na urodę, po drugie, na dobroć, a po trzecie dlatego, że nie lubi mnie biskup.

Królewska loża była daleko wysunięta nad trybunami, a nawet nad polem turniejowym. Pole otaczało zwarte drewniane ogrodzenie. Przypominało boisko do piłki nożnej, tylko bramki na nim

były drewniane i zamknięte.

Na trybunach panował podniecony gwar.

„Może on już wrócił do domu, a ja tu siedzę” – pomyślała Alicja. Niechęć wypowiedziała swą myśl na głos, a królowa-macocha odrzekła:

– Raczej nie. Jeśli ktoś ma taki charakter, bez wątpienia przygalopuje na stadion, niezależnie od tego, ile by go to miało kosztować.

– Ale on słabo jeździ konno.

– Nieważne. Przecież wszyscy tutaj są amatorami. W dodatku nie są młodzi. Przestań się denerwować. Wyratujemy twego Paszkę. Wrócisz z nim razem.

– Nie wierzy pani, że jestem księżniczką?

Królowa-macocha schowała pasmo puszystych włosów pod koronę i odparła bez uśmiechu:

– Jakże mam wierzyć, skoro nawet kłamać nie potrafisz? Przy obiedzie wypytywałam cię o krewnych, a ty przyznałaś, że twój ojciec stracił nogę, a brat walczył z wilkołakiem.

Alicja spuściła głowę.

– Tymczasem ojciec księżniczki, za którą się podajesz, to najbardziej pokojowo usposobiony król na naszej planecie, już od dziesięciu lat nie prowadził wojny. Wilkołaki nie istnieją – wie o tym każdy rozsądny człowiek. W dodatku jak mogłabym pomylić cię z moją cioteczną wnuczką, skoro jest kędzierzawa i czarnooka, ty zaś jesteś blondynką?

– Więc czemu pani mnie nie wydała?

– Komu? Tym wielmożom? Za kogo mnie masz? Błazen mi o wszystkim opowiedział. To mój przyjaciel. Wstań, król idzie.

Izabella podniosła się ze swego fotela. Alicja również. Wszedł król. Szambelan z biskupem kroczyli po jego bokach i coś mu podszeptywali do obu uszu. Król był zasepiony.

– Objadł się, teraz jest śpiący – szepnęła Izabella.

Cały stadion powstał, orkiestra zagrała hymn. Widzowie i dworzanie odśpiewali go. Król również wtórował poruszając czarną brodą. W połowie drugiej zwrotki machnął ręką, usiadł i przymknął powieki. Orkiestra zamilkła, stadion znów zahuczał.

– Król tak zawsze – zauważyła Izabella. – Pierwsza zwrotka mówi, jaki jest sławny i wielki. Druga zaś sławi jego ojca. To już nie jest dla niego interesujące.

Spod trybuny wybiegli sędziowie. Ubrani byli w czarno-białe pasiaste kamizele, czarne pończochy i czarne okrągłe kapelusze z czarnymi oraz białymi strusimi piórami. Sędzia główny trzymał w rękach miedziany gong i drewniany młotek, a jego pomocnicy – haki.

– Po co to? – spytała. Alicja.

– A jak rozdzielać szczepionych rycerzy?

Sędziowie zatrzymali się pośrodku pola.

– Najjaśniejszy Panie – podpowiedział szambelan – proszę dać znak.

Jego Królewska Mość przestał chrapać, przetarł oczy i machnął ręką, jakby odganiał komara. Sędzia skłonił się i uderzył w gong.

Natychmiast otwarły się na oścież boczne wrota i na pole wyjechało ze dwudziestu rycerzy.

Było to wspaniałe widowisko. Migotały zbroje, kołysały się pióra, powiewały płaszcze – i w ogóle rycerze nieco przypominali ustrojone świąteczne choinki.

Nawet król obudził się, wyjął z kieszeni okulary w złotej oprawie i wsadził je na nos.

Mrugnął do Alicji i powiedział:

– Co, nie widziałaś jeszcze? To się nazywa okulary. Ostatnia nowość cywilizacji.

– Prezentujemy uczestników turnieju! – Sędzia główny miał tak donośny głos, że z pewnością było go słyhać w otwartym Kosmosie. – Numer jeden – rycerz Czarnego Wilka. Zbroja złota, herb czarny, występuje na ogierze Praszulu od Praskowii i Szulca.

Rozległy się brawa i gwizdy kibiców.

Rycerz wyjechał naprzód, uniósł kopię i pokłonił się królowi i widzom.

– Markiz Fafifaks! – zawołał sędzia. – Zbroja srebrna. Herb różowy, wyobrażający tylną połowę świni. Występuje na klaczy Brugundzie od Bruska i Undiny.

Tym razem było mniej oklasków, a więcej gwizdów. Sędzia przedstawiał następnych rycerzy, tymczasem do loży wszedł błazen.

– Gdzie się podziewałeś, Fu-Fu? – spytał król. – Nudzę się.

– Szukałem osła. Ja także chcę walczyć.

– A któż walczy na osle? – roześmiał się król. – Głupi jesteś! Każdy cię zwycięży.

– Co za różnica? – zapytał błazen. – Ja będę głupkiem na osle, a oni – osłami na koniach!

– Pozwalasz sobie! – śmiał się król. – No, zaryzykujesz? Przecież to szlachetnie urodzeni rycerze, podpora mego tronu.

– Takie żarty mogą kosztować głowę – odezwał się biskup.

– Na tę głowę się nie porywaj – odparł król. – Nie mogę się obyć bez błazna. Kto mi będzie mówił prawdę? Przecież nie ty?

– Ja nigdy nie kłamię, Najjaśniejszy Panie – szybko odpowiedział biskup i odwrócił się do szambelana.

– Pojedynek pierwszy. Rycerz Czarnego Wilka i rycerz Trójlwiego Trójliścia! – obwieścił sędzia główny. – Runda pierwsza.

Wszyscy rycerze, z wyjątkiem dwóch, usunęli się z pola. Uczestnicy pojedynku rozjechali się w przeciwne strony.

Odezwał się werbel.

Stadion ucichł. Na sygnał sędziego rycerze spięli konie ostrogami i pomknęli sobie naprzeciw.

Słyhać było tylko stukot kopyt i bicie w bębny. Zdawało się, że dwa pancerniki lada chwila zderzą się czołowo.

Ale rycerze chybili i popędzili dalej ściągając konie.

– Runda druga! – obwieścił sędzia, podczas gdy rycerze zawracali.

Znów odezwały się bębny.

Tym razem konie przemknęły blisko siebie, kopie uderzyły w tarcze, łamiąc się z takim trzaskiem, jak gdyby jakiś olbrzym złamał o kolano wiekowy dąb. Czarny Wilk utrzymał się w siodle, natomiast rycerz Trójlwiego Trójliścia wyleciał z siodła i gruchnął o ziemię.

Rozległy się burzliwe oklaski. Król tupał nogami z zachwytem.

Gdy wynoszono pokonanego rycerza, zwycięzca, odsłoniwszy przyłbicę, przejechał wzdłuż trybun, a kobiety obrzucały go kwiatami.

– Alicjo – zabrzmiał obok cichy głos.

Był to błazen. Podeszedł z tyłu i pochylił się, by nikt go nie słyssał.

– Co? Znalazł pan Paskę?

– Znalazłem. I wszystko zepsułem.

– Co się stało? Niech pan mówi prędzej!

– Ciszej. Znalazłem go. Wiedziałem, gdzie go szukać. Ukryli go u siebie w domu rodzice czarownicy, którą uratował od śmierci na stosie.

– I widział go pan?

– Widziałem. Powiedziałem mu, że go szukasz i prosisz, by szybciej wracał.

– A on?

– Już się zgodził, ale mnie licho podkusiło, by opowiedzieć, jak go przy obiedzie broniliśmy przed markizem i Czarnym Wilkiem.

– I co?

– Jak nie krzyknie: „Ach tak, chcą ze mną walczyć! Więc dostaną za swoje. Nie mogę czmychać przed nimi jak zając. To nie przystoi młodemu biologowi”.

– Tak powiedział?

– Właśnie tak. A kto to są biologowie?

– Trudno wyjaśnić. Ogólnie mówiąc, zajmujemy się zwierzętami i kwiatami.

– Sadownicy? Stangreci? Ach nie... przecież jesteście szlachetnie urodzeni – uśmiechnął się błazen – jeśli nie udajecie...

– Wiesz sam, że udają – wtrąciła się królowa-macocha, która miała doskonały słuch.

– Kto udaje? – spytał król, który usłyszał tylko ostatnie słowa.

– Ja, Najjaśniejszy Panie – odparł błazen. – Całe życie udaję, żeby ktoś nie uznał siebie za głupszego niż wasz ulubiony głupek.

Na pole wjechała już druga para rycerzy i znów rozległ się dźwięk bębnów oraz stukot podków.

– I co teraz będzie? – spytała Alicja.

– Prosił, by ci powiedzieć, że jak tylko zwycięży tych rycerzy, wróci z tobą do dżungli.

– Nie podoba mi się to – oświadczyła Alicja. – Oni zrobią z niego placek.

– Niewykluczone – powiedział Fu-Fu. – Pamiętaj jednak, że tutaj wiele rzeczy tylko z pozoru groźnie wygląda.

– Już mi to mówił Fuuks.

– No widzisz... A kto to jest Fuuks?

– Mieszka daleko stąd. Nie zna go pan.

– Jeśli daleko, to oczywiście...

Trzeci pojedynek zakończył się remisem. Rycerze nacierali z pięć razy, ale za każdym – chybiali. Trzeba ich było przy gwizdach trybują wycofać z zawodów.

W przerwach grała orkiestra, widzowie jedli lody i ciastka, jakiś rycerz wyjechał z transparentem, na którym widniał napis: „Bronię czci pięknej damy Weroniki”.

Wszyscy zaczęli się dopytywać, kto to taki ta Weronika?

Nawet król się zainteresował i spytał szambelana:

– Czemu jej nie znam?

Wówczas sędzia oznajmił, że Weronika to babcia rycerza. Stadion się uspokoił.

Paszki w dalszym ciągu nie było. Oby go tylko nie pojмали w drodze.

Gdy kończyła potyczkę dziesiąta, ostatnia już para, na pole wyjechał znów rycerz Czarnego Wilka.

Izabella powiedziała:

– Teraz dopiero zacznie się najciekawsze!

Przenikliwy głos sędziego obwieścił:

– Rycerz Czarnego Wilka wyzywa na rozstrzygający pojedynek do pierwszej krwi któregokolwiek z rycerzy królestwa!

W orkiestrze podniósł się trębacz i trzykrotnie zadał w róg.

Zapadła cisza.

Nikt się nie odezwał.

Trębacz znów wstał i znów zadał w róg.

Nikt się nie stawiał.

Po raz trzeci podniósł róg do ust, ale nie zdążył zadać, bo w tym momencie rozwarły się ze zgrzytem dalekie wrota i wyjechał z nich rycerz.

Alicja uniosła się lekko. Czyżby to Paszka? Nie, na Paskę za gruby.

– Ja, markiz Fafifaks, jestem gotów potykać się z tobą, rycerzu Czarnego Wilka, do całkowitego zwycięstwa lub do pierwszej krwi! – wykrzyknął.

– Zwycięzca otrzyma broń, rynsztunek oraz konia zwyciężonego – oznajmił sędzia.

– Wiemy! Wiemy! – rozległo się z trybun. – Niech zaczynają.

Rycerze strzemię w strzemię podjechali do łoży królewskiej.

Król zwrócił się do biskupa:

– Mam nadzieję, że krew nieprawdziwa? Nie znoszę tego.

– Spokojnie, Najjaśniejszy Panie. Wydano im po flakoniku z czerwonym atramentem. Czarny Wilk zwycięży markiza Fafifaksa z niewielką przewagą w trzecim podejściu.

– Zezwalam na pojedynek, moi drodzy śmiałkowie! – zawołał król podnosząc się z miejsca. – Podaj tu puchar – odwrócił się do szambelana. – O wszystkim wam trzeba przypominać.

Szambelan otworzył szkatułę stojącą u jego nóg i wy dostał zeń wysoki kryształowy puchar.

Król podniósł puchar i ogłosił:

– Zwycięzca otrzymuje tę nagrodę. Wręczy ją nasz gość, zagraniczna księżniczka Alicja.

Widzowie zaklaskali, wielu zaczęło wstawać, by przyrzec się nieznannej księżniczce.

„Gdzież ten Paszka? – denerwowała się Alicja. – Gdzież on przepadł? Siedzę tu, tracę daremnie czas, a jego może już prowadzą na stos”.

– Gotowi! – krzyknął sędzia.

Zaledwie rycerze opuścili przyłbice, gdy wrota po prawej stronie Alicji rozwarły się pod silnym ciosem i na pole wjechał trzeci rycerz. Nosił srebrną zbroję, na tarczy namalowaną miał czerwoną strzałę.

ROZSTRZYGAJĄCY POJEDYNEK

Alicja omal nie wykrzyknęła: „Paszka, z powrotem, prędeż!”

Opamiętała się jednak. Paszka jej nie usłyszy, a jeśli nawet, to nie posłucha. A przy tym król oraz biskup słyszeć tego nie powinni.

– To on! – powiedział biskup.

– To on! – zawtórował szambelan.

– To on? – spytał król upuszczając lody na kolana.

Rycerze na stadionie osłupieli wobec takiego zuchwalstwa. Stali i czekali.

Zbroja była za wielka na Paszkę, czego zresztą nikt z wyjątkiem Alicji nie zauważył, nikt go bowiem nigdy nie oglądał bez zbroi. Pewnie się czuje, pomyślała Alicja, jak ziarenko w zbyt obszernej skorupie orzecha. Ale nawet w swym okazałym rynsztunku Paszka był dwa razy mniejszy od swych przeciwników.

– Hej! – zawołał nie unosząc przyłbicy. – Kto tutaj wyzywał na pojedynek? Jestem gotów.

– Spóźniłeś się – zaprotestował sędzia główny. – Wyzwanie już zostało podjęte. To niezgodne z regulaminem.

– Ja go i bez regulaminu na strzępy rozerwę! – wrzasnął markiz. – On uwalnia niewolników!

I ciężko zawróciwszy, skierował swego konia w stronę Paszki.

– Nie! – krzyknął Czarny Wilk, zaczepiając kopią o czaprak markizowego konia. – To moja ofiara. Ja pierwszy go wyzwałem. Odechce mu się bronić moich sług!

Sędziowie pomocniczy musieli zaczepić hakami rozwścieczonych rycerzy, którzy powlekli ich za sobą po ziemi niczym kotwice za okrętem w czasie burzy.

Rozgniewany król trzasnął pięścią w balustradę.

– Rozpędzę wszystkich! – krzyknął zagłuszając wesoły zgiełk stadionu. – Przerwać ten skandal!

Na znak szambelana z wrót wybiegli strażnicy i otoczyli rycerzy. W ciągu pięciu minut udało się zaprowadzić na stadionie porządek. Za to w łoży królewskiej porządku nie było. Biskup nacierał na króla, jeszcze chwila i go zadziobie.

– Nie pozwól mu walczyć, Najjaśniejszy Panie, oddaj go mnie. Spalę go na stosie.

– On jest rycerzem! – protestował błazen. – Nie jest wcale gorszy od naszych żelaznych bałwanów!

– Jaki tam z niego rycerz! – oburzał się szambelan. – Ma fałszywe dokumenty.

– Najprawdziwszy rycerz! – spierała się królowa-macocha. – Znam jego rodziców. Mają zamek w malowniczej miejscowości, ze stawem i łabędziami.

Strażnicy chwycili konie za uzdy i podprowadzili je ku królewskiej łoży.

– Znam go! – wtrąciła się do kłótni Alicja. – To szlachetnie urodzony rycerz, tyle że jeszcze prawie dziecko. Powinno się go odesłać do domu.

– Wiek nie jest przeszkodą – powiedział biskup. – Możemy spalić również noworodka.

– Dość! – zagrział król, któremu sprzykrzyła się już ta awantura. – Ogłaszam moją decyzję.

Staął wyprostowany w całej okazałości, poprawił koronę, strząsnął z kolan kałużę roztopionych lodów i obwieścił:

– Po naradzie z dworzanami postanowiliśmy...

Stadion zamarł. Wszyscy, oczywiście, chcieli obejrzeć walkę – przecież zapłacili za bilety. Poza tym okazało się, że Paszka ma wielu kibiców – fama o jego czynach już się rozeszła po całym mieście.

– Postanowiliśmy zezwolić na walkę – dokończył król.

– Hurrra! – wrzasnął stadion.

– Protestuję – zasyczał biskup. – Złożę skargę.

Ale nikt go nie słuchał.

– Złoty rycerz Czarnego Wilka – ciągnął król – będzie walczyć ze zwycięzcą pary markiz-rycerz Czerwonej Strzały. Tak będzie sprawiedliwie. Puchar otrzyma ostateczny zwycięzca.

Wśród burzy braw król usiadł w fotelu.

– Jestem człowiekiem sprawiedliwym – powiedział. – A w dodatku mądrym.

– To prawda – uśmiechnął się szambelan. – Jesteś, panie, najsprawiedliwszy i najmądrzejszy.

A ten chłopaczek nigdy w życiu nie da rady markizowi, nie mówiąc już o moim bratanku.

– To właśnie miałem na myśli – potwierdził król. – Któryś go z pewnością ukatrupi.

Alicja poczuła, że łzy napływają jej do oczu. Izabella podała jej swoją chusteczkę.

– Widzisz, jak to niebezpiecznie upiększać staroświecką romantykę.

Rycerz Czarnego Wilka oraz sędziowie opróżnili środek pola. Strażnicy ustawili się w szeregu wzdłuż ogrodzenia. Odezwały się bębny.

Paszka i markiz rozjechali się ku bocznym wrotom. Koń Paszki był nieduży, chudziutki, widocznie dobrany do wzrostu. A gdy przeciwnicy pogalopowali sobie naprzeciw, wydawało się, że markiz rozgniecie Paszkę jak słoń zająca.

Nic takiego się jednak nie stało. Kopie przeciwników z całym rozmachem wbiły się w tarcze i od tego uderzenia lekki Paszka wyleciał z siodła, frunął wysoko w powietrze i wylądował w odległości jakichś dwudziestu metrów.

Pojedynek o mało nie zakończył się zwycięstwem grubego markiza.

Lecz oto dopomógł cud: pękł popręg u siodła grubasa, a on razem z siodłem zwałił się z konia, plasnął o ziemię i znieruchomiał.

Stadion oniemiał z zaskoczenia.

Alicja uchwyciła się balustrady, chcąc ją przeskoczyć i bieć Paszce na pomoc. Izabella uczepiła się jej z całej siły. Dziewczynka usiłowała się wyrwać, zobaczyła jednak, że Paszka powoli wstaje z ziemi. Chwiał się – widać mu się nieźle dostało. Podniósł przyłbicę, przyłożył żelazną rękawicę do guza na czole, zmarszczył brwi, zastanawiając się, co robić dalej, a potem wśród radosnych okrzyków stadionu podszedł do leżącego markiza, wydobyl miecz i przystawił do gardła przeciwnika.

„Kiedy on zdążył wyuczyć się regulaminu?” – zdumiała się Alicja, której po tych wszystkich wzruszeniach dosłownie odjęło władzę w rękach i nogach.

Po chwili Paszka zapytał sędziego:

– Co mam czynić dalej?

Sędzia stropił się – nie przewidział, że chłopiec może zwyciężyć potężnego markiza, i bał się przyznać mu zwycięstwo. Markiz miał wpływowych przyjaciół i sędziemu mogło to nie wyjść na dobre.

Sytuację uratował błazen. Powiedział głośno do króla:

– Jeden żelazny bałwan już puścił ostatnią parę. Na cóż więc czekamy? Niech próbuje drugi.

Król nie wyglądał na zbytnio zadowolonego, zgodził się jednak:

– Niech przystąpi do pojedynku z Czarnym Wilkiem.

Na jego znak strażnicy podnieśli nieprzytomnego markiza i powlekli ku wrotom.

Do strażników podbiegł giermek Gryko, żeby im pomóc. Alicja napotkała jego wzrok. Mrugnął do niej i wówczas przyszło jej nagle na myśl, że popręg markiza pękł nieprzypadkowo.

Strażnicy ujęli za uzdę konia, by go odprowadzić, ale Paszka zawołał:

– To niezgodne z regulaminem. Koń i rynsztunek należą do mnie.

– Tego jeszcze brakowało – rozzłościł się szambelan. – Będzie nas tu uczyć reguł rycerskich.

– I proszę – mówił dalej Paszka – o oddanie zdobycznego konia i zbroi owemu kupcowi, od którego wypożyczyłem mojego konia.

– Nie ma mowy! – wykrzyknął szambelan.

– To zgodne z regulaminem – zaprotestował błazen. – Tak musi być. Jeśli król pozwoli choć raz naruszyć regulamin na turnieju, to następnym razem naszego ukochanego króla zamordują w łóżku.

– Zwariowałaś – obruszył się król. – Czego ty ich uczysz?

– A więc jaka jest twoja decyzja, panie? – spytał błazen jak gdyby nigdy nic.

– Koń i rynsztunek markiza należą do rycerza Czerwonej Strzały – ogłosił król. – Ściśle przestrzegamy regulaminu.

Natychmiast wybiegł na pole kupiec, złapał konia i tyle go widziano.

Rycerz Czarnego Wilka już czekał na swego przeciwnika. Złota zbroja rzucała błyski, nad hełmem powiewały szkarłatne pióra. Sprawdził popręg i dał swemu koniowi kawałek cukru.

Paszka odszukał wzrokiem Alicję na trybunie i pomachał jej.

– A więc jednak się znacie? – spytał król. – To mi się nie podoba.

– Wcale tego nie ukrywałam.

Paszka podniósł rękę, by opuścić przyłbicę, rycerz Czarnego Wilka już ściągnął wodze, kierując konia naprzód.

– Unikami, Paszka! – krzyknęła ze wszystkich sił Alicja. – Przypomnij sobie, jak wypuszczałeś obrońcę na meczu hokeja!

Żeby ten Paszka usłyszał! Gruchnie drugi raz na ziemię – i złamie nogę jak nic.

– Nie wolno podpowiadać – powiedział szambelan. – A tym bardziej magicznych słów.

– Dlaczego magicznych? – spytała Alicja.

– Hokej to słowo nie znane nikomu. Z pewnością magiczne. A w ogóle nie od rzeczy byłoby przyrzec się księżniczce.

– To nie słowo – wyjaśniła Alicja – to imię pewnego rycerza.

– Tak, tak – przyszła jej z pomocą Izabella – znam go doskonale.

Alicja poszukała ręki Izabelli i uścisnęła ją.

Izabella uśmiechnęła się lekko. Był to chłodny i dumny uśmiech królowej-macochy.

Paszka usłyszał słowa Alicji. Nie spieszył naprzeciw, lecz oczekiwał wroga niedaleko ogrodzenia, chociaż widzowie poczęli gwizdać, sądząc, iż rycerz Czerwonej Strzały po prostu

stchórzył. A kiedy rycerz Czarnego Wilka był już blisko, Paszka uchylił się zwinnie i rywal przeleciał obok niczym nie sterowana rakietą, nie zdążywszy powściągnąć konia. I kiedy rozpędzony koń w ostatniej chwili skręcił przed ogrodzeniem, rycerz wyleciał z siodła i z całej siły grzmotnął głową o przeszkodę.

– O-o-och! – jęknął stadion, wszyscy bowiem widzieli, jak głowa Czarnego Wilka wbiła się głęboko pomiędzy ramiona.

– Diabeł! – wykrzyknął biskup. – Przede mną nie ujdzie.

Cały stadion czekał, czy rycerz podniesie się, czy też nie. Jedyne król nie zdradzał niepokoju.

– Zaraz wstanie – powiedział. – Drobiazg, kości mu się tylko wgniotły. Mnie też się to przydarzyło i nic, rządę dalej.

Alicja spojrzała na niego i dopiero teraz zrozumiała, czemu ma taką spłoszoną twarz.

I rzeczywiście po krótkiej chwili Czarny Wilk uniósł się na rękach, potem ukląkł i jął wywlekać z pochwy długi miecz.

Paszka zeskoczył z konia i ostrożnie zbliżał się do przeciwnika. Kiedy już był o dziesięć kroków od niego, Czarny Wilk wstał z ziemi, obnażył miecz i znów był gotów do walki.

Nacierał na Paszkę niczym buldożer. Widok był imponujący, zwłaszcza że nad szerokimi ramionami wystawał tylko czubek hełmu i resztki szkarłatnych piór.

– No, nie ujdzie to na sucho temu twojemu – nie bez satysfakcji stwierdził król. – Nie trzeba było drażnić naszego rycerza.

Paszka z trudem podniósł oburącz ciężki miecz, ale Czarny Wilk ze strasliwym rykiem zamachnął się swoim i wytrącił miecz z rąk chłopca. Żeby tylko wytrącił, ale w dodatku go przesiekł.

Paszka był bezbronny.

– Uciekaj! – krzyknęła Alicja.

Odwróciła się do Izabelli, szukając u niej pomocy, ale fotel był pusty.

Ładna historia! Akurat w najgroźniejszym momencie królowa dokądś wyszła!

Czarny Wilk znów podniósł miecz, zapewne, by rozrąbać Paszkę na pół, ale chłopiec wywinął się i wyciągnął z kieszeni swój słynny scyzoryk, który w porównaniu z orężem jego wroga wyglądał jak szpilka.

Kolejny cios Czarnego Wilka był tak przerażający, że miecz, świsnąwszy w powietrzu, wbił się na pół metra w ziemię.

Rycerz stęknął przeraźliwie, wyciągając miecz z ziemi, a tymczasem Paszka zdążył, wykorzystawszy wolną chwilę, otworzyć swój scyzoryk.

Rycerz zamachnął się, znów przeciął mieczem powietrze. Tym razem miecz zagłębił się w ziemię po samą rękonożę.

– To nieuczciwie! – krzyczeli wielmoże. – Nie wolno uciekać!

– Zabij go! – ryczał szambelan.

– Trzymaj się, Czerwona Strzało! – rozległ się doping z trybun.

Czarny Wilk natęzał się, usiłując wyrwać miecz z ziemi. Sędzia rzucił mu się na pomoc. Ciągnęli miecz we dwóch, a Paszka podszedł tymczasem spokojnie do rycerza i przejechał scyzorykiem po jego zbroi.

Rycerz puścił miecz i uniósłszy wielką żelazną pięść, odwrócił się do Paszki.

I oto wszyscy widzowie na stadionie dosłownie położyli się ze śmiechu.

Jak wiadomo, zbroja rycerska jest ściągnięta rzemieniami.

Te właśnie rzemienie przerznął Paszka swoim słynnym samoostrzącym się scyzorykiem.

I kiedy Czarny Wilk podniósł żelazną pięść, by przygwoździć Paszkę do ziemi, żelazne portki opadły i spętały go niczym nie okielznanego konia.

Czarny Wilk szarpnął się ku Paszce, stracił jednak równowagę i, zaplątawszy się w zbroi, runął na ziemię. Tym razem ostatecznie.

Paszka nie spiesząc się podszedł do pokonanego wroga i postawił mu nogę na piersi.

Stadion dosłownie trząsł się od oklasków.

– Dobij go! – wrzeszczeli widzowie. – To znany łajdak i ciemieżca. Nie oszczędzaj go!

Ale już podbiegli sędziowie, a król machnął chusteczką poplamioną lodami.

Strażnicy pochwycili Paszkę i wykręcili mu ręce do tyłu.

– Natychmiast skaż go na śmierć, Najjaśniejszy Panie! – żądał szambelan. – On nas zhańbił zwyciężając naszych najznamienitszych rycerzy. Któż teraz poczuje strach przed nami?

– Spalić go! – nalegał biskup. – Zwyciężył dzięki diabelskim sztuczkom!

Ale równocześnie wszyscy widzowie na stadionie, zagłuszając groźne słowa wielmożów, skandowali:

– Dziel-ny ju-nak!

I jeszcze:

– Pu-char dla zwy-cięż-cy!

Nad odległą trybuną uniósł się transparent:

Oto jak dzielni junacy

Zwyciężają w Żangletacy!

– Słusznie – oświadczył król, któremu nie można było odmówić szybkiej orientacji. Wstał i ujął puchar w ręce. – Przyprować do mnie zwycięzcę!

Sędziowie zobaczywszy gest króla, zaczęli szybko podnosić rycerza Czarnego Wilka.

– Co za durne pały – skrzywił się król. – W ten sposób wywołają całe powstanie. Prowadźcie drugiego.

Kupiec tymczasem wybiegł na pole i uprowadził obydwu konie. Nikt poza Alicją tego nie zauważył.

Paszka pod ochroną strażników oraz sędziów wszedł bocznymi schodami do królewskiej loży.

Wśród owacji stadionu i w obecności kwaśno uśmiechających się wielmożów król wręczył mu kryształowy puchar i uściśnął rękę.

ZWYCIĘZCA NIE UJDZIE KARY

– No, mieliśmy szczęście – powiedziała z ulgą Alicja i poszła do Paszki, by go zabrać do domu.

– Nie łudź się – usłyszała głos błazna. Zdziwiła ją jego smutna mina.

– Co panu jest, Fu-Fu? – spytała.

– Nie dowierzaj uśmiechom królów – odpowiedział błazen. – Bo ani się obejrzysz, jak ci spadnie głowa.

– Cóż mi mogą zrobić?

Kątem oka obserwowała Paszkę. Zdjął hełm i nie bez zadowolenia przyjmował gratulacje wielmożów. Ściskali mu kolejno rękę, wypyując uprzejmie: „Gdzie się pan uczył sztuki rycerskiej?”, w oczach mieli złość, ale rycerz Czerwonej Strzały przyjmował wszystko za dobrą monetę.

– Co mogą zrobić? – powtórzył błazen w zadumie, jak gdyby stać ich było na tyle różnych podłogi, że aż nie wiadomo, co wybrać. – Koniecznie trzeba uciec przed kolacją – odezwał się wreszcie. – W czasie kolacji z pewnością Paszkę otrują. Daję na to słowo.

– Ale przecież odjedziemy zaraz. Koniec.

– Żeby ci się tylko udało.

– No, wspaniale – powiedział król patrząc na Paszkę z czułością. – Teraz zapraszam na kolację. Zabawimy się przyjemnie. Mam nadzieję, że wszyscy zostaniemy przyjaciółmi?

Ostatnie słowa skierowane były do markiza i rycerza Czarnego Wilka, którzy stali z tyłu ponurzy jak gradowe chmury. Rycerz Czarnego Wilka nabrał zadziwiającego podobieństwa do króla, oczy mu się wybałuszyły, wargi, broda i nos wysunęły naprzód, a policzki się zapadły.

– Przepraszam – powiedział Paszka ciągle jeszcze się uśmiechając – ale muszę pilnie wracać do domu.

Król ujął go pod rękę.

– Posłuchaj, rycerzu – rzekł. – To nie przystoi. Nawet nieuczciwie. Zdobywasz puchary, zwyciężasz moich junaków, a królewską gościnę odrzucasz. Zadzierasz nosa, co?

– Ależ skąd – odparł Paszka. – Nie chciałem cię obrazić, Najjaśniejszy Panie.

– No to świetnie – powiedział król. – Dwadzieścia minut przerwy. Za pół godziny wszyscy mają być w sali. Umyję tylko ręce i zaczynamy.

Król poszedł w kierunku wyjścia, pozostali za nim. Dopiero wówczas udało się Alicji dopchnąć do Paszki. Kroczył jak indyk, trzymając pod jedną ręką hełm z piórami, pod drugą – kryształowy puchar.

– Też mi rycerz – szepnęła Alicja. – Teraz go ratuj.

– Mnie ratować? – zdziwił się Paszka. – Toż ja wszystkich rycerzy jedną ręką położę.

– Jakoś tego nie było widać – powiedziała Alicja. – Pierwszy wyleciał z siodła, bo mu ktoś nadciął popręg, i nawet prawie wiem, kto to zrobił. A drugiego zwyciężyłeś, bo jesteś sprytniejszy

i umiesz grać w hokeja. A co do siły, to daleko ci do nich.

– A jeśli nawet – upierał się Paszka – to przecież otrzymałem puchar i król mi gratulował. A ty zaraz – ratować...

– Poczekajże – przerwała mu Alicja – chwalić się będziesz w kółku biologów. W średniowiecznych obyczajach orientuję się lepiej od ciebie. Najważniejsze to uciec przed kolacją.

– Dlaczego? Zjemy kolację i pojedziemy. Jestem okropnie głodny. Te pojedynki wyciskają z człowieka ostatnie poty.

– Podczas kolacji niewątpliwie cię otrują – powiedziała Alicja. – Albo ukatrupią w jakiś inny sposób.

– Zbikowałaś! Za co?

– A mało to im krwi napsułeś?

– Bzdura, mimo zacofania to jednak rycerze.

– No, to obejrzyj się, rycerzu – rozległ się głos błazna, który, okazało się, siedł bezszelestnie obok nich. Dwa kroki z tyłu, niemal deptając im po piętach, maszerowali wielkimi krokami dwaj strażnicy z obnażonymi mieczami.

– Myślisz, że to warta honorowa? – zapytał zjadliwie błazen.

– Proszę się nie wtrącać do cudzych rozmów – niegrzecznie odpowiedział mu rycerz Paszka. – Wystarczy, że usiłował mnie pan odwieść od turnieju jak ostatniego tchórze.

– Pycha cię rozsadza – zauważyła Alicja. – To bardzo niebezpieczne. Masz tu niewielu przyjaciół.

– Całkiem niewielu – potwierdził błazen. – I uciec będzie niełatwo.

Na ulicy wyprzedził ich markiz z Czarnym Wilkiem. Markiz umyślnie potrącił Paskę łokciem tak mocno, iż ten upuścił hełm i o mało nie upadł. Czarny Wilk podsunął mu hełm nogą i obaj rycerze wybuchnęli głośnych rechotem.

– Ja was... – zaczął Paszka.

Ale po przeciwnikach śladu już nie było. Błazen nachylił się do ucha Alicji:

– Spróbujemy uciec, kiedy dojdziemy do drzwi. Tam jest ciemno, wiesz o tym. Na mój znak pobiegiecie. Gryko już zaprzągnął karetę królowej Izabelli, czekają na nas.

Alicja skinęła głową.

– A przez ten czas przekonaj swego rycerza, by ci był posłuszny.

Gdy tak szli w stronę pałacu, kibice poznając Paskę, machali doń i krzyczeli:

– Gratulujemy, Czerwona Strzało! Oczekujemy cię na następnym turnieju!

Paszka uśmiechał się, a w końcu powiedział prawie serio:

– Dziwne, że nikt nie poprosił o autograf.

– Przecież oni tu wszyscy są analfabetami! – wzruszyła ramionami Alicja. – Paszka, opamiętaj się i spróbuj mnie wysłuchać. Jeśli wykręcisz jeszcze jakiś numer, zapamiętaj sobie, że na stacji biologicznej twoja noga więcej nie postanie. I zapomnij o wyjeździe do dżungli.

– A może ja tu w ogóle postanowiłem zostać – odparł Paszka. – Zostanę obrońcą biednych i słabych. A jeśli zaczną mnie prześladować, zostanę rozbójnikiem, będę dokonywał napadów na baronów jak Robin Hood.

– Świetna myśl – zauważył idący z tyłu błazen. – Pewnie z łuku umiesz strzelać jak Robin Hood?

– Nauczę się – nie spieszył się Paszka.

Alicja zrozumiała, że musi się uciec do ostatecznego środka.

– Poza tym – powiedziała twardo – o wszystkim się dowie twoja mama. Daję na to słowo honoru.

– No już... – rycerz Czerwonej Strzały spadł nagle z obłoków na ziemię. – Mogłabyś się obejść bez takich pogroźek.

Minęli podwórze i weszli do pałacu tylnym wejściem.

– Jak ci dam znak, zaczniesz uciekać – szepnęła Alicja i wyciągnęła rękę, by nie zgubić Paszki w ciemności.

Weszli do korytarza, za którym zaczynały się ciemne schody prowadzące do góry.

Nie zdołali jednak tam dotrzeć.

SĄD W PAŁACU

W sali stali rzędem strażnicy, a na ich czele – szambelan. Alicja wyczuła coś niedobrego, szarpnęła Paszkę w bok, lecz on, dźwigając swój hełm i puchar, był niezdarny jak hipopotam.

Z bocznych drzwi również wyszli strażnicy.

– W imieniu króla – powiedział szambelan – aresztuję rycerza Czerwonej Strzały, czarownika i samozwańca.

– Nie było takiego królewskiego rozkazu! – zaprotestował błazen. – To ty załatwiasz swoje porachunki.

– Właśnie że go zaprowadzimy prosto do króla. I tam wyjaśnimy wreszcie, kto kłamie, a kto rzuca oszczerstwa – odparł szambelan.

Strażnicy odepchnęli Alicję od Paszki, jemu zaś wykręcili ręce do tyłu, puchar i hełm upadły na ziemię. Cały kłęb z Paszką w środku potoczył się w górę po schodach.

Alicja usłyszała tylko jego słaby okrzyk:

– Nie macie prawa mnie tknąć!

– Prawo, prawo... – westchnął błazen podnosząc upuszczony puchar. – Ostrzegałem go.

– Prędszej, musimy uwolnić Paszkę! – błagała Alicja.

– Och, z tymi dzieciakami! – Jak go chcesz uwolnić? Chodźmy do króla. Może to jednak nieporozumienie.

W sali jadalnej było pusto. Tylko służdy kręcili się wokół stołów rozstawiając talerze.

– Widział ktoś z was króla? – spytał błazen.

– Jego Królewska Mość poszedł do sali tronowej – odparł sługa. – Bardzo się spieszył. Nawet rąk nie umył.

– No, no – pokręcił głową błazen, aż zadzwoniły wszystkie dzwoneczki na jego kołpaku. – Żeby odłożyć kolację – czegoś takiego nie pamiętam.

Król był w sali tronowej. Pachniało w niej kurzem, a między kolumnami, dokąd nie mogli sięgnąć sprzątacze, wisiały firanki pajęczyn. Pod kolumnami tłoczyli się wielmoże i rycerze – kiedy zdążyli się tu zbiec?

Alicja z błaznem weszli bocznymi drzwiami akurat w chwili, gdy król sadowił się wygodnie na tronie, mówiąc do pochylonego ku niemu biskupa:

– Tylko proszę szybciej. Nie umyłem jeszcze rąk. Nie mogę przecież zasiąść do stołu z brudnymi rękami.

– Twoja wola, królu – zauważył biskup. – Ale twój ojciec ani dziad nigdy nie myli rąk. Nie przeszkadzało im to być wielkimi władcami.

– Mój ojciec był wielkim żarłokiem – odparł król. – A dziad – wielkim opojem. Ty zaś, biskupie, jesteś wrogiem postępu. Wprowadzać oskarżonego.

W sali pojawił się rój strażników. Ustawili się półkolem i wtedy okazało się, że pomiędzy nimi stoi chłopczyk w poszarpanym brudnym ubraniu.

Paszka bez zbroi i tarczy wydawał się znacznie mniejszy, godności też jakby mu ubyło.

– Na kolana! – rozkazał szambelan.

– Nie mam zamiaru – odburknął Paszka.

Rozległy się chichoty. Paszka nie był groźny dla nikogo.

– O co oskarżony?

– Oskarżamy tego młodego człowieka – biskup wystąpił krok naprzód – że przy użyciu czarodziejskiej siły zakłócił spokój naszego państwa. Ograbił szacownych ludzi, w oszukańczy sposób pokonał naszych najlepszych rycerzy i wyciągnął z ognia czarownicę. Zasłużył tym na śmierć.

– Śmierć! – wykrzyknęli wielmoże. – Śmierć!

– A niedawno samiście mi puchar wręczali, ściskali dłoń – wymówił z goryczą Paszka.

– Aj-aj-aj. Przecież faktycznie wręczyłem mu puchar – zgodził się król. – Jak to się stało, oszukano mnie?

– Rozumie się – powiedział biskup.

– A właśnie że nieprawda. Mnie nikt oszukać nie może. W przeciwnym razie nie byłbym królem. Od samego początku wszystkiego się domyśliłem. Ale przecież nie mogłem uśmiercić go na stadionie. Nie spodobałoby się to ludowi, który nie znosi moich wspaniałych rycerzy, a także ciebie osobiście, drogi biskupie. I bardzo słusznie, ponieważ tak okrutnego łowcy czarownic dotychczas w naszym królestwie nie było. Mimo wszystko dla porządku musimy przykładowo ukarać wicherzyciela.

Nie w smak było biskupowi słuchać tej przemowy. Nawet mu nochal poczerwieniał z oburzenia. Wziął się jednak w garść i jak gdyby nigdy nic ciągnął:

– Świadkowie, proszę podejść tutaj!

Szambelan popchnął markiza Fafifaksa i Czarnego Wilka. Rycerze pokłonili się królowi.

– Czy ten chłopak pokonał was w ucziwej walce? – spytał biskup.

– Oszustwem! – wysyczał Czarny Wilk spłaszczonymi wargami.

– Czarami! – powiedział markiz i splunął w stronę Paszki.

– Więcej świadków nie ma? – spytał biskup. – No, widzicie...

Alicja wybiegła zza kolumny.

– Ja jestem świadkiem – zawołała.

– Jesteś cudzoziemką! – powiedział biskup.

– Niech mówi – uśmiechnął się król. – I tak zadecydujemy, jak nam będzie wygodniej.

– Niech żyje król! – wykrzyknęli dworzanie.

– Wszystko to jest nieuczciwe – powiedziała Alicja, starając się powstrzymać łzy oburzenia. – Na stadionie nie było żadnych czarów. Wszyscy widzieli...

– I co z tego? – spytał król. – To znaczy, że źle patrzyli.

– Poza tym to obcy rycerz. Z mojego królestwa. Izabella może potwierdzić. Bardzo proszę, puśćcie go wolno. Dopilnuję, żeby tu więcej nie powrócił.

– Nie poniżaj się przed nimi, Alicjo – powiedział Paszka.

Błazen podbiegł z boku i zaczął przekonywać króla:

– Po co nam zatargi z sąsiadami? Mamy dosyć wewnętrznych kłopotów. Jeszcze wypowiedzą nam wojnę...

– Zamilcz, błaznie – przerwał mu król. – Sąsiedzi daleko. Co ich obchodzi jakiś mały włóczęga? A moi rodzimi wielmoże są blisko. Kto jest dla mnie groźniejszy: chłopak czy biskup? Dziś ja pomogę biskupowi, jutro on mnie. Na przykład mam zamiar przeprowadzić remont zamku, a w skarbcu ani grosza...

– Trzeba o tym pomyśleć – zauważył biskup.

– No widzisz. A ty mi: sąsiedzi, sąsiedzi, opinia zagranicy... Kontynuuj, biskupie.

– Niektórzy tutaj – mówił dalej biskup – straszą nas obcymi mocarstwami. A właśnie, kto może przysiąc, że to jest prawdziwa księżniczka.

– No, trochę za daleko się posuwasz, biskupie – przerwał mu król. – To cioteczna wnuczka Izabelli po kądzieli.

– Nie jestem przekonany – powiedział biskup. – Ale nie o to chodzi. Jeśli masz, królu, jakieś prawne wątpliwości, to ci przyprowadzę zaraz takiego świadka, że palce lizać. Żadna zagranica nawet nie piśnie.

– Oby tak było. Strasznie nie lubię międzynarodowych komplikacji. Wprowadzić świadka.

Na znak biskupa drzwi się otworzyły i jakiś mnich wciągnął skrzepowaną sznurem małą dziewczynkę. Miała na sobie podartą sukienkę, twarz umazaną i zapłakaną.

– Puśćcie ją natychmiast! – krzyknął Paszka.

Alicja gdzieś już tę dziewczynkę widziała.

– Aha, poznałeś ją? – biskup wyraźnie się ucieszył. – Kim ona jest?

– Po prostu małą dziewczynką – powiedział Paszka. – Przestańcie ją męczyć.

Po poblądłej twarzy błazna stoczyła się łza. Gdzież jest Izabella?

– Teraz w niczym im już nie pomożemy – wyszeptał.

– Znasz tego człowieka? – spytał biskup dziewczynkę.

– Ten wujek wyciągnął mnie z ognia i odprowadził do domu – powiedziała dziewczynka. – Wujku, dlaczego oni znów mnie zabrali?

Biskup triumfował.

– Proszę, królu. Z ogromnym trudem udało się moim ludziom odnaleźć jeszcze raz tę czarownicę na strychu, gdzie ją ukryli rodzice. Nikt nie umknie przed naszym wymiarem sprawiedliwości. Choćby i dziesięć razy wyciągali ze stosu tę czarownicę, my znów ją tam wrzucimy!

– A na czym właściwie polega jej wina? – spytał król. – Coś ona strasznie mała jak na czarownicę.

– Wiek się u nich nie liczy – powiedział biskup – zdarzają się nawet czarownice-noworodki. Donieśli nam na nią sąsiedzi. Rysowała na piasku magiczne figury.

– Rysowałam obrazki – wyjaśniła dziewczynka – a nie figury.

– A jedna z figur przypominała Waszą Królewską Mość – dodał szybko biskup. – Wiesz, królu, co to znaczy?

– Tfu, tfu, na psa urok! Mogłem przecież od tego zachorować, a nawet umrzeć! – przestraszył się król. – To wszyscy wiedzą.

Wielmoże szemrali i starali się nie patrzeć na czarownicę.

– Rysowałam dobrego króla – powiedziała dziewczynka.

– Żadnej litości! – warknął król. – Wszystkie one to jedna banda.

– Łącznie z księżniczką i królową Izabellą – uzupełnił spieszenie biskup.

Ale król już się zreflektował.

– Ty byś wszystkich aresztował. Wystarczy ci rycerz i czarownica. Rób z nimi, co chcesz. Ale od moich krewnych – wara!

Biskup skłonił się. Dopiął swego.

– Można odczytać rozkaz Waszej Królewskiej Mości? – spytał z wyraźnym triumfem.

– Już gotów? – król bynajmniej się nie zdziwił.

– Gotów – powiedział szambelan rozwijając rulon z zawieszoną u dołu pieczęcią: – „My, król i władca, rozkazujemy czarownika i samozwańca, znanego pod imieniem rycerza Czerwonej Strzały, oraz jego przyjaciółkę czarownicę spalić na stosie. Podpisano własnoręcznie. Król”.

– Nie, tak nie może być – zaprotestował król.

W sercu Alicji błysnęła iskierka nadziei. Natychmiast jednak zgasła, król bowiem dokończył:

– Nie wypada spalić rycerza. Zetniemy im głowy i basta. Nie zapominajcie o humanitaryzmie.

– Niech żyje nasz dobry król! – zawołali dworzanie.

– Koci koci łapci – powiedział król. – Dawaj, machnę podpis. I na kolację. Przecież w ten sposób można skończyć z głodu.

Wziął podane przez szambelana orle pióro, podpisał się pod rozkazem i rzekł do Paszki, wstając z tronu:

– Osobiście nic przeciwko tobie nie mam, rycerzu Czerwonej Strzały, i nawet z przyjemnością przyglądałem się twoim pojedynkom. Jako człowiek uczciwy potwierdzam nagrodę pucharem. Niech ten puchar pozostanie z tobą nierozłącznie aż do samej śmierci.

Rozległy się brawa i okrzyki: „Niech żyje król!”

Król zaś zeskoczył rączo z tronu i rzucił się do bocznych drzwi nie chcąc tracić ani chwili. Musiał przecież umyć ręce, a nuż kolacja ostygnie.

KAT POTWIERDZA

– Najjaśniejszy Panie – podskoczyła za królem Alicja, – To jest nie do przyjęcia...

Króla nie dogoniła, a strażnicy na znak szambelana złapali ją natychmiast za ręce i zatkali jej usta. Zrobili to tak zręcznie, że straciła głowę, widząc wokół tylko ich wysokie buty i skórzane brzuchy.

Tłukła się o nogi-kloce jak myszka okrążona przez słonie, a kiedy nogi rozstały się, zobaczyła, że stoi pośrodku opustoszałej sali.

Tylko słudzy gasili świece.

Na podwyższeniu przy tronie spostrzegła zasmuconego błazna Fu-Fu. Jego ubielona twarz była pobrużdżona strumieniami łez, błazeński kołpak zsunął się na ucho... Alicja wzięła się w garść i powiedziała głośno, choć sama nie wierzyła w to, co mówi:

– Dostyc już łez! Jak długo tak można! Idziemy do króla. Nie dam mu opijać się kompotem, dopóki nie przestanie tak ohydnie postępować.

– Akurat cię wysłucha! – zawołał błazen. – W dodatku obawia się, że biskup go otruje albo szambelan poderżnie mu gardło. To przecież istny skorpion. Kto prosił twego Paszkę, żeby tu przyjeżdżał i urządził przedstawienie?

– Jeśli pan nie idzie, pójdę sama.

– I sama głowę oddasz, a chłopcu nie pomożesz – odparł błazen nie ruszając się z miejsca. – A beze mnie do króla nie trafisz, zabłądzisz w pałacu.

– Może potrzebuje pan pieniędzy? Przecież pan je lubi? Obiecuję, że gdy tylko wrócę, przyślę panu, ile tylko pan zażąda. Pomogą mi.

– Głupia. Raz w życiu jestem bezinteresowny, to mi nie wierzą!

W tym momencie usłyszeli głos trąby. Taki smętny, jak gdyby wilk zabłądził w ciemnych korytarzach.

– No tak – powiedział błazen. – No tak. Spóźniliśmy się.

– Jak to spóźniliśmy?

– Rozpoczyna się egzekucja.

Alicja złapała go za pasiasty rękaw i szarpnęła tak mocno, że straciwszy równowagę, stoczył się z podwyższenia, ale natychmiast zerwał się na równe nogi i pobiegł do drzwi.

Alicja za nim.

Pędzili ciemnymi korytarzami i schodami, zdawałoby się, bez końca.

– A gdzie Izabella? – rzuciła Alicja w biegu.

– Szykowała nam ucieczkę – odparł błazen. – Ale wszystko na próżno. Przeciwno nim trzeba by co najmniej dywizji z działami. Perswazje nie trafiają do nich.

Nieoczekiwanie trysnęło im w oczy światło.

Zbiegli po schodach na niewielki plac. Z jednej strony graniczył z pałacem, z trzech pozostałych stały domy – szare, ponure, wysokie, z wąskimi oknami.

Pośrodku placu wznosił się drewniany szafot.

Na szafocie – wielki pień. Obok – puchar Paszki.

Po jednej stronie pnia stali Paszka i mała czarownica. Chłopiec trzymał ją za rękę i starał się ją uspokoić. Dziewczynka szlochała.

No pewnie, pomyślała Alicja, drugi raz w ciągu dnia chcą ją stracić.

Paszka był blady jak płótno. Nawet leciutko dygotał. Ale jakoś się trzymał.

Z drugiej strony pnia przestępował z nogi na nogę mężczyzna ogromnego wzrostu, z długą fryzowaną brodą, w krótkiej czerwonej pelerynie i czarnych spodniach. Jak na kulach opierał się na olbrzymim toporze. Był to kat. Obok stał biskup.

Szafot otoczony był łańcuchem strażników.

Za nimi tłoczyli się wielmoże i rycerze, kupcy i dworzanie, których Alicja widziała już na obiedzie u króla, a także na stadionie.

Lud przyglądał się temu przedstawieniu z okien domów i z zaułków wychodzących na plac.

– Oto widzicie – powiedział biskup podchodząc nieco bliżej – jak wielka jest łaskawość naszego króla. Zamiast spalić czarowników na stosie, ofiarował im humanitarną śmierć z ręki naszego szanownego mistrza.

Kat skłonił się zgromadzonym.

Następnie biskup odwrócił się do skazanych i zapytał:

– Czy żałujecie swych ciężkich przestępstw?

– Nie wiem – odparła dziewczynka.

Paszka zaś wzruszył ramionami. Może miał nadzieję, że to wszystko sen?

– Jakie jest twoje ostatnie życzenie lub też skarga? – spytał biskup czarowniczkę.

– Chcę do mamy – odpowiedziała.

W tłumie dał się słyszeć szmer niezadowolenia. Wszyscy tu wierzyli w czarownice, ale mimo to niektórym zrobiło się żal dziecka.

– Ona tylko udaje dziecko! – zawołał biskup.

Ludzie zamilkli. Oczywiście, przecież jeśli się wierzy w czarownice, trzeba również wierzyć w to, że potrafią udawać małe dziewczynki.

– A ty, czarowniku i samozwańcze, masz jakieś ostatnie życzenie: – spytał biskup Paszkę.

– Puśćcie mnie wolno – odparł Paszka. – I odjadę stąd.

Wielmoże i rycerze poczęli urągać głośno i krzyczeć:

– Tchórz! Kończ z nim, kacie! Hańba!

Paszka spurpurowiał, rozzłościł się i wykrzyknął, zagłuszając gwizdy i krzyki:

– Wcale nie stchórzyłem! Sami jesteście tchórze! Nie potrzebuję waszej litości...

– Może to wszystko jest tylko złudzeniem? – spytała Alicja błazna.

Fu-Fu pokręcił przecząco głową.

– To już nie złudzenie...

Biskup machnął ręką.

Dobosze uderzyli w bębny.

Alicja zdawała sobie sprawę, że trzeba biec, przerwać te straszliwe kpiny. Ale jak w koszmarnym śnie nogi odmówiły jej posłuszeństwa, język skołowaciał, i tak stała niby woskowa

lalka, patrząc, jak kat bez pośpiechu przeciera sukniem i tak błyszczący topór, a jego pomocnicy prowadzą Paskę do pnia i każą mu przed nim uklęknąć.

Nagle usłyszała, że z tyłu ktoś do niej podbiega. Nie mogła odwrócić oczu od szafotu, czuła jednak, jak jej ramienia dotyka delikatna ręka, i nagle zapragnęła usłyszeć matczyzny głos: „No obudź się wreszcie, Alicjo, spóźnisz się do szkoły”.

Głos należał jednak do królowej-macochy:

– Alicjo, słyszysz mnie?

– Gdzie pani była, królowo? Czemu się pani spóźniła?

– Nie wolno upadać na duchu. Jeszcze nie wszystko stracone. Przyszłam, by ci przypomnieć o pewnym starym obyczaju.

– Prędeż! Jakim obyczaju? Jakim?

Kat skończył przecierać swój ulubiony topór, wyrwał włos z brody, podrzucił go i rozciął w locie przy wielkich brawach wielmożów.

– Nie słyszałaś o tym? Jeżeli niewinna młoda dziewczyna nazwie skazanego swym narzeczonym...

– Przypomniałam sobie! – wykrzyknęła Alicja. – Stójcie!

Ale łoskot bębnow zagłuszył całkowicie jej słowa.

Rzuciła się przez zbity tłum wielmożów i rycerzy, wijąc się jak żmija i puszczając w ruch spiczaste łokcie i kolana. Usiłował powstrzymać ją gruby markiz, wyciągały się do niej łapy strażników i mnichów, ale ona przytrzymując białą suknię, frunęła po chybocących się schodach na szafot i stanęła obok kata.

Kat już wznosił topór nad głową Paski.

– Stójcie! – zawołała Alicja.

Bębny tarabaniły w dalszym ciągu.

Ale obok stała już królowa-macocha. Podniosła władczy gestem szczupłą rękę i na ten znak dobosze natychmiast zareagowali.

Biskup skrzywił się, jakby go zabolął ząb.

Zapadła martwa cisza, słyhać było tylko, jak głośno i szybko bije serce Paski.

– Wysłuchajcie księżniczkę! – powiedziała Izabella.

– Posłuchajcie – Alicja mówiła niezbyt głośno, ale jej słowa dolatywały do najwyższych pięter domów i przenikały do zaułków. – Jest taki stary obyczaj. Młoda dziewczyna może uznać skazańca za swego narzeczonego, a wtedy musicie go uwolnić.

– Prawda! – rozległy się głosy na placu. – Był taki obyczaj.

– Dawno już został uchylony! – zreflektował się biskup. – Już nie istnieje.

– A kto go uchylił? – spytała surowo Izabella. – Wejdz tu, stary szachraju, i przysięgnij wobec wszystkich, że ten obyczaj został uchylony.

– Nie jest uchylony! Nie jest uchylony! – rozlegały się okrzyki na placu.

– Uchylony! – wrzasnął markiz.

I nagle dał się słyszeć cienki, niemal dziecinny, ale ogromnie przenikliwy głosik. To mówił potężny kat, który dominował nad wszystkimi jak góra.

– Ja wiem najlepiej! Jestem specjalistą. Nikt tego obyczaju nie uchylał, tylko dawno nie było dziewcząt, które chciałyby mieć skazańca za narzeczonego, zwłaszcza czarownika. Dla mnie to bardzo niekorzystny obyczaj, ale jestem uczciwym katem.

– Biorę więc tego rycerza za narzeczonego – powiedziała Alicja.

– Hurrra! – wykrzyknął błazen, który już rozwiązywał ręce Paszce i pomagał mu podnieść się z kolan. I dodał: – Ale ty, Alicjo, będziesz musiała wyjść za niego za mąż. Nie zazdroszczę ci.

– Orkiestra – marsza weselnego! – rozkazała królowa-macocha.

Orkiestra posłusznie zagrała uroczystego marsza, Alicja podała Paszce rękę i poszła z nim ku schodkom prowadzącym w dół. Kat machał za nimi toporem.

– Prędszej! – ponaglała ich Izabella. – Przecież oni zaraz się spostrzegą. – Konie czekają w tym zaułku.

– Paszka, co ty wyrabiasz? – krzyknęła Alicja.

Ale Paszka rzucił się z powrotem.

– Czarowniczkę! Nie zostawię im czarowniczki!

– Ani mowy! Zgubisz wszystkich! – przeraził się błazen.

Ale Paszka już chwycił małą i puścił się w ślad za pozostałymi.

– Droga dla młodych! – zawołał cienkim głosem kat. – Niech żyje stary obyczaj! Nie zapomnijcie pucharu!

Izabella szybko szła przodem, a wielmoże, rycerze, strażnicy i mnisi chcąc nie chcąc rozstępowali się przed nią.

UCIECZKA Z MIASTA

Nie zdążyli dobiec do zaułka, gdy z tyłu doleciał cienki głos:

– A dlaczego zabraliście czarownicę? Zwróćcie mi ją!

– Oszustwo! – oprzytomniał biskup. – Łapać ich!

Do zaułka brakowało jeszcze ze dwudziestu kroków. Z przodu nadbiegali już dwaj strażnicy z wyciągniętymi halabardami, ale królowa-macocha błysnęła okiem i rozkazała królewskim, nie znoszącym sprzeciwu głosem:

– Wracać! Jak śmiecie!

Strażnicy zatrzymali się. Jakże biedacy mieli się połapać, kogo słuchać, a kogo nie?

U wlotu zaułka tłoczyli się gapie, którzy natychmiast się rozstąpili formując korytarz, na którego końcu stała tyłem do placu kareta. Górowała nad nią kudłata głowa giermka Gryka siedzącego na koźle. Podniósł rękę, ponaglając przyjaciół.

Za plecami uciekinierów tłum się od razu zamknął i goniący ich strażnicy chcąc nie chcąc zatrzymali się, roztrącając upartych gapiów.

Pierwszy do karety wskoczył Paszka z dziewczynką na rękę, następnie Alicja, potem błazen z pucharem, a gdy kareta już ruszała – królowa-macocha. W tej chwili zupełnie nie przypominała królowej – bujne włosy były potargane, policzki zaróżowiły się, koronę gdzieś zgubiła po drodze.

Koła karety zastukały o bruk. Zgiełk i okrzyki tłumu ucichły.

– Już po wszystkim? – spytała Alicja.

– Wątpię – odparł błazen wyglądając przez tylne okienko karety. – Nie bardzo sobie wyobrażam, jak się wydostaniemy z miasta. W każdej chwili mogą zamknąć bramy.

– Ech, że też nie mam konia ani miecza – westchnął Paszka. – Zatrzymałbym ich.

– No nie, spójrzcie tylko na niego – roześmiała się Izabella, która wydostała właśnie zwierciadełko i grzebyk. – Jeszcze się nie udało nam uciec, a ten znów udaje bohatera.

Paszka nachmurzył się. Był obrażony..

– Rzeczywiście, milczałbyś lepiej – nie wytrzymała Alicja. – Tyle kłopotów przez twoją lekkomyślność.

Wyjrzała przez okno. Z domów wychylały się zdumione twarze – nikt jeszcze do tej pory nie widział, by kareta z herbem królewskim pędziła jak szalona ulicami. Królewskie karety powinny jeździć z godnością.

– Tak mi pani brakowało – powiedziała Alicja do Izabelli.

– Miałam nadzieję, że Paszka zdoła uciec ze stadionu. Pobiegłam więc na poszukiwanie Gryka. Wyprowadziliśmy razem moją karete z stajni. A później popędziliśmy nią na plac kaźni. Omal się nie spóźniliśmy.

Kareta zwolniła.

– Zaraz będzie brama – oznajmił błazen.

– Posuń się, Fu-Fu – powiedziała Izabella. – Szkoda, że zgubiłam gdzieś koronę.

Otworzyła okienko i wyjrzała na zewnątrz. Kareta stanęła.

– Połóżcie się na podłodze – szepnął błazen do swych towarzyszy.

Alicja usłyszała leniwy głos komendanta straży przy bramie.

– Kto jedzie i w jakiej sprawie?

Odpowiedział mu zimny głos królowej:

– Nie poznajesz, chamie, swojej królowej?

– Jakże mam poznać bez korony? Proszę mi pokazać dokumenty.

– Gdzie widziałeś, bałwanie, żeby królowe woziły ze sobą dokumenty?

– Nie widziałem, oczywiście, tylko słyszałem.

– Okropność, krata w bramie opuszczona – zajęczał błazen.

– Ach tak! – zdenerwowała się Izabella, otwierając szeroko drzwi karety i wyskakując na ulicę. –

A teraz mnie poznajesz?

– Poznają, Najjaśniejsza Pani, poznają po sukni! – odparł strażnik. – Podnosić kratę, opuszczać most! Jej Królewska Mość raczy się gniewać.

Zazgrzytały żelazne łańcuchy.

– Ja tu nie mam nic do gadania – perorował strażnik. – Mnie kazano sprawdzać dokumenty i po obiedzie nikogo z miasta nie wypuszczać. Oczywiście, bywają wyjątki... I do karet przykazano zaglądać. Jego ekscelencja szambelan mówił mi: „Niech tam będą nawet twoi rodzice, sprawdzaj i tak, żeby nie było kontrabandy albo zbiegów. Gdyby nie sprawdzać, ucieknie połowa miasta”.

– Zaraz, chwileczkę – powiedziała Izabella.

Rozległ się szelest materiału i brzęk.

– Wyjęła sakiewkę – szepnął błazen. – No pewnie. To jedyny sposób. Co oni się tak guzdrzą?

Z tyłu dobiegł ich hałas. Alicji wydało się, że rozróżnia krzyki i tętent kopyt. Jak wolno podnosi się krata!

– Masz, trzymaj – powiedziała Izabella. – Reszty nie trzeba.

– A to całkiem inna sprawa – rzekł na to strażnik. – Co się tam dzieje? Kto tam pędzi?

I równocześnie rozległ się głos Izabelli:

– Gryko, uciekaj co tchu!

– A Najjaśniejsza Pani?

– Postaram się ich zatrzymać! Mnie nie ośmielą się tknąć!

Konie ruszyły z kopyta i pomknęły jak szalone. Zaturkotały koła, tętent kopyt był coraz bliższy...

I wśród hałasu zabrzmiały słowa Izabelli:

– Szczęśliwej drogi, księżniczko Alicjo!

Naraz kareta przechyliła się, jak gdyby wjeżdżała pod górę.

– Ej, chwaty moje! – zakrzyknął na konie Gryko. – Nie dajcie się!

Kareta wpadła na nie całkiem jeszcze opuszczony zwodzony most, konie przeskoczyły przez szeroką szczelinę, a kareta przeleciała nad nią niczym narciarz ze skoczni, uderzyła przednimi kołami o drogę, jakimś cudem pozostając nienaruszona, i potoczyła się byle dalej od miasta.

ŻEGNAJ, BŁAŻNIE!

– Wszyscy żyją? – zapytał błazen.

– Ja tak – odpowiedziała malutka czarowniczka. – Prędko przyjedziemy do mamy?

– Nabiłem sobie drugiego guza – oznajmił Paszka. – Jak na turnieju.

– Nic ci nie będzie – powiedziała Alicja. Ona też stłukła kolano, ale się nie skarżyła. To i tak nic nie pomoże.

Błazen ukląkł na siedzeniu i patrzył przez tylne okienko.

– Czekają, aż most spuszczą, boją się przeskoczyć – powiedział. – Też mi zuchy.

– Czy oni nie zabiją Izabelli? – spytała Alicja.

– Teraz nie, nie odważą się. Ale w ogóle to powinna stąd wyjechać. Inaczej z całą pewnością ją otrują. Już dawno by to zrobili, ale Izabella sama dla siebie gotuje. Mnie też, jeśli wrócę. A może poderzną gardło. Nie taki znów ze mnie ważny ptaszek. Ale szkoda...

– Schowajmy się gdzieś, przeczekajmy – zaproponował Paszka – a potem wrócimy do miasta i zabierzemy Izabellę. Niebezpiecznie ją tu zostawiać.

– Nie, czas najwyższy wracać – powiedział błazen. – Oni teraz postawią na nogi całe królestwo. Jakoś sobie bez was poradzimy.

– Ale pan pojedzie z nami? – spytała Alicja.

– Nie, nie mogę. Ja, że tak powiem, jestem z innej bajki. Ale tę dziewczynkę musicie zabrać z sobą. Może ją wychowacie...

Kareta podskakiwała na wybojach – droga była paskudna, oto już powóz wspina się na pagórek, gdzie Alicja spotkała markiza i Gryka...

– Prędej! – krzyknął błazen. – Oni już wyjechali z miasta!

– I tak gonię ostatkiem sił – jęknął Gryko. – Jedno koło ledwo się trzyma, lada chwila odleci.

Błazen uchylił drzwi karety i wyrzwał na zewnątrz.

– Skręcaj w boczną drogę. I pędź do wąwozu. Wiesz gdzie?

– Wiem.

– Tam zatrzymaj się tak, by kareta zagroziła drogę.

Pomknęli w dół.

I znów poprzez turkot kół doniósł się tętent kopyt końskich.

Coraz bliżej, bliżej...

Błazen pochwycił dziewczynkę.

– Trzymajcie się! – krzyknął.

Kareta przechyliła się biorąc zakręt i znieruchomiła.

Pasażerowie powpadali na siebie. Drzwi otworzyły się.

Za drzwiami stał Gryko.

– Spieszcie się! – naglił biorąc dziewczynkę z rąk błazna.

Błazen czym prędzej wysiadł z karety.

Gdy Alicja zeskoczyła na ziemię, zobaczyła, że powóz stoi w poprzek drogi zamkniętej z obu stron stromymi zarośniętymi zboczami. Paszka opuścił karete ostatni.

– Biegnijcie za błaznem! – krzyknął Gryko.

W rękę trzymał miecz.

Pchnął Alicję i Paskę w stronę zarośli. Błazen z dziewczynką na rękach gramolił się już w górę.

– A ty? – spytała Alicja.

Rycerze byli już bardzo blisko z drugiej strony karety. Ściągali konie, by na nią nie wpaść.

– Ja ich zatrzymam! Żegnaj, Alicjo.

– Zostanę z nim – oświadczył Paszka. – Oni go zabiją!

Alicja złapała go za rękę i pociągnęła ku krzakom.

– Nic mi nie zrobią – krzyknął Gryko. – Nie darmo uczyłem się rycerskiego rzemiosła. Zatrzymam ich, a potem ucieknę i wyruszę w podróż. Albo zostanę marynarzem.

– Łapaj ich! – krzyczał markiz, ale z konia nie zsiadał.

– Trzymaj! – darł się rycerz Czarnego Wilka, kręcąc spleśzczoną głową.

Po raz ostatni Alicja widziała giermka ze szczytu zbocza. Kudłaty Gryko stał na dachu karety i odparowywał mieczem ciosy dziesięciu rycerzy naraz, którzy strasznie przeszkadzali sobie nawzajem na wąskiej drodze.

– Żegnaj, Alicjo! – zawołał. – Może kiedyś przyplynę do twojego królestwa.

– Prędzej! – popędzał dzieci błazen. – Oni już posłali naszym śladem, strażników. Paszka, zabieraj swój puchar, bo mi ciężko.

– Nie zapomniał go pan? – ucieszył się Paszka. – To cudownie!

– W takiej chwili zajmować się głupstwami! – zdenerwowała się Alicja i pomyślała sobie, że niektórzy chłopcy do starości pozostają dziećmi.

Udało im się zbiec przed strażnikami. Błazen długo prowadził zbiegów przez las, zacierając ślady, przechodząc w bród strumienie i kłucząc przez osypiska skalne.

Alicja była tak zmęczona, że oddałaby wszystko za chwilę odpoczynku. Ale nawet nie pisnęła. Błaznowi było jeszcze trudniej. Niósł na rękach dziewczynkę.

A kiedy Alicja już postanowiła usiąść na ziemi i umrzeć, las przerzedził się i zbiegowie znaleźli się na skraju polany.

Pośrodku stał nieduży zardzewiały statek kosmiczny z napisem na burcie: „Odwiedzajcie sklep Fuuksa!”

– To twoja kareta? – spytał błazen.

– Jak się pan domyślił?

– Ja wiem wszystko – odparł. – Inaczej zginąłbym w tym państwie.

Postawił dziewczynkę na ziemi.

– Przyrzekacie opiekować się nią?

– Przyrzekamy – zapewniła Alicja. – Żegnajcie więc, szczęśliwej drogi.

Paszka z Alicją, trzymając małą za rękę, poszli do statku.

– Ja też nim przyleciałem – oświadczył Paszka.

– Wiem. Zgubiłeś w nim znaczek.

Dochodząc do statku, obejrzeni się. Błazen stał na skraju lasu. Był drobny i smutny.

Zdjął z głowy błazeński kołpak i pomachał im. Dzwoneczki zadzwoniły cieniutko.

– Nie mam ochoty ich tu zostawiać – powiedziała Alicja.

Paszka pomógł jej i małej czarownicy wdrapać się na statek.

– Strasznie mi będzie żal, jeśli ich otrują – powiedział Paszka. – Bardzo nam pomogli.

Zamknął luk. Zrobiło się ciemno.

– Gdzie tu postawić puchar, żeby się nie stłukł? – zapytał.

– Trzymaj go w ramionach – odparła Alicja. – Narzeczony...

Ogarnął ją smutek.

JESZCZE RAZ FUUKS

Droga powrotna minęła szybko i prawie niezauważalnie.

Co prawda mała czarowniczka marudziła i prosiła o picie, a wody na statku nie było ani kropli.

Zapalił się napis:

„Planeta Penelopa.

Można wysiadać”.

Luk otworzył się ze zgrzytem niczym brama miasta.

Na zewnątrz był wieczór. Obok przeleciało stadko świecących ptaszków z długimi ogonami.

Było ciepło, jak zawsze na Penelopie, w słynnym Żangle-wielokropku.

W trawie uwijały się świetliki.

Drzwi prowadzące do kuchni Fuuksa były uchylone. Przez szczelinę padało żółte światło i słychać było dziecięcy śmiech.

– No – odetchnęła Alicja. – Chyba się udało.

Popatrzyła na Paszkę, który zeskoczył na ziemię i stał obok niej.

Nawet w mroku było widać, jaki jest brudny i obszarpany. Jakby przez okrągłe dwa tygodnie walczył ze smokami.

Alicja postawiła czarowniczkę na ziemi. Ją też należałoby ubrać. A i sama księżniczka...

Czarowniczka wyrwała rękę i pobiegła w stronę domu.

– Zaczekaj – powiedziała Alicja. – Wystraszysz ich tam.

– Oj, ale śmiesznie! – odparła dziewczynka.

Pewnym ruchem pchnęła drzwi kuchenne i w twarz podróżników uderzył snop światła.

Czarna sylwetka małej, jak w teatrze cieni, znieruchomiła na progu.

– Pamela! – rozległ się kobiecy okrzyk. – Jak ty wyglądasz! Natychmiast się przebierz i umyj ręce. Doprawdy nie można zostawiać was z ojcem!

Alicja i Paszka podeszli wąską ścieżką do drzwi i ostrożnie zajrzeli do środka.

Nieznajoma kobieta rozbierała małą czarowniczkę. Nad miednicą z gorącą wodą unosiła się para.

Wyszorowani do czysta chłopcy, synowie Fuuksa, skakali wokół i krzyczeli:

Nie wpuszczać takich brudasów

Do słynnego Żangletasu!

– Nic nie rozumiem – wyznała Alicja.

Chłopcy obejrzel się i spostrzegli gości.

– A ci jeszcze brudniejsi – zdziwił się jeden.

– Uspokójcie się, dzieci – rozległ się głos od drzwi.

Stał tam Fuuks. Był w chałacie usianym gwiazdami. Ciemne okulary i potężny nos nadawały mu złowieszczy wygląd, który absolutnie nie pasował do wesołego głosu.

– Witam was ponownie, przyjaciele! – zawołał. – Idźcie prosto do sklepu i zaczekajcie tam na mnie momencik.

Złapał dzieci za ręce i pociągnął za sobą. Gonił ich kobiecy głos:

– Myślisz tylko o innych, nigdy o mnie. Wracam do domu z konferencji na temat terminologii kwantowej, a tu dom przewrócony do góry nogami. Dzieci po pas w konfiturach, córki ani śladu, w końcu zjawia się wyglądając jak żebraczka, umazana od stóp do głów... Potem ty w swoim maskaradowym kostiumie ze sztucznym nosem, jakieś brudne dzieciaki... Przysięgam, że zmuszę cię do zamknięcia tego idiotycznego sklepu i zajęcia się czymś sensownym. Albo zabiorę dzieci i zostawię cię na łaskę losu...

Drzwi za Paską i Alicją zamknęły się, docierały tylko poszczególne dźwięki, jak dwie melodie – niska i surowa – żony Fuuksa oraz wysoka urywana – samego Fuuksa.

Sowa wciąż wisiała na sęku do góry nogami.

Na beczce leżały różnokolorowe papierki.

Na podłodze wałały się skorupy rozbitej wazy.

Zegar wybił siódmą, Alicja była w tym pokoju raptem godzinę temu.

Trzasnąwszy drzwiami wpadł do sklepu Fuuks.

– Ledwie się wyrwałem. No co, zadowoleni? – spytał. – Przygody były ciekawe? Dokumenty się przydały?

– Baltaz-aa-ar! – rozległ się krzyk zza drzwi. – Natychmiast ściągaj kostium i nakrywaj do stołu!

– Idę, kiciuniu! – odkrzyknął Fuuks. – No, dobra, do zobaczenia, wstępujcie, zawsze będę rad... Może gdzieś polecimy.

Fuuks pomachał im i popędził z powrotem, ściągając w biegu nos z przytwierdzonymi doń ciemnymi okularami. Chałat rozchylił się w biegu i wyjrzał spod niego chude nogi w obcisłych spodniach – jedna nogawka czerwona, druga – granatowa, identycznie jak u średniowiecznego błazna.

Drzwi zatrzasnęły się i znów otworzyły.

Wyjrzała spoza nich Pamela i mrugnęła do Paski.

– A ja jestem czarownicą! – powiedziała basem...

Na ulicy Pamiątkarskiej wszystko było po dawnemu. Jaśniały wystawy sklepowe, przechadzali się turyści. Najskromniejsza była witryna sklepu Fuuksa. Lampa naftowa rzuciła światło na białą kartkę papieru.

– Czytałeś? – spytała Alicja.

– No pewnie – odparł Paska. – Wszystko się od tego zaczęło.

– I nie żałujesz?

– Zwariowałam! Przeżyłbym to wszystko jeszcze raz!

– Nie, doprawdy jesteś beznadziejny – westchnęła Alicja.

Paska objął mocniej kryształowy puchar i powiedział, jak gdyby nic się nie stało:

– No, idziesz? Przecież czekają na nas.

NIE UWIERZYCIE, GDZIE BYLIŚMY!

Młodzi biologowie stali na placu przed hotelem, czekając na Paszkę i Alicję.

– Idą! – krzyknął Dżawad.

– Zgłupieć można! – jęknęła Maszeńka Biełaja. – Co się z wami działo? Paszka, tarzałeś się w śmietniku? Alicjo, co ty masz na sobie?

Dopiero w tej chwili Alicja zorientowała się, że zapomniała zwrócić Fuuksowi suknię księżniczki.

– Skąd wytargałeś taki wazon? – spytał Dżawad.

– Wy sobie nawet nie wyobrażacie... – zaczął Paszka.

– Bardzo dobrze sobie wyobrażamy – odparł poważny Arkasza. – Nóg nie czujemy, tyle czasu was szukaliśmy. Można jeszcze darować Paszce, to znany romantyk, ale po tobie, Alu, tego się nie spodziewaliśmy.

– Gdzieś zarobił takiego guza? – spytała Masza. – Biłeś się?

– Gdybyście wiedzieli... – znów zaczął Paszka.

– Wiem tylko, że na obcej planecie oddaliliście się w nieznanym kierunku i nic nam nie powiedzieliście. Koledzy tak nie postępują. – Arkasza był nieubłagany.

– Nie sądźcie ich zbyt surowo – odezwała się podchodząc niezauważalnie owdowiała królowa-macocha Izabella. – Jestem przekonana, że Alicja niczemu nie jest winna. A co się tyczy waszego przyjaciela, Paszki, to nie był w stanie oprzeć się pokusie. A potem było już za późno.

– Nie zna go pani... – zaczął Arkasza, ale spojrzawszy na twarz Alicji, umilkł w połowie zdania.

Alicja stała z otwartymi ustami i gapiła się na królową-macochę jak na najprawdziwszą zjawę. Królowa zmieniła długą granatową suknię ze srebrnym haftem na lekki szary kombinezon z zieloną gałązką galaktycznej służby biologicznej na piersi. A poza tym...

– Poznajmy się, dzieci – powiedziała królowa-macocha. – Mam na imię Swietłana. Pracuję w leśnej stacji Penelopy. Przez najbliższe dwa tygodnie będziecie moimi gośćmi – będziemy razem mieszkać w dżungli, kompletować zbiory, kąpać się i opalać.

– Pani ma na imię Swietłana? – spytał Paszka. – Nie przesłyszałem się?

– Nie, mój drogi rycerzu – odparła królowa-macocha.

– I nie otruł pani biskup?

– Jak widzisz, nie.

– I nigdy nie była pani w tamtym królestwie?

– W którym?

– Paszka całkiem się zagalopował – powiedziała Maszeńka. – Widać udział w bijatykach nie przechodzi bez śladu.

– Potem nam opowiecie, dzieci – uśmiechnęła się Swietłana. – A teraz szybko się myjcie,

przebijacie – mój mobil już czeka. Musimy zdążyć przed nocą do stacji leśnej.

Alicja poszła do swego pokoju, zdjęła suknię, odkręciła prysznic, przysiadła na moment w fotelu i poczuła, że nie jest w stanie podnieść się z niego. Nie czuła nóg ze zmęczenia.

Oczywiście, mógł to być miraż, złudzenie, żart... a nie żadna rycerska planeta...

Ale zadrapanie na jej kolanie było najprawdziwsze.

I puchar, który Paszka zabrał do swego pokoju, tuląc do piersi niczym matka ukochane niemowlę, był prawdziwy.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Można, Alicjo? – W drzwiach stała Swietłana.

Od razu zauważyła stłuczone, opuchnięte kolano.

– Gdzieś to sobie zrobiła?

– W karecie – odparła Alicja. – Podczas skoku przez fosę.

– Przemyj to porządnie, zaraz ci przyniosę plaster.

– To drobiazg, samo się zagoi – powiedziała Alicja. – Ojej, jak mi się chce spać!

– Wytrzymaj jeszcze troszeczkę – uśmiechnęła się Swietłana. – Za godzinę będziemy na miejscu.

– Dobrze – Alicja zmusiła się do wstania z fotela – wytrzymam. Ale proszę mi powiedzieć,

Swietłano, czy to wszystko to taki żarcik dla turystów? Jedna z atrakcji?

– Nie wiem, rzecz jasna, co masz na myśli, ale przypuszczam, że się mylisz.

– Ale tego nie było? Naprawdę nie było?

Swietłana roześmiała się.

– Skąd mogę wiedzieć? Cały dzisiejszy dzień spędziłam w pracowni. Prawie nigdzie nie wychodziłam. Idź, idź, myj się. Aż strach patrzeć na ciebie.

Alicja otworzyła drzwi do kabiny natryskowej.

– Kładę ci tu coś na stoliku – powiedziała Swietłana. Coś brzęknęło. – Inaczej Paszka, gdy się zorientuje, zbikuje ze zgryzoty. Jakże mu, biedakowi, żyć bez broni w prawdziwej dżungli?

Odgłos lekkich kroków. Trzasnęły drzwi. Alicja zajrzała do pokoju.

Na stoliku leżał wielofunkcyjny scyzoryk Paszki. Ten sam, którym rycerz Czerwonej Strzały rozciął rzemyki u zbroi Czarnego Wilka, co jeszcze bardzo długo będą wspominać w mieście, w którym zamieszkuje – jeśli jej nie otruli – królowa-macocha Izabella.

CZEŚĆ TRZECIA

WAKACJE NA PENELOPIE

POŁÓWKA ROGATEGO PSA

Na Penelopie, w dzikiej nieprzebytej dżungli, nad rzeką, dla której jeszcze nie wymyślono nazwy, stoją dwa namioty. W błękitnym mieszkają Paszka Geraskin, Arkasza Sapożkow i Dżawad Kachimow. W białym – Alicja Sielezniewa i bliźniaczki Masza i Natasza. Młodzi biologowie przylecieli tu na wakacje z Ziemi, ponieważ Penelopa jest dopiero w nikłym stopniu zbadana.

Nieco wyżej, na zboczu pośród drzew, widać niewielki domek, w którym mieści się stacja biologiczna. Mieszka tam piękna kobieta, biolog Swietłana.

Tamten ranek zaczął się następująco:

Pierwsza zerwała się Masza Biełaja i po krótkiej porannej gimnastyce wzięła się za szykowanie śniadania. Nikt nie kazał jej się tym zajmować, ale dzisiejszy dyżur wypadł na Paskę Geraskina. Jeśliby się zdać na niego, śniadanie byłoby przygotowane nie wcześniej niż w południe.

Drugi wstał Arkasza Sapożkow, złapał pastę do zębów oraz ręcznik i pobiegł nad rzeczkę z wielkim pośpiechem. W myśl ulubionego powiedzonka, że życie jest krótkie, a tyle jeszcze do zrobienia!

Podczas gdy mył zęby, z urwiska zbiegły Alicja i Nataszka.

Dały z rozpędu nurka do chłodnej wody, obryzgawszy Arkaszę od stóp do głów, i popłynęły na wyścigi do drugiego brzegu.

Wreszcie powolutku, statecznie zszedł nad rzekę Dżawad, popychając przed sobą Paskę Geraskina, który postanowił dziś wcale nie wstawać z łóżka. Dżawad z miejsca zrozumiał, że w gruncie rzeczy Paszce po prostu nie chce się zajmować pracami domowymi. Toteż zerwał z niego kołdrę i zmusił go do wstania stosując brutalną siłę fizyczną. Paszka stawiał opór i krzyczał, że ma straszny atak korzonków nerwowych, nie może się wyprostować i za chwilę umrze, a winien temu będzie okrutny grubas Dżawad.

Dżawadowi znudziło się wysłuchiwanie jęków Geraskina, dopchał go do brzegu rzeki i wrzucił do wody. I znowu cała fontanna bryznęła na przybory toaletowe pedantycznego Arkaszy. Teraz przed wytarciem się musiałyby dobrze wykręcić ręcznik.

Arkasza posmutniał. Z wyrzutem popatrzył na kolegów, którzy odpłynęli na środek rzeki, i naraz zobaczył coś nieprawdopodobnego.

Przeciwnym brzegiem szło wolno wielkie puszyste zwierzę, podobne do psa collie, tyle że z rogami na głowie. Nie miało tylnych łap i ogona. Głowa na właściwym miejscu, przednie łapy i pierś również na miejscu, a dalej już nic. Można by jeszcze zrozumieć, gdyby zwierzę zdychało, spływało krwią, bo ktoś odgryzł mu tylną połowę ciała. Nic podobnego – zwierzę absolutnie nie zwracając uwagi na ten brak przyglądało się w zadumie kąpiącym się biologom.

– Masza! – zawołał Arkadij, nie pomyślawszy, że może spłoszyć zwierzę. – Prędzej, przynieś kamerę! Czegoś takiego jeszcze nie widzieliśmy!

Niestety, zwierzę usłyszało ten okrzyk. Spojrzało na Arkaszę, pokiwało rogiem łbem i nie tracąc godności skryło się w zaroślach.

Równocześnie na szczycie urwiska ukazała się Masza i spytała:

– Czego wrzeszczysz?

– Ech! – z goryczą wymówił Arkasza. – Szkoda, że nie przyszedłeś dopiero jutro. Gdzie kamera?

– Po co ci kamera?

– Żeby sfilmować połówkę rogatego psa.

– Arkasza – powiedziała Masza poważnie. – Jesteś na słońcu dopiero od dziesięciu minut. Chyba za wcześnie na porażenie?

Do brzegu podpłynął Paszka Geraskin, który już zdążył zapomnieć, że cierpi na zapalenie korzonków i miał spędzić cały dzień w łóżku.

– Skacz! – krzyknął do Arkaszy, podskakując na jednej nodze, by wytrząsnąć wodę z ucha. – Woda wręcz bajeczna.

– No, proszę – powiedział Arkasza, który znalazł nowego winowajcę swoich niepowodzeń. – Przestraszyli swoimi wrzaskami połówkę psa.

Ale Paszka nie dosłyszał. Spytał Maszę:

– Śniadanie gotowe?

– A kto ma dziś dyżur? – odparła Masza. – Niech on się zajmie.

– A kto? – znów spytał Paszka.

– Ty.

– Niemożliwe.

Paszka namyślał się przez dwie sekundy, po czym powiedział:

– Mam propozycję – jeśli weźmiesz dziś za mnie dyżur, opiszę za ciebie wszystkie twoje ślimaki i kijanki.

Masza tylko machnęła ręką. Nikomu nie powierzała swoich zdobyczy. I Paszka, rzecz jasna, doskonale o tym wiedział.

– Alicjo – powiedział Arkasza, widząc, że pozostali również wychodzą z wody. – Widziałaś na tamtym brzegu połówkę zwierzęcia?

– Czego?

– Przednią połowę rogatego psa.

– A gdzie ona leży?

– Nigdzie nie leży, poszła sobie – wyjaśnił Arkasza. Zrozumiał już, że nikt mu nie uwierzy, dlatego nie słuchał nawet kpinek, tylko zebrał mokry ręcznik, szczotkę, śliskie mydło i zaczął wspinać się na górę.

– Masza, o czym on mówi?

– Zdążyłam właśnie zrobić jajecznicę – opowiadała Masza – gdy usłyszałam jego dziki wrzask „przynies kamerę!” Chciałam najpierw zapytać, po co. A ten mi odpowiada, że widział połówkę psa z rogami.

– To bardzo dziwne, wiesz – zauważyła Alicja, wycierając ręcznikiem krótkie jasne włosy. – Arkasza nie potrafiłby wymyślić takiego żartu.

– To prawda – potwierdził Paszka i spojrzał na drugi brzeg.

Wszyscy zrobili to samo.

Brzeg był pusty.

Tymczasem Arkasza wdrapał się na górę, podszedł do namiotu chcąc rozwiesić ręcznik i nagle zobaczył za namiotem idącą powoli tylną połówkę nieznanego puszystego zwierzęcia – parę nóg, brzuch i długi ogon.

– Och! – jęknął.

Nie wołał nikogo, nie biegł po kamerę, po prostu patrzył.

Tylna połowa zatrzymała się na chwilę, pomachała ogonem i zniknęła w gąszczu.

Dzieci, wróciwszy znad rzeki, zobaczyły, że Arkasza stoi jak wryty przed namiotem, z ręcznikiem w wyciągniętej ręce.

– Co się stało? – spytał Dżawad. – Znów spotkałeś rogatego psa?

– Nie wiem – odparł Arkasza słabym głosem.

– Jak to nie wiesz?

– Ponieważ to była tylna połowa, więc nie widziałem, czy ma rogi.

DZIKUS ŁOWI RYBY

Tegoż dnia przed obiadem zdarzyła się duża przykrość. Zatonął batyskaf.

Przywiozła go z sobą Maszeńka. Jest ona urodzonym nurkiem, chciała sobie nawet wszczepić skrzela, żeby w ogóle przenieść się pod wodę, i rodzice ledwie jej to wyperswadowali.

A batyskaf Maszy był specjalny. Jedyny w swoim rodzaju. Nadmuchiwany – tak, żeby zawsze można go było włożyć do torby i zabrać z sobą, dokąd się tylko chce.

Co to takiego nadmuchiwany batyskaf? Pęcherz z powietrzem. Głęboko nie może się opuścić, pękłby pod ciśnieniem. Ale w jeziorach, na płycznach – wprost wymarzony.

Masza wsiada do łódki, nadmuchuje podwójną powłokę kuli, przyczepia do niej balast, żeby nie unosiła się na powierzchni, umieszcza wewnątrz swoje kamery, notatniki, magnetofon, odświeżacz powietrza i inne rzeczy, wchodzi tam sama, turla się przez burtę i osiada na dnie.

Po pewnym czasie mieszkańcy jeziora czy rzeczki przywykają do obecności pęcherza w ich włościach i nie zwracają nań uwagi. O to właśnie chodzi Maszeńce.

Żeby nie zapomnieć, że trzeba iść na obiad albo spać, do pomarańczowego szaławika unoszącego się nad batyskafem przywiązany jest sznurek ciągnący się aż do brzegu i dalej, do samego obozu. Jeśli Maszy za długo nie ma, dyżurny pociąga za sznurek i wewnątrz pęcherza-batyskafu brzęczy dzwonek. Wówczas Masza odzlepia balast, wypływa na powierzchnię i wraca do obozu.

W jeziorze żyje dużo stworzeń, ale nie ma wśród nich groźnych drapieżników i nikt Maszy nie atakuje. A raczej nie atakował do dziś.

Tego dnia Dżawad wywiózł jak zwykle Maszę łódką na środek jeziora, a kiedy się zanurzyła, popłynął z powrotem do obozu.

Masza filmowała ryby budujące zamki z piasku i nagrywała głosy.

Naraz spostrzegła, że z góry opuszcza się wielka sieć. Dziwne, pomyślała, kto tu może się zajmować rybołówstwem?

Z dołu świetnie było widać, jak sieć zagarnia miotające się ryby i ciągnie je w górę. Z głośnika elektrodynamicznego, wychwytyjącego głosy ryb, dobiegały cieniutkie, ledwie dosłyszalne krzyki – mieszkańcy jeziora byli okropnie przestraszeni. Sieć poszła w górę, krzyki ryb cichły coraz bardziej.

– Kto mógł wymyślić coś takiego? – powiedziała na głos Maszeńka. – To wygląda na dziwactwa Paszki. Ale on na pewno by mnie uprzedził.

Maszeńka postanowiła odzlepować balast, wypłynąć na powierzchnię i wszystko wyjaśnić. Ryby w jeziorze były tak już przerażone, że nieprędko przyjdą do siebie.

I nagle zobaczyła, jak z głębin jeziora pędzą w stronę sieci dwie ogromne ryby, jakich nigdy dotąd tu nie widziała, choć opuszczała się na dno jeziora już dziesiąty dzień z rzędu.

Były podobne do szczupaków – pyski miały bardzo wydłużone i najeżone ostrymi, zagiętymi do tyłu zębami.

Ryby dopędziły sieć i zaczęły szarpać ją zębami, okazała się jednak mocna, wyciągała się tylko, ale nie rozrywała.

Jak to możliwe, że ich Maszeńka wcześniej nie zauważyła? W sieci znalazło się jeszcze kilka takich zębatych drapieżników. Przegryzały sieć od wewnątrz.

Wszystko to trwało niespełna minutę.

Tymczasem sieć wychynęła na powierzchnię, woda się wzburzyła i znów wygładziła.

Maszeńka zaczęła szybko wyłączać aparaturę, zbierać nagrania, szykując się do wypłynięcia. Była wściekła i jednocześnie zaskoczona. Dzięki temu smutnemu przypadkowi udało jej się dokonać odkrycia – znaleźć pierwsze na Penelopie wielkie drapieżniki.

Ale przecież to niemożliwe! Jeszcze na Ziemi Masza wyuczyła się na pamięć opowiadania o tym, jak została odkryta nowa planeta Penelopa, zadziwiające ciało niebieskie, jak gdyby stworzone specjalnie dla turystów. Ośrodek turystyczny, który tam powstał, miał być jednocześnie rezerwatem. Niech odpoczywają tu mieszkańcy wszystkich planet, ale pod jednym warunkiem – lasy, pola, oceany Penelopy muszą pozostać absolutnie nietknięte...

W chwili gdy Maszeńka wyciągnęła rękę, by odczepić balast, oba rozwścieczone drapieżniki rzuciły się na pęcherz i wczepiły się weń zębami. A nadmuchiwany batyskaf nie jest przecież do gryzienia.

Zewnętrzna powłoka wytrzymała może sekundę, po czym powietrze uszło wielkimi bąblami na powierzchnię. Jednakże pęcherz wciąż wznosił się do góry, ponieważ wewnątrz kabiny było jeszcze powietrze.

Maszeńka zrozumiała, że gdy tylko pęcherz znajdzie się na powierzchni, od razu się skurczy. Złapała notatnik i w chwili gdy batyskaf dotknął powierzchni wody, otworzyła górny luk i wyskoczyła.

Powietrze uszło z pęcherza, powoli, jak szmatka, poszedł na dno.

Maszeńka szybko popłynęła do brzegu. Pamiętała dobrze zęby „szczupaków”. I jeżeli z taką wściekłością atakowały pęcherz i sieć, to odgryzienie nogi będzie dla nich fraszką.

Machała rękami, jak gdyby chciała ustanowić rekord świata w pływaniu stylem dowolnym, a gdy dotknęła czegoś twardego, nie od razu uświadomiła sobie, że to już urwisty brzeg.

Po chwili stała na ziemi i odrzuciwszy z twarzy mokre włosy, usiłowała zorientować się, kto był przyczyną wszystkich jej przygód.

Jeziro było dość długie i wąskie, miało pewnie ze sto metrów.

Na przeciwległym brzegu nad siecią pełną ryb stał nieznajomy wysoki młody człowiek w kąpielówkach i krótkiej kurtce z jeleniej skóry. Miał długie do ramion jasne faliste włosy. Na rękę szeroką błyszczącą bransoletę.

– Co pan narobił! – zawołała Maszeńka.

– Cześć – odparł młody mężczyzna. – Przestraszyłaś mnie. Nie miałem pojęcia, że są tu podwodne dziewczynki. Dobrze, że nie wpadłaś w moją sieć.

– Nie mam ochoty na żarty – powiedziała Masza. – Zatopił pan mój batyskaf, a mnie omal nie pożarły szczupaki.

– Skoro „omal” – to już dobrze – roześmiał się młody człowiek. – Poznajmy się. Jak mas na imię?

– Masza. Masza Bielaja. Ale to nie ma nic do rzeczy. Kto pozwolił panu łowić ryby w tym jeziorze? Czyżby pan nie wiedział, że na Penelopie nie wolno polować, łowić ryb, palić ognisk

i ścinać drzew?

– Niemożliwe! – zdziwił się młody mężczyzna. – Widzisz, ja jestem dzikusem. Dzikusem z zasady. W odróżnieniu od was, mieszkańców miasta, żyję w symbiozie z przyrodą. Żyję tak, jak wiatr wieje...

– Jest pan tubylcem? – spytała Maszeńka. – Na Penelopie ma i nigdy nie było tubylców.

– Nie – odparł. – Jestem wolnym włóczęgą. Mój dom – to cała Galaktyka. Jestem dzikusem.

– A tutaj co pan robi?

– Nikomu nie zadaję pytań i przed nikim się nie tłumaczę. Możesz uznać, że mi się tu podoba. To planeta nie skażona cywilizacją.

Musieli rozmawiać ze sobą bardzo głośno, ponieważ dzieliło ich jezioro.

Fakt, że pogoda była bezwietrzna, cicha, nawet ptaki zamilkły i owady przestały bzykać.

– Ale skoro pan tu przyjechał, to trzeba się stosować do reguł obowiązujących wszystkich – upierała się Masza.

– Jestem analfabeta – zaśmiał się dzikus. – Kompletnym analfabeta.

Masza zamilkła ze zdumienia. Nie podejrzewała nawet, że mogą jeszcze istnieć analfabeci. Może ten dzikus stroi sobie żarty?

– Poza tym jestem głodny – oświadczył.

– Jeśli jest pan głodny, proszę przyjść do nas, nakarmimy pana.

– Dzięki za dobre chęci.

Dzikus zarzucił na ramię ciężką sieć z rybami i poszedł sobie. Zarośla rozstały się i zamknęły za nim. Po prostu zniknął.

Masza długo patrzyła w tamtą stronę. Może jej się to wszystko przywidziało?

Nie, wykluczone, przecież batyskaf został na dnie, aparatura przepadła, kamery zamokły, a w dodatku jak tu wyciągnąć pęcherz z jeziora, skoro pojawiły się tam drapieżniki...

DZIKUS PIJE HERBATĘ

Arkasza ze Swietlaną sprzeczekali się od rana, w jaki sposób opisywać miejscowe kwiaty owadożerne. Było ich mnóstwo dokoła – niebieskie, czerwone, białe, każdy żywił się jednym gatunkiem mszyc lub much – wszystkie inne muchy mogły bez obawy siadać na nich.

Tak byli zaabsorbowani, że nie zauważyli nawet wejścia nachmurzonej Maszeńki.

– Siedzicie tu i o niczym nie wiecie – powiedziała.

– Co się stało? – spytała Swietłana. – Coś z batyskafem?

– Nic szczególnego – odparła Masza, kładąc na stole notatnik z pozlepianymi kartkami. – Batyskaf zatonął, kamery i nagrania przepadły, w jeziorze zamieszkały olbrzymie drapieźniki, jakiś dzikus łowi ryby, ale poza tym nic szczególnego.

Swietłana wysłuchiwała tego wszystkiego spokojnie i bez najmniejszego zdziwienia. Mimo swoich strapień Maszeńka zapatrzyła się na nią. Gęste królewskie czarne włosy spadały ciężkimi puklami na szczupłe ramiona, aż dziw brał, jakim cudem może unieść na głowie taki ciężar.

– No! – ciepły uśmiech rozjaśnił fiołkowe oczy. – Opowiedz wszystko od początku i ze szczegółami.

Kiedy Masza zakończyła opowiadanie, wszyscy wyruszyli nad jezioro. Przyłączył się do nich również Paszka, który zabrał ze sobą duży hak na linie. Za pomocą tej „wędkii” wyciągnęli z wody batyskaf, przypominający pusty worek, rozłożyli go na brzegu i wzięli się za wyjmowanie z niego przemoczonych rzeczy i przyrządów.

– W głowę zachodzę – powiedziała Swietłana – skąd mógł się tu pojawić taki dziwny człowiek? Mówisz, że nazwał siebie dzikusiem? Muszę zadzwonić dziś do miasta. Dlaczego puszczają turystów z sieciami rybackimi?

– Spójrzcie! – zawołał Paszka.

Ogromna ryba z długim zębatym pyskiem wyskoczyła z wody i znów się schowała. Tylko się kręgi rozeszły. Niestety – stwierdziła Swietłana – drapieźniki ci się nie przywidziały. Od tej chwili wstęp do jeziora zabroniony. A przecież nie dalej jak w zeszłym roku badaliśmy jego faunę, nic podobnego tu nie znaleźliśmy.

– Wylęgły się w ciągu roku – wyraził przypuszczenie Arkasza.

Wieczorem podczas kolacji na werandzie domku Swietłany mówiło się wyłącznie o dzikusie.

– Rzeczywiście jest taki przystojny? – spytała Natasza, o niebo bardziej lekkomyślna bliźniaczka Maszy.

– Może i przystojny – odpowiedziała Maszeńka. – Tylko że mnie się on nie spodobał.

I w tejże chwili rozległ się głos:

– A czemu to się nie spodobał? Zwykle podobam się kobietom i dzieciom. Ponieważ jestem dobry i wesoły.

Z granatowych, mrocznych zarośli, upstrzonych różnokolorowymi świetlikami, wynurzył się dzikus i wszedł na werandę.

– Postanowiłem skorzystać z zaproszenia uprzejmej dziewczynki, którą poznałem dzisiaj.

Dzikus skłonił się elegancko Nataszy, która siedziała najbliżej niego, ona jednak otworzyła szeroko oczy i powiedziała niewinnie:

– Przepraszam, ale widzę pana po raz pierwszy w życiu.

Była to najczystsza prawda.

Dzikus miał na sobie tę samą kurtkę z jeleniej skóry, granatowe skórzane spodnie z frędzlami wzdłuż boków, jak niegdyś Indianie, i buty z ostrogami. Włosy przepasał cienką złotą wstążką, na której przysiadły ćmy, biorąc ją za kwiat. Miał duże jasne, dobre oczy w oprawie czarnych rzęs, krótki, lekko zadarty nos i dołek w brodzie.

Absolutnie czarujący dzikus, pomyślała Alicja, ale nie powiedziała tego na głos.

– I po co tak mnie obrażać? – spytał dzikus z żalem. – Przecież nie zatopiłem cię umyślnie.

Nagle spostrzegł Maszeńkę i zrozumiał swą omyłkę, uśmiechnął się szeroko i rzekł:

– Och, proszę mi wybaczyć, ale nie sądziłem, że przyjeżdżają tu bliźnięta. Więc nie wypędzajcie mnie. Skończyła mi się herbata, a cywilizowany dzikus po prostu nie może obejść się bez herbaty. Poza tym nudno mi dzisiaj.

I nie czekając na zaproszenie, rozsiadł się na krześle.

– Dzień dobry – powiedziała Swietłana. – A więc to pan popsuł dzień naszej Maszeńce?

Być może nie był to najuprzejmiejszy początek rozmowy, ale Swietłana, jak wiadomo, była bardzo bezpośrednia.

– Ach! – wykrzyknął dzikus, wpatrując się w nią. – Same cuda! Okazuje się, że jestem gościem pięknej kobiety. A to wszystko pani dzieci?

– To moi przyjaciele – odparła Swietłana. – A kim pan jest?

Dzikus uśmiechnął się, nic nie odpowiedział.

Alicja spytała:

– Lubi pan mocną herbatę?

– Jak najmocniejszą. Uwielbiam wszystko, co mocne. Mnie samemu natura nie poskąpiła siły i zręczności. Poproszę o cukier.

Przysunął sobie cukiernicę i wsypał do filiżanki chyba z pięć łyżeczek.

– Tak – upił łyk i rozpromienił się ze szczęścia. – W życiu nie piłem lepszej herbaty. Przysięgam na Czarną Mglawicę.

Nagle Arkasza zerwał się na równe nogi, o mało nie wywróciwszy stołu.

– Mówiłem przecież, a nie chcieliście mi wierzyć!

Drżącym palcem wskazywał na oświetlony placyk przed werandą – szła tamtędy powoli tylna połowa psa z puszystym ogonem. Co prawda pozostali odwrócili się za późno i zdążyli zobaczyć tylko znikający w krzakach ogon.

– Przysięgam, że nie ma głowy! – zawołał Arkasza.

– Wszystko zmyśliłeś – powiedział Paszka. – A czym on je?

– Tu lepiej się niczemu nie dziwić – wtrącił dzikus. – W przeciwnym razie można wyjść na głupca. Łowiłem dziś ryby w jeziorze. Usmażyłem – gorzkie jak nieszczęście. Wyobrażacie moje rozczarowanie? Musiałem poprzestać na konserwach.

– Zaraz – nie ustępowała Swietłana – nie wiemy jeszcze, skąd pan się tu wziął.

– Skąd się tu wziąłem? – dzikus wyciągnął filiżankę do Alicji. – Bardzo proszę jeszcze jedną, mocną. Skąd się tu wziąłem. Tak jak wy przyleciałem statkiem kosmicznym w poszukiwaniu dzikiego zakątka. Jeszcze trochę i w Galaktyce nie pozostanie ani jednego miejsca, w którym miłośnik natury mógłby spokojnie odpocząć.

– A gdzie pan mieszka? – spytała Swietłana.

– W lesie. Nie potrzebuję wiele. Plecak, namiot, koc, nadmuchiwana poduszka. Ot i wszystko. A nie będzie koca, przeżyję bez niego. Wędruję lasami i polami. Zatrzymuję się, gdzie mi się podoba, i mieszkam tam tak długo, dopóki mi się nie znudzi...

– A czy nie uprzedzono pana, że nie wolno tu łowić ryb i polować? Przecież to teren pod ochroną.

– Nie jestem barbarzyńcą – odparł dzikus – tylko po prostu człowiekiem natury. Biorę od przyrody wyłącznie to, co mi jest potrzebne do jedzenia. Nie grabię, proszę tylko przyrodę, by się ze mną podzieliła. Jestem jej częścią. Gdybym nie schwytał dziś w jeziorze tych nieszczęsnych ryb, pożarłyby je zębate drapieżniki. – Zwrócił się do Maszeńki: – Prawda?

– Prawda – potwierdziła Masza. – Sama widziałam.

– A więc jestem nieszkodliwy i pragnę się przyjaźnić z ludźmi i zwierzętami. I chciałbym, żeby mi wszyscy odplacili wzajemnością, dobrze?

Obrzucił wzrokiem siedzących przy stole, uśmiechając się ufnie, jakby namawiając ich, by stali się jego przyjaciółmi. Jakoś nie wypadało odmawiać takiemu człowiekowi. Tylko Maszeńka odwróciła wzrok. Przypomniała sobie zatopiony batyskaf i pomyślała, że więcej nie opuści się w głąb jeziora. Dzikus zaś, jak gdyby odgadując jej myśli, dodał:

– A ciebie uratowałem. Gdyby nie ja, dostrzegłabyś te potwory za późno. Rozszarpałyby cię na strzępy. Taka jest prawda. My lubimy wszystkich, a nas bynajmniej nie wszyscy. Takie są, niestety, prawa natury.

Dopił herbatę, przeciągnął się i powiedział wstając:

– Bardzo dziękuję. A teraz ja was zapraszam do siebie. Mój namiot stoi w parowie na tamtym brzegu. I nie gniewajcie się na mnie. Nikomu źle nie życzę.

Z tymi słowami dzikus przeskoczył przez balustradę.

– Chwileczkę – zawołała za nim Alicja. – Nie powiedział pan nawet, jak się pan nazywa.

– Nazywajcie mnie Dzikusem – odparł. – Nie obrażam się za to przyzwisko. Po prostu Dzikus.

I zniknął, szeleściły tylko liście, uwijały się motylki.

– Ciekawy z niego facet – rzekł Paszka. – Prawdziwy dzikus.

– A ty już jesteś gotów iść w jego ślady – oburzyła się Masza.

Paszka nic na to nie odpowiedział.

– Mimo wszystko kiedy ktoś ma ochotę na rybę, bierze wędkę – wtrąciła Swietłana. – Po co od razu zapuszczać wielką sieć?

– Może nie miał wędki? – zauważyła poczciwa Natasza.

– Dam mu haczyk, mam przy sobie – zakończył sprawę Paszka.

TAM BYŁO MIASTO

Nocą przeszła krótka, gwałtowna ulewa, jakby specjalnie po to, żeby ranek, kiedy to Swietłana z Paszka i Alicją wybierali się na daleką wycieczkę, był cudownie świeży.

Ich marszruta wiodła w górę rzeki, na płaskowzgórze, gdzie dotąd nie powstała ludzka noga. Jest tam mniej wilgotno niż w dżungli i zapewne można tam spotkać nieznane rośliny i zwierzęta.

Alicja niosła kamerę i nadajnik, Arkasza – zielnik i notatnik, Swietłana – plecak z prowiantem i torbę z przyrządami i też pistolet obezwładniający. Co prawda nie został jeszcze ani razu użyty na Penelopie, choć Paszka Geraskin od dawna już patrzył nań pożądliwie.

Arkasza odprowadził podróżników do rzeki. Nie mógł wybrać się z nimi, ponieważ wbił sobie drzazgę w nogę. Długo jeszcze go widzieli – stał na jednej nodze jak żuraw.

Szli powoli po ubitym piasku, przez łąki zarosłe wysoką trawą, rzadkie zagajniki bez poszycia.

– Swietłano – odezwała się Alicja – uwierzyłaś temu dzikusowi?

– Jest jakiś dziwny – odparła Swietłana. – Wczoraj wieczorem dzwoniłam do inspekcji. Nie dawali nikomu pozwolenia na przywóz sieci rybackich.

– Ale wiedzą o nim?

– Wielu turystów przyjeżdża na Penelopę ze wszystkich stron Galaktyki. Niektórzy mieszkają w lesie. Ale o nim nikt nie słyszał.

Drogę przecinał niezbyt szeroki strumień. Zrobiło się cieplej, było już dość wysoko.

– Ostrożnie – powiedziała Swietłana. – Pójdę pierwsza. Może tu też bywają drapieżne ryby?

Nad strumieniem fruwały sznury niebieskich motyli, wyglądało, jakby motyle trzymały się za ogonki. Na przeciwległym brzegu leżało na ziemi gniazdo z nakrapianymi jajami. Spikował doń duży czarny ptak z czerwonym zagiętym dziobem. Ptak popatrzył na nich srogo, ale Alicja odezwała się:

– Nie przejmuj się nami.

Ptak posłuchał. Przymierzył się i stuknął dziobem w najbliższe jajko.

– To nie właścicielka gniazda – domyślił się Paszka. – To złodziejka! Trzeba ją przepędzić.

– Nie trzeba – sprzeciwiła się Swietłana. – Niech wszystko toczy się swoją koleją. Alicjo, weź kamerę.

Alicja nie miała ochoty filmować takiej barbarzyńskiej sceny, ale naukowiec jest naukowcem – nie zawsze ogląda to, co mu się podoba.

Ptak pracowicie rozdziobywał jajka.

Po rozbiciu ostatniego odstąpił w bok, jakby przypatrując się rezultatom swej pracy.

I naraz w dziurce wybitej w jednym z jajek ukazał się malutki czerwony dziobek. Dziobek zaczął poszerzać otwór i ptak natychmiast podskoczył do jajka, przychodząc z pomocą temu, kto wrywał się na zewnątrz. Po chwili czarnożółte mokre piskłę o dużej głowie wydostało się na światło dzienne. A z innych jaj już gramolili się jego bracia i siostry.

– No proszę – powiedziała Swietłana, gdy znów ruszyli w drogę – jak trudno jest sądzić według naszych pojęć. Ptak dziobie jajka – to znaczy, że jest rozbójnikiem. A to nie rozbójnik, lecz troskliwa mama.

– Do widzenia, mamó – zawołał Paszka, przyglądając się zaaferowanemu ptakowi – ostatnie piskłe ani rusz nie mogło wydostać się na zewnątrz.

Wkrótce rozpoczęła się wspinaczka na płaskowzgórze.

Rzeczka robiła się coraz węższa, wychylały się z niej obtoczone kamienie, wokół nich pienila się woda.

Później drzewa rozstały się i przed wędrowcami odsłoniła się szeroka dolina, w której stały potężne pokręcone drzewa, a między nimi szumiała w powiewach wiatru wysoka sztywna trawa.

– Na prerii powinny być bizona! – wykrzyknął Paszka i udając czerwonoskórego myśliwego, ukrył się w trawie.

Swietłana z Alicją poszły wolno kamienistym pasem, rozglądając się uważnie wokół, by nie przegapić czegoś interesującego.

Naraz Swietłana przystanąła i zapytała:

– Alicjo, czy nic cię nie niepokoi?

Alicja przyglądała się w tym momencie dwugłowej jaszczurce śpiącej na okrągłym kamieniu.

– Nie – odpowiedziała.

– No to spójrz przed siebie.

– Nic szczególnego.

– A pod nogi?

– Nic... ależ to niemożliwe!

Uświadomiła sobie, że idą zarośniętą drogą ułożoną z kamiennych płyt.

– Może tu jakieś zwierzęta... – zaczęła i zamilkła, ponieważ żadnych takich zwierząt na Penelopie nie było.

– To znaczy, że na Penelopie mieszkają istoty rozumne, które potrafiły budować drogi – powiedziała Swietłana. – A to obala wszystkie nasze wyobrażenia o tej planecie.

Przystanąły. No chyba. Minęło już kilka lat od odkrycia Penelopy, zbudowano miasto, hotele, sanatoria, park z atrakcjami, pracują tu naukowcy, a wszyscy są głęboko przekonani, że nie ma tu i nigdy nie było żadnych istot rozumnych.

– Idziemy dalej? – spytała Alicja.

– Zaraz. Paszka, chodź tutaj.

Paszka zamarudził. Szukał czegoś w trawie.

– Prędszej!

– Zaraz!

Niósł coś w rękę.

Aż się zadyszał z pośpiechu.

– Spójrzcie!

Na jego dłoni leżała duża, wcale nie zardzewiała śruba.

– Co na to powiecie?

– My już wiemy – powiedziała Alicja.

– To dlaczego milczycie? Czyżbyście nie rozumiały...

Poszli dalej drogą. Trawa rosła gęsto, tu i ówdzie kamienne płyty całkiem się pod nią kryły

i pewnie dlatego nie zauważono ich podczas robienia zdjęć z lotu ptaka. I wówczas w cieniu ogromnego rozłożystego drzewa dostrzegli ruiny domu.

Ruiny – gęsto zarośnięte lianami i krzakami – niewidoczne były nawet z odległości dziesięciu kroków. Szczątki ścian przecinała siatka pęknięć. Dookoła leżały w trawie porozrzucone kamienie, jak gdyby jakiś rozgniewany olbrzym roztrzaskał dom na kawałki.

– Z pewnością musiało się to zdarzyć bardzo dawno – zauważył Paszka.

– Nie tak dawno – rzekła na to Swietłana. – Pęknięcia na kamieniach są jeszcze całkiem świeże.

Pod następnym drzewem krył się jeszcze jeden zburzony dom. Drzewa stały niczym pomniki, znacząc miejsca, w których znajdowały się domy. Można było nawet obliczyć, że stało tu niegdyś około trzydziestu budynków zburzonych w taki sam sposób przez tajemniczą siłę.

– Co za zagadka – zawołał Paszka. – Co za zdumiewająca tajemnica. Nareszcie!

– Podejźmy do innych drzew – zdecydowała Swietłana.

Drzewa stojące dalej były dwukrotnie grubsze od swych współbraci.

Kryły się pod nimi największe budynki miasta. Były tak samo okrutnie zburzone jak pozostałe, ale z resztek murów i rozmiarów brył można było wywnioskować, jakie były niegdyś mocne i wielkie.

– Musiało tu być trzęsienie ziemi – powiedział Paszka z zadumą, przyglądając się rumowiskom. – Wszyscy zginęli pod gruzami.

– Jacy wszyscy? – spytała Alicja.

Swietłana powstrzymała ją gestem. W rumowisku coś się poruszało.

– Nie obawiajcie się, kobiety – powiedział Paszka. – Tu się nie spotyka wielkich drapieżników.

– Nie spotyka się również zburzonych miast – próbowała zaprotestować Alicja.

Ale Paszka nie słyszał. Podbiegł do otworu w zawalonym murze i krzyknął:

– Hej! Jest tam kto?

Szelest ucichł.

Swietłana złapała Paskę za rękę i odciągnęła w tył, wolną ręką wyjmując równocześnie z kabury pistolet obezwładniający. Nie lubiła niespodzianek.

Z otworu wylazł rozczochrany Dzikus w rozchełstanej kurtce z jeleniej skóry.

– Cześć! – zawołał radośnie. – Witajcie!

DZIKUS W MIEŚCIE

– A pan co tu robi? – spytała surowo Swietłana. – Skąd się pan tu wziął?

– Proszę nie myśleć, że to ja jestem sprawcą zagłady miasta – roześmiał się Dzikus. – Przysięgam, że nie przyłożyłem ręki do tego bezceństwa. Znalazłem się tu przypadkowo i jestem zaskoczony nie mniej niż wy.

Zeskoczył lekko z kupy gruzu i przysiadł na kamieniu.

– A przy okazji – powiedział – skoro już tu przyszliście, to czy nie znajdzie się dla mnie kawałek chleba? Zabłądziłem, głód im doskwiera, a do domu wracać się nie chce. Wy też powinniście coś przekąsić, prawda?

– Co wy na to? – zapytał Paszka.

Swietłana uśmiechnęła się, otworzyła plecak z prowiantem, Alicja rozścieliła na trawie serwetę.

– Daj, pomogę ci pokroić chleb i kiełbasę – zaofiarował się Dzikus.

– Nie – powiedziała Alicja. – Ma pan ręce pobrudzone ziemią. Proszę je najpierw umyć.

– W przyrodzie nie ma brudu – roześmiał się. – To przesąd.

Zerknął jednak na Swietłaną i szybko dodał:

– Już lecę. Mogę się jeszcze kłócić z dziewczynką, ale kiedy takie piękne oczy patrzą na mnie z potępieniem, natychmiast zmieniam się w potulnego chłopczyka.

Wielkimi susami popędził nad strumień, Paszka złapał manierkę i za nim. Swietłana rozmyślała głośno:

– Dlaczego znalazł się tak daleko od domu?

– Myśli pani, że nas śledzi?

– Nie, Alicjo. Po co miałyby nas śledzić. Wydaje mi się jednak, że nie trafił tu przypadkiem.

– Czemu?

– Spójrz.

Obok otworu w murze leżała kupka świeżej ziemi.

– Zajrzę do środka – powiedziała Alicja. – I dowiemy się wszystkiego.

– Nie.

Wrócił Dzikus z Paszką. Dzikus opowiadał mu coś wesołego, a Paszka słuchał z otwartymi ustami. Zapewne Dzikus miał fantastyczną intuicję. Jak gdyby czując, o czym rozmawiała Swietłana z Alicją, powiedział podchodząc bliżej:

– A propos, nie jesteśmy pierwszymi, którzy odkryli to miasto. Spójrzcie na tę kupkę ziemi przy wejściu. Ktoś już tu był. Wiecie, co myślę?

– No co?

– Z pewnością mieszkało tam jakieś zwierzę. A potem ktoś je zjadł. A w ogóle to w środku nie ma nic ciekawego. Gruz i śmieci.

Zasiedli do zaimprovizowanego stołu. Paszka dosypał do wody odrobinę esencji ananasowej, chleb był świeży i pulchny, ser miał duże dziurki, kiełbasa była różowa, a mięso delikatne niczym krem. Dzikus połknął bez gryzienia całą kanapkę i powiedział:

– Przekarmicie mnie. Stracę formę bojową. A wam będzie trudno się mnie pozbyć.

– Nie żałujemy kiełbasy – rzekła na to Swietłana.

– Dziękuję. Domyśliliście się z pewnością, że stoję wam na drodze wcale nie z powodu obżarstwa?

– A dlaczego? – spytał Paszka.

– Zakochałem się w Swietłanie. Od pierwszego wejrzenia, beznadziejnie i na zawsze. A ty byś się na moim miejscu nie zakochał?

Paszka zaczerwienił się nagle.

– Nie wiem.

Co za głupol, pomyślała Alicja. Ale głośno powiedziała:

– Na pańskim miejscu niewątpliwie bym się zakochała. Ale niech pan wie, że wielu śmiazków zginęło walcząc o prawo nazywania Swietłany swoją piękną damą.

Swietłana uśmiechnęła się, a Dzikus ucieszył.

– Rad byłbym ogromnie – rzekł. – Ale, jak na złość, nie ma tu ani jednego rycerza, który zgodziłby się przyjąć moje wyzwanie na pojedynek. Umówmy się, Alicjo. Gdy tylko usłyszysz o takim rycerzu, wezwij mnie natychmiast.

– Przestańcie – powiedziała Swietłana bez złości. Trudno przecież znaleźć kobietę, która gniewałaby się, gdy mówią o jej urodzie. – Lepiej niech pan powie, kiedy i dlaczego przestało istnieć to miasto?

– Bardzo prosto – odparł Dzikus kończąc trzecią kanapkę. – Zburzono je.

– Ale kto to mógł zrobić?

– Toczyła się tu wojna. Wystarczy spojrzeć na ruiny, żeby zrozumieć, że miasto było ostrzeliwane. Spójrzcie...

Dzikus zerwał się lekko, podszedł do walącego się muru i wskazał na otwór byle jak wypełniony kamieniami.

– Widzicie, tutaj trafił pocisk, ale obrońcy budynku zdążyli jakoś załatać ranę. Widziałem już kilka takich dziur. A to co? Czyżby ta szczelina powstała ze starości? Nie, choćbyście mnie nie wiem jak przekonywali, twierdząc: tu szalała wojna. Wierście memu doświadczeniu.

– A jakie ma pan doświadczenie? – spytała Alicja.

– Widziałem wojnę i sam walczyłem – powiedział Dzikus.

– Gdzie się toczyła ta wojna? – zdziwiła się Alicja. – W cywilizowanej Galaktyce nie ma wojen.

– Nie o wszystkim wiesz, moje dziecko. Miałem trudną młodość.

– Nieprawdopodobne – pokręciła głową Swietłana podchodząc do otworu w rumowisku. Okropnie nie miała ochoty przyznać racji Dzikusowi, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy.

– Ale jeśli pięknej Swietłanie przyjemniej jest myśleć, że wojny nie było, a to są po prostu dziwaczne skały, z góry się zgadzam – powiedział Dzikus kładąc jej rękę na ramieniu.

Swietłana, poruszywszy ramieniem, strąciła jego rękę i odeszła.

– Na pewno nie znajdziemy tu już nic ciekawego – orzekła. – Kto jest za tym, by ruszyć w powrotną drogę?

– Jak to? – zdziwił się Paszka. – Nie zbadaliśmy jeszcze dokładnie płaskowzgórza!

Alicja jednak przyszła Swietłanie z pomocą.

– Zmęczyłam się. Robi się gorąco, a zanim dojdziemy do obozu, będzie już wieczór.

– A pan – zwróciła się Swietłana do Dzikusa – może zostać tutaj. Znajdziemy drogę bez pańskiej pomocy.

– Nie ma mowy! – zaprotestował Dzikus. – Będę was osłaniać. A nuż napadną na was dzikie zwierzęta?

– Nie ma tu dzikich zwierząt – odparła Alicja.

– Ach, jak mało jeszcze wiemy o tej planecie – powiedział Dzikus. – Pomogę ci, Alicjo, sprzątnąć ze stołu i pozmywać naczynia. Nie lubię być darmozjadem.

TYGRYSY NA DRODZE

Dzikus podniósł z ziemi ciężką pałkę i zarzucił ją na ramię.

– Podobny jestem do Herkulesa? – spytał. – Zabiję lwa i będę nosił jego skórę.

– Jakie szczęście, że nie ma tu lwów – powiedziała Swietłana.

– Nie, to już zbyt kategoryczne, Swietko. Na każdej szanującej się planecie zamieszkują lwy albo smoki. Tylko trzeba je znaleźć... żeby zabić... I ściągnąć skórę. Póki nie zdążyły ściągnąć skóry z ciebie.

– Skąd w panu tyle krwiożerczości? – Swietłana zmarszczyła brwi. Nie lubiła, gdy prawie obcy ludzie nazywali ją Swietką.

– Jestem najłagodniejszym człowiekiem w całej Galaktyce – odparł Dzikus. – Nie tknę nikogo, póki mnie nikt nie ruszy.

W czasie tej rozmowy Alicja pakowała plecak, a Paszka wy dostał swój wspaniały scyzoryk i zaczął odpiłowywać suchą gałąź.

– Co ty robisz? – spytała Alicja.

– Nic, postanowiłem się uzbroić – odparł Paszka, udając, że żartuje, choć wcale nie żartował.

– Zdaje mi się – zauważyła Alicja – że nasz nowy znajomy ma na ciebie coraz większy wpływ.

Dzikus usłyszał jej słowa.

– Nic dziwnego. Jestem romantykiem. Paszka również. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego dla młodej duszy niż powszedniość. Żyjesz, pracujesz, nudzisz się...

– Nieprawda – zaprzeczyła Alicja. – Nie ma nic ciekawszego od nauki!

– Jasne, jasne – zgodził się Dzikus z uprzejmym ukłonem. – Cóż może być bardziej frapującego dla zapalonego młodzieńca niż znaleźć nowy gatunek robaka czy też obliczyć ilość łusek na ogonie jakiejś jaszczurki...

Paszka nie wtrącał się do rozmowy. Gałąź odłamała się z trzaskiem, zaczął więc ją obstrugiwać.

– No, gotowa jesteś, Alicjo? – spytała Swietłana. – Dawaj tu plecak.

– Wykluczone – zaprotestował Dzikus. – Jakże bym mógł pozwolić pięknej kobiecie, w której jestem zakochany, dźwigać ciężki plecak?

Zręcznie przechwycił plecak od Alicji, przerzucił przez ramię i mrugnął do Paszki.

– Ucz się – powiedział. – I pamiętaj. Jesteśmy rycerzami. Walczymy z lwami w obronie pięknych dam.

Swietłana poszła przodem nie oglądając się. Z jakiegoś powodu była wściekła na Dzikusa, jego to jednak wcale nie peszyło. Alicja pomyślała, że gdyby Swietłana rozgniewała się na nią, nie mogłaby sobie miejsca znaleźć. A Dzikus jak gdyby nigdy nic...

Paszka szedł obok niego niosąc kij na ramieniu i starając się dotrzymać mu kroku. Dzikus uśmiechnął się i powiedział cicho, nachylając się do jego ucha:

– Jeśli sobie wybrałaś bożyszczę, przyjacielu, nie naśladowuj go w drobiazgach.

Słońce przypiekało, wędrowcy trochę się zmęczyli i rozciągnęli luźnym szeregiem wzdłuż rzeki. Swietłana odeszła dosyć daleko. Dzikus zawołał do niej:

– Kochanie, nie można tak beztrudnie spacerować po dżungli. Nie zdążę przyjść pani z pomocą...

– Co za niebywale natręctwo – przerwała mu Swietłana. – Zwłaszcza że nic mi nie grozi.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa w zaroślach rozległ się ryk.

– No proszę – powiedział Dzikus, rzucając plecak, na ziemię. – A pani się upierała. Ja przecież...

Nie zdążył dokończyć zdania.

Żółty cień przemknął wśród liści.

Wychudzone, pokryte krótką żółtą sierścią zwierzę jednym susem wypadło na ścieżkę, zagradzając im drogę.

Swietłana zamarła.

Zwierzę stało nieruchomo.

Z białych zagiętych kłów kapała na ziemię ślina.

Rozległ się głośny plusk. To Paszka skoczył do wody i popłynął byle dalej od brzegu, trzymając się kija niczym koła ratunkowego.

Dzikus uniósł swoją pałkę i ruszył ku drapieżnikowi.

– Z drogi! – krzyknął. – Kto śmie stawać na drodze człowiekowi?

Zwierzę przysiadło na tylnych łapach, jego długi ogon miotał się po ziemi wznosząc chmurę kurzu.

– No – powiedział Dzikus. – Już się mnie nie boisz?

Wówczas zwierzę, rozzłoszczone takim zachowaniem, skoczyło prosto na niego. Dzikus nie obliczył swoich sił, kij wyleciał z jego ręki, a on sam potoczył się po ścieżce.

Nie wiadomo, czym by się skończyła ta przygoda, gdyby Swietłana nie przypomniała sobie, że ma u pasa obezwładniający pistolet.

Rozległ się cichy trzask.

Zwierzę, jak gdyby natknąwszy się na niewidzialną ścianę, padło na ziemię tuż u nóg Swietłany. Ogon drgnął ze dwa razy i znieruchomiał.

Swietłana usiadła na ziemi, upuściła pistolet i rozplakała się.

– Co pani jest? – podskoczyła ku niej Alicja, która nawet nie zdążyła się przestraszyć. – Proszę się tak nie denerwować...

– Nie o mnie chodzi – próbowała uśmiechnąć się Swietłana. – To z powodu was, głuptasy... Jak wyobraziłam sobie, że on się do was dobierze... Jak mogłam nie przypomnieć sobie wcześniej o pistolecie? Och, cóż ze mnie za idiotka...

– Co jak co, ale idiotką nigdy bym pani nie nazwał – przerwał jej Dzikus wstając z ziemi i rozcierając stłuczony łokieć. – Okazała się pani bohaterką w tej maleńkiej potyczce.

Podniósł pałkę, podszedł do zwierzęcia i szturchnął czubkiem trzewika wyszczerzoną mordę.

– Taki i lwu nie ustąpi...

Swietłana otarła łzy wierzchem dłoni i wstała.

– Nogi się pode mną uginają – przyznała się – okropnie się bałam.

– Paszka! – krzyknęła Alicja. – Co ci strzeliło do głowy, żeby się kąpać w takiej chwili? Płyn z powrotem.

Paszka już wracał.

– Nie śmieć się z niego – powiedziała Swietłana do Alicji.

– Wcale nie mam zamiaru.

– Przynajmniej – powiedział Dzikus – Paszka postąpił rozsądniej od reszty. Dał dowód zimnej krwi.

Alicja otworzyła szeroko oczy. Ładna mi zimna krew – dać nura do rzeczki.

– Zrozumiał, że nie ma sensu podstawiać się nierozumnemu drapieżnikowi. Gdyby ta bestia nas rozszarpała, Paszka wróciłby obozu i powiadomił o naszym losie.

Dzikus mówił poważnie, a Paszka nawet kiwał głową potakując, obawiał się bowiem, że będą go sztorcować albo jeszcze gorzej – wyśmiewać się.

Alicji jednak wydało się, jak gdyby słyszała ironię w głosie Dzikusa.

– Nie miałam racji – powiedziała Swietłana. – Okazuje się, i tutaj i lwy, i tygrysy.

– Chociaż ten osobnik – dodał Dzikus przerzucając plecak przez ramię (znów się uśmiechał, jak gdyby zapomniał o przygodzie) – bardziej przypomina wyrośniętego szczura.

– To jest tygroszczur – powiedział Paszka.

WIEŚCI Z MIASTA

Zerwał się wiatr, nadbiegły skądś ciemnoszare chmury i zaczął zapadać deszcz.

– No, jak na złość – powiedziała Alicja strząsając kropelki z twarzy. – I drapieżniki, i deszcz.

– Za to odkryliśmy tajemnicze miasto – pocieszał ją Paszka. Pragnął, aby jego niefortunna kąpiel jak najszybciej poszła w zapomnienie.

– Nie ma w nim nic tajemniczego – oblał go zimną wodą Dzikus. – Spenetrowałem je. Te ruiny liczą sobie z milion lat, mieszkańcy opuszczając je, zabrali ze sobą wszystko do najmniejszego drobiazgu.

– O tym będą decydować archeolodzy, nie my – oznajmiła Swietłana. – Pewnie dziś wieczorem będę musiała pojechać do miasta.

– Chyba nie chce pani jechać tuż przed nocą! – zaprotestował Dzikus. – Jutro z rana odprowadzę panią.

– Nie, dziękuję. Już pan udowodnił, że jest pan godnym obrońcą dzieci i kobiet...

– Myli się pani, Swietko – uśmiechnął się Dzikus. – Mogłem powalić tego szczura pięścią. Ale nie chciałem pani przeszkadzać.

– Nic mi się nie stanie. Wsiadę w mobil i za godzinę będę już w mieście...

– A dzieci zostawi pani na pastwę losu? A nuż jakiś tygroszczur...

– Dzieci przenocują w domu... Albo pojedą ze mną.

– Wykluczone! – zawołała Alicja. – Swietłano, chce pani nam zmarnować wakacje? Przecież odeślą nas do domu.

– Po prostu nie wiem, co robić...

– Najpierw proszę poczęstować mnie herbatą – powiedział Dzikus. – A później razem się zastanowimy.

Swietłana niosła w ręku pistolet połyskujący w deszczu.

Ukazało się szare, zmętniałe od kropel deszczu jezioro.

– Brakuje tylko, żeby któreś z was się przeziębiło – westchnęła Swietłana.

– W Moskwie jest gorszy klimat, a nic się nam nie dzieje – powiedział Paszka. – Ja to w ogóle specjalnie chodzę po deszczu. Żeby się hartować.

– Słusznie – zgodził się Dzikus. – Mój świętej pamięci tatuś zawsze wypuszczał mnie na śnieg na bosaka.

– A skąd pan pochodzi? – spytała Swietłana.

– Moim domem jest cała Galaktyka.

Ścieżka na szczyt urwiska była śliska, Dzikus podał Swietłanie rękę, żeby jej pomóc przy wchodzeniu.

– Proszę schować pistolet – powiedział z uśmiechem. – Tutaj nie ma tygrysów.

Tygrysów rzeczywiście nie było.

Natomiast w obozie przed białym namiotem stał nastroszony, przemoknięty, smutny Arkasza.

– Co się znów stało? – spytała z daleka Swietłana przygotowana na najgorsze.

– Zabili go – wymówił Arkasza.

– Kogo?

– Rogatego psa.

– Nie strasz nas, proszę – błagalnym tonem powiedziała Swietłana.

– Wcale nie straszę. Spójrzcie sami.

Na ziemi pod drzewem leżała przednia połowa kudłatego psa z rogami na czole. Pies był martwy.

– A to dziwy – powiedział Dzikus. – A gdzie druga połowa?

– Nie wiem.

– To znaczy – rzekł Dzikus – że tygrysy dotarły również do obozu. Masz rację, Swietko, zawieziemy dzieci do miasta. Nie wolno ryzykować, skoro tygrysy pożerają psy wewnątrz obozu. I cóż to za maniery. Zeżarł połowę i uciekł!

– Nie – zaprzeczył Arkasza. – Myli się pan. Nie wie pan o niczym. To całkiem oddzielna połowa psa. Widziałem ją chodzącą właśnie w takim stanie. A można spotkać również jego tylną połowę.

– I również żywą? – roześmiał się Dzikus. Odwrócił się do Swietłany. – Trzeba odłożyć na jakiś czas archeologię. Dzieciom wysiadły nerwy.

– A pan? – spytał Paszka.

– Mnie się nic nie stanie. Popilnuję waszych rzeczy.

– Ale przecież tygroszczur!

– Nie zje mnie.

– Wobec tego – zdecydował Paszka – zostaję z panem. Mogę się przydać. Zresztą nie chcę chować się w mieście przed jakimiś tam szczurami.

Arkasza wytrzeszczył oczy, nic przecież o tygrysach nie wiedział. Wreszcie udało mu się wtrącić słówko:

– Nie wiem, o czym mówicie, ale przysięgam, że tego psa nikt nie jadł. Spójrzcie, on po prostu kończy się w połowie.

I rzeczywiście, pies nie był wcale rozszarpany ani przecięty, po prostu kończył się, jak gdyby niknąc w powietrzu.

– Dosyć – powiedziała Swietłana. – Głowa mi pęka. Czy to nie za dużo jak na jeden dzień?

Tygrysy, miasta, przecięte psy i co jeszcze?

Skądś z oddali doleciał głuchy groźny ryk, zaszumiały w odpowiedzi drzewa, poryw wiatru strącił liście.

– Gdzie reszta? – spytała Swietłana.

– Dżawad śpi, a bliźniaczki są w domu – odparł Arkasza. – Naprawdę widzieliście tygrysa?

Podobny do ziemskiego? A jakiej jest maści?

W Arkaszy obudził się badacz.

Po półgodzinie wszyscy zebrali się na werandzie. Wędrowcy doprowadzili się do porządku, umyli się i – z wyjątkiem Dzikusa – zmienili ubrania.

Podczas gdy Masza parzyła herbatę, Swietłana usiłowała połączyć się z miastem. Jednakże nikt w inspekcji nie odpowiadał – pewnie poszli już do domu. Swietłana zadzwoniła do centrum turystycznego. Tam również nikt nie podchodził do telefonu.

– Już wiem! – powiedział Dzikus wodzący wzrokiem za Swietłaną. – Przypomniałem sobie! Dziś jest w mieście karnawał. Przedwczoraj jeździłem tam po konserwy i zapraszano mnie. Wszyscy na karnawale. Lepiej napijmy się herbaty.

Dzieci były podekscytowane wydarzeniami, Swietłana zdenerwowana i zaniepokojona, tylko Dzikus zachowywał się jak gdyby nigdy nic.

Zaczął opowiadać o przygodzie z tygrysem żartując z samego siebie i wychwalając refleks Swietłany. Wszyscy się śmieli, Swietłana zaczerwieniła się po uszy, Alicja zaś pomyślała, że Dzikus chyba nie jest taki zły.

– A co pan będzie robił jutro? – spytał Paszka, ogromnie Dzikusowi wdzięczny, że nie pisał nawet słowem o jego skoku do wody.

– Jutro? A czyż można planować życie na tyle godzin naprzód? Wyobraź sobie, że będę wracał nocą i pożrą mnie drapieżniki. I nikt nie będzie mnie żałował...

– Niech pan nie gada głupstw – powiedziała Swietłana. – Może pan zostać u nas.

– Dziękuję za zaproszenie...

Wtem zadzwonił wideofon. Tak przenikliwie, że jego dzwonek słychać było w całym lesie.

Swietłana o mało nie przewróciwszy krzesła pobiegła do pokoju.

Wszyscy odwrócili się ku otwartym drzwiom.

Dzikus złapał krzesło i postawił je na miejsce mówiąc:

– No proszę, skończyli zabawę i dopiero przypomnieli sobie, że nas nie zaprosili.

Na dużym ekranie wideofonu ukazała się twarz starszego mężczyzny z przystrzyżonymi wąsami.

– Swietłano – zapytał – wszystko u was w porządku?

– Niezupełnie...

– Wszyscy zdrowi?

– Zdrowi. Usiłowałam złapać cię w inspekcji, ale nikt nie odbierał.

– I nie mógł odebrać. No, dobrze, że choć u was wszystko w porządku...

– A co się stało?

– Mówię z rezerwowego pulpitu na kosmodromie – wyjaśnił inspektor. – Ponieważ moje biuro już nie istnieje.

– Jak to?

– Nic nie słyszeliście?

– Nic.

– W Żangletonie było trzęsienie ziemi. Część miasta leży w gruzach. Kilka osób rannych. Zerwana łączność...

Na ekranie pojawiły się pasy...

– Znów – wykrzyknął inspektor. – Wyłączam się.

– Co mamy robić?

– Zostańcie u siebie. Kiedy wszystko ucichnie, połączę się z wami.

Ekran zamigotał i obraz zniknął. Z wideofonu dochodził tylko lekki szmer.

– No proszę – przerwał ogólną ciszę Dzikus. – Mówiłem przecież, że nie ma idealnych planet. Każda trzyma w zanadrzu dla pełnych ufności ludzi trzęsienia ziemi, erupcje wulkanów, burze, tygrysy i jadowite żmije. A właśnie, patrzcie dobrze pod nogi. Są tu jadowite żmije...

Z tymi słowy Dzikus przeskoczył przez balustradę i oddalił się szybko w kierunku lasu.

– Dokąd? – zawołała Alicja. – Proszę choć wziąć latarkę!

– Latarkę? – obejrzał się Dzikus. – Żeby widział mnie każdy kto chce? Nocą w lesie rojącym się od drapieżników człowiek powinien być taki sam jak one – niezauważalny, podstępny i szybki.

Coś się poruszyło w zaroślach.

– Niech pan wraca! – krzyknęła Swietłana.

Dzikus uskoczył w bok i wyciągnął z kieszeni mały pistolet. Odczekał chwilę i poszedł dalej.

Rozpłynął się w ciemności i szumie deszczu. Alicja popatrzyła na Swietlanę.

– On przecież ma...

– Widziałam – powiedziała Swietłana.

ONI SIĘ KOCHAJĄ!

Późną nocą inspektor znalazł kilka chwil i zadzwonił jeszcze raz. Wysłuchał nowin, które mu zakomunikowała Swietłana. Nie był zachwycony, prosił wszystkich, by zachowali ostrożność i nie opuszczali obozu. Poza tym powiedział, że najprawdopodobniej wywiozą turystów z Penelopy. Robił wrażenie zmęczonego, niewyspanego, sytuacja w mieście była nie najlepsza.

Rankiem pogoda się poprawiła. Choć wiał zimny wiatr i po niebie pędziły chmury, deszcz przestał padać i mgła spowijająca o świcie cały las rozwiała się.

– Dziś zostajemy w obozie – oświadczyła Swietłana. – Ale to nic strasznego. Nagromadziło się tyle spraw, trzeba uporządkować zbiory, zdjęcia i nagrania. Ogłaszam dzień kameralnych prac.

Przy śniadaniu Paszka powiedział:

– Ciekawe, jak tam nasz Dzikus? Dotarł do siebie?

– Myślę, że nic mu się nie stało – odparła Swietłana. – On ma skłonność do teatralnych efektów.

– A jeśli nadepnął na jadowitą żmiję? – zmartwiła się dobra Natasza. – Albo zaatakował go tygrys...

– Trzeba by pójść go odwiedzić – zaproponował Paszka.

– Nawet o tym nie marz – powiedziała Swietłana.

– A jeśli broczy krwią?

– Ma nadajnik, pytałam go o to. Tylko że nie chciał zostawić swoich sygnałów wywoławczych. Ot i tyle. Kto ma dziś dyżur? Ty, Dżawadzie? Dyżurny zmywa, a reszta do roboty!

Paszce nie chciało się pracować. Kręcił się przez jakiś czas w pracowni, potem powiedział, że chyba się przeziębził i chce odpocząć. Nikt nie zaprotestował, więc poszedł do swojego namiotu.

W namiocie był tylko przez chwilę. Szybko włożył trzewiki, kurtkę nieprzemakalną, wsunął do kieszeni swój wspaniały scyzoryk, zabliźniacz ran i tabliczkę czekolady, następnie podszedł do okienka, by sprawdzić, czy ktoś nie wygląda z domku.

Pusto, cicho, tylko wiatr zawodzi.

Chyłkiem wysunął się z namiotu, pokonał pędem otwartą przestrzeń i zbiegł nad rzekę.

Zanim zauważą jego nieobecność, minie jakiś czas. Wtedy on będzie już daleko.

Powodował nim nie tylko niepokój o los Dzikusa, lecz również zwykła ciekawość. Przecież mogło się zdarzyć, że Dzikus spotkał stado tygrysów i teraz leży w namiocie nie mając sił doczołgać się do nadajnika i zawiadomić ich, że się wykrwawia. Jednocześnie Paszka bardzo liczył na to, że Dzikus jest zdrow i cały i będzie można popatrzeć, jak żyje ów tajemniczy wróg cywilizacji.

... Całe szczęście, że ostrzegł go jakiś ptak – przerażony zakrzyczał głośno tuż nad jego głową.

Na jakieś trzy metry przed nim wychylała się z trawy trójkątna głowa żmii.

Tego jeszcze brakowało! Znow Dzikus miał rację. O ile jest mądrzejszy od wszystkich naukowców, nie wyłączając nawet pięknej Swietłany, pomyślał Paszka cofając się o krok i patrząc

pod nogi – a nuż jest tam jeszcze jedna żmija. Miał rację Dzikus – nie wolno nikomu wierzyć, żadnej planecie. Planety żywią szacunek tylko dla silnych, tylko dla walecznych i bohaterów.

– Precz mi z drogi! – krzyknął Paszka do żmii. – Jestem człowiekiem. Ja tu jestem panem!

Żmija tymczasem wypełzła na wzgórek. Była nieduża, najwyżej półmetrowej długości i raczej, pomyślał Paszka, wcale nie jadowita. Wyjął z kieszeni scyzoryk i cisnął nim w żmiję, chcąc odciąć jej głowę. Po co się mają żmije kręcić dwa kroki od obozu.

Nóż przeleciał tuż obok głowy żmii i utkwiał w ziemi. Żmija nie odpęzła, lecz zasyczała i rozděła szyję.

Trzeba podnieść scyzoryk. Ale jak to zrobić? Paszka obszedł to miejsce dookoła, patrząc pod nogi, by nie nadepnąć na jakiegoś gada.

Kiedy znów spojrział na żmiję, zobaczył, że ma już około metra długości i wyrosła jej druga głowa. I właśnie ta druga głowa wyciągała się ku niemu.

Zatrzymał się. Trzeba zejść bardziej z prawej. I przede wszystkim nie bać się. Gdyby uciekać przed każdą parszywą żmiją...

Trzecia głowa wyciągnęła się tak, że przecięła Paszce odwrót. Równocześnie pojawiła się czwarta. Rosła w oczach, aż musiał odskoczyć w bok. Teraz na pagórku siedziało okazałe cztero-... nie, już sześciogłowe monstrum, zewsząd groziły mu rozdziawionej paszce i jadowite zęby.

Coś strasznego...

Paszka zamarł. A nuż znudzi jej się straszenie albo weźmie go za uschnięte drzewo...

Żmija nie ustępowała. Jak gdyby pastwiła się nad nim.

Paszka mimo woli krzyknął:

– Na pomoc!... Ratunku!

Krzyk wypadł słabo, oczywiście nie usłyszano go w obozie. I nikt go teraz nie uratuje...

Oczy żmii, puste, jakby szklane, błyszczały o metr od jego twarzy.

– Ratunku!

Zmrużył oczy... „Czemu nie posłuchałem Swietłany!...”

Tę być może ostatnią jego myśl przerwały suche trzaski wystrzałów. Otworzył oczy.

Trach! – jedna głowa znikła. Trach! – druga rozleciała się na kawałki. Trach! – odleciała trzecia, odcięta od szyi...

Żmija zwinęła się w kłębek i z cichym szelestem umknęła w zarośla.

I jakby nigdy jej nie było.

Jak w koszmarnym śnie.

– Przestraszyłeś się, mój dzielny przyjacielu, co?

O kilka metrów od Paszki, wsuwając pistolet za pas, stał Dzikus.

– Ja bym się też przestraszył na twoim miejscu. A w ogóle – to lekcja na przyszłość. Jeżeli nie jest się uzbrojonym, lepiej się wycofać przed nieznanym niebezpieczeństwem.

– Pan tak zawsze robi?

– Zawsze. Odwaga powinna iść w parze z rozsądkiem. Dokąd się wybierasz?

– Do pana.

– Co ci podsunęło tę myśl?

– Bałem się, czy przypadkiem coś się nie stało...

– Niepokoiłeś się o mnie?

– Tak.

Paszka starał się nie patrzeć na Dzikusa. Zdawał sobie sprawę, jakie bzdury plecie – on, smarkacz, niepokoił się o prawdziwego supermana...

Ale Dzikus wcale się nie śmiał. Ujął go twardymi długimi palcami pod brodę, uniósł jego twarz. Oczy miał bardzo smutne – jeszcze chwila i się rozplacze.

– Czyżby istniał na świecie ktoś, komu nie jest wszystko jedno, czy żyję, czy też nie? I to właśnie ty, Paszka? Ty, mój mały przyjacielu?

Dzikus objął Paszkę ramieniem i powoli, jak najbliżsi przyjaciele, poszli przez zarośla do namiotu Dzikusa stojącego samotnie pośrodku małej polanki.

Kiedy dzieliło ich już od niego tylko parę kroków, Dzikus nacisnął szlachetny kamień w swojej bransolecie. Od strony namiotu dobiegł lekki trzask, powietrze drgnęło jak od podmuchu wiatru.

– Co to? – spytał Paszka.

– Zdałem pole ochronne – odparł Dzikus. – Nie lubię niepożądanych gości w namiocie podczas mojej nieobecności. Wyobrażasz sobie, jakiś tygrys porwie moje ulubione zabawki. Wejdz, bądź moim gościem.

Namiot był duży, w kształcie półkuli. Paszka nie wiedzieć czemu spodziewał się, że będzie to chata z grubych bierwion, z jednym okienkiem – otworem strzelniczym do ostrzeliwania się w razie niespodziewanej napaści...

Co prawda wewnątrz było nieporównanie bardziej romantyczne. Stało tam łóżko polowe, na nim sterta skór, na podłodze obok łóżka leżał duży niebieski róg oprawiony w srebro, stały wysokie buty i manierka wojskowa obciągnięta wężową skórą.

Pośrodku namiotu – biały sześcian pieca elektrycznego, na którym stał kociołek. Mruczała w nim, bulgotała kasza. Za piecem widniało coś dużego, nakrytego plastykiem. Z sufitu zwieszała się przenośna lampa wykonana z ucha weroneckiego smoka, podłogę wyścielał dywan z pozszywanych skór koloru pomarańczowego.

– No jak? – spytał Dzikus. – Podoba ci się? Chcesz się czegoś napić? Gin, whisky, wódkę, pursański kruc, nalewka spirytusowa na jądzie, naga czy coś jeszcze mocniejszego?

– Dziękuję, nie piję – z godnością odparł Paszka, który doskonale zdawał sobie sprawę, że Dzikus stroi sobie żarty.

– No i świetnie. Skosztuj wobec tego krelowego soku z Falmagusy. Kiedyś polowałem tam na kręciołki, wyzwoliłem spod ich ucisku pewną wieś i wódz plemienia podarował mi całą beczkę tego soku. Nawiasem mówiąc, za każdą jego kroplę dają na Syriuszu jeden diament. Mógłbym zostać bajecznym bogaczem. Ale czy na tym polega szczęście?

– Na pewno nie – powiedział Paszka upijając ostrożnie łyk z małej szklaneczki.

Sok był kwaskowaty, przyjemny, ale tak w ogóle, to nic specjalnego. Dziwny gust mają na tym Syriuszu.

– Smakuje? – spytał Dzikus.

– Uhum.

– A mnie nie. Cieszę się, że nie zapomniałeś o mnie.

– Mogę pójść z panem na polowanie?

– A dlaczego myślisz, że idę na polowanie? Może spieszę do Żangletonu, by ratować ofiary trzęsienia ziemi...

– Więc i ja także!

Paszka zerwał się na równe nogi, poklepał po kieszeni i zorientował się, że zostawił swój

drogocenny scyzoryk na miejscu potyczki z wielogłową zmiją.

– Zgubiłeś nóż? – domyślił się Dzikus. – Weź mój. Dla ciebie niczego mi nie szkoda, słowo daję.

I podał Paszce wspaniały kindżał, którego rękojeść była wykonana z błękitnej kości.

– Nie, skądże – zmieszał się Paszka. – Ja nie mogę...

– Ależ możesz, możesz. Nigdy nie odmawiaj, gdy ci coś ofiarowują. Jego rękojeść zrobiona jest z zęba rekina-ludojada. Ścigałem go przez cztery godziny. To było... Wybacz.

Dzikus spojrział na zegarek. Widocznie spieszył się dokądś.

– Pewnie że mógłbym zabrać cię z sobą – powiedział.

– Do Żangletonu?

– Nie, chodzi o coś innego. A do ciebie mam osobistą prośbę. Co prawda nie wiem, czy umiesz dochować tajemnicy.

– Umieć – odparł natychmiast Paszka. – Słowo honoru.

– Czekałem na taką właśnie odpowiedź. Więc słuchaj: ja i Swietłana zakochaliśmy się w sobie...

– Niemożliwe!

– Mało jeszcze znasz kobiety. Najczęściej zachowują się szorstko wobec tych, których kochają.

Zaufaj mojemu doświadczeniu.

– Wierzę panu.

– Sam rozumiesz – ciągnął smutno Dzikus – jak wiele jest przeszkód na drodze do naszego szczęścia...

– Tak się pokochaliście w ciągu trzech dni? – zdziwił się Paszka.

– Ależ nie. Kochamy się już czwarty rok. Przywiodła mnie tu właśnie miłość do Swietłany...

– Ach tak... – wymówił z rozczarowaniem w głosie Paszka. To takie smutne, kiedy twój bohater okazuje się zwykłym zakochanym. Przecież żadna kobieta nie jest warta tego, by lecieć za nią na inną planetę i cierpieć biedę, kiedy na świecie tyle jest ciekawych spraw i przygód.

– Rozczarowałeś się do mnie? – spytał Dzikus z właściwą sobie przenikliwością.

– Ależ nie! – odparł Paszka. – To pańska sprawa.

– Teraz słuchaj – widziałeś wczoraj starszego mężczyznę na ekranie wideofonu?

– Tak.

– Jest to główny inspektor rezerwatów planety. To okrutny człowiek. Nigdy nie wybaczy Swietłanie, jeśli ona zwiąże się ze mną. Uwierz mi, jeśli on się dowie, że Swietłana mnie kocha, znajdzie sposób, by ją zniszczyć.

Paszka zmartwiał. Odkrywały się przed nim straszliwe tajemnice. Trudno sobie wyobrazić, że coś takiego może istnieć na spokojnej Penelopie.

– Rozumiesz – mówił dalej Dzikus – dlaczego musimy się ukrywać? Dlatego Swietka jest taka szorstka dla mnie, choć – uwierz mi – serce jej krwawi. Jak długo jeszcze można udawać? Powiedz mi, czy nadejdzie kres jej cierpieniom?

– Nie.

– I dlatego muszę ją wykraść. Rozumiesz?

– Tak.

– Ale ty musisz nam w tym pomóc.

– Ale jak?

– Za zburzonym miastem ukryłem nieduży statek kosmiczny. Odlecimy nim. Ty wrócisz zaraz do obozu i do wieczora nie odstępisz Swietłany na krok. Ale ani słowa – nie wybaczyłaby mi, że

zaufałem małemu chłopcu. Nie rozumie, że jesteś już prawdziwym mężczyzną.

Paszka tylko skinął głową.

– Wieczorem, gdy się ściemni, wywołasz Swietlanę na brzeg jeziora. Znajdziesz pretekst. Będę czekał na was. Gdy tylko odejdziemy, podniesiesz alarm. Tylko nie od razu, pozwolisz nam się trochę oddalić. A kiedy będą cię wypytywać, obstawaj przy swoim – widziałeś, jak opierającą się Swietlanę porwał nieznajomy dzikus.

– Jasne.

– Twoje zadanie – nie odstępować Swietłany nawet na krok. Strzeż jej. Inspektor coś podejrzewa... Pokładam w tobie nadzieję.

– Zrobię, co tylko będę mógł – uroczyście oświadczył Paszka.

– A teraz biegnij. Jeśli spotkasz żmiję – rzuć w nią nożem. Jest samonaprowadzający.

– Idę – powiedział Paszka.

Dzikus wyszedł z nim z namiotu. Zrobiło się całkiem zimno. Znów zbierało się na deszcz.

– Poczekaj chwilę – zatrzymał go Dzikus.

Wyniósł z namiotu czapkę uszytą z ogona jakiegoś zwierzęcia. Ogon był długi – starczyło go na czapkę i z tyłu zwisał jeszcze na plecach.

Paszka od razu zrobił się podobny do myśliwego z powieści Fennimore'a Coopera.

– Pędź. Liczę na ciebie.

Namiot Dzikusa dawno skrył się za drzewami. Serce Paszki ścisnęło się – w jego rękach spoczywa szczęście dwojga ludzi.

Pomyślał, że twarz inspektora od razu mu się nie spodobała. Była to nieprawda, ale Paszka umiał sam siebie przekonać.

GDZIE ŻYJE PIES?

Paszka wyszedł na odsłonięty brzeg jeziora i wówczas zobaczył, że ktoś biegnie mu na spotkanie. Swietłana!

Czyżby była tak nierozsądna, że sama, bez świadków idzie do ukochanego? Ale przecież Dzikusa z pewnością nie ma już w domu.

– Swietłano! – zawołał. – Proszę się zatrzymać! Jego nie ma w domu.

Swietłana podbiegła bliżej.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała. – Mało nie oszalałam, gdy zniknąłeś.

Paszka tylko się opędził.

– Byłem u niego – wyjaśnił. – Tam wszystko w porządku. Może się pani nie martwić.

– O kogo mam się martwić? – udała zdziwienie Swietłana. – Jak ci nie wstyd. Jesteś małym dzieckiem czy co? W taki niespokojny dzień polecieć gdzieś i nikomu słowa nie powiedzieć.

Paszka westchnął. Swietłana zachowywała się prawidłowo. Przecież jest pewna, że Paszka nie orientuje się w jej sprawach. A ujawnić się nie wolno, choć uczciwie trzeba powiedzieć, że Paszka miał straszliwą ochotę dać jej do zrozumienia, że ma zaufanego sojusznika – Pawła Geraskina.

Swietłana chciała wracać prosto do obozu przez łąkę, ale Paszka powstrzymał ją:

– Tędy nie można, tam są wielogłowe żmije. Dzikus ledwie sobie z nimi poradził, gdy mnie otoczyły.

– Znowu zmyślasz?

Paszka tylko rozłożył ręce. Czyż można kłócić się z kobietą?

– Dobrze, chodźmy prosto – powiedział. – Dzikus podarował mi samonaprowadzający nóż.

Ale Swietłana nagle zmieniła zdanie i poszli dłuższą drogą, nad samym brzegiem wody.

Swietłana milczała, gniewała się. Paszka również postanowił się nie odzywać.

Na szczęście, obok namiotu, stał Dżawad trzymając obezwładniający pistolet.

Paszkę ukłuła zazdrość. Swietłana nikomu nie powierzała swego pistoletu. Chociaż Paszka ją o to prosił. A tu, proszę, Dżawadowi dała.

– Znalazł się? – pokręcił głową Dżawad. – Tak też myślałem, że poleciał do swojego Dzikusa.

– Nikt nie dzwonił? – spytała Swietłana.

– Dzwonił inspektor z miasta. Powiedział, że postara się dziś przyjechać.

– Dobrze by było.

I nie spojrzawszy na Paszkę, szybko poszła do swego domku.

– Ach, ty głupku! – Dżawad zwrócił się do Paszki. – Co ty masz na głowie?

– Dostałem czapkę od Dzikusa – rzucił niedbale Paszka. – Aha, chciałem ci powiedzieć, że walczyłem z wielogłową kobrą.

– I dotychczas żyjesz? – spytał Dżawad nie bez złośliwości.

Z werandy zbiegł Arkasza z wiadrem w ręku.

– Dżawad – zawołał – Swietłana prosiła, byś poszedł ze mną po wodę do rzeki.

– Idziemy – skinął głową Dżawad, wając pistolet w dłoni.

Nie, pomyślał Paszka, nikt go tutaj nie rozumie...

– Oj! – wydał okrzyk Arkasza. – Skąd to masz?

Wskazywał cienkim palcem na czapkę.

– Dostałem w prezencie – odparł krótko Paszka.

– Od kogo? Gadaj zaraz!

– Od Dzikusa. To przyjaciele – wyjaśnił Dżawad.

Paszka zrozumiał, że przemawia przez niego zazdrość. A niech tam.

– To rozbójnik! – zapiszczał Arkasza. – Trzeba go natychmiast przepędzić z planety!

– Co ty pleciesz? – spytał Paszka. – Kogo przepędzić?

– Twojego Dzikusa. Oto kto zabił rogatego psa! To jego ogon.

– A ty skąd wiesz?

– Widziałem. Słowo honoru, widziałem spacerującą tu tylną połówkę psa z ogonem. Nigdy bym się nie pomylił...

– Nic dziwnego – powiedział Paszka. Trzeba było bronić honoru przyjaciela. – Sam mi opowiadał. Znalazł tylną połówkę już martwą. No i zrobił czapkę z ogona. I podarował mnie.

– Nie wierzę ci!

Swietłana usłyszała kłótnię i wyszła.

– Co się tu dzieje?

– Czapka Paszki jest uszyta z ogona rogatego psa – wyjaśnił Dżawad. – Arkaszka rozpoznał.

– Dzikus znalazł go przypadkowo – upierał się Paszka.

– Kiedy?

– Dziś rano.

– I tak od razu uszył czapkę?

– Od razu.

– I ty mu uwierzyłeś?

– Daj mi tę czapkę – powiedziała Swietłana. – Pokażę ją inspektorowi.

– Z przyjemnością. – Paszka zdjął czapkę. – Swietłanie oddam. Choć inspektorowi bym jej raczej nie pokazywał.

Mrugnął do Swietłany, żeby zrozumiała, jak niebezpiecznie jest dać inspektorowi do rąk taką broń przeciwko ukochanemu.

Ale Swietłana albo nie rozumiała, albo udawała głupią.

Paszka miał nadzieję, że się sama domyśli, co ma robić.

Wreszcie chłopcy poszli po wodę. Paszka odetchnął z ulgą. Nie żał mu było czapki i nie o psa tu chodzi. Z pewnością Dzikus niczemu nie jest winien. Choć gdzieś w głębi duszy dopuszczał myśl, że Dzikus mógł zastrzelić psa, nie zastanawiając się nad takim głupstwem. Nie można powiedzieć, że pochwalał taki postępek. Ale przynajmniej rozumiał romantyczną duszę Dzikusa. Dzikus był zakochany. I to wiele tłumaczyło.

Postanowił pójść do domu, zobaczyć, co porabia Swietłana – przecież obiecał nie spuszczać z niej oka. Ale w tym momencie zza domu, tam gdzie kończyła się droga z miasta, wyjechał nieduży mobil na poduszce powietrznej, a w nim siedział staruszek o niesympatycznej twarzy – inspektor.

A od rzeki wracali już Dżawad z Arkaszą. Arkasza wykrzykiwał coś w zdenerwowaniu, a Dżawad szedł o krok z tyłu, niosąc w jednym ręku pistolet, w drugim – wiadro.

Paszka był celem, do którego zdążali staruszek oraz chłopcy. Inspektor słuchał z zainteresowaniem, jak Arkasza rzucił się na Paszkę:

– To wszystko przez ciebie i tego twojego Dzikusa!

– Co się znów stało? – spytał Paszka.

– Leży tam jeszcze jedna martwa połowa psa – denerwował się Arkasza. – Dżawad też ją widział. Teraz się już Dzikus nie wykręci. Pozabijał wszystkie psy. To przecież zbrodnia!

– Spokojnie, wytłumacz mi, chłopcze – powiedział inspektor – kto tu zabija psy?

– Dzikus. U Swietłany jest czapka, którą podarował Paszce. Jak zobaczyłem pierwszy raz połowę psa, to byłem strasznie zdziwiony, a potem widziałem tylną połowę. Nie wyobraża pan sobie, co to za widok... – Arkasza zamarł nagle z otwartymi ustami, potem powoli, powoli je zamknął. – Eureka! Już wszystko rozumiem!

Swietłana stała na werandzie.

– Krom, jak się cieszę, że przyjechałeś!

– Witaj, kochanie. Najpierw chciałbym się dowiedzieć, co się tu dzieje z połówkami psów. Cóż to znowu za zagadka?

– Rozwiązałem ją – oświadczył Arkasza. – Ale zanim wszystko wyjaśnię, muszę odnaleźć przednią połowę, tylko żywa, a potem zacząć się w zasadzce.

– Obawiam się, że to wykluczone – powiedział inspektor wchodząc na werandę. – Postanowiliśmy zwieźć wszystkie grupy turystyczne na kosmodrom i gdy tylko przybędą statki wezwane z najbliższych systemów, wszystkich ewakuować. Planeta zostaje zamknięta.

– Przecież my nie jesteśmy turystami. – wykrzyknął Paszka. Trzeba było za wszelką cenę zatrzymać inspektora. Strach pomyśleć, jakie rozczarowanie przeżyją zakochani, jeśli inspektorowi uda się wywieźć stąd Swietlanę!

Arkasza z Dżawadem pobiegli do domu, żeby posłuchać, o czym będzie mowa.

O Paszce zapomnieli.

Ale on wiedział już, co robić.

Co sił w nogach skoczył pod okap domu, gdzie stał duży mobil Swietłany, którym przyjechali biologowie. Nie na darmo był członkiem kółka technicznego, konstruował nawet mobile wyścigowe. Wiedział doskonale, co należy zmajstrować, żeby unieruchomić pojazd. Nie chodziło mu o własną korzyść. Musiał bronić kruche szczęścia przyjaciela.

Kiedy Paszka wszedł do pokoju, wszyscy słuchali właśnie opowieści inspektora o wydarzeniach w mieście. Swietłana pytająco uniosła brwi, a Paszka kiwnął głową – nie martw się, zrobiłem co należało. Swietłana wzruszyła ramionami.

– A teraz – powiedział inspektor – opowiedzcie mi o tajemniczym psie.

– Obawiam się, że pan mi nie uwierzy – stwierdził Arkasza. – Ponieważ coś takiego się nie zdarza.

– Wszystkiego na świecie najpierw nie było, a potem kiedyś się zaczęło – z zadumą powiedział inspektor. Był mały, łysy i wierzyć się nie chciało, że może w jakiś sposób zagrażać Swietłanie.

– Przypuszczam – oznajmił Arkasza tonem uczonego – że zetknęliśmy się na tej planecie z zasadniczo nowym typem zwierząt. Cóż widzieliśmy? Najpierw jedną połowę, potem drugą – spacerujące oddzielnie. To znaczy, że jest to u nich naturalne.

– No i co z tego? – spytała Natasza.

– Nie przerywaj. Myślę, że rogate psy żyją nie tylko w przestrzeni, ale i w czasie. Przednia połowa psa spaceruje już w dniu dzisiejszym, a tylna zostaje jeszcze we wczorajszym.

– Och – powiedziała Natasza. – Jesteś geniuszem!

– Obawiam się, że to zbyt śmiałe przypuszczenie, by od razu uwierzyć – zmitygował ją inspektor, ale Arkaszę jakby kto miodem posmarował.

– Oczywiście – zgodził się – zbyt śmiałe. Ale wszystkiego na świecie najpierw nie było, a potem kiedyś się zaczęło.

Inspektor uśmiechnął się.

– Wiecie, jak Dzikus na nie poluje? Tropi całkowicie bezbronną tylną połowę psa i odcina jej ogon. A przednia połowa ginie z bólu. Swietłano, niech pani pokaże czapkę.

Inspektor rzucił okiem na czapkę i odłożył ją.

– To bardzo interesujące, ale teraz – spojrzął na zegarek – ważniejsze jest co innego. Obiecałem w mieście, że za godzinę będę z wami z powrotem. Sami rozumiecie, w mieście nie ma wolnych mobilów i wasz też się przyda.

– A Dzikus? – spytał Arkasza. – Czyżby miał pan zamiar zostawić go tutaj?

– Nie ma mowy – powiedział inspektor. W jego głosie zadźwięczała groźba. – Jak tylko przewieziemy was na kosmodrom, wrócę po niego.

Paszka spojrzął na Swietłanę. Wydało mu się, że pobladła. No chyba, taki krach wszystkich planów!

– A może Swietłana zostanie tutaj? – spytał. – Po co ma się z nami tłuc do miasta?

Swietłana udała zdziwioną.

– Lepiej nie. Po pierwsze, moją drugą specjalizacją jest medycyna i mogę przydać się w mieście, a poza tym boję się tygrysów i żmij.

– Paszka – odezwała się Alicja, przyglądając się podejrzliwie koledze. – Mówisz takie dziwne rzeczy, że zaczynam mieć wątpliwości...

Nie dopowiedziała, czego dotyczą jej wątpliwości, ponieważ Maszeńka przerwała jej:

– Trzeba się szybko pakować. Przecież wszystkie materiały, zbiory mamy w kompletnej rozsypce.

– Może zostawimy wszystko tutaj? – spytał inspektor, ale podniósł się taki szum, że machnął ręką i zaproponował: – Wobec tego pomogę wam ładować rzeczy do mobila.

Paszka spokojnie poszedł ze wszystkimi. Generator ciężenia był bezpiecznie ukryty w krzakach. Mobil donikąd nie pojedzie.

– A ty czemu się nie pakujesz? – spytał inspektor.

– Nie mam nic do pakowania... wszystko już w plecaku – skłamał Paszka.

Wiatr dał coraz silniej. Paszka zaczął żałować, że oddał czapkę Swietłanie. Może iść do domu i zabrać ją? Przecież to prezent.

Pomógł Arkaszy zataszczyć ogromny stos zielników, po czym wbiegł na werandę. Czapka leżała na krześle. Swietłana podzwaniała jakimiś butelkami. Jak ona się musi czuć, nieszczęsna, pomyślał ze smutkiem Paszka. Nie chciałby znaleźć się na jej miejscu. Założył czapkę.

– Swietłano – usłyszał głos inspektora. – Coś się stało z twoim mobilem. Kiedy nim jeździłaś?

Zaczyna się, pomyślał Paszka i podszedł w róg werandy, skąd wszystko było widać.

Inspektor siedział w kabinie mobila, naciskał na guziki. Mobil buczał, ale, rzecz jasna, nie unosił

się ani na milimetr.

„Próbujcie sobie – nie bez złośliwej satysfakcji pomyślał Paszka. – Nasza firma pracuje jak zegarek”.

Po dziesięciu minutach inspektor wysiadł. Dżawad i Maszeńka, którzy starali się mu pomóc, stali obok.

– Zupełny klops – powiedział inspektor. – Jak zawsze nieszczęścia chodzą parami. Co tu zrobić? Ciemna chmura nadciągnęła nad obóz. Jeszcze chwila i lunie deszcz.

– Nie martwcie się. Skoczę do miasta na swojej pchle. Za godzinę będę tu z dużym mobilem, a poza tym przywiozę mechanika.

Po chwili jego mobil skrył się za drzewami.

Alicja podeszła do Paszki i spytała cicho:

– Nic nie zmajstrowałeś przy mobilu?

Paszka zdziwił się.

– A niby po co?

– Jak to po co? Żeby tutaj zostać. Stać cię...

– Aluśka, pomyśl tylko, co mówisz! – Paszka starał się wyglądać na oburzonego. Nie wypadło to jednak zbyt przekonująco.

Alicja odeszła.

Paszka pomyślał, że uzyskał odroczenie. Ale na jak długo?

Do wieczora jeszcze daleko. Za godzinę wróci inspektor z mechanikiem. Wywiozą wszystkich. Swietlanę też, oczywiście. I wszystko przepadło. Jak mógł nie przewidzieć, że inspektor nie zrezygnuje z wywiezienia ich stąd.

Ma do dyspozycji zaledwie godzinę. Jedną godzinę.

Paszka stał pod drzewem.

Chmura zwała się na polanę, przygniotła wierzchołki drzew.

I nagle, dosłownie jakby z odkręconego kranu, lunęły z nieba grube, siekące strugi wody.

W POSZUKIWANIU DZIKUSA

Paszka pędził przez polanę. Może się uda? Może Dzikus już wrócił? Żeby tylko był w domu...
Deszcz siekł tak, że trudno było oddychać.

Paszka nie myślał o tygrysach ani o żmijach – w taką pogodę żadne stworzenie nie wysunie nosa na zewnątrz. Raz upadł, przejechał brzuchem po kałuży. Ale jeśli i tak jest się przemokniętym do suchej nitki, nie ma to żadnego znaczenia.

Oto już polanka. Mokry, chlastany ulewą namiot.

Usiłując przekrzyczeć ryk spadających mas wodnych, Paszka zawołał:

– Dzikus!

Drzwi do namiotu były zamknięte na zamek błyskawiczny.

– Dzikus! – krzyczał Paszka szarpiąc drzwi. Namiot sprężynował, kołysał się. Nikt się nie odzywał.

Paszka namacał zamek i pociągnął go do góry. Drzwi odchyliły się i Paszka szybko, żeby nie napadało do środka, wsunął się do namiotu i znów zaciągnął zamek.

W namiocie było prawie ciemno.

– Dzikus! – zawołał Paszka bez cienia nadziei.

Oczywiście nikt nie odpowiedział.

Nic się tutaj nie zmieniło. Tylko plastik w kącie był odrzucony. Widocznie Dzikus spieszył się zbierając potrzebne mu rzeczy.

To, co zostało, w żaden sposób nie pasowało do gospodarza.

Były tam zwalone jakieś narzędzia, świdry, przyrządy, skafander ochronny, połyskiwał kosmiczny nadajnik o dużej mocy. Kilka puszystych psich ogonów poniewierało się między przyrządami, a na wierzchu lśnił bojowy blaster dokładnie taki sam, jaki Paszka widział kiedyś w muzeum na Marsie, tyle że całkiem nowy, złowrogi.

Paszka wziął go do ręki. Blaster był ciężki. Odłożył go z powrotem. Zastanawiał się, na co to wszystko Dzikusowi. Przecież on...

Ale kiedy ktoś chce wierzyć swemu przyjacielowi, zawsze znajdzie jakieś uzasadnienie. Oczywiście, wytłumaczył sobie Paszka, przecież Dzikus jest kosmicznym zwiadowcą-tropicielem. I blaster nie służy mu do zabawy. Na nie zbadanych planetach trzeba być przygotowanym na każdą okoliczność.

Gdzie może być Dzikus? Na pewno się denerwuje, czeka chwili, gdy będą mogli uciec ze Świetlaną z tej przekłetej Penelopy. Jeśli się spóźni, wszystko przepadło.

Dzikus wspomniał, że ukrył gdzieś statek kosmiczny. Nim właśnie mają uciec. Tylko gdzie go szukać?

Paszka popukał się w czoło. Jasne, w tym rozgardiaszu można zapomnieć nawet własnego

imienia. Przecież mówił: obok zburzonego miasta. W ciągu godziny tam nie zdąży.

Ale nie można przecież wrócić do obozu, czekać, aż ich wszystkich wywiozą.

Nie namyślał się ani sekundy dłużej.

Jeśliby pobiec prosto, można skrócić drogę o połowę.

Bardzo szybko jednak zaczął żałować, że wybrał ten kierunek. Las stawał się coraz gęstszy, liany i ciernie wyciągały się doń ze wszystkich stron, jak gdyby chciały go zatrzymać. Zrobiło się ciemno, nie było widać korzeni podstawiających nogę samotnemu, biegnącemu przez las chłopcu. Coś straszliwie pohukiwało nad głową, jakby poganiając Paszkę. Liście stykały się w górze tworząc czarny sufit, z którego spadały krople wielkości jabłek.

Nie było widać końca lasu. Paszka marzył, by się położyć i odetchnąć chwilę, ale nie śmiał się zatrzymać, ponieważ zdawał sobie sprawę, że ten las jest żywy. Czeka, by człowiek upadł, a potem oplącze go korzeniami i lianami, wessie niczym pająk muchę.

Naraz z przodu zobaczył światło. Polana.

Polana była porośnięta wysoką po pas trawą. Fale wiatru i deszczu przyginały łodygi traw i Paszka spostrzegł stado biegnących przednich połówek psów.

„Kiedyż te połówki się łączą?” – zastanawiał się. Wierzył, że Arkadij, który kiedyś będzie wielkim uczonym, prawidłowo rozszyfrował ich tajemnicę. Z pewnością połówki łączą się o północy.

Brnął zmęczony przez trawę jak przez wodę, rozgarniając łodygi rękami. Trawa niechętnie rozstępowała się i natychmiast się za nim zamykała.

Ujrzał znów ścianę drzew. Może zabłądził?

I nagle, gdzieś z przodu, z lekka na prawo, dobiegł go głośny i długi huk. Jak gdyby ktoś grzmotnął pałką w stalowe drzwi.

I natychmiast wszystko ucichło. Nawet deszcz się zmniejszył, postukiwał o źdźbła traw malutkimi kroplami.

Może to Dzikus sprawdza silniki swego statku? Może coś mu się przytrafiło?

Paszka zapomniał o zmęczeniu.

Pobiegł zbaczając w prawo, tam gdzie w ścianie lasu widniała luka.

PASZKA ZNIKNAŁ

Minęło pewnie z dziesięć minut od momentu, gdy inspektor udał się po pomoc. Wszystkie rzeczy, choć w pośpiechu, byle jak, złożone były w mobilu, namioty pozostały – może się przydadzą? Tym bardziej że były mokre.

Arkasza siedział w mobilu, ostrożnie rozkładając zielniki. Był zdenerwowany bardziej od innych, ponieważ stał u progu ważnych odkryć. Masza z Nataszą pomagały Swietłanie zbierać przyrządy w stacji biologicznej. Dżawad przechadzał się z pistoletem po werandzie, pilnując obozu.

A Paszki nigdzie nie było.

Ten to ma wyjątkowy talent do przepadania, pomyślała Alicja. Gdzież go teraz lichy poniosło?

Postanowiła nie wszczynać paniki. Narzuciła kurtkę i zbiegła z werandy.

– Dokąd to? – spytał Dżawad głosem srogiego wartownika.

– Do namiotu. Chcę popatrzeć, czy nie zapomnieliśmy czegoś.

– Idź. W razie czego osłonię cię.

– Dziękuję – powiedziała Alicja starając się utrafić w jego ton. Mężczyźni lubią być traktowani poważnie.

Zbliżając się do namiotu chłopców, Alicja obejrzała się. Przez ścianę deszczu weranda była niemal niewidoczna. Ciemna sylwetka Dżawada ledwie majaczyła na niej.

Zajrzała do namiotu. Żeby tak spał tam Paszka. Wyobraziła sobie nawet, jak śpi – na boku, ręka pod policzkiem, posapując.

Łóżko Paszki było puste. Na podłodze poniewierały się jakieś papierki, jeden trzewik, obiektyw aparatu.

Jakież to jednak świntuchy, ci chłopcy, pomyślała Alicja. Kto będzie po nich sprzątać? Wiedziała, że u dziewczynek Masza wychodziła ostatnia, a ona z pewnością nie zostawi po sobie bałaganu.

Zachowanie Paszki w ciągu ostatnich dni przejmowało Alicję niepokojem. Od chwili gdy pojawił się ten Dzikus ze swymi romantycznymi inklinacjami, Paszka dostał małpiego rozumu. Zaczął tak samo chodzić, stąpając najpierw na palce, a potem na piętę – oczywiście, sam nie zauważał, że go naśladowuje.

I dziś też poleciał do Dzikusa, a gdy wrócił, na jego twarzy było wypisane: „Ach, co ja wiem, ale wam, zwykli śmiertelnicy nic nie powiem”. Z jakiegoś powodu nie spuszczał z oka Swietłany i nawet do niej mrugał. Co oni jeszcze z tym Dzikusem wymyślili?

I nagle Alicja zrozumiała, że Paszka postanowił tu zostać. Wszyscy odjadą, a on, bohater, zostanie.

Ale po to, by jego plan się powiódł, musi się gdzieś bezpiecznie ukryć – nie w namiocie ani też w pobliskich zaroślach. A jeśli Dzikus obiecał mu pomoc? Powiedział, że zostaną w dżungli we

dwóch – dwa dzikusy, dwaj prawdziwi włóczędzy!

No jasne, Paszka ukrywa się w namiocie Dzikusa.

Alicja spojrzała na zegarek. Od odjazdu inspektora minęło już około piętnastu minut. Zawołać Dżawada, żeby odprowadził ją do Dzikusa? Nie, lepiej niech pilnuje obozu... Wyszła z namiotu.

– Dżawad! – zawołała przekrzykując szum deszczu.

– Co?

– Prześpię się w namiocie, trochę się zmęczyłam. Nie zapomnijcie o mnie, gdy będziecie wyjeżdżać.

Ta myśl wydała się Dżawadowi ogromnie zabawna.

– Na pewno zapomnimy! – krzyknął.

Jego śmiech zlewał się z szemraniem wody i szumem drzew.

Po paru minutach Alicja stała na polanie, gdzie mieszkał Dzikus.

– Paweł – wymówiła surowo, podszedłszy do drzwi. – Wychodź natychmiast. Twoje oplakane próby pozostania w dżungli zostały rozszyfrowane przez tropicieli.

Namiot milczał zagadkowo.

– Jest tam kto? – spytała Alicja.

Cisza.

– Dzikusie, mogę wejść?

Cisza.

– Co to za dziecinne żarty! – rozzłościła się Alicja. – Dwóch mężczyzn chowa się przed jedną dziewczynką.

Znalazła zamek błyskawiczny, rozsunęła go i weszła w ciepły, wilgotny półmrok namiotu.

– No, gdzie się schowaliście?

Wyciągnęła z kieszeni latarkę, z którą się nigdy nie rozstawała.

Łoże ze skór zwierzęcych, piec z garnkiem kaszy, lampa, sterta przyrządów... Światło latarki padło na podłogę. Mokre ślady wiodły przez namiot. Paszka był tutaj. I to całkiem niedawno – ślady nie zdążyły jeszcze wyschnąć.

Nie zastał swego nowego przyjaciela. Pokręcił się, pokręcił i pobiegł dalej. Może wrócił i rozminęli się? Nie, trzeba znać Paskę i jego upór, nigdy nie wróci, jeśli umyślił sobie, że tu zostanie. To znaczy, że on wie, gdzie szukać Dzikusa. Ale gdzie? Alicja nie wiedziała.

Przystanąła nad stertą przyrządów, oglądając przekaźnik, ciężki blaster, rozrzucone, jak gdyby zapomniane w pośpiechu, ogony przepołowionych psów... Dzikus spieszył się dokądś. Nie jest wcale tym, za kogo się podaje. Żaden z niego dzikus, udaje tylko wesołego prostaczka. Ale po co?

W namiocie nie było sensu siedzieć. Alicja pomyślała, że przypomina w tej chwili ostatnią żonę Sinobrodego, która dostała się do tajnej komnaty i trzęsie się ze strachu – a nuż ktoś wejdzie i zastanie ją tutaj?

Wyszła na deszcz. Minęło już pół godziny od ucieczki Paski. Fatalnie, trzeba będzie wrócić i opowiedzieć o wszystkim Swietłanie. Mało ma innych kłopotów.

I nagle dobiegł ją daleki głuchy huk.

Wybuch.

Co jest w tamtej stronie? Zburzone miasto? Tam przecież spotkali Dzikusa.

Naraz deszcz ucichł, jak gdyby wybuch rozpędził chmury. Może zaryzykować i pójść w tamtą stronę, do zburzonego miasta? Przecież ktoś tam jest. A kto może być oprócz Paski i Dzikusa?

Alicja wahała się jeszcze przez kilka sekund – iść czy mimo wszystko wrócić, w końcu jednak zdecydowała, że lepiej będzie, jeśli sama odnajdzie Paszkę.

Co prawda, do miasta daleko. Trzeba się pospieszyć.

Alicja zeszła nad rzekę i pobięła wzdłuż brzegu, bliżej wody, gdzie był piasek i nie ślizgała się tak bardzo.

GADAJĄCY TYGROSZCZUR

Drugi wybuch, o wiele bliższy, Alicja usłyszała przebiegając obok zarośli, gdzie spotkali poprzednio tygroszczura. Teraz nie miała wątpliwości – ktoś jest w zburzonym mieście. Z tym miastem musi się wiązać jakaś ważna tajemnica.

Deszcz prawie przestał padać, chwilami w prześwicie chmur przebłyskiwało słońce i natychmiast zaczynało prażyć.

Ani jeden ptak, ani jeden motyl nawet się nie pokazał – widocznie ciągle jeszcze kryły się w swych gniazdach.

W powietrzu czuło się jakiś niepokój, coś się musi zdarzyć...

I w tej chwili ziemia drgnęła. Zakołysały się wierzchołki drzew, zawył wiatr, pod nogami coś stęknęło, jak gdyby jakiś gigant usiłował wydostać się na zewnątrz.

Alicja nie zdołała utrzymać się na nogach i upadła na piasek raniąc się w łokieć.

Kiedy się podnosiła, nowy wstrząs znów rzucił ją na ziemię. Wydało jej się, że nawisłe nad nią urwisko zaczyna się osuwać – jeszcze chwila i ją pogrzebie. Nie mogła jednak nic zrobić, ponieważ leżała trzymając się kurczowo trawy, a ziemia, zwykle taka pewna, okazała się chwiejna i zdradliwa.

Stopniowo drżenie i łoskot ustępowały. Alicja uniosła głowę – część urwiska zjechała ku rzece i grudy ziemi zatrzymały się najwyżej o metr od niej.

Podniosła się z wolna i zaczęła otrzępywać z siebie piach i błoto. Najbardziej w świecie chciało jej się pędzić z powrotem do obozu... Próbowwała nawet pocieszać się, że Paszka z pewnością dawno już wrócił. Ale tak siebie przekonując zrobiła już pierwszy krok naprzód, ku zburzonemu miastu. Nie ma nic gorszego niż zawracać w połowie drogi. A trzęsienia ziemi na otwartej przestrzeni, na brzegu, nie są wcale straszne. Kto się boi trzęsienia ziemi?

– No, kto się boi trzęsienia ziemi? – zapytała Alicja głośno.

– Ty – odpowiedział niski, ochrypły głos.

W odległości może dziesięciu kroków od Alicji, na szeroko rozstawionych pazurzastych łapach, wyciągnąwszy przed siebie głowę, stał ogromny, wyższy od niej tygroszczur.

Alicja nawet nie próbowała uciekać. Doskonale zdawała sobie sprawę, że to zwierze dopadnie jej jednym skokiem. A może skoczyć do rzeki jak Paszka, przepłynąć ją?...

– Nie uciekaj – powiedział tygroszczur.

On mówi! Słuch ją nie myli!

Mimo wszystko Alicja usiłowała zajrzeć mu przez ramię. Tygroszczur wydawał się prymitywnym drapieżnikiem.

– To ja mówię, nie dziw się – powiedział. Jego paszcza otwierała się, wewnątrz poruszał się różowy język.

Jeżeli drapieżnik rozmawia z nią, błysnęła myśl, to znaczy, że nie ma zamiaru jej zaatakować. To

znaczy, że można się z nim dogadać. Przecież tylko w bajkach wilki mówią: „Teraz cię zjem, Czerwony Kapturku”. W życiu drapieżniki nigdy nie wdają się w rozmowy ze swymi ofiarami – można by w ten sposób umrzeć z głodu.

– Wcale nie uciekam – oświadczyła Alicja. – Po prostu trochę za dużo tych wydarzeń. I ulewa, i trzęsienie ziemi, i pan...

– Żeby z tobą rozmawiać, muszę wydawać dźwięki. A żeby wydawać dźwięki, potrzebne mi usta, język i zęby – powiedział tygroszczur.

– Przecież pan ma usta, język i zęby.

– No właśnie. Dlatego z tobą rozmawiam.

Nastąpiła pauza. Dosyć kłopotliwa, ponieważ Alicja nic nie rozumiała, tygroszczur zaś rozumiał, że ona nic nie rozumie. Nie wiedzieć czemu pomyślała: „Stoję tu, a tam może Paszka na mnie czeka. On czeka, a ja sobie rozmawiam ze zwierzętami”. I nagle olśniło ją – przecież to gospodarz planety. A tu Dzikus rzucał się nań z pałąką, Swietłana strzelała z pistoletu. I tak dobrze, że go tylko uśpiła. Zresztą on też jest dobry, straszy przechodniów... A jeśli on wcale nie szykował się do napaści, tylko chciał porozmawiać? Przecież gdyby miała w tej chwili przy sobie jakąś broń, mogłaby z przestachu go zabić.

– Przepraszam – odezwała się. – Wczoraj wzięliśmy pana za drapieżnika...

– Nie szkodzi. To było częścią naszych planów. Śledziłeś was uważnie. Bardzo uważnie. Z początku nie protestowaliśmy, a teraz żądamy: odjedźcie stąd. Jasne?

– A dlaczego mamy stąd odjechać?

– Okazaliście się tacy sami jak tamci. Im prędzej odjedziecie, tym lepiej. Daję wam na to trzy dni.

Tygroszczur odwrócił się i zniknął w krzakach.

– Chwileczkę! – krzyknęła Alicja.

Rzuciła się za nim mrużąc oczy, ponieważ mokre gałązki chlastały ją po twarzy, i nie zauważyła, gdy dosłownie zaryła się w ciepły włochaty bok tygroszczura.

– Oj! – wykrzyknęła. – Przestraszył mnie pan...

– Nie miałem tego zamiaru – usprawiedliwił się tygroszczur. – Czekam na pytanie. Biegłaś za mną, ponieważ chciałaś o coś zapytać.

– Na pewno gniewa się pan o to, że Swietłana strzeliła do pana – spytała Alicja. – Ale przecież nie wyrządziła panu krzywdy. To w naszej obronie.

– Dziewczyno – powiedział smutno tygroszczur – co ma do tego pojedynczy wystrzał? Gotów jestem o nim zapomnieć. Jesteśmy niezadowoleni z ludzi. Odjedźcie.

– Czemu mnie pan to mówi? Przecież są dorośli ludzie w mieście...

– Ja nie chodzę do miasta – rozsądnie odparł tygroszczur.

Miał słuszość. Alicja wyobraziła sobie, jak taki dziwotwór się do Żangletonu i próbuje rozmawiać z turystą.

– Proszę przyjść do obozu.

– Tam mają pistolet. Będą do mnie strzelać.

– Przecież to tylko obezwładniający...

– Kiedy jestem uśpiony – powiedział tygroszczur z właściwą sobie logiką – nie mogę mówić!

Tracisz czas. Powtórz ludziom, by sobie stąd poszli.

– Przecież mi nie uwierzą.

– Dlaczego? Czy to nie wszystko jedno, z kim się rozmawia? Możesz mówić z każdym stworzeniem. Czemu mieliby ci nie uwierzyć?

– Niech pan sobie wyobrazi, że wracam i opowiadam, że spotkałam stwora, który kazał mi powtórzyć ludziom, żeby się wszyscy wynieśli z planety...

– Teraz ja nic nie rozumiem.

Ku zdziwieniu Alicji tygroszczur usiadł na kamieniu, podparł mordę pazurzystą łapą i zamyślił się.

– To znaczy, że jeden człowiek może powiedzieć drugiemu o czymś, co w rzeczywistości nie ma miejsca? – spytał w końcu.

– Niestety, bywa i tak – westchnęła Alicja.

– To znaczy, że jeden człowiek może robić coś, o czym nie wiedzą inni ludzie? I czego oni by nie zaakceptowali?

– Tak też bywa – ostrożnie odpowiedziała Alicja. – A raczej tak bywało kiedyś, a teraz zdarza się bardzo rzadko...

Tygroszczur ciężko podniósł się z kamienia i powiedział zagadkowo:

– Nigdy nie należy podejmować decyzji, nie dopuściwszy do głosu strony, która zawiniła.

I podczas gdy Alicja zastanawiała się nad treścią tego zdania, zniknął.

Alicja wróciła na brzeg rzeki. Mimo rozmowy z tygroszczurem postanowiła jednak odnaleźć Paszkę. Płaskowzgórze już blisko...

Dziwne stworzenie. Wcale nie przypomina istoty rozumnej... Ale zachowuje się jak gospodarz planety. Może w zburzonym mieście zamieszkiwały niegdyś tygroszczury?

Po krótkiej wspinaczce na płaskowzgórze stanęła na skraju równiny, na której wznosiły się potężne drzewa.

Nikogo nie widać.

Ruszyła zapuszczoną drogą w kierunku ruin.

Z przodu, tam gdzie ostatnio spotkali Dzikusa, coś czerniało. Gdy Alicja podeszła bliżej, okazało się, że to wyrwane z korzeniami ogromne drzewo. Grudki ziemi rozrzucone były wokół w promieniu stu metrów. Za drzewem widniał szeroki lej – wszystko, co pozostało z ruin dużego domu.

Alicja stała na skraju leja i rozglądając się na wszystkie strony próbowała zrozumieć, gdzie mogli podziać się ludzie. Naraz usłyszała znajomy już głuchy głos:

– Nie wiedziałas o tym, co się tu zdarzyło?

Alicja obejrzała się. W pobliżu nie było nikogo. Głos dolatywał z góry. Gdzie się schował tygroszczur?

Na sterczącym wysoko w niebo korzeniu przewróconego drzewa siedział duży ciemnozielony ptak. To on przemawiał głosem tygroszczura.

– Skąd mogłam wiedzieć? – zdziwiła się Alicja. – Przecież byłam daleko stąd.

Ptak, otwierając szeroko dziób, starannie wypowiadał słowa.

– A on ci nie powiedział?

– Kto?

– Tamten, który spowodował dwa wybuchy.

– Nie wiem nawet, czyja to sprawa. Chociaż podejrzewam, że Dzikusa.

– Nazywacie go Dzikusem. Jedliście razem z nim i piliście brązową wodę.

– Herbatę – wyjaśniła Alicja. – Tę wodę nazywamy herbatą.

– I nic nie powiedział?

– Nie, nic mi nie powiedział. To w ogóle dziwny człowiek.

– Niepojęte – stwierdził ptak.

Dla Alicji niepojęte było, gdzie się podział Paszka.

– Proszę mi powiedzieć, czy ten Dzikus był tu sam?

– Najpierw był sam. Potem przyszedł do niego mały człowiek – odparł ptak.

– Gdzie są teraz?

– Odeszli. On sprawił mi ból. Dawno nikt nie sprawił mi takiego bólu jak ten Dzikus.

– Czy nie mogłabym jakoś pomóc? – spytała ptaka Alicja.

– Nie – krótko odpowiedział ptak. – Ty mi nie pomożesz.

Rozpostarł skrzydła. Od wewnątrz były błękitne. Szybko wzbił się w powietrze i odleciał w stronę lasu.

Paszka z Dzikusem dokądś poszli. Gdzie ich szukać?

Alicja wdrapała się na sterczące ku niebu korzenie, żeby rozejrzeć się dookoła z wysoka.

W oddali coś błyszczało. Statek kosmiczny?

DZIKUS POSTANOWIŁ ODLECIEĆ

Paszka wbiegł na płaskowzgórze pół godziny wcześniej od Alicji.

Drzewo, które Alicja widziała już wyrwane z korzeniami, jeszcze stało przechylone na bok – pierwszy wybuch nie dał mu rady. Pod drzewem przykucnął Dzikus, przygotowując nowy wybuch.

Paszka ucieszył się na widok przyjaciela.

– Dzikus! – zawołał. – Dzikus!

Dzikus zerwał się i pobiegł mu na spotkanie.

– Padnij! – krzyknął strasznym głosem.

Zwalił Paskę z nóg i w tej samej chwili nastąpił ogłuszający wybuch. Wokół fruwały odłamki kamieni, grudy ziemi.

Kiedy wszystko ucichło, Dzikus podniósł się i powiedział ze złością:

– Płaczą się tu samobójcy.

– Nie wiedziałem przecież, że pan tu coś wysadza – tłumaczył się Paszka. – Można było wyjaśnić po ludzku...

Dzikus tylko machnął ręką i poszedł w stronę zwałonego drzewa.

Paszka biegł z tyłu wykrzykując:

– Nie przyszedłem tak sobie. Trzeba się spieszyć...

– Właśnie się spieszę – powiedział Dzikus.

– Ale nie wie pan o wszystkim...

W tej chwili zaczęło się trzęsienie ziemi, które zważyło z nóg ich obu.

Paszka podczołgał się do przyjaciela i przytulił się do niego. Ziemia przestała dygotać...

Dzikus odepchnął Paskę, wstał i powiedział:

– Zwłoka, zwłoka, a każda minuta jest droga.

– Tak się do pana spieszyłem...

Paszka był jak goniec, poraniony, umierający, który dobiega do królewskiego namiotu z wiadomością o zbliżającym się wrogu. A król jest zajęty czymś innym.

– Po co się spieszyłeś? – spytał Dzikus, stając na krawędzi leja.

On przyjechał.

– Kto?

– Pański wróg, inspektor.

– Dokąd przyjechał? – spytał Dzikus, oglądając z góry lej.

– Do obozu. Rozumie pan?

– No i co z tego?

Dzikus zaczął ostrożnie spuszczać się na dno leja.

– Chce nas stąd wywieźć razem ze Swietlaną.

– No i co z tego?

Zaczął rozgrzebywać rękami ziemię.

Paszka w zupełnej rozpaczy próbował wytłumaczyć mu, co się stało.

– Chciał wsadzić wszystkich do mobila i wywieźć do miasta...

– Więc czemu was nie wywiózł?

– Ja mu pomieszałem szyki. Wiedziałem, że wówczas nie spotkacie się ze Swietłaną.

– Z jaką znów Swietłaną?

Dzikus wściekał się, nie znajdował tego, co stanowiło przedmiot jego poszukiwań.

– Przecież kazał mi pan nie spuszczać z oka Swietłany.

– Trzeba więc było nie spuszczać.

– Zepsułem mobil, żeby nie mogli stąd odjechać.

– Zepsułeś?

– Ale inspektor pojechał do miasta po nowy. Minęło przeszło godzina, on z pewnością zdążył już wrócić...

– A niech cię, co za pech. Nie ma niczego gorszego od usłużnego głupka. Pojechaliby do miasta. A teraz spostrzegą twoją nieobecność, będą szukać. Jeszcze tu przylecą.

– Za to Swietłana będzie uratowana.

– Na co mi twoja Swietłana... – nie dokończył. Spod ziemi ukazał się róg czarnej skrzynki. Dzikus przykucnął rozgrzebując ziemię. Po kilku sekundach skrzynka znalazła się w jego rękach.

I nagle Paszka zobaczył, jak ze brzegów leja ziemia zaczyna się osypywać – coraz prędzej i prędzej... Grudki uderzyły w plecy i w tył głowy Dzikusa, który nic nie zauważył.

– Dzikus! – wrzasnął Paszka. – Zasypie pana!

Dzikus wciąż zwlekał. I spóźnił się. Ziemia nakryła go z głową. Paszka z przerażeniem patrzył, jak jego przyjaciel znika.

Nie było czasu na zastanawianie się. Paszka wskoczył do leja i jął szybko rozgarniać ziemię rękoma, jak szczeniak odkopujący ukochaną kość.

Ziemia była sypka, z góry leciały wciąż nowe grudki. Ale na szczęście Dzikus też się nie poddał – oto już ukazała się jego głowa.

– Myślałem, że już nie wylezę! Tam jest łopata. No, prędzej!

Paszka skoczył po łopatę. Dzikus ponaglał go, wymyślał, a gdy udało mu się oswobodzić ręce, oddał Paszce ciężką czarną skrzynkę, sam zaś wydostał się spod ziemi, opierając się na łopacie.

Paszka postawił skrzynkę na brzegu leja. Czuł urazę do Dzikusa. Wypadałoby bodaj podziękować.

Dzikus nie mógł w żaden sposób wdrapać się na górę, ziemia osypywała się pod nim, ściągała z powrotem. Podał Paszce łopatę i nakazał:

– Ciągnij!

Paszka ciągnął ostatkiem sił. Jeszcze chwila i on sam znajdzie się w dole. Ale wszystko skończyło się pomyślnie. I oto stoją już obaj na krawędzi leja.

– Przekleństwo! – złościł się Dzikus wytrząsając ziemię ze złotych niegdyś włosów. – Wszystko to zostało uknute. Tak, właśnie uknute. Ale jeszcze się z nimi policzę.

– Z kim? – spytał Paszka.

– Ze mną lepiej nie żartować. No dobra, idziemy.

– Dokąd?

– Im mniej będziesz zadawał pytań, tym dłużej będziesz żył – odparł Dzikus, podnosząc skrzynkę. Podszedł do drzewa. Paszka zobaczył w trawie dwa mocno wypchane worki.

– Bierz jeden – nakazał mu Dzikus.

Worek był lekki, jakby wypełniony puchem.

– Co tam jest? – spytał Paszka, zarzucając worek na ramię.

Dzikus wziął drugi worek.

– Psie ogony – wyjaśnił. – Istny majątek. Na Palaputrze modnisie oddadzą za nie wszystko.

– To pan zabił tyle psów? – zdumiał się Paszka.

– A po co je zostawiać? Przecież to potwory!

– Nie – powiedział Paszka. – Wcale nie potwory. One po prostu żyją w czasie. Przednia połowa – dzisiaj, a tylna – wczoraj.

– Ale ubaw – roześmiał się Dzikus. – A ja myślałem, że to takie potwory. To znaczy, on patrzy, a ty ogona jeszcze nie ma?

– Niech pan się nie śmieje – powiedział Paszka. Był bardzo zmartwiony zachowaniem Dzikusa na planecie. – Przecież one umierają. Umierają, gdy im obciąć ogon.

– Boki zerwę ze śmiechu – ryczał Dzikus – nie ma ogona, więc serce pęka. Chyba umrę ze śmiechu. Jak opowiem o tym, wszyscy umrą...

Przed nimi ukazał się nieduży statek kosmiczny.

Paszka czuł się obrzydliwie. Jak gdyby sam w czymś zawinił.

– To pański statek? – zapytał.

– Mój.

– Więc nie zabierze pan Swietłany?

– Rozmyśliłem się.

– Nie rozumiem. Tak się starałem...

– Zapomnij o tym – powiedział Dzikus – Ty i ja jesteśmy wolnymi włóczęgami...

– Ale przecież mówił pan...

– Mało to rzeczy mówiłem! Polecisz ze mną. Zrobię z ciebie wspaniałego wilczka. Będziemy pożądanymi gośćmi w Szarej Mgławicy. Z tą skrzynką...

– Nie – powiedział Paszka. – Czekają na mnie.

– Czyżbyś nie był romantykiem? – zdziwił się Dzikus.

Statek był już blisko.

– Jestem romantykiem, ale innym...

– Romantyk powinien mieć w sobie awanturniczą żyłkę. Nikt w Szarej Mgławicy nie wierzył, że uda mi się zdobyć czarną skrzynkę Kandory, którą zgubili Ligmeje uciekając z tej planety. A ja ją zdobyłem. Widzisz, jakie to proste!

– Kto uciekał z tej planety?

– Ci, którzy zakłócili mój spokój – powiedziała żmija, wysuwając głowę z trawy.

Była to wielka zielona żmija.

W mgnieniu oka Dzikus rzucił worek, wyciągnął pistolet i smagnął żmiję śmiertelnościaną wiązką promieni.

– Ależ ona mówiła... – jęknął Paszka.

– Teraz już nic więcej nie powie.

Dzikus pochwycił worek i podbiegłszy do statku, otworzył luk i wrzucił go do środka.

– Dawaj swój worek – krzyknął do Paszki.

Paszka podał mu worek. Trudno znieść takie rozczarowanie.

– I wcale pan nie kochał Swietłany? – spytał, choć właściwie nie było o co pytać, i tak wszystko jasne.

– Kogo? Tę dziewczynę? Nie wyobrażasz sobie, jakie pięknotki czekają na mnie w Szarej Mgławicy... Czyżbyś dotąd nie zrozumiał, że musiałem się jakoś od ciebie odczepić? A ty, mój przyjacielu, przesadziłeś w gorliwości.

Uśmiechając się olśniewająco Dzikus postawił na krawędzi luku czarną skrzynkę.

– Więc lecisz ze mną?

Przez głowę Paszki jak błyskawice przelatywały myśli. Zrozumiał wszystko. Dzikus to pirat kosmiczny.

Pokręcił przecząco głową.

– No, jak uważasz...

– Paszka! – rozległo się dalekie wołanie.

Przez pole biegła Alicja.

– Tego jeszcze brakowało! – powiedział Dzikus i podniósł pistolet.

– Nie waż się! – wykrzyknął Paszka.

I rzucił się na niego.

Dzikus schował pistolet. Wciąż się jeszcze uśmiechał.

– Przydasz mi się – powiedział i uchwycił Paszkę za pas, wrzucił go jak worek do statku. – Nie ośmielą się strzelać, gdy ty będziesz ze mną.

Wskoczył do luku i zamknął go.

Alicja wszystko widziała. Była już całkiem blisko.

Spóźniła się jednak.

Statek oderwał się od ziemi, trawa pokładła się od podmuchu silników.

Z cichym sykiem statek uniósł się nad doliną i wzbił się w przestworza.

„LICZĘ DO DZIESIĘCIU”

Alicja patrzyła na unoszący się, coraz mniejszy statek, a po jej policzkach spływały łzy. Nie zauważyła nawet, gdy z tyłu zatrzymał się mobil i wyskoczył z niego inspektor.

– Porwał chłopca? – spytał.

– Tak – odparła Alicja. – Paszka nie chciał lecieć...

– Wszystko będzie dobrze.

Włączył nadajnik.

– Odbiór – zaczął wywoływać – odbiór.

Zapalił się ekran wideofonu. Pojawiła się na nim twarz młodego człowieka ubranego w mundur kosmicznego patrolu.

– Kapitanie Simon – spytał inspektor – słyszysz mnie?

– Łączność doskonała.

– Dzikus dwie minuty temu wystartował z płaskowzgórza. Możesz go teraz złapać na radarze.

Ogłoś alarm dla statków ratowniczych lecących na Penelopę. Wyjątkowo niebezpieczny przestępca.

– Tam jest Paszka – powiedziała Alicja.

– Weź pod uwagę – ciągnął starszy – że na pokładzie statku znajduje się porwany chłopiec.

Konieczna maksymalna ostrożność. Statek może być uzbrojony.

– Niech się pan nie obawia, inspektorze – odparł młody kapitan. – Nie wywinie się nam.

Ekran zgasł.

– Nie upadaj na duchu, Alicjo – poklepał ją po ramieniu inspektor.

– Przysięgam, że Paszka nie podejrzewał, iż Dzikus jest przestępcą.

– My też się nie domyślaliśmy. Dopiero teraz zrozumieliśmy, że pod postacią Dzikusa kryje się jeden z ostatnich kosmicznych piratów Szarej Mgławicy. To nasza wina.

– Więc naprawdę nie wiedzieliście? – rozległ się znany już Alicji głuchy głos. – Tylko nie strzelajcie. On dopiero co mnie zabił. To bardzo boli.

Mówiła żmija. Duża zielona żmija.

– Nie mieliśmy pojęcia – odpowiedziała Alicja. – Ile razy mam powtarzać to samo?

– O wybuchu też nie wiedzieliście?

– Nie.

– A kiedy on łowił ryby w jeziorze, też nie braliście w tym udziału?

– Nie.

– I nie polowaliście razem z nim?

– Nie.

– Kim jesteś? – spytał inspektor.

– To bardzo dziwne – powiedziała Alicja. – Najpierw rozmawiał ze mną tygroszczur, potem

ptak, a teraz żmija, ale wszyscy tym samym głosem. Jak gdyby przebierał się ten sam człowiek.

– Dziewczynka ma rację – powiedziała żmija. – To mówię ja, planeta Penelopa.

– Rozumie się – oświadczył staruszek. – Dawno już wyczuliśmy coś złego. Ta planeta jest zbyt dobrze zorganizowana.

– Jestem zorganizowana tak jak mi najwygodniej – odparła żmija.

– Chcesz nas wypędzić? – spytał inspektor.

– Wiele lat temu przylecieli tu podobni do was. Zbudowali miasto tu, na tym płaskowzgórzu.

Zaczęli mnie przewiercać, rąbać drzewa, zabijać zwierzęta, które wyhodowałam. Ostrzegałam ich. Chciałam im pokazać, że wszystko tutaj, do najmniejszej muszki, to jestem ja. Ja sama. Stworzyłam drapieżne zwierzęta. Nie posłuchali mnie. Kopali we mnie wielkie dziury w poszukiwaniu metali. Nasłałam na nich deszcze i burze. Nie posłuchali. Próbowałam z nimi rozmawiać. Strzelali do moich emisariuszy. Wtedy zburzyłam ich miasto. Ci, którzy przeżyli, odlecieli.

– Ale przecież my staraliśmy się ciebie nie drażnić.

– Dlatego wszystko znosiłam. To było ciekawe. Ale potem zaczęło się od nowa... Tamten człowiek, który odleciał...

– To nie człowiek. Społeczeństwo dawno go wykluczyło.

– Nie wiedziałam, że ludzie mogą się nienawidzić między sobą. Myślałam, że wszyscy jesteście tacy sami...

– A więc to ty stworzyłaś tygroszczury, drapieżne ryby i żmije? – spytała Alicja.

– Tak – odparła żmija. – Chciałam, żebyście odeszli.

Ekran wideofonu zapalił się.

– Mamy z nim łączność – powiedział kapitan patrolu. – Słuchajcie.

Na ekranie widać było kabinę pilota statku patrolowego.

Alicja podeszła bliżej.

Coś zimnego dotknęło jej ręki.

Mimo woli cofnęła ją – wielka zielona żmija też patrzyła na ekran.

Kapitan statku patrolowego mówił:

– Dzikus, Dzikus, wykryliśmy pana. Proponujemy natychmiastowe lądowanie na sztucznym satelicie.

– Pocałuj mnie w nos – rozległ się głos Dzikusa. – Zanim się wam poddam, zdążę wysadzić w powietrze dziesięciu takich jak ty.

– Ale w końcu sam pan zginie – powiedział kapitan.

– Nie ośmielicie się. Mam na pokładzie waszego chłopaka.

– Znajduje się pan w samym centrum pola siłowego. Za pięć minut pole się zamknie. Proszę się poddać dobrowolnie...

– Nie zdążycie – zaśmiał się Dzikus. – Jestem już poza granicami atmosfery Penelopy. Tu jest wolna Galaktyka. Czeka na mnie statek moich przyjaciół.

– Statek pańskich przyjaciół poddał się dwie godziny temu.

– Nie wierzę!

– Będzie pan musiał uwierzyć. Łączę pana z satelitą.

Rozległ się ochrypy głos:

– On mówi prawdę, Dzikusie, złapali nas. Poznajesz mnie, nieustraszonego włóczęgę?

– Niech to diabli porwą, to uknute...

– Liczę do dziesięciu... – powiedział młody kapitan.

Do obozu jechali mobilem.

Inspektor wyjaśnił, że Paszka wróci dopiero przed wieczorem.

Żmija, nie prosząc o pozwolenie, wsiadła razem z nimi do mobila i okazała się bardzo rozmowna. Do samego obozu bez ustanku zadawała pytania. Alicja z inspektorem aż się zmęczyli odpowiadając na nie.

A gdy mobil zahamował przed werandą i Swietłana z dziećmi wybiegła im na spotkanie, żmija zapomniawszy, że nie wszyscy jeszcze ją znają, wysiadła razem z Alicją, owinąwszy się wokół jej szyi i położywszy jej głowę na ramieniu, żeby nie przerywać rozmowy.

Można sobie wyobrazić, co pomyślała Swietłana, ujrawszy, jak umazana ziemią, mokra i potargana Alicja wysiada z mobila niczym posąg trojańskiego kapłana Laokoona, a żmija dosyć głośno rozprawia głuchym basem:

– Mnie, musze przyznać, rozczuliło to, że wstrzymaliście loty powietrzne nade mną, by nie płoszyć ptaków i owadów. Tym przykrzejsze było rozczarowanie...

Alicja potulnie kiwała głową.

Na ich widok Swietłana nie wytrzymała – zbyt się denerwowała w ciągu dnia – i upadła zemdlona. Dżawad z Arkaszą ledwie zdążyli ją pochwycić.

Żmija nie zwróciła na to w ogóle uwagi – widocznie pomyślała sobie, że Swietłana poszła spać. Popatrzyła na Arkaszę i oznajmiła:

– Chciałabym jeszcze poznać bliżej Arkadija Sapożkowa, który domyślił się, że moje drogocenne rogate psy żyją w czasie...

CZEŚĆ CZWARTA

SZKATUŁKA PIRACKIEJ MAMY

PRZYJEŹDŹAJ NA BRASTAK SKOSZTOWAĆ SKRRRULI

Wakacje na Penelopie zbliżały się niestety ku końcowi. Pora wrócić.

Obóz w dżungli zwinięty, zbiory załadowane do mobila, namioty spakowane i schowane w budynku stacji biologicznej, batyskaf Maszeńki już w plecaku, kolekcję motyli Dżawad ostrożnie trzyma na kolanach.

Z lasu powoli wychodzi tygroszczur i kopie ziemię przednią łapą, smutno mu rozstawać się z przyjaciółmi. Za nim pojawia się stado psów. Ogony spacerują osobno, głowy osobno...

– Niczego nie zapomnieliście? – spytała Swietłana.

– Owszem, zapomnieliśmy Arkaszę Sapożkowa – powiedziała Natasza. – Dopiero co był tutaj. Zostawił w pracowni sześć najdrogocenniejszych zielników – wyjaśnił Paszka.

– Nic dziwnego – uśmiechnęła się Alicja. – Ma ich osiemset dwadzieścia, wczoraj liczył do późnego wieczora.

– A wszystkie są najdrogocenniejsze – dodał Dżawad.

– Idę pożegnać się z tygroszczurem – rzekła Alicja.

– Wykluczone – sprzeciwił się Paszka. – Zagada cię z kretelem.

– Chwileczkę – przypomniała sobie Swietłana. – Wczoraj w mieście odebrałam list do ciebie, wsunęłam go do kieszeni i całkiem zapomniałam. Wybacz.

Swietłana podała list Alicji.

– Och, co za znaczek! – wykrzyknął Paszka. – Nie mam takiego w mojej kolekcji.

– No chyba – Alicja spojrzała na adres nadawcy. – To z Brastaka. – Na znaczku znajdowała się trójwymiarowa podobizna czarnozielonego kotka z jednym błękitnym okiem pośrodku czoła.

– Jaki milutki – powiedziała Natasza Biełaja. – Dlaczego nie przywożą ich do nas na Ziemię?

– Może są wielkie jak dwupiętrowa kamienica? – zauważył Dżawad.

– Nie mogą ich przywozić – wyjaśniła Alicja. – Oni sami przyjeżdżają od czasu do czasu. Na konferencje naukowe albo na pertraktacje.

– To istoty rozumne? – zdumiała się Natasza.

– Rozumniejsze od nas obu. Tylko planeta Brastak jest niewielka, leży na uboczu od głównych tras, a Brastakanie są domatorami.

– Rzeczywiście są tacy duzi? – zapytał Dżawad.

– Nie – odparła Alicja. – Normalne kocięta.

Natasza parsknęła śmiechem i Alicja uświadomiła sobie, że wyraziła się niezbyt precyzyjnie, dodała więc:

– To znaczy są podobni do kociąt. Nie mają jednak ogonów. A na znaczku jest podobizna ich

wielkiego podróżnika Kk-rrrr.

– Umiesz czytać w ich języku?

– Troszeczkę. Brałam kiedyś udział w ekspedycji archeologicznej i zaprzyjaźniłam się tam z pewnym archeologiem z Brastaka. Nazywa się Rrrr. To od niego ten list.

– Posłuchaj, Alicjo – powiedział Paszka. – Ty przecież nie zbierasz znaczków?

– Zbieram. Florę i faunę.

– Ale przecież wielki podróżnik – to nie fauna. Daj mi ten znaczek.

– Bierz razem z kopertą.

Od domu biegł Arkasza Sapożkow uginając się pod ciężarem zielników.

– Jedziemy? – spytała Swietłana. – Mam nadzieję, że niczego nie zapomnieliśmy?

– Nawet jeden papierek nie został, sprawdziłem – oświadczył Arkasza.

Mobil uniósł się nad ziemią i ruszył w kierunku miasta. Przednie połowy psów zawyły żałościwie, tygroszczur zaś wielkimi susami pognał za mobilem, na zakręcie drogi przystanął, podniósł długi, cienki, pręgowany ogon i spuścił głowę. Żegnajcie, przyjaciele!

– No i co on do ciebie pisze? – zainteresował się Paszka, przyglądając się z zachwytem znaczkowi.

– Swietłano – odezwała się Alicja – jak długo się leci z Penelopy na Brastak?

– Nigdy nie latałam – odparła Swietłana. – Musisz spytać w mieście.

– Wybierasz się na Brastak? – zdziwił się Paszka. – A co ze szkołą?

– Rrrr zaprasza mnie na wielkie święto, które obchodzone jest raz na trzy lata. Wszyscy jedzą wtedy skrrrule. Dawno już obiecał mnie zaprosić.

– A co to takiego skrrrule? – spytał Arkasza. – Jeśli są istotami żywymi, spożywanie ich jest barbarzyństwem.

– Słowo daję, nie wiem. Powiedział mi tylko: jak raz spróbujesz skrrruli, to do końca życia nie zapomnisz.

– A co na to twoi rodzice? Przecież czekają na ciebie – powiedziała surowo Maszeńka.

– Najlepiej będzie, jak przeczytam list.

„... Pisałem do ciebie na Ziemię, że chciałbym cię widzieć, moja stara przyjaciółko, na święcie skrrruli, ale twój szanowny ojciec powiadomił mnie, że jesteś na Penelopie. O, pomyślałem sobie, mam szczęście. Z Penelopy na Brastak tylko ręką sięgnąć. Poinformowałem więc twego szanownego ojca, że możesz być na naszym święcie i zdążyć do domu przed początkiem roku szkolnego. Dwudziestego pierwszego sierpnia zatrzymuje się na Penelopie liniowiec idący na Abradabrę, z przystankiem na Brastaku, a dwudziestego szóstego startuje z Brastaka w kierunku Układu Słonecznego Arystoteles. A więc skosztujesz skrrruli i zdążysz do szkoły. Twój szanowny ojciec po naradzie z twoją szanowną mamą wyrazili zgodę na mój skromny plan. Bilet dla ciebie zamówiłem. Z niecierpliwością oczekuję cię na kosmodromie. Z poważaniem, profesor archeologii kosmicznej, honorowy członek osiemnastu akademii i towarzystw naukowych Rrrr”.

– Masz, pełnych kurtuazji przyjaciół – powiedział Dżawad.

– Nie wyobrażasz sobie, jaki on jest nadzwyczajny!

– Ale masz szczęście – z zazdrością stwierdził Paszka. – Spróbujesz skrrruli.

– Przywiozę ci – obiecała Alicja.

– Gdyby je można było przewozić, dawno by je sprowadzono na Ziemię – powiedział Arkasza. – Z pewnością nadają się do jedzenia tylko świeże.

– Dziś jest dwudziesty – zasmuciła się Swietłana. – To znaczy, że odlatujesz wcześniej niż reszta dzieci. A chcieliśmy pojechać nad Błękitne Jeziora.

– Nie szkodzi, pojedę tam następnym razem – powiedziała Alicja. Jasne, że ciekawsze od Błękitnych Jezior były dla niej zagadkowe skrrrule.

„ZABIERZ MNIE Z SOBĄ”

Nazajutrz rano wszyscy pojechali nad Błękitne Jeziora. A raczej nie wszyscy. Paszkę nagle rozbolał brzuch i został w hotelu.

Alicja przyniosła mu śniadanie z restauracji, ale Paszka smętnie popatrzył na owoce i herbatę z mlekiem.

– Lepiej nie będę dziś jadł – powiedział. – Co za przykrość! Skoro nie zaproszono mnie na Brastak, pojechałbym choć nad Błękitne Jeziora.

– Zrozum, Paszka – tłumaczyła Alicja. – Zabrałabym cię z przyjemnością wszędzie, ponieważ jesteś moim przyjacielem. Ale nie mam jak uprzedzić Rrrr, że nie przyjadę sama. Poza tym na statku może nie być już miejsc. A co powiedzą twoi rodzice, jeśli nie wrócisz razem ze wszystkimi?

– Wszystko się zgadza – odparł Paszka. – Ale przecież do moich rodziców można napisać, że zostaję z tobą. Wiesz przecież, jakie moja mama ma do ciebie zaufanie. Do głowy jej nie przyjdzie martwić się o mnie.

– Nie, Paszka, wykluczone – zakończyła dyskusję Alicja i pozostawiła go w smutnej samotności. A sama pojechała na kosmodrom, żeby dowiedzieć się, kiedy przylatuje liniowiec na Abradabrę.

Mały kosmodrom Penelopy pod Żangle-wielokropkiem roił się od turystów. Przed chwilą wylądował specjalny rejs z Pilagei. Turyści pilagejscy w dziwacznych z punktu widzenia Ziemianina ubraniach – spódnicach do ziemi i szerokich kapeluszach – z bukietami sztucznych kwiatów, pustymi koszykami w rękach i miniaturowymi magnetofonami na nadgarstkach, sunęli nieprzerwanym strumieniem.

Alicja odszukała robota-informatora, któremu jak na złość popsuł się blok odpowiedzialności. Zamiast poinformować Alicję, kiedy przylatuje statek na Abradabrę, zaprosił ją na spacer do parku rozrywek. Musiała udać się na poszukiwanie dyżurnego i razem z nim łapać robota. Czas uciekał i kiedy Alicja wróciła do hotelu, do przylotu statku zostało już tylko pół godziny. Gdy spakowała swoją torbę, było już tylko dwadzieścia minut, przebrała się – piętnaście, pobiegła do Paszki, by się pożegnać – dwanaście, a gdy odkryła, że się gdzieś ulotnił – dziesięć. Śniadanie było zjedzone do ostatniego okrucza, widać Paszka nie był taki znów chory. Udawał, został specjalnie, aby namówić Alicję.

Alicja przybiegła na kosmodrom, gdy kończyła się już odprawa podróżnych. Długi sznur turystów z Pilagei – cóż to za jakaś planeta, dokądkolwiek się przyleci, wszędzie pełno Pilagejczyków w kapeluszach i z magnetofonami – akurat opuszczał salę.

Całe szczęście, że nie było nieporozumień z biletami. Alicja Sielezniewa znajdowała się na liście pasażerów. Złapawszy torbę, pobiegła przez pole i zdążyła na statek akurat w momencie, kiedy ostatnia turystka pilagejska wspinała się po trapie.

Korytarz liniowca pasażerskiego był pusty, tylko ostatnia turystka nacierała na robota-

stewardesse, mówiąc w łamanym języku galaktycznym – kosmolingwie:

– Moja zapasowa kapelusz był drogocenna kwiat, ale go nie ma i niezrozumiała.

– Znajdzie się pani kapelusz, z pewnością znajdzie – uspokajała ją stewardessa. – Może oddała go pani na bagaż?

– Moja kapelusz nie wolno na bagaż, bo kwiaty łamać się i ginąć. Jasne? – Pilagejka miała ciemne okulary, które zasłaniały jej pół twarzy.

– Którą masz kabinę, panienko? – spytała stewardessa.

– Osiemnastą.

– Czwarte drzwi po prawej – powiedziała stewardessa. – Lecisz sama?

– Oczywiście, że sama.

– Latałaś już?

– Wiele razy – odparła Alicja.

– Mimo to zajrzę do ciebie przed startem, sprawdzę, czy znasz przepisy.

– Proszę bardzo – powiedziała Alicja, udając, że jej to nie uraziło.

– Moja zapasowa kapelusz – znów zaczęła turystka z Pilageu – być rzadki kwiat.

– Został pani przecież ładny kapelusz na głowie – zauważyła Alicja.

– Dziewczynka, nie wtrącać się. Być rozmowa dorosłych. Niewykluczone, że strata moja zapasowa kapelusz wiązać się z twoja charakter. Pokusa być wielka. Jak wielki pamiątka.

– Jak pani nie wstyd myśleć coś takiego! – oburzyła się Alicja.

– Posłuchaj, panienko – rzekła skołowana stewardessa, która straciła już nadzieję na pozbycie się turystki. – Idź do swojej kabiny, za chwilę start.

Alicja wzruszyła ramionami. „Skoro ta pani nie chce, żeby jej pomóc, to nie. Co mi po cudzych kapeluszach. A co się tyczy pamiątek, to mam takie, o jakich ona nawet nie marzyła!”

Rozmawiając dalej w myśli z Pilagejką, Alicja doszła do swojej kabiny. Wyjęła z torby szczotkę do zębów oraz inne rzeczy potrzebne w podróży i położyła je na półce nad umywalką. Rozłożyła koję. Przepisy wymagają, by na czas startu przyjąć pozycję leżącą. Aczkolwiek w nowoczesnych liniowcach prawie nie odczuwa się przeciążenia, nikt do tej pory nie uchylił starych przepisów. Zaraz przyjdzie stewardessa i z pewnością sprawdzi. Jak to źle być taką młodą. Wciąż człowiekowi nie dowierzają.

Ktoś zapukał do drzwi. Na pewno stewardessa.

– Proszę – powiedziała Alicja.

Przez drzwi wsunęła się bokiem pilagejska turystka.

– Ty tu mieszkać? – spytała, błyskając ciemnymi okularami. – Ty chować tutaj moja zapasowa kapelusz?

– Przepraszam bardzo – odparła Alicja – ale zaraz będzie start i powinna pani być w swojej kabynie. Jeszcze stewardessa przypomni sobie o pani, odłożą start i wszyscy będą niezadowoleni.

– Najpierw ja znaleźć swoja zapasowa kapelusz – upierała się turystka. – Ona być pod twoja łóżko.

– Mówiłam pani przecież!

Turystka jednym krokiem znalazła się przy koi.

– Bo zawołam stewardesse – rozzłościła się Alicja i sięgnęła do dzwonka.

Ale turystka uderzyła ją w rękę koszykiem.

– Ani się waż, Alicjo – powiedziała. – Zgubisz mnie.

Zerwała ciemne okulary. Ukazała się twarz Paszki Geraskina. Alicja nie zdążyła nawet zareagować, gdy podkasał długą spódnicę, spod której wyjrzały szczudła, padł na kolana i szybko wczuł się pod koję.

Do drzwi znowu ktoś zapukał.

– Spróbuj tylko mnie wydać – zasyczał Paszka. – Będę tobą gardził przez całe życie. I innych namówię.

Do kabiny zajrzała stewardessa.

– Panienko – powiedziała – za pięć minut start. Tak też myślałam, że do tej pory jeszcze nie latałaś na statkach kosmicznych. Kładź się zaraz i przypnij pasami.

Alicja, wymyślając w duchu Paszce od ostatnich, posłusznie wskoczyła do łóżka, a stewardessa przypięła ją pasami. Zdawała sobie sprawę, że za chwilę stewardessa usłyszy głośny i szybki oddech tego głupiego Paszki, więc na wszelki wypadek zaczęła kasłać.

– Co ci jest? Przeziębiałaś się? – spytała stewardessa.

Niechże wreszcie stąd idzie!

– Nie, zachłysnęłam się czymś.

– Zajrzę do ciebie po starcie – sprawdzę, jak się czujesz. Albo przyślę lekarza.

– Skądże znowu – zaprotestowała Alicja. – Czuję się doskonale.

– Dziwna jesteś – pokręciła głową stewardessa i spojrzawszy na zegarek – do startu pozostały dwie minuty – pospieszyła ku drzwiom.

– Paszka gardzę tobą – oświadczyła Alicja, gdy za stewardessą zamknęły się drzwi. – Wyjaśniłam ci wszystko, a ty użyłeś takiego haniebnego podstępu, by dostać się na statek.

– Przede wszystkim nie haniebnego – odparł Paszka spod łóżka. – Jeśli myślisz, że ograbiłem jakąś Pilagejkę, to się głęboko mylisz. Uczciwie wymieniłem moją kolekcję znaczków na zapasowe ubranie pewnej turystki, która właśnie przyleciała na Penelopę. Przysięgam ci, że zrobiła dobry interes na tej zamianie.

– Wymieniłeś wszystkie znaczki zebrane na Penelopie?

– Za to skosztuję skrrruli, a to coś znaczy!

– Mimo wszystko jestem na ciebie zła...

W tym momencie rozległ się dzwonek – start.

Alicja wyjęła spod głowy poduszkę i wsunęła ją pod koję.

– Weź, niepoprawny awanturniku, podłóż sobie pod głowę, bo jeszcze ją rozbijesz.

– Nie wyobrażasz sobie, jaką mam twardą głowę – odparł spod łóżka „niepoprawny awanturnik”. – Zrozum, że w inny sposób nigdy nie dostałbym się na statek. Należy mi się pomnik za pomysłowość.

– Na planecie oszustów.

– Na planecie wielkich oszustów. Tylko turyści pilagejscy chodzą zawsze w zorganizowanych grupach, nikt ich nawet nie liczy. Jeśli już Pilagejczyk wsiada na statek, to znaczy, że ma nie tylko bilet, ale i przewodnik, magnetofon, torbę na pamiątki – wszystko jak należy.

Alicję lekko przycisnęło do łóżka – statek zaczął nabierać wysokości.

– Paszka, a co z twoimi rodzicami? Zwariują ze zmartwienia o ciebie.

– Zostawiłem w pokoju Dżawada list, w którym napisałem, że przez przypadek dostałaś dwa bilety na statek.

– Wstyd mi, że jesteś moim przyjacielem.

– Ale za to – nie ustępował Paszka – spróbuję skrrruli.

NIKT NA NICH NIE CZEKAŁ

Pierwszego dnia Alicja prawie się do Paszki nie odzywała, gniewała się na niego, ale jak długo można się gniewać? Skoro go nie zdradziła przed stewardessą, wypadało pogodzić się z towarzyszem podróży. W dodatku lecieć we dwójkę jest dużo weselej, zawsze to prawie trzy dni podróży, szybsze statki na razie nie latają. Fatalnie tylko, że jedna porcja jedzenia przypadała na dwie osoby i w brzuchach im burczało z głodu.

Jak wiadomo, na Brastaku nie ma kosmodromu dla galaktycznych liniowców. Dlatego też statek wchodzi na orbitę i spuszcza planetarny kuter-automat, który wysadza pasażerów, oddaje pocztę, a następnie wraca.

Gdy zapowiedziano przez interkom, że statek zbliża się do Brastaka i opuszczający go pasażerowie powinni zebrać się w dolnym hangarze, Alicja i Paszka byli już gotowi.

Alicja podeszła do kutra jako pierwsza, udając, że wcale nie zna kuśtykającej z tyłu pilagejskiej turystki.

– No jak, panienko, podróż była przyjemna? – spytała stewardessa.

– Owszem, dziękuję.

– Jedzenie było dobre? Smakowały ci ptysie, chluba naszego kucharza?

Alicja nic nie odrzekła, nie miała bowiem ptysia w ustach. Wszystkie pochłoniął Paszka, nie mógł się powstrzymać.

Za Alicję odpowiedziała turystka pilagejska:

– Wasza ptysie być mocno pyszne.

– Co? – zdziwiła się stewardessa. – Od kiedy to Pilagejczycy jedzą ciastka? Przecież macie zupełnie inną kuchnię. Jedno ciastko wystarczy, byście dostali rozstroju żołądka.

– Moja żołądek być syntetyczna – pospieszyła z odpowiedzią Pilagejka. – Prawdziwa stracić w straszny katastrofa. Teraz móc jeść nawet żelazny śruba.

Pilagejka odepchnęła Alicję i poszła w stronę kutra.

– A pani dokąd? – zdziwiła się jeszcze bardziej stewardessa. – Przecież cała grupa Pilagejczyków leci na Abradabrę.

– Ja była pomyśleć inaczej – oświadczył Paszka, usiłując wleźć do luku kutra, co nie było łatwe ze względu na szczudła. – Ja będę patrzeć na pejzaż Brastak, bardzo chwałą. I kupować kapelusz. Ja wstydzić się wracać do domu z jedna kapelusz. Pani nie rozumieć tego.

W końcu Paszce udało się wleźć do luku i zniknął w głębi kutra.

– Nic nie rozumiem – powiedziała stewardessa. – Wszyscy Pilagejczycy lecą na Abradabrę, a nigdy nie podróżują w pojedynkę. Muszę zawiadomić kapitana.

– Nie warto – wtrąciła Alicja. – Cóż w tym złego, że Pilagejka ma ochotę zwiedzić Brastak? W razie czego zaopiekuję się nią.

– „Uwaga! – padło z głośnika. – Kuter na Brastak startuje. Proszę o natychmiastowe zajęcie swoich miejsc”.

– Jeszcze raz dziękuję za wszystko – powiedziała Alicja. – Pysie były bardzo smaczne.

Wskoczyła do kutra, a stewardessa zamknęła za nią luk.

– Oj, Paszka – z wyrzutem pokręciła głową Alicja, sadowiąc się obok niego. – Kto cię ciągnął za język?

– No przecież ty nie masz pojęcia, jakie te ciasteczka były pyszne. Szkoda, że tak mało. I weź pod uwagę, że na to nie ma rady – jedno kłamstwo pociąga za sobą następne.

– Wiesz, co ci poradzę? Lepiej pozbądź się całego tego kamuflażu. Już ci nie jest potrzebny. Będą mnie witać może z kwiatami, a ty jak wyglądasz...

– Nie ma mowy! Jak żartować, to żartować! Cała planeta będzie ryczeć ze śmiechu, gdy się dowie, że pod postacią Pilagejki ukrywa się wielki kawalarz, Paweł Geraskin.

Poza nimi nikogo w kutrze nie było. Turyści zdarzają się tu rzadko, ponieważ Brastak jest niezbyt atrakcyjną planetą i nie posiada zaplecza turystycznego. Na całą planetę – jeden hotel dla gości, a w tutejszych domach człowiek się nie zmieści – zbyt wielka różnica we wzroście.

Kuter wylądował na kosmodromie.

– Idziemy – powiedziała Alicja.

– Idziemy – powtórzył Paszka z trudem stając na szczudłach i zakładając ciemne okulary.

Luk otworzył się.

Przed nimi, aż do niskiego budynku dworca, rozpościerało się pole kosmodromu, wyłożone kwadratowymi żółtymi i błękitnymi płytkami.

Nie było na nim ani jednego człowieka, ani jednego Brastakanina, a nawet ani jednego robota.

Automatyczny kuter zamknął luk, zabuczał grawitonowymi silnikami, uniósł się lekko nad polem, znieruchomiał na sekundę i odleciał.

Ziemska dziewczynka i pilagejska turystka stały samotnie pośrodku pola. Wiał przejmujący, zimny wiatr, lada chwila zacznie padać deszcz.

– No co? – spytała Pilagejka. – I gdzież ten tłum witających? Gdzie te niezliczone bukiety kwiatów? Może to nie Brastak? Nawet nie ma kogo spytać.

– Przestań błaznować, Paszka. To jakaś pomyłka.

– Więc nie ma co stać na środku pola. Jeszcze złapiesz katar, nieuleczalną chorobę dwudziestego pierwszego wieku. Chodźmy na spotkanie naszego losu i skrrruli.

KWARANTANNA NA PLANECIE

W niskiej obszernej sali dworca kosmicznego ze zwykłym okrągłym stanowiskiem dyżurnego dyspozytora, przechowalniami bagażu, fotelami przy bufecie, wszystko było jak na każdej innej planecie, z wyjątkiem jednego – ani żywej duszy.

– Czyżby święto już się rozpoczęło i Brastakanie nie doczekawszy się nas dojadają resztki skrrruli? – spytał Paszka. – Nie przeżyję tego.

– Powoli, powoli – odparła Alicja. – Komu jest przyjemnie, gdy go zapraszają w gości, a potem zapominają o nim? Ale nie zdarza się, żeby kosmodromy bywały puste. To nieprawdopodobne.

Pobiegła do informacji i wcisnęła guzik. Ekran się nie włączył.

– Hej! – krzyknął Paszka w kosmolingwie. – Kto tam chodzi po górnej galerii? Odpowiedzcie, powitajcie kosmicznych podróżników.

Alicja podniosła głowę – nikogo.

– Kto tam był?

– Przeszedł jakiś człowiek. Spojrzał w dół i zniknął.

– Człowiek?

– W czarnym kombinezonie i czarnym hełmie.

– Chyba masz halucynacje, Paszka – wzruszyła ramionami Alicja.

– Nie wierzysz, to nie. Może trochę odpoczniemy? Mam dość chodzenia na szrudłach. To bardzo męczące.

Przez małe drzwiczki wbiegł do sali ciemnozielony kotek bez ogona, z pomarańczowym okiem pośrodku czoła.

– Rrrr! – wykrzyknęła Alicja. – A my już myśleliśmy, że coś się stało.

– Nie jestem Rrrr – odparł Brastakanin zatrzymując się w odległości dziesięciu kroków. – Jestem Mmmm. Proszę, byście natychmiast opuścili planetę.

– Jak to opuścili? – zdumiała się Alicja. – Przecież przyjechaliśmy do was z wizytą na zaproszenie.

– Na degustację skrrruli – dodał Paszka.

– Nic nie wiem, nic nie słyszę, nic nie widzę – odparł Mmmm. – Proszę opuścić naszą planetę..

– Ale jak?

– Czym przylecieliście, tym i odlatujcie.

– Ale myśmy przylecieli automatycznym kutrem. Właśnie odleciał z powrotem.

– Chwileczkę, muszę się naradzić – oznajmił Mmmm. – A wy stójcie tutaj. Każdy krok będzie uważany za ucieczkę.

– Dziwadło jakieś – mruknął Paszka. – Najpierw sam nas wypędza, a potem zabrania ruszyć się na krok.

– Coś tu się musiało stać – powiedziała Alicja.

– Trudno ci odmówić spostrzegawczości – stwierdził Paszka. – Nawet ślepy by się domyślił, że coś tu zaszło. Oni są niezbyt gościnni.

– Nieprawda – ujęła się za Brastakanami Alicja. – Są bardzo gościnni.

Mmmm już biegł do nich z powrotem.

– Po co przylecieliście? – zapytał. – Skąd i do kogo? Na jak długo?

– Zaproszono nas – wyjaśniła Alicja.

– Na degustację skrrruli – dodał Paszka.

– W tym roku skrrruli nie będzie – powiedział Mmmm. – Skąd przylecieliście?

– Ja z Ziemi – odparła Alicja.

– Ja jestem Pilagejką, chyba każdy to widzi.

– Zaprosił mnie Rrrr – powiedziała Alicja.

– Jaki Rrrr?

– Profesor archeologii. Wszyscy go znają.

– Chwileczkę – zmów powiedział Mmmm. – Naradzę się i zaraz wrócę. Ani kroku.

– Wiemy – odparł Paszka. – Każdy krok będzie uważany za ucieczkę.

– Coś mi tu brzydko pachnie – powiedziała Alicja. – Czy to wypada zastrzegać gościom, dokąd mogą iść, a dokąd nie?

Wrócił Mmmm.

– Na planecie panuje epidemia – poinformował. – Choroba zakaźna. Wszyscy leżą chorzy.

– Ale jeszcze dwa tygodnie temu – powiedziała Alicja – nikt o tym nie wspominał.

– Epidemia wybuchła dziesięć dni temu – wyjaśnił Mmmm. – Na całej planecie wprowadzono kwarantannę.

– Rrrr też jest chory?

– Przecież powiedziałem – wszyscy są chorzy.

– Co mamy robić? Czym odlecimy z powrotem?

– Po naradzie zdecydowaliśmy, że musicie poczekać na następny statek w hotelu dla honorowych gości. Żadnych kontaktów z chorymi. Wasze życie znajduje się w niebezpieczeństwie. Każdy krok...

– Wiemy, wiemy – przerwał Paszka. – No i skosztowałem skrrruli.

– Proszę za mną – przykazał Mmmm i ruszył do wyjścia.

Znaleźli się na pustym placu. Padał deszcz. Przed drzwiami stał niski, długi samochód okratowany z tyłu.

– Tutaj – wskazał Mmmm.

Podbiegł do samochodu, stanął na tylnych łapach, otworzył zamek i rozsunał kratę.

– To taksówka? – spytał Paszka ostrożnie schodząc na szrudłach po mokrych od deszczu stopniach.

Mmmm nic nie odpowiedział. Wiadomo było, że to nie taksówka.

Mimo ostrożności Paszka poślizgnął się i rąbnął na ziemię tuż przed samochodem. Kapelusz z kwiatami zleciał mu z głowy, długa suknia zadarła się odsłaniając drewniane szrudła.

– Ma pani protezy? – spytał Mmmm.

– Nie – odpowiedział Paszka usiłując się podnieść. – U nas być taka moda, rozumie? Nazywać się wysoki obcas.

Alicja pomogła mu wstać i wsiąść do samochodu.

Mmmm ze zgrzytem zasunął kratę i przekręcił klucz. Następnie spuścił metalową żaluzję.

W samochodzie zrobiło się ciemno jak w podziemiu. Poza tym strasznie ciasno – sufit znajdował się metr od podłogi. Musieli więc usiąść na podłodze.

– Wyrzuć te swoje protezy! – powiedziała Alicja.

– Nie ma mowy – odparł Paszka. – U nas na Pilagei tylko tak chodzą. Zaczynam się już przyzwyczajać.

Samochód ruszył ostro i pojechał w niewiadomym kierunku.

– Ech, ładne powitanie gości! – mruknął Paszka.

– Przecież spotkało ich nieszczęście, epidemia, kwarantanna.

– Ja też mówię: czy to ładnie przyjmować gości epidemiami?

HOTEL DLA HONOROWYCH GOŚCI

Samochód gwałtownie zahamował i stanął. Słyszeli, jak Mmmm trzasnął drzwiami i podszedł do kraty. Zazgrzytała żaluzja. Alicja zmrużyła oczy – poraziło ją światło.

– Wysiadajcie – powiedział Mmmm. – Tylko proszę się do mnie nie zbliżać, jestem objęty kwarantanną.

Alicja zeskoczyła na asfalt. Za nią, dudniąc szcudłami i przytrzymując jednocześnie kapelusz, suknię, koszyk oraz torbę, wygramolił się Paszka.

Samochód stał na pustym podwórzu, które z trzech stron okalał dwupiętrowy budynek. Okna były pozamykane i nikt do nich nie podszedł, żeby zobaczyć, kto przyjechał. Część podwórza była zavalona pustymi skrzynkami, beczkami, stały tam również małe, przypominające zabawki, samochody.

Mmmm wbiegł po małych stopniach i otworzył niskie drzwi.

– Tędy, pojedynczo.

– Nie chcę! – nagle stanął okoniem Paszka. – Dokąd nas pan przywiózł?

– Do hotelu dla honorowych gości.

– A dlaczego od tyłu?

– Frontowe wejście zamknięte z powodu kwarantanny – wyjaśnił Mmmm.

– Chodźmy – powiedziała Alicja. – Przecież nie będziemy stać na deszczu.

Weszli po wąskich schodach na pierwsze piętro i znaleźli się w korytarzu normalnej wysokości. Mmmm od razu wydał się mautki i najwyraźniej czuł się nieswojo.

Podszedł do jednych spośród kilkorga drzwi i zatrzymał się przed nimi.

Alicja zwróciła uwagę na dziwną konstrukcję drzwi. Miały dwie klamki, dwie dziurki od klucza, jedna – pół metra od podłogi, druga na normalnej wysokości. Zrozumiała od razu przyczynę – przecież hotel został zbudowany specjalnie dla przyjezdnych – wysokich Ziemiaków, Pilagejczyków i innych mieszkańców Galaktyki podobnych do ludzi. Otwierają drzwi górną klamką i wkładają klucz do górnego zamka. Ale w hotelu są pokojowe, sprzątaczkę, kelnerzy sięgający człowiekowi zaledwie do kolan. Dla nich to przeznaczona jest dolna klamka i dziurka od klucza.

Mmmm otworzył kluczem dolny zamek, następnie wyciągnął do góry:

– Otwierajcie!

I uskoczył w bok.

Alicja nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się. Znalazła się w najzwyczajniejszym pokoju hotelowym, co prawda nie tak dużym i wygodnym jak na Ziemi czy też Penelopie, ale też nie budzącym zdziwienia u człowieka odbywającego częste podróże po Galaktyce. Najważniejsze, że wszystkie znajdujące się w nim przedmioty były normalnej wielkości. Pokój dwuosobowy, łóżka zaścielone...

– Dwóm kobietom – powiedział Mmmm – będzie tu wygodnie.

– I z tymi słowy wysłiznął się z pokoju.

Szczęknął zamek.

Alicja odwróciła się do drzwi i nacisnęła klamkę.

Drzwi nie ustąpiły, kucnęła i nacisnęła dolną klamkę – to samo. Goście byli zamknięci.

– Co pan narobił – krzyknęła. – Jak mamy stąd wyjść?

– Wcale nie potrzebujecie wychodzić – odparł stłumiony głos. – Drzwi do toalety są z prawej strony. Jak tylko przyleci jakiś statek, wypuścimy was i odeślemy do domu. Przecież chronimy was przed zarazą. U nas jest kwarantanna, kwarantanna.

Mmmm zachichotał.

I nastąpiła cisza.

– No i masz babo placek, spróbowaliśmy skrrruli – powiedział Paszka siadając na łożku i odwiązując szcudła. – Kiedy wyląduje tu statek?

– Dwudziestego szóstego sierpnia – odparła Alicja.

– Za dwa dni. Jeszcze nigdy dotąd nie siedziałem w więzieniu.

Plącząc się w długiej spódnicy, która wlokła się za nim jak tren, Paszka podszedł do Alicji i szepnął jej do ucha:

– Mogą nas podsłuchiwać. Mów szeptem. Musimy obmyślić plan ucieczki.

– A jeśli u nich rzeczywiście panuje epidemia?

– Ty w to wierzysz?

– Sama nie wiem.

– A ja nie wierzę. Oszukuje nas ten Mmmmamra. Przysięgam ci. On jest zdrowy. A dlaczego ci, z którymi naradzał się na kosmodromie, nie wyszli do nas?

– Może są chorzy?

– Leżą w łóżeczkach w dyspozytorni?

Alicja wzruszyła ramionami. Zapewne Paszka ma rację. Ale różnie się przecież zdarza. Może rzeczywiście mają kwarantannę.

Za oknem przesłoniętym elastycznym plastykiem znajdowała się ulica. Po przeciwległej stronie stało w szeregu kilka wielopiętrowych domów. W odróżnieniu od hotelu były przeznaczone nie dla ludzi. Akurat na poziomie pierwszego hotelowego piętra znajdowało się siódme piętro drapacza chmur. A ulica była pusta. Kto więc opiekuje się chorymi, kto ich leczy, karmi?

– Zgłodniałem już trochę – powiedział Paszka.

– Naciśnij guzik. Tutaj jest automatyczna dostawa żywności.

Ale Paszka nie zdążył jeszcze odejść, gdy Alicja krzyknęła:

– Prędeż, spójrz!

Po ulicy, noga w nogę, szli dwaj ludzie w czarnych obcisłych ubiorach i hełmach, szczelnie przylegających do głowy. Jeden trzymał w ręku ciężki bojowy blaster. Drugi niósł broń przewieszoną na rzemieniu przez ramię.

Szli wolno, rozglądając się na boki.

– Widziałem takiego na kosmodromie, a tyś mi nie uwierzyła – szepnął Paszka.

– Ale co oni tu robią? Może to lekarze... – Alicja urwała, ponieważ zdała sobie sprawę, że to absurd, by lekarze spacerowali z blasterami.

Ulica znów opustoszała.

– No, dobra – powiedział Paszka – co będziemy sobie głowę łamać. Chodź, zjemy śniadanie.

Podszedł do standardowej wnęki, wewnątrz której znajdował się rząd guzików z małymi rysunkami u góry oraz przesłonięte zasłonką okienko.

– Na co masz ochotę? – spytał Paszka.

– A co mamy do wyboru?

– Kefir, mleko, jajecznicca...

– Nie wiem, z czego tu robią mleko. Weź dla mnie grzanki z konfiturą i herbatę.

– Rozkaz! – Paszka nacisnął guziki. – A dla mnie parówki i kawa. Gdzie oni tu trzymają łyżki i widelce?

– Popatrz z boku.

Alicja wciąż stała przy oknie czekając, czy nie pojawi się ktoś na ulicy.

Paszka krzątał się przy wnęcie, dzwonił sztućcami, rozkładając je na stole.

– No, jak tam twoje parówki? – spytała Alicja.

– Zaraz. Jakoś się spóźniają.

– Podejrzewam, że tych parówek się nie doczekasz.

– Dlaczego?

– Skoro jest kwarantanna, to kuchnia nie pracuje.

– Roboty nie chorują – zniecierpliwiał się Paszka, ale rację miała Alicja. Automat pracował, zielone światelko płonęło, ale zasłonka nie odsuwała się i stół był pusty.

– Zwariować można – rozzłościł się Paszka. – Bez jedzenia nie wytrzymam.

– Spróbuj coś innego – zaproponowała Alicja. – Na przykład herbatniki albo wafle.

Paszka zaczął naciskać wszystkie guziki po kolei.

Bez rezultatu.

Alicja podeszła do niego i przycisnęła najniższy czerwony guzik – wezwanie dyżurnego.

Dyżurny nie zgłosił się, ale nagle zasłonka powoli się uniosła i zamiast parówek i herbaty na stół upadła kartka papieru.

ZBIEG

– To już coś – powiedział Paszka. – Ciszej. Czytaj szeptem.

– „Kwarantanny nie ma – przeczytała Alicja. – Oszukano was. Planeta została podbita przez piratów kosmicznych. Nie wiercie im. Dajcie znać do Centrum Galaktycznego. Kartkę zniszczcie”.

– No proszę, a nie mówiłem?

– Co robić? – Alicja podała kartkę na drobne kawałeczki.

– Ja im pokażę! – wygrażał Paszka. – Niech tylko spróbują tu wleźć. I jeśli nie dają, i w niewoli przetrzymują, i w dodatku planetą podbili.

– Ale kto?

– No, ci czarni, nie rozumiesz?

Paszka, wprawnym już gestem ujawszy swój tren, śmiało skierował się ku drzwiom.

– Stój! – zatrzymała go Alicja. – Zgubisz nas wszystkich! – Być może zginę w słusznej walce, ale nikogo nie zgubię. Ty jesteś dziewczyną, więc zostań tutaj. Ciebie nikt nie tknie.

– Zaczekaj, wariacie, i posłuchaj mnie – powiedziała Alicja. – Jestem starsza od ciebie.

– Ty, starsza?

– Tak. O pięć miesięcy. Ale nie o to chodzi. Mam więcej doświadczenia. Już z dziesięć razy podróżowałam w Kosmosie, przeżyłam takie przygody, o jakich ci się nawet nie śniło, i co najważniejsze, miałam już do czynienia z piratami. Wydawało się, że ich już całkiem przepędzono, ale tu i tam udało im się skryć. I póki jeszcze są w Galaktyce zapóźnione w rozwoju planety, nie uwolnimy się od nich ostatecznie.

– Chyba mi się poszczęściło – oświadczył Paszka.

– Coś takiego. Siedzi w więzieniu, ryzykuje, że się spóźni na rozpoczęcie roku szkolnego, i jeszcze twierdzi, że mu się poszczęściło.

– Jeśli się spóźnię, to znaczy, że miałem podwójne szczęście. Przecież nastąpi to z ważnych powodów.

– Też mi ważny powód – przebrać się za Pilagejkę i lecieć na gapę kosmicznym liniowcem!

– Ty nic nie rozumiesz, Alicjo. Przecież uratuję przed piratami planetę. Mówiąc uczciwie, dla takiego celu wolno nawet połowę roku szkolnego opuścić.

– I to mówi mój przyjaciel!

– Przyjaciół się nie wybiera – powiedział Paszka. – Sami się znajdują. Gdzie tu zdobyć broń? Mogliby razem z kartką przesłać jakiś pistolecik. Bez broni będzie mi trudno.

– Nigdzie nie pójdziesz – powściągnęła go Alicja. – Musimy udawać, że jesteśmy głupimi turystkami, które nic a nic nie rozumiały i strasznie boją się zarazy. Marzą tylko o jednym – żeby odesłano do domu. Jasne?

– Nic nie jest jasne. Jestem człowiekiem czynu.

– No to sobie działaj. Tylko trzymaj język za zębami. Powierzono nam tajemnicę całej planety...

A jeśli cię złapią, to kto da znać na Ziemię?

– Boisz się?

– Nie boję się...

Przerwali sprzeczkę, gdyż za oknem rozległy się strzały.

Wyjrzeli ostrożnie na zewnątrz.

Ulicą biegł zygzakami puszysty Brastakanin. Za nim – strzelając z blasterów, dwaj czarni mężczyźni. Śmiercionośne białe promienie topiły mury domów, szyby, żłobiły głębokie bruzdy w asfalcie.

Dobiegłszy do hotelu, kotek uskoczył pod mur i zniknął. Alicja przycisnęła nos do szyby, ale nie zobaczyła, co się z nim stało.

Odziani w czerń ludzie zatrzymali się pod samym oknem i zaczęli walić z blasterów gdzieś w dół.

– Hej, wy! – krzyknął Paszka. – Natychmiast przestańcie!

– Cicho – Alicja usiłowała odciągnąć go od okna. – Wszystko zepsujesz!

– A co robić?

– Trzeba myśleć. Trzeba umieć myśleć.

– To znaczy udawać?

– Tak, udawać. Radzę ci przyczepić swoje szczudła i doprowadzić do porządku perukę. Może nawet lepiej, że jesteś turystką z Pilagei. I to nie jakąś zwykłą turystką...

– A kim? – spytał Paszka wyciągając spod łóżka szczudła i z westchnieniem przymocowując je do butów.

– Będziesz cioteczną córką opiekuna państwowego koszyka.

– Wymyśliłaś to w tej chwili?

– Nie, czytałam gdzieś o państwowym koszyku... Nie wiem tylko, co w nim noszą.

– Ale dlaczego cioteczna córka?

– U Pilagejczyków jest bardzo skomplikowany system pokrewieństwa. Bywają cioteczne dzieci, stryjeczne dzieci, przyrodni mężowie i bliźnięta, między którymi jest rok różnicy.

– Koniecznie trzeba polecieć na Pilageję – powiedział Paszka.

Wyprostował się na całą wysokość, wcisnął na głowę kapelusz, poprawił koszyk u pasa.

– Ja protestować przeciw zamknięcie w wasza kwarantanna...

Rozległ się jakiś szmer.

Alicja obejrzała się. Szmer dochodził od strony automatu dostawczego. Coś tam błysnęło.

– Ciszej, Paszka!

– Co?

– Patrz.

– Tam ktoś jest. Kto tam?

Zza uniesionej zasłonki rozległ się cichy jęk.

Alicja ostrożnie zajrzała do środka.

Na pustej tacy, gdzie niedawno znaleźli kartkę, leżał puszysty Brastakanin.

– Kim jesteś? – spytała Alicja.

– Pomóżcie... – wyszeptał kotek. – Nic nie widzę... To ty, Alicjo?

– Och, Rrrr!

– Gonili mnie... jestem ranny...

– Paszka – przykazała Alicja. – Natychmiast do drzwi. Zamknij na zasuwkę. Nikogo nie wpuszczaj. Nie obrazisz się, Rrrr, że cię wyjmę razem z tacą?

– Ukryj mnie... Dostaliście kartkę? Baliśmy się, że ją przechwycili.

Profesor archeologii Rrrr miał rozcięte wiązka z blastera ucho i oparzony bok.

Alicja ostrożnie przeniosła tacę z Brastakaninem na łóżko, znalazła w torbie plaster leczniczy likwidujący oparzenia i zablizniający rany.

– Wytrzymaj chwilę – mówiła, ostrożnie przykładając plaster do głowy przyjaciela. – Należałoby cię najpierw ogolić...

Rrrr przygryzł ostrymi kłami dolną wargę, by nie jęczeć.

Do drzwi ktoś głośno zapukał.

„GDZIE GO UKRYŁYŚCIE?”

– Paszka – szepnęła Alicja. – Zatrzymaj ich.

– Zrobione – kiwnął głową Paszka.

– Otwierać! – rozległ się głos za drzwiami.

Alicja złapała tacę i skoczyła do automatu dostawczego.

– Schowam cię tutaj, oni na to nie wpadną, spuszczę zasłonkę.

– Nie. Śledzili mnie. Domyśla się.

– Otwierać albo wyłamię, drzwi! – krzyczał ktoś z tamtej strony.

– To być skandal! – zawołał Paszka. – Biedny kobieta nie skończył skromna toaleta, a nieznajoma mężczyzna walić do drzwi. Ja będę skarżyć się mój cioteczny tata, opiekun państwowa planeta Pilageja!

– Gwiżdżę na twoje koszyki! – wściekał się głos. – Otwierać natychmiast!

Alicja wciąż jeszcze stała pośrodku pokoju – nie mogła wymyślić żadnej kryjówki dla Rrrr.

Pod łóżko nie – na pewno tam zajrzą, do toalety również...

– Szybciej, do mojego koszyka – szepnął Paszka.

– A nuż?

– Nie ma czasu do namysłu.

Alicja ostrożnie przełożyła rannego Brastakanina do koszyka, a Paszka, zerwawszy z kapelusza bukiet sztucznych kwiatów, przykrył nimi archeologa.

Drzwi dygotały pod ciężkimi ciosami.

– Odejść od drzwi! – zagrzemiał głos. – Strzelam!

– Proszę nie strzelać – zawołała Alicja. – Już otwieramy.

Chwyliła tacę i odłożyła ją z powrotem. Paszka szedł już ku drzwiom.

– Stój. – powiedziała. – Jeszcze sekundę.

Na tacy były krople krwi. Wyjęła chusteczkę i wytarła krew, a następnie przyłożyła chusteczkę do nosa, udając, że ma krwotok.

Paszka otworzył drzwi. Odepchnawszy go na bok, do pokoju wtargnął olbrzymi wąż w czarnym plastikowym uniformie i czarnym przylegającym do głowy hełmie. Na hełmie namalowane były skrzyżowane rakiety kosmiczne, a nad nimi biała czaszka.

– Gdzieście go ukryły? – wrzasnął pirat.

Paszka odgrywał przestraszoną i oburzoną turystkę z wolnej i szczęśliwej Pilagei.

– Nie śmieć wdzierać się do moja mieszkanie! – darł się, zagłuszając krzyk pirata. Zamachnął się również na niego koszykiem, aż tamten speszył się trochę i nawet się cofnął.

Do pokoju wbiegł Mmmm, błyskając pomarańczowym okiem, i zatrzymał się w progu.

– Mój przyjaciel – powiedział – jest bardzo zdenerwowany, proszę mu wybaczyć. On niepokoi

się o wasze zdrowie.

– A co się stało? – spytała Alicja.

– Smutny wypadek. Z kwarantanny uciekł pewien niebezpieczny zakaźnie chory. Proszę sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli was zarazi, a wy rozniesiecie zarazę po całym Kosmosie...

– Właśnie, właśnie – potwierdził wąsaty pirat. – Kwarantanna, jasne, że kwarantanna. Niech on tylko wpadnie w moje race, a pokażę mu, co to znaczy uciekać z kwarantanny.

– Przecież do nas nikt nie przychodzi! – powiedziała Alicja. – Sam pan zamknął drzwi na klucz.

– I my też zamknęliśmy swoją stronę, żeby infekcja nie chodziła do naszego pokój. Możecie iść do diabła! – oświadczyła pilagejska turystka, błyskając ciemnymi okularami. – Może pan sam jest zarażony!

– Lepiej siedź cicho, paniusiu – powiedział pirat marszcząc niskie czoło, jego małe oczka skryły się w głębokich oczodołach.

– Na pewno gdzieś się tu ukrywa.

– Nie pozwalam! – wrzasnął Paszka.

– Lepiej proszę się nie spierać – powiedział Mmmm swoim cieniutkim uprzejmym głosikiem. – Pan Ducz jest naczelnym lekarzem miejskim.

Ducz przemierzył dwoma krokami pokój, otworzył szeroko drzwi do toalety, kazał Mmmm wejść pod wannę, pod łóżko, sam zajrzał do automatu dostawczego, przeciągnął palcem po tacy.

– Ależ tu u was porządek – zdenerwowała się Alicja. – Cóż to za barbarzyństwo. I dlaczego lekarze tak dziwnie się ubierają?

– Milczeć! – warknął pirat, wyciągając z szafy torbę Alicji.

– Gdzieście go schowały? – mamrotał, wytrząsając zawartość torby na podłogę. – Nigdzie indziej nie mógł się ukryć. Dostał się tu przez automat.

– A propos – powiedziała Alicja – automat nie działa. Mamy tu przez trzy dni siedzieć o głódzie?

– Proszę się uspokoić – łagodził Mmmm – proszę się uspokoić. – Bardzo się starał, by turystki nie zaczęły czegoś podejrzewać. – Każę przynieść coś do zjedzenia specjalnie dla was. Uspokójcie się. Wszystko będzie w porządku...

Pirat kręcił głową, zastanawiając się, gdzie tu jeszcze szukać.

– Wy nam nie ufać – oburzał się Paszka. – To być zniewaga.

– Szybko – rozkazał pirat – podnieść spódnicę.

– Co? – zdumiała się pilagejska turystka.

– Proszę się nie fatygować, panie Ducz – wtrącił pospiesznie Mmmm. – Ja sam zajrzę.

I chciał się wślizgnąć pod spódnicę turystki.

– Ajajajaj! – zaskowytała Pilagejka na cały hotel.

Alicji nigdy by do głowy nie przyszło, że Paszka może wydać z siebie taki przenikliwy i ohydny głos. Zadzwończyły szyby. W szafie oberwał się wieszak, a w toalecie woda sama się spuściła.

– Nie waż się! – wrzeszczała turystka przyciskając spódnicę. – Boję się myszy.

Pirat też coś krzyczał, ale, rzecz jasna, nie było go słychać.

W korytarzu zadudniły kroki, inni piraci pojawili się w drzwiach i z rozdziawionymi ustami patrzyli, jak po pokoju miota się kuśtykając wysoka niezdarna postać w wielkim kapeluszu, z koszykiem pełnym kwiatów, a za nią ugania się Brastakanin.

– Idziemy stąd! – krzyknął pirat, korzystając z krótkiej przerwy. – Czort z nimi!

Mmmm chętnie się podporządkował.

– Tam z pewnością nic nie ma.

Piraci rzęli ze śmiechu. Spodobała im się ta scena.

– Poszukajcie jeszcze w kapeluszu, poszukajcie w koszyku! – wrzeszczał Paszka. Wąsaty pirat

Ducz dobrnął wreszcie do drzwi. Paszka zerwał kapelusz i zręcznie cisnął nim w twarz pirata.

Tamten nie zdążył się uchylić i ostry brzeg kapelusza z całej siły uderzył go w policzek.

Ducz schował się w końcu za plecami swych rechoczących kompanów.

A Paszka podskoczył do toaletki, złapał flakon wody kolońskiej z rozpylaczem i puścił strumień w piratów krzycząc:

– Dezynfekcja! Dezynfekcja! Kwarantanna!

Drzwi zatrzęsły się i w ciszy, która nastąpiła, słycać było tylko, jak Mmmm brzęczy kluczami.

Alicja podeszła do drzwi, zamknęła je na zasuwkę i powiedziała:

– No, droga cioteczna córko, powinnaś występować w teatrze. Marnuje się taki talent!

JAK TO SIĘ STAŁO

Alicja starannie opatrzyła rany ledwie żywemu Rrrr – porządnie mu się dostało w koszyku, którym Paszka wymachiwał jak granatem, całkiem zapomniawszy o sublokatorze.

Paszka odpiął szczudła i usiadł w fotelu okropnie z siebie zadowolony.

– Boli cię, Rrrr? – spytała Alicja, skończywszy opatrunek.

– To nic, jakoś wytrzymam – powiedział archeolog. – Najważniejsze, że się spotkaliśmy.

Rozległo się buczenie i coś zadzwieczało w automacie dostawczym.

– Jeszcze ktoś? – zerwał się Paszka.

Na tacy stał talerz z sucharami i dzbanek wody.

– A jednak pamiętał – zauważył Paszka. – Boi się międzynarodowego skandalu.

Odłamał kawałek suchara.

– Twardy jak kamień. Żal mu było świeżego. Dla swoich panów zostawił.

Mimo to zabrał się do jedzenia, popijając wodą. Alicja również wzięła suchar. Rrrr podziękował.

– No więc, co się tu zdarzyło? – spytała Alicja.

– Gdybyśmy to sami wiedzieli! – Rrrr zmrużył oczy z bólu. – Ty, Alicjo, i pani, pełna poświęcenia damo, która uratowałaś mnie od zguby...

– To nie dama – przerwała mu Alicja, gryząc suchar. – To Paszka Geraskin, mój przyjaciel. Dowiedział się, że lecę tutaj, by spróbować skrrruli, i postanowił koniecznie polecieć ze mną. A kiedy się temu sprzeciwiłam, przebrał się za pilagejską turystkę i poleciał bez mojej wiedzy.

– Gdy wylądowaliśmy – dodał Paszka – nie przebrałem się, żebyście mogli się pośmiać z tego, do jakiego stopnia miałem ochotę na skrrrule.

– Ach – powiedział Rrrr – nieprędko teraz skosztujecie skrrruli... Zgadzam się, że jest pan utalentowanym aktorem, i jestem panu wdzięczny. Ale kiedy następnym razem włoży mnie pan do koszyka, to proszę nim tak nie wymachiwać.

– Obiecuję – zaczerwienił się Paszka. – Przepraszam, zagalopowałem się.

– A więc – mówił dalej Rrrr – piraci pojawili się na naszej planecie całkiem nieoczekiwanie. Właśnie przygotowywaliśmy się do święta, gdy nagle na ulicach naszych miast ukazali się ludzie w czarnych uniformach z trupimi czaszkami na hełmach. W przeciągu kilku minut przejęli nasze radiostacje i instytucje, elektrownie i lotniska. Nie zdążyliśmy się połapać, gdy już byliśmy w niewoli.

– Ale skąd się tu wzięli?

– Przysięgam wam, że nie mam pojęcia. I nikt nie wie.

– Po prostu się zjawili?

– Tak, po prostu się zjawili. Wszystkim mieszkańcom naszej planety nakazano pozostać

w domach, a piraci rabowali nasze skarbcze, muzea, magazyny, pałace.

– I nie stawialiście oporu?

– To się stało dziesięć dni temu. Początkowo tak straciliśmy głowę, że nie zdobyliśmy się na żaden sprzeciw. Ale trzeciego dnia zrozumieliśmy, że tak dalej być nie może. Umówiliśmy się, że za dwa dni wzniesimy powstanie i przepędzimy piratów. Przecież nie znali naszych podziemnych przejść, nie mogli przeniknąć przez szczeliny i otwory, które dla nas są szerokimi drzwiami, byli skazani na przegraną.

– I co się stało?

– Zdrada.

– Jak to?

– Rozumiecie, tak to bywa. Kiedy atakuje najeźdźca, prawie zawsze trafiają się tacy, którzy uważają, że korzystniej jest znaleźć się po stronie silniejszego.

– Wiemy... Uczyliśmy się o tym na historii – powiedziała Alicja.

– A u nas to się właśnie teraz zdarzyło. Trzeba dodać, że my, Brastkanie, różnimy się kolorem oczu.

– My na Ziemi również.

– Ale na Ziemi nic to nie oznacza, a na Brastaku – bardzo wiele. Jaki masz kolor oczu, taki i charakter. Bywa nawet, że Brastakanin rodzi się z błękitnym okiem, ale z powodu złego wychowania czy też z innej przyczyny jego charakter zmienia się na gorsze. I wówczas oko mu żółknie. U bardzo złych Brastakan staje się pomarańczowe...

– Mmmm ma oko pomarańczowe.

– Nic dziwnego, to jeden z pierwszych zdrajców. Jeszcze tydzień temu jego oko miało kolor żółtozielony.

– A uczciwi Brastkanie jakie mają oczy?

– Szare, błękitne... Bywa, że Brastakanin rodzi się żółtooki, ale z wiekiem oko mu błękitnieje.

Paszka dyskretnie zerknął na gościa. Oko świeciło błękitem.

– Jakie to u was proste! – powiedziała Alicja. – Spojrzę na oko i od razu wiem, z kim mam do czynienia.

– Oczywiście – zgodził się Rrrr. – Jeśli przestępca trafi do więzienia, wypuszczają go natychmiast, gdy jego oko robi się szare lub choćby zielone – to znaczy, że się poprawił.

– Dawno trzeba było wysłać wszystkich żółtookich w jakieś miejsce odosobnienia – powiedział Paszka, zwolennik zdecydowanych posunięć. – Niech się poprawiają w samotności i nie przeszkadzają żyć innym.

– Nie uważam, żeby to było rozsądne – odparł Rrrr. – Z pewnością na Ziemi też nie wszyscy ludzie są dobrzy.

– Zdarzają się i niezbyt dobrzy – zgodził się Paszka. – Ja, na przykład, bywam czasem zupełnie nie do wytrzymania. W takich chwilach moje oczy robią się całkiem żółte. W przenośni.

– No więc sam sobie odpowiedziałeś. Przecież nie będziecie na izolować ludzi tylko dlatego, że nie podoba się wam ich charakter.

– Mimo wszystko łatwiej u was żyć – powtórzyła Alicja.

– Tak, dla nas łatwiej – zgodził się Rrrr – ale piratom również było łatwiej. Już pierwszego dnia przybiegło do nich kilku zdrajców i zaproponowało swoje usługi. Piraci zebrali wszystkich żółtookich i powiedzieli, że dzielą się z nimi władzą na planecie. Niektórzy się zgodzili. Wydali nas.

Teraz opłaca się mieć pomarańczowe oko. To jak gdyby znak rozpoznawczy – wystarczy, że pirat zobaczy pomarańczowe oko, i już wie, że to swój.

– A co było potem?

– Okrutnie się z nami rozprawili. Zapędzili nas do obozów, gdzie cierpią setki tysięcy Brastakan. Pozostałym zabroniono wychodzić z domów. Głodujemy, umieramy na skutek chorób, naszą jedyną nadzieją jesteście wy. Jeśli nie uda wam się zawiadomić Rady Galaktycznej...

– Ale my też jesteśmy uwięzieni – powiedziała Alicja.

– Za dwa dni przybędzie statek. Powinniście koniecznie nim odlecieć.

– Rozumiem – odparł Paszka. – Niech się pan nie martwi. Przynajmniej na mnie może pan polegać.

– Ja bym nie była tego taka pewna – wtrąciła Alicja. – Starczy ci sił, żeby przez dwa dni udawać i czekać?

– Starczy – odparł Paszka. – Niech pan będzie spokojny.

Wieczorem, przy akompaniamencie nieskładnych śpiewów podchmielonych brastakańskim portwajnem piratów, archeolog Rrrr oblepiony plastrami, pożegnał się z dziećmi i ostrożnie uniósłszy zasłonkę, wśliznął się do automatu dostawczego.

– Przykro mi – powiedział na pożegnanie. – Będziecie musieli przyjechać na skrrrule następnym razem.

– Jeśli chodzi o mnie – odparł Paszka – to nawet jestem zadowolony. Wolę przygody od skrrruli.

– Dla ciebie to przygody – rzekł na to Rrrr. – A dla nas nieszczęście. – Zasłonka opadła.

– Ech, Paszka – pokręciła głową Alicja. – Znow powiedziałeś nie to, co trzeba.

– Najważniejsze, żebym czynił dobrze. Mój język – mój wróg, to powiedziała jeszcze moja mama, gdy wymówiłem pierwsze w życiu słowo.

– Dlaczego?

– Dlatego że wszystkie dzieci mówią najpierw „daj” albo „mama”, a ja powiedziałem „hurra”.

– No i co ja mam z tobą robić – westchnęła Alicja. – Idź spać.

– Idę, już idę, tylko w dalszym ciągu jestem głodny i nogi mnie bolą od tych szczudeł.

POWRÓT ARCHEOLOGA

Alicja obudziła się wczesnym rankiem, za oknem dopiero zaczynało świtać. Zbudził ją głód. Miała wielką ochotę wstać, nacisnąć wszystkie guziki pod rząd i popatrzeć – a nuż automat działa? Następnie zaczęła myśleć o Rrrr – czy udało mu się przedostać do swoich? Mogli go wyśledzić piraci albo jakiś żółtooku zdrajca.

Sąsiednie łóżko skrzypnęło. Alicja zerknęła w tamtą stronę. Paszka ostrożnie usiadł na łóżku, spuścił bosc nogi i na palcach podszedł do automatu. Alicja aż się uśmiechnęła. Okazuje się, że dwojgu ludziom może przyjść jednocześnie do głowy ta sama myśl. Paszka zaczął naciskać kolejno wszystkie guziki. Automat ani drgnął.

Alicja nie wytrzymała i parsknęła śmiechem.

Paszka obejrzał się.

– Nie śpisz?

– Nie, głód mnie obudził. I nawet pomyślałam, że może automat już działa. A ty wstajesz, jak gdybyś odgadł moje myśli.

Ale duma nie pozwoliła Paszce przyznać się, że niczym głodna małpa naciskał guziki nieczynnego automatu.

– Nic podobnego – powiedział. – Myślałem, że może jest tam wiadomość od Rrrr.

– Więc odchył zasłonkę i sprawdź. Do tego nie trzeba naciskać guzików.

– Właśnie mam zamiar to zrobić – powiedział Paszka i uniósł zasłonkę. Nie było nic.

– Spać mi się – chce – mruknął podchodząc do okna. – A na dworze pada deszcz.

– Jeszcze jeden dzień musimy wytrzymać – rzekła Alicja. – Jeśli nie umrzemy z głodu, to jutro będziemy już na pokładzie naszego statku.

– Umrzemy.

– Nie chodź na bosaka po podłozde, przeziębisz się.

– Gdzieś został wczorajszy suchar. Czyżbym go niechcący zjadł?

– Jeszcze wczoraj. No, wstajemy!

Podczas gdy myła zęby, usłyszała stukanie szczudeł, szelest papierowych kwiatów – Paszka, wzdychając ciężko, przeobraził się Pilagejkę.

– Kiedyż wreszcie skończą się moje męki?! – gderał.

– Wiesz co – powiedziała Alicja. – Myślę, że już pora urządzić awanturę. Żadna turystka pilagejska nie dopuściłaby, żeby ją karmiono sucharami, nawet podczas kwarantanny.

– Właśnie miałem zamiar to zrobić.

Rozległ się stukot szczudeł – Paszka szedł do drzwi. Zabębnił w nie wybijając werbel. Potem powtórzył jeszcze głośniejsze. Żadnej odpowiedzi.

– Hej! – wrzasnął. – My będziemy umrzeć z głodu i to wasza wina.

– Słuchaj – zauważyła Alicja, wracając do pokoju – może obejdiesz się bez kaleczenia kosmolingwy?

– Nie ma mowy. Tak mi się bardziej podoba.

– Hej, hej – znów zaczął młócić w drzwi. – Dawać mi kawałek mięsa!

Niespodziewanie drzwi otworzyły się i Paszka o mało nie wypadł na korytarz. Za nimi stał Mmmm.

– Proszę się nie denerwować – powiedział. – Podjęliśmy stosowne działania. Dzień dobry.

– Pragnę odżywiać się – oświadczyła Pilagejka.

Wąsaty pirat Ducz wszedł do pokoju, trzymając w rękach tacę. Nie przywykł do noszenia tac – przeszkadzał mu blaster, w dodatku zaczepił mieczem o drzwi.

– Macie – odezwał się niezbyt uprzejmie. – Jedzcie.

I rzucił tacę na stół.

Dzbanek podskoczył, pokrywka spadła i cały pokój napełnił się apetycznym aromatem gorącej kawy. W misce dymiła kasza, a obok leżał stos świeżych grzanek – malutkich, na jeden ząb, za to całe mnóstwo.

– Dawno tak trzeba było – powiedział Paszka.

– Ach, cóż robić – rozłożył łapki Mmmm – jest kwarantanna, nie ma kto gotować, sam się żywię na sucho. No dobrze, nie będę przeszkadzał, jedzcie, odpoczywajcie, a potem do was wstąpię, przygotowałem pewną niespodziankę.

– Ciekawe, co też wymyślił? – powiedział Paszka, nalewając kawy do filiżanki.

– Dowiemy się – odparła Alicja. – Nic dobrego.

Nie zdążyli dokończyć śniadania, gdy drzwi znów się otworzyły i na progu stanął Mmmm.

– Czy możecie przyjąć gościa? – spytał.

– Zależy jakiego – odparł Paszka.

– Waszego dobrego przyjaciela.

W drzwiach stał czarny Brastakanin z błękitnym okiem pośrodku czoła.

– Ach, po co to zagadki – powiedział. – Dla mojej przyjaciółki Alicji wszyscy Brastakanie wyglądają jednakowo. Witaj, przyjaciółko. Jak się miewa twój szanowny tatuś, twoja szanowna mama, twoja szanowna babcia?

– Nie poznaję pana – oświadczyła Alicja.

– Czyżby? Jakże mi przykro. Jestem Rrrr, profesor archeologii, który zaprosił cię tutaj na degustację skrrruli. Niestety, nie mogłem cię przywitać, ponieważ leżałem wczoraj w łóżku z wysoką temperaturą.

– Jaki tam z pana Rrrr? – wyrwał się nieopatrznie Paszka.

– A co? – odwrócił się do niego kotek. – Czyżbyśmy się kiedyś spotkali? Nie przypominam sobie.

– Witaj, Rrrr! – zawołała Alicja. – Wybacz, że cię od razu nie poznałam. Jakże się cieszę, że cię widzę.

Paszce oczy wylazły z orbit. Przecież nie dalej jak wczoraj wieczorem Rrrr uciekł, cały oklejony plastrem.

– No to świetnie – powiedział Rrrr wskakując na fotel. – A więc u ciebie w domu wszystko w porządku?

– Wszystko – odparła Alicja. – A jak się miewają twoje dzieci?

– Moje dzieci są już duże. Znajdują się w kwarantannie. Jak doleciałaś?

– Jakoś doleciałam. Wprawdzie nie było bezpośredniego połączenia z Ziemi, więc musiałam przesiąść się na Abradabrze.

„Co za bzdury ona plecie? – pomyślał Paszka. – Co za Abradabra – I nagle zrozumiał: – Ale ze mnie idiota! Przecież ona go sprawdza. To nie jest prawdziwy Rrrr!”

– To znaczy, że już dawno wyleciałaś z domu? – spytał fałszywy Rrrr.

– Pięć dni temu.

– A jaka była pogoda?

– Wspaniała – odparła Alicja. – Padał deszcz pełen grzybów. Pamiętasz, jak się spotkaliśmy na Pataliputrze?

– No pewnie – ucieszył się Rrrr. – Jak mógłbym zapomnieć.

– I zjeżdżaliśmy z ośnieżonych gór?

– Cudownie było! – wykrzyknął fałszywy archeolog.

„No jasne – zauważył w duchu Paszka – uczyliśmy się przecież, że na Pataliputrze jest klimat tropikalny, nawet na biegunach”.

– A jakie masz dalsze plany, przyjacielu? – spytała Alicja.

– Bardzo skromne. Chciałbym sprawić ci przyjemność. Postanowiłem dotrzymać ci towarzystwa i polecieć z tobą na Ziemię.

– Jakże się cieszę! A w jakim celu tam chcesz lecieć?

– Na kongres naukowy poświęcony archeologii.

– Prawda, odbędzie się tam kongres. A propos, opowiedz mi, przyjacielu, dokonałeś ostatnio jakichś nowych odkryć?

– Nieprzeciętnych.

– Co, czyżby nowe archary i archarowce? – poważnie spytała Alicja.

– Kto? – zdziwił się fałszywy Rrrr.

– Przecież arch-eologia zajmuje się arch-arami i arch-arowcami?

– Ach tak, oczywiście – powiedział Rrrr. Obudziły się w nim pewne wątpliwości. Paszka pomyślał, że Alicja przebrała miarkę. – Znalazłem wiele tych... archeoarowców.

Mmmm chrząknął, jakby ostrzegając swego towarzysza, żeby był ostrożniejszy.

– A co, Alicjo – spytał pseudo-Rrrr – nie uważasz, że się trochę zmieniłem?

– Ależ skąd – zaczęła Alicja, gdy nagle wszyscy usłyszeli, że w automacie dostawczym coś zaszeleściło.

– Jesteś ten sam mój ukochany, najdroższy przyjaciel Rrrr – powiedziała głośno Alicja.

– Co to? – spytał Mmmm spoglądając na automat.

– Nic – odparła Alicja. – Pewnie sprawdzają system.

– Nie ma kto sprawdzać – wtrącił fałszywy Rrrr. – No, Mmmm, zajrzyj tam! Żywo!

– Co za dziwna profesor na archeologia – powiedział Paszka. – Wydawać rozkazy jak generał.

– Nic dziwnego – odparł Mmmm. – Wszyscy szanujemy profesora archeologii.

Alicja nie zdążyła go powstrzymać. Uchylił zasłonkę i wyjął stamtąd kartkę.

– Proszę to oddać! – krzyknęła Alicja. – To do mnie.

Mmmm zeskoczył na podłogę i w dwóch susach był już przy drzwiach.

– Nie wątpię w to – odparł. – I nawet mogę przeczytać na głos. Oto co tu jest napisane:

„Droga Alicjo! Wszystko w porządku. Dotarłem do swoich. Czuję się lepiej. Czekać na

wiadomość. Twój Rrrr”.

Zapadła cisza. Przez uchylone drzwi zajrzał pirat z blasterem w rękę.

– A więc grałaś komedię! – powiedział fałszywy Rrrr. – Natrząsałaś się z archeologa?

Udawałaś? Nikczemna Ziemianka!

– Ja nie rozumiem! – wykrzyknął Paszka. – Dlaczego pan obwiniać mój sąsiadka?

– Lepiej by pani milczała. Przez nieświadomość lub też celowo nie doniosła pani, że sąsiadka spotyka się tu z wrogami...

– To znaczy z zaraźliwymi elementami – poprawił go Mmmm.

– Jak ich zwał, tak zwał. Ważne, że się spotyka. I ukrywa. To wam nie ujdzie płazem.

– Ja nie widziała żaden element – powiedział Paszka.

Fałszywy Rrrr odwrócił się i szybko pobiegł ku drzwiom. Za nim Mmmm z kartką w łapce.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem.

– No i wpadliśmy – pokiwał głową Paszka. – I po co z niego kpiłaś? Sama zawsze mi wymyślasz...

– Musiałam się przekonać, czy jest prawdziwy, czy podstawiony.

– No to sprawdziłaś i basta.

– Potem mnie poniosło – przyznała Alicja.

– Co teraz zrobimy?

– Zaczekaj.

Podbiegła na palcach do drzwi, przyłożyła ucho do dziurki od klucza. Potem przywołała skinieniem Paskę.

Słyszał było, jak w korytarzu ktoś rozmawia.

– A więc uważa pan, Krys, że Ziemiankę trzeba usunąć?

– Tak, ukryjcie ją dobrze. Jest niebezpieczna. Sądzę, że się domyśliła wszystkiego.

– A co robić z drugą?

– Druga – to nasza nadzieja. Jest tak głupia, że do tej pory nic nie podejrzewa. Kiedy zabiorą Ziemiankę, postaramy się ją rozpracować... Proponuję następujący plan...

Odeszli od drzwi i więcej nic już nie było słychać.

– Paszka, zrozumiałaś? – szybko powiedziała Alicja. – Zaraz mnie stąd zabiorą i ukryją.

– Nie pozwolę im. Raczej zginę, niżbym cię miał oddać na pastwę wrogom.

– Nie czas na piękne słowa. Oni myślą, że jesteś głupią turystką. Nie wyprowadzaj ich z błędu.

Wszystko zależy od twojego talentu aktorskiego. Pamiętaj, że jesteś Pilagejką, cioteczną córką opiekuna państwowego koszyka. Jak tylko wrócisz na statek, zorganizujesz pomoc.

Alicja wyciągnęła do niego rękę. I w samą porę.

Nie zdążyła się odsunąć, gdy drzwi otworzyły się szeroko i do pokoju weszło dwóch czarnych piratów.

– Chodź z nami, dziewczynko – powiedział jeden.

– Jak to? – spytał Paszka. – A ja?

– Co do ciebie nie mieliśmy rozkazu. Siedź i czekaj.

Paszka z trudem opanował się, by nie skoczyć na pomoc Alicji, ale ona zdążyła rzucić mu takie spojrzenie, że się opamiętał. Drzwi się zamknęły i został sam. Sam przeciwko wszystkim piratom Galaktyki.

TURYSTKA LUBI KOSZTOWNOŚCI

Paszka ze zdziwieniem pomyślał, że jest w nie najgorszym nastroju. Zdawałoby się, że już nie może być gorzej: planeta opanowana przez piratów, Alicja w więzieniu, on sam zamknięty na cztery spusty w pokoju, ale przecież walka nie jest zakończona, zasadnicze zmagania dopiero przed nim. A jakież rycerz upada na duchu przed walką?

Najpierw spakował torbę Alicji. Nie wodno nic zostawić wrogom. Teraz nieźle byłoby się uzbroić, ale w co? Do dyspozycji miał tylko szczoteczkę do zębów. Przymocował wygodniej szczudła, założył na nie gumowe końcówki zdjęte z nóżek łóżka. Potem włożył do automatu następującą wiadomość: „Zabierają mnie do więzienia. Pilagejska turystka została sama. Alicja”.

Ledwie zdążył opuścić zasłonkę, gdy nadszedł Mmmm. Paszka był przygotowany na wszystko. Ale Mmmm go zadziwił.

– Przyniosłem pani mały prezencik – zamruczał. – Pozwoli pani?

Wyjął zza pleców łapkę, w której trzymał nieduże pudełeczko.

– To na pamiątkę pobytu na naszej planecie.

– Dziękuję – powiedział Paszka. – Proszę położyć na stole. A jaka być los moja sąsiadka Alicja?

Ona prędko wrócić tutaj?

– Alicja pojechała do swego przyjaciela, archeologa Rrrr – odparł Mmmm. – Proszę się nie martwić, madame. Czy nie zechce pani zajrzeć do pudełeczka?

– Później – powiedziała dumna turystka pilagejska. – Zajrzę w domu.

– Nie, nie – Mmmm podbiegł do stolika, wskoczył nań i otworzył pudełeczko sam. Leżał tam niebieski, rzucający ogień, kamień.

– Podoba się pani?

„Czego się spodziewa ten Mmmm? Pewnie myśli, że powinienem się ucieszyć i złapać kamień jak diabeł dobrą duszę. Czekaj, wytnę ci numer”. Paszka podszedł do stolika, niedbale wziął kamień, obrócił go w palcach, potem położył z powrotem i oznajmił:

– Moja cioteczna tatuś, opiekun państwowa koszyk, mieć taki kamień tysiąc sztuk.

I odwrócił się do okna, jakby prezent w ogóle go nie interesował.

– Nie podoba się pani?

– Ja będę go podarować stewardessa na liniowiec – odparł Paszka nie odwracając się, by Mmmm nie widział jego uśmiechu.

Mmmm zamknął pudełeczko, zeskoczył na podłogę i poszedł ku drzwiom.

Gdy tylko drzwi się za nim zatrzasnęły, Paszka rzucił się do nich przytknął ucho do dziurki od klucza.

– Nie chce wziąć – usłyszał głos Mmmm. – Mówi, że ma takich tysiąc.

– Słyszałem. Ano, daj tu pudełeczko.

– Przecież pan sam mi je dał, panie Krys.

– Nie sprzeciwiać się!

Jakiś harmider za drzwiami, pisk, a następnie głos Krysa:

– Wiedziałem. Kiedy zdążyłeś zamienić kamień na szkiełko?

– Nie zamieniałem. To tak samo wypadło.

– Ach, samo! A masz za samo! A masz za złodziejstwo! A teraz oddaj prawdziwy szafir.

– Nie mam... niech mnie pan nie bije, panie Krys.

– A co tu masz w gębie? Wszyscy macie torebki policzkowe. Nie gryź! Łeb ci ukręcę! O, proszę.

– Ja niechący.

– Słusznie, nikt nie kradnie naumyślnie. Wszyscy to robią niechący. Kiedy mnie mama w dzieciństwie lała za złodziejstwo, ja też krzychałem, że to niechący. Podłożył szkiełko i myśli, że skoro to dama z wyższych sfer, to musi być głupia. Chcesz zaprzepaścić sprawę wagi państwowej? Zakarbuj sobie w pamięci, zdrajco, że odlecimy stąd, nawet gdyby nie udało nam się zdobyć dużego statku. A jeśli ty zostaniesz tutaj, twoi rodacy spytają cię, co robiłeś podczas najazdu piratów.

– Niech mnie pan nie gubi, panie Krys, przysięgam, że to naprawdę niechący. Do głowy mi nie przyszło, że turystka zna się na kamieniach szlachetnych.

– Głupcy znajdują się na kosztownościach najlepiej – powiedział Krys. – A mądrzy czytają książki. Zapamiętaj to na przyszłość.

– A pan, panie Krys, oczywiście czyta książki?

– Nie, na mnie pracują i mądrzy, i głupi. A teraz szybko. Mama czeka na rezultat tej operacji. Zapukaj do drzwi.

Mmmm wcisnął się bokiem do pokoju i zamarł na progu. Całe futerko miał zwichrzone.

No, nieźle mu złoślił skórę jego przyjaciel pirat, pomyślał Paszka, a głośno powiedział:

– Nauczyła się pani pukać do drzwi. Co jeszcze mi przyniosła?

– Zaszła pomyłka – odezwał się Mmmm spoglądając w górę. – Pomyliłem niechący pudełeczka.

– Niepotrzebne mi wasze szkiełka – powiedział Paszka.

– To była pomyłka, zapewniam panią! Winni ponieśli surową karę. Proszę, oto prawdziwy szafir.

Mmmm wskoczył na stół i otworzył pudełeczko.

Oczywiście, prawdziwy szafir błyszczał bardziej niż fałszywy. Ale większej różnicy Paszka się nie dopatrywał.

– Oo! – cmoknął, ostrożnie trzymając kamień w palcach. – Jeśli się nie mylę, to dobra szafir.

– Jasne, że tak, prawdziwy szafir. Bardzo rzadki. Przyjmie pani, prawda?

Paszka zamyślił się, potem zamknął pudełeczko i powiedział:

– Nie, mam takie.

– Błagam! Albo spadnie moja głowa!

– Kto spadnie?

– Moja głowa – ciach ciach... – I Mmmm smutno machnął łapką.

– Dobrze – zlitował się Paszka. – Przyjmuję prezent. Jako przysługa, żeby panu nie ciach ciach.

– Lubi pani kosztowności?

– O, ja kolekcjonować kosztowności – powiedział Paszka. – Ja być koneser. Teraz odejdz, mała złodziejaszek.

Mmmm wycofał się tyłem, nacisnął dolną klamkę i zniknął za drzwiami.

Paszka natychmiast przytknął do nich ucho.

- Wzięła – zasyczał Mmmm.
- Słyszałem wszystko. Chyba złapała przynętę...
- Kolekcjonuje kosztowności.
- Odsuń się, muszę się zmienić w kogoś...

– Ta pańska umiejętność przeobrażania się, panie Kryś, robi na mnie ogromne wrażenie – powiedział Mmmm. – Jak się to panu udaje?

- Mam to po tatusiu. Wielki był z niego łajdak.
- I co się z nim stało?
- Chciał zażartować sobie z mamy, zmienił się w kurczaka. A moja mama, kobieta, bez poczucia humoru, ukręciła mu łebek.
- Cóż za okropna śmierć! Wyobrażam sobie rozpacz pańskiej szanownej mamy.

– To źle sobie wyobrażasz. Powiedziała: kurczak ginie śmiercią kurczaka. I poszła do kuchni przygotować gliwajn o mocy stu trzydziestu stopni. Mama lubi sobie wypić.

- Chylę głowę przed jej żelaznym charakterem.
- Dobra, idę. A ty czekaj tutaj.

Paszka rzucił się na fotel, udając, że drzemie.

– Szanowna pani Pilagejko – usłyszał czyjś głos i otworzył oczy. Wszystkiego się mógł spodziewać, tylko nie tego, że zobaczy dobrodusznego rumianego chłopaczka w krótkich spodenkach! Tak, wielki mistrz kamuflażu z tego Kryśa. Nikt by się nie domyślił!

– Kim jesteś? – spytał Paszka.

– Jestem synem tutejszej królowej – powiedział chłopiec. – Mama dowiedziała się, że przyjechała pani do nas i oczekuje pani.

– Po co? – zdziwił się Paszka.

– Mama kolekcjonuje kosztowności i bardzo chciała poznać prawdziwą koneserkę. Mamie się nudzi, proszę mię odmawiać...

– Kosztowności! – wykrzyknął Paszka. – Uwielbiam kosztowności! Idziemy do twojej mamy.

Kryś aż zmrużył oczy z radości. Wszystko działało się po jego myśli.

PIRACKA MAMA

Tym razem Paskę wieziono dużym otwartym samochodem, a po bokach, z przodu oraz z tyłu jechali na rowerach czarni piraci i od czasu do czasu strzelali z blasterów w okna domów.

Na tylnym siedzeniu samochodu, który służył kiedyś honorowym gościom z innych planet, usiedli Paska i Krys. W nogach zwinął się Mmmm.

Kawalkada przemknęła jak strzała po ulicach, przeleciała przez park, w którym rosły karłowate drzewa, i zatrzymała się przed pałacem. Pałac był dwupiętrowy, z marmurowymi kolumnami i posągami jakiegoś Brastakanina w koronie przed głównym wejściem.

– Niegdyś mieszkali tu królowie – wyjaśnił Mmmm. – Potem otwarto muzeum, a teraz zajęli go nasi nowi władcy.

– Władcy czy lekarze nadzorujący kwarantannę? – spytał Paska.

– Kwarantanna to żart – powiedział chłopiec-Krys.

– Nie znam się na takich żartach. I po co taki żart? – zdziwił się Paska.

– Ponieważ jesteśmy kolekcjonerami kosztowności.

Szofer otworzył drzwiczki i Paska, uniósłszy długą spódnicę, by nie upaść, dostojnie wysiadł z samochodu.

Po bokach szerokich schodów z bardzo małymi stopniami zwalone były sterty kamieni, cegieł, tynku ze śladami malowideł, strzępy dywanów i gobelinów.

– Nasi władcy – wyjaśnił Mmmm – są tacy wielcy, że dla ich wygody trzeba było wynieść z pałacu wszystkie zbędne przedmioty.

– Słusznie – powiedział chłopiec-Krys. – Wypatroszyliśmy całe muzeum. Ludziom to niepotrzebne.

– Całkiem niepotrzebne – zachichotał Mmmm, ale Paskce wydało się, że śmiech ten był niewesoły.

Wchodząc do pałacu, Paska zrozumiał, że piraci przerobili dwupiętrowy budynek na parterowy – zburzyli stropy i ściany działowe i za jednym zamachem zniszczyli wszystkie ozdoby.

Co za barbarzyńcy, pomyślał, jakże będą musieli namęczyć się konserwatorzy!

Minęli pierwszą, niegdyś dwupiętrową salę. Przed następnymi drzwiami siedzieli kręgiem piraci i rznąli w karty.

– Wy dokąd? – spytał jeden z nich.

– Do mamy – odparł Krys.

– Ja cię chyba nie znam, smarkaczu – powiedział pirat.

– No to teraz już poznajesz – Krys w mgnieniu oka przeobraził się w niewysokiego chudego mężczyznę o bardzo bladej twarzy.

– Chwileczkę, panie Krys – zatrzymał go pirat i wsunąwszy głowę przez drzwi, zaanonsował:

– Mamusiu, synek z gośćmi do ciebie.

– Niech wejdzie – odpowiedział łagodny głos.

W drugiej części pałacu odrapane ściany były byle jak zasłonięte dywanami.

Pośrodku sali stał fotel nawigatora, na którym siedziała młoda kobieta o różowych policzkach, w długiej białej sukni i małej złotej koronie wysadzonej szmaragdami.

Za plecami kobiety stało dwóch czarnych piratów z halabardami, a przed tronem – ze dwudziestu Brastakan.

Krys i Paszka weszli do sali, Brastakanie jak jeden mąż odwrócili się, a w ich oczach zapłonęły pomarańczowe iskry.

Zobaczywszy Krysa, kobieta spytała go o coś w nieznanym języku. Krys odpowiedział krótko. Żółtoocy Brastakanie rozstąpili się, by pirat ich nie nadepnął.

Krys odwrócił się do Paszki i powiedział:

– Proszę podejść do tronu. Matka piratów, królowa. Brastaka i władczyni Szarej Mgławicy, gotowa jest panią przyjąć.

Paszka stał w niepewności. Mama powinna wyglądać zupełnie inaczej. Jak? No, z czarną opaską na oku, w czerwonej chuście, skórzanej kurtce, cygańskiej spódnicy lub skórzanych spodniach z pistoletami za pasem. Oczywiście, on tak to sobie wyobrażał. Czyż w dwudziestym pierwszym wieku piraci muszą wyglądać tak samo jak w wieku szesnastym? Paszka postąpił krok naprzód. Czy należy złożyć ukłon? Nie mógł tego zrobić – przeszkadzały mu szczudła.

– Proszę podejść, my tu nie robimy ceremonii – odezwała się mama przyjemnym głosem. – Krys, podaj gościowi krzeselko. A reszta – a psik stąd!

Żółtoocy Brastakanie bardzo szybko rozbiegli się we wszystkie strony.

– No tak – powiedziała królowa. – Zostali tylko swoi. Można rozmawiać całkiem szczerze. Nie wyobraża sobie pani, jak mi się sprzykrzyły te dworskie figle-migle. Ale trudno – polityka.

– Tak, pani mieć całkowitą słuszność – przytaknął Paszka.

Krys przyniósł dwa krzesła, na jednym usiadł sam, a drugie podsunął pilagejskiej turystce.

– Podobno pani również pochodzi z wysokiego rodu? – spytała mama.

Paszka patrzył z zachwytem na jej gładką, delikatną cerę, długie rzęsy, wysokie alabastrowe czoło. Zdziwiał się, że ma takiego dorosłego syna.

– Ja być cioteczna córka opiekuna państwowego koszyka – odparł Paszka. – Nie zna go pani?

– Nie zetknęłam się z nim do tej pory. A jak jego drogocenne zdrowie?

– Dziękuję, nie narzeka. A pani?

– Nie mam czasu myśleć o zdrowiu – uśmiechnęła się mama. – Czyż można spuścić ich z oka? Natychmiast rozkradną całą planetę. Prawda, synku?

– Trudna rada, zdarzają się jeszcze w naszych szeregach nie dość czyste pod względem moralnym typy – westchnął Krys. – Ale mam nadzieję, że w najbliższej przyszłości...

– Wszystkich powywieszam – oznajmiła piracka mama. – Pozwól mi tylko zrobić porządek.

Paszka obciągnął spódnicę, żeby kobiece oko mamy nie dostrzegło szczudeł z gumowymi końcówkami. Ona nie da się oszukać.

– Niech mi pani powie, o ile to oczywiście nie tajemnica, co nosicie w państwowym koszyku.

– W ogóle to tajemnica... – zaczął Paszka.

– Ale między nami, działaczami państwowymi...

– Rozumie pani, kiedyś, w swoim czasie...

– Powiedz mi, co jest teraz.

– Teraz tata nosi w koszyku śniadanie. Dwa jajka na miękko i termos z kawą.

– Tak właśnie myślałam! – ucieszyła się piratka. – Wszędzie oszustwo, wszędzie nabija się w butelkę zwyczajnych ludzi. No, aleś mi sprawiła frajdę! Teraz do rzeczy. Podobno lubisz kosztowności?

– Kolekcjonuję je – odparł Paszka.

– Słusznie. Ja kolekcjonowałam pieniądze. I nie znoszę, gdy je wycofują z obiegu. Jeśli na jakiejś planecie następuje wymiana – od razu wciągam taką planetę na czarną listę. Ale teraz zmądrzałam. Niech diabli wezmą pieniądze, wołę kamyki. Mam rację?

– Oczywiście.

– No, synku, przynieś mi z sejfu kufer z kamieniami. Obejrzymy sobie.

Krys wstał i wyszedł z sali. Piratka natychmiast zwróciła się do jednego z członków swej straży przybocznej ze słowami:

– Szurnięty, gołąbeczku, bądź tak dobry, przypilnuj mojego synka, żeby czegoś do kieszeni nie schował.

Pirat bez jednego słowa pospieszył za Krysem.

– Nawet synowi pani nie ufa?

– Nie ufaj nikomu – to nasza piracka dewiza. Dla mnie wszyscy są podejrzani. Poza tymi, którym już udowodniłam winę.

– Ja również?

– Ty również. Podejrzewam cię czort wie o co. Może nie jesteś Pilagejką, ale dajmy na to chłopakiem i moim wrogiem.

Paszka zdrętwiał. Czyżby się domyśliła? Nie, to był królewski żart. Mama wybuchnęła śmiechem – jakby srebrne dzwoneczki rozdzwoniły się w sali. Paszce aż mrowie przeszło po plecach z rozkoszy. Czuł, że zaczyna się kochać w mamie nie bacząc na różnicę wieku.

– Jaka pani piękna i czarująca – wyrwało mu się.

– Wiele osób mi to powtarza – odpowiedziała piratka. – Co prawda, to prawda. Tego mi nikt nie odbierze. Ale nie jestem również głupia.

Wszedł posepny jak chmura gradowa Krys, przyciskając do brzucha ciężki kufer.

– No, mamu, tego się nie spodziewałem! Nawet rodzzonego syna...

– Dużo zdążył buchnąć? – spytała królowa Szurniętego, który szedł za nim.

Tamten bez słowa otworzył dłoń – leżały na niej trzy duże, skrzące się diamenty.

– Podaj mi kufer – rozkazała królowa. – No i co z nim począć? To jeszcze dziecko. Przecież go nie powieszę. A może powiesić?

– Mamu – obruszył się Krys. – Mamy gościa.

– Dobra, dobra, prędzej tej Pilagejce powierzę mój kuferek niż tobie, łotrzyku. Daj mi klucz od sejfu. A może już zdążyłaś zdjąć odcisk? Nie szkodzi, dziś wieczorem założę nowy zamek. A więc na czym to stanęłyśmy? – z anielskim uśmiechem zwróciła się do Paszki.

– Chciała mi pani pokazać swoje skarby.

– Tak, tak, klejnoty rodzinne, zawsze i wszędzie wożę je z sobą. Spadek po mojej babce.

Akurat, pomyślał Paszka, usiłując otrząsnąć się z diabelskiego uroku. Zbyt dobra wydawała się ta pięknotka.

W kufierku znajdowało się kilka szkatulek. Jedna była po brzegi napełniona brylantami, druga –

szmaragdami, trzecia – perłami, czwarta – błękitnymi, skrzącymi się czerwono trytonitami, piąta – niebieskimi szafirami, szósta – malinowymi alwajsami, siódma – purpurowymi rubinami, ósma – ognistymi krakami, aż w końcu Paszka stracił rachubę tych wszystkich kamieni, kolczyków, pierścionków i broszek.

Piratka jakby wpadła w trans, nie mogła się powstrzymać – otwierała szkatułkę, wyjmowała brylantowe kolie i pomrukiwała z cicha:

- Muzealne okazy, unikaty, tandety nie trzymamy...
- Mamo – odezwał się w końcu Krys. – Czas nagli. Trzeba zdecydować.
- O czym zdecydować? – z trudem oderwała się od swych skarbów królowa. – Ładne?
- Bardzo – odparł Paszka. – Za takie kamienie nie żal i duszy sprzedać.
- Chcesz, podzielę się z tobą? Chyba nie znajdziesz na swojej Pilagei takiego kufierka?
- Ach, co za porównanie!
- Słusznie, jesteś mądrą kobietą. Oddasz mi małą przysługę – to się z tobą podzielę.
- Za takie kamienie gotowa jestem sprzedać nawet cioteczno pape! – powiedział Paszka.

I naraz zrobiło mu się wstyd przed ludnością Pilagei, którą spotworzył takimi słowami, w dodatku całkiem niezasłużenie. Niełatwy jest los szpiega.

Piraci wymienili spojrzenia. Mama mrugnęła do syna. Tego właśnie spodziewali się po Pilagejce, ponieważ ludzie często sądzą innych według siebie. I piraci, gotowi poświęcić wszystko dla grabieży, sądzili, że Pilagejka nie jest od nich lepsza. I słusznie.

– Będę z tobą szczerą – powiedziała mama. – Zepsuł się nam statek, a mój syn musi pilnie lecieć na Ziemię.

- Więc o co chodzi? Niech leci.
- Nie ma biletu – odparta piratka.
- Oddać mu swój?
- Ależ nie. Polecicie razem. Ty i on – pod postacią Alicji.
- Pod postacią Alicji?
- Oczywiście, przecież ona ma bilet.
- A Alicja?
- Zostanie tutaj. Zapomnij o niej. Z tobą polecą Krys. Jako Alicja. A ty dostaniesz kamienie.
- Nie rozumiem...
- To nie twoja sprawa. Idź na statek, jakbyście byli z Alicją najlepszymi przyjaciółkami, i ani pary z ust. O kwarantannie ani słowa! Jasne?

– I to wszystko?

– Nic więcej od ciebie nie potrzebujemy. Krys, przynieś no małą szkatułkę, która stoi na mojej toalecie.

– Już lecę, mamo – powiedział Krys.

– A strzelimy po kieliszeczku – zaproponowała mama. – Nie masz nic przeciw temu? Tak w ogóle to wolę kwas azotowy, ale dla towarzystwa mogę chlapać zwykłego spirytusu.

Klasnęła w dłonie i natychmiast podszedł pirat z tacą, na której stała duża butla i dwa wysokie kieliszki.

– Proszę się nie gniewać – rzekł sprytny Paszka – ale u nas na Pilagei pije się co innego. Spirytus nas nie bierze.

– A cóż wy takiego pijecie?

– Wodę.

– Czyżby? A ja nawet tknąć wody nie mogę – mdli mnie. A więc na waszej planecie można sobie usiąść nad brzegiem rzeczki i od razu być na rauszu?

– Nie, mamó – rzekł poufale Paszka. – U nas z wodą krucho. W rzekach płynie spirytus. A wodę rozdaje się w butelkach.

– Że też nie wiedziałam wcześniej! Zbiłabym na was majątek. Przywoziłabym do was wodę. – Zwróciła się do Szurniętego: – No, co stoisz jak kolek? Przynieś no mojemu gościowi szklaneczkę czystej wody, byle mocnej.

– Wystarczy mi kieliszek – powiedział Paszka.

Stuknęli się – mama kielichem pełnym spirytusu, Paszka – wodą. Piratka otworzyła szeroko usta i wlała do gardła zawartość całego kieliszka, odchrząknęła i zakąsiła grzybkiem. Paszka pił wodę dwoma łykami, skrzywił się i powiedział:

– Mocna u was woda!

– Czemu więc nie zakąsisz? – zdziwiła się piratka.

– To nic, zakąszę jutro. Taki u nas obyczaj.

– Proszę, mamó. – Wszedł Krys z małą szkatułką w ręku. – Wszystko tak, jak kazałaś.

– Zuch. Dla naszej drogiej sojuszniczki niczego nie żałuję.

Wyjęła z kufra garść brylantów, chciała wsypać do małej szkatułki, którą przyniósł jej syn. Ale po chwili odsypała większość z powrotem, a to, co zostało, wrzuciła z żalem do szkatułki. Brylanty zastukały o dno jak groch.

– Mamó, nie bądź skąpa – powiedział Krys.

– Milcz – oburzyła się alabastrowa piękność – nie ty je zdobywałeś, żeby lekką ręką rządzić się cudzym dobrem. Dam za to więcej pereł. Perły są ładniejsze.

Ale pereł również było jej szkoda, potrafiła się rozstać tylko z jednym szafirem, więc żeby wypełnić szkatułkę, podarowała Paszce chusteczkę do nosa, poduszeczkę do igieł haftowaną paciorkami, połączoną broszkę i sznur szklanych koralików. Paszka nie dyskutował, starał się utrzymać powagę, chociaż nigdy jeszcze nie zetknął się z taką chciwością.

– Proszę, bierz – powiedziała w końcu piratka. – Dziś jestem dobra. Bierz, nie wstydź się.

– Bardzo jestem pani wdzięczna – podziękował Paszka.

– Ale jeśli piśniesz choć słówko na statku, moi ludzie znajdą cię nawet pod ziemią. Jasne?

– Jasne.

– No dobrze, pójdę uciąć drzemkę. Są jeszcze jakieś pytania?

– Martwię się o moją sąsiadkę – Alicję. Pragnę, aby była zdrowa.

– Proszę się nie martwić – rzekł na to Krys. – Alicja jest zadowolona i szczęśliwa. Odleci do domu następnym statkiem. Słowo pirata.

– Można wam wierzyć? – spytał Paszka.

– Dlaczego nie? – odparła mama. – Pokaż jej Alicję.

– Alicja bawi się w parku.

– Pokaż ją nam.

Krys szybko wyszedł z sali.

Królowa wyjęła spod tronu niedużą lunetę.

– Hej, Szurnięty, rozsłoń story. Niech Pilagejka popatrzy na swoją sąsiadkę.

Szurnięty wykonał rozkaz.

Za oknem, na łączce, widać było jakąś dziewczynkę.

– Przyjrzyj się, przyjrzyj – rzekła królowa podając Paszce lunetę.

Zobaczył Alicję w różowej sukience, w wianku z rumianków na głowie, tańczącą wesoło i schylającą się raz po raz, by zerwać kwiatek.

– Zadowolona? – spytała królowa.

– Tak – odparł Paszka. – Mogę już iść?

– Zaraz wróci mój Krys i pójdziecie.

Szurnięty zasunął story.

No cóż, pomyślał Paszka, ten Krys udaje Alicję dość przekonująco. Nie wie tylko, że ona w ogóle nie ma różowej sukienki. A już tym bardziej nie będzie biegać w takiej chwili po łące.

Podał uprzejmie rękę królowej piratów.

– Do zobaczenia.

– Au revoir, jak mówią Francuzi – uśmiechnęła się królowa i zaniósła się srebrzystym śmiechem.

– Szkatułkę dostarczą ci do hotelu.

MAŁE WIĘZIENIE

Alicja siedziała w więzieniu. Było ono czyste, ciepłe, bez pluskiew i karaluchów, pachniało tylko środkiem dezynfekcyjnym i było niewiarygodnie ciasne.

Umieszczono ją w stołówce więziennej. Przez to reszta więźniów została bez jedzenia. Ale nawet po stołówce Alicja mogła się poruszać tylko na czworakach, a i tak głową dotykała sufitu.

Jeszcze gorzej było pilnującemu jej wąsatemu piratowi Duczowi, który ułożył się w korytarzu więziennym, tarasując drogę do toalety, umywalni i na więzienne podwórko. Pozostali więźniowie musieli więc zrezygnować z mycia i spacerów.

Ducz leżał na zimnej, twardej podłodze i gderał głośno:

– I po co cię tu przyniosło? Podbiliśmy tę planetę, zabawiliśmy się trochę, odlecieliśmy i basta, a przez ciebie sam zostałem więźniem. A moi kumple, być może, patroszą właśnie jakieś muzeum.

– Podziela się z panem – odpowiedziała Alicja przez drzwi. A sama zastanawiała się, co z Paską, czy uda mu się przechytrzyć piratów. Jeśli wpadnie, to koniec – planeta Brastak będzie zgubiona. I zgubiona będzie Alicja.

– Czekał tatka latka, aż się podziela! Przecież to nie ludzie, ale małpy. Dzikusy, barbarzyńcy.

– Jak pan brzydko się wyraża o swych współtowarzyszach.

– Pirat piratowi nie towarzysz. Przystałem do nich całkiem przypadkowo. Przez własną słabość. Jestem inteligentnym człowiekiem.

– Czyżby?

Pirat odwrócił się na drugi bok, odepchnął nogą żółtookiego dozorcę więziennego, który chciał precyzyjnie się korytarzem, i mówił dalej:

– Przelatywałem kiedyś obok Szarej Mgławicy i coś się zepsuło w moim statku. Wylądowałem na planecie Dum-Dum, zacząłem naprawiać statek, a tu wyskakują z zarośli jakieś dzikusy, ciągną mnie do pieczary, rozpalają ognisko i mają zamiar mnie zjeść na obiad.

– Niemożliwe! – wykrzyknęła Alicja.

– Możliwe, możliwe, przeżyłem to na własnej skórze. Słuchaj, branko, sięgnij ręką do kuchni, podaj mi stamtąd wiaderko z wodą. Może przymknać drzwi, bo jeszcze uciekniesz, a ja będę odpowiadał?

– Przyczyną takiego bezceństwa – ciągnął Ducz – jest bardzo ciekawe.

– Przyczyną takiego bezceństwa – ciągnął Ducz – jest ogromne oddalenie planety od kulturalnych ośrodków Galaktyki. Tam dopiero niedawno ludzie przestali być małpami i nie mają jeszcze żadnych zasad moralnych. Nie wstyd im nawet zjeść swego bliźniego.

– I jak się pan uratował?

– Już mnie zaczęli zanurzać w kotle, a tu wchodzi do pieczary dama niezwyklej urody.

– Taka piękna?

– Olśniewająco. Dopiero co przyleciała z innej planety. Jakoś nie mogła dojść do porozumienia z własnym narodem i zebrawszy oddział musiała szukać szczęścia gdzie indziej – tak natknęła się na dziką planetę Dum-Dum, wystrzelała wodzów, zastraszyła czarowników i zaczęła rządzić.

– I co dalej?

– Wsadzają mnie do kotła, a ja patrzę na królową i nie mogę się nadziwić jej niezwyklej urodzie. Dostrzegła wyraz moich oczu, wybuchnęła srebrzystym śmiechem i powiada: „Wypuście no tego nieszczęśnika. Potrzebni mi są oddani i inteligentni żołnierze”. Tak zaczęła się moja służba u królowej.

– I został pan piratem?

– Nie od razu, dziewczynko, nie od razu. Życie nie było tam słodkie, ale surowe i niewybredne. Co zrabujesz, dzikusom, to twoje. Czasem się jeździło do pobliskich okolic stłumić jakieś powstanie albo rozstrzelać buntownika, poza tym życie bez rozrywek kulturalnych, karty, pijatyka, awantury...

– A więc po co pan to robił? – zdziwiła się Alicja. – Skoro był pan inteligentem?

– Byłem. Pracowałem w bibliotece, grałem w tenisa. Ale jaki miałem wybór? Nie będziesz sam gnębić i zabijać, to cię oddadzą ludożercom, którzy cię ugotują i zjedzą. Już lepiej samemu innych gotować...

– I jeść?

– Broń Boże. Zresztą jestem zdeklarowanym wegetarianinem. Wiesz, co to takiego?

– Wiem. Żywi się pan jarzynami i owocami.

– Właśnie. Jarzynami i owocami. Bardzo rzadko pozwalałam sobie na kotlet barani, tylko w charakterze zakąski. Tak więc możesz uważać, że padłem ofiarą nieszczęśliwej i nieodwzajemnionej miłości do królowej piratów.

– Jaka tam miłość – oburzyła się Alicja. – Lepiej proszę się przyznać, że pan stchórzył. Sam już to pan wyjaśnił – lepiej być katem niż ofiarą.

– Ech, młoda jesteś, nie rozumiesz życia, nawet rozmowa z tobą nieciekawą – powiedział pirat Ducz – żeby już prędzej mnie zmienili, boki sobie odleżałem, zarobię przez ciebie zapalenie korzonków...

Umilkli na jakiś czas.

Nie, myślała Alicja, Paszka sam nie da rady. Trzeba coś przedsięwziąć. Nie tylko ona siedzi w tym więzieniu...

Cichutko zapukała w ścianę.

Natychmiast usłyszała w odpowiedzi stuk.

– Czego tam? – spytał pirat. – Nie stukaj, bo jak ja ciebie stuknę po głowie... moja odpowiedzialność jest niewielka, jestem szeregowym żołnierzem.

– Byłem pracownikiem biblioteki – poprawiła go Alicja.

– Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr. Im mniej człowiek myśli, tym jest zdrowszy. Z pewnością będę żył długo.

– A jak trafiliście na Brastak? – spytała Alicja. Tymczasem usiłowała wymyślić sposób zawiadomienia sąsiadów, kim jest, Przecież nie zna ich alfabetu.

– Nic prostszego – odparł Ducz – nasza królowa ma syna imieniem Krys, to bandyta znany w całej Galaktyce.

– I ja go znam – przyznała Alicja.

– No więc z jakiegoś powodu nie zgadzali się z mamusią, ich bandyckie drogi rozeszły się. Ale kiedy Kryswi się nie poszczęściło, przyleciał na naszą dziką planetę i powiedział mamie: „Czemu spędzasz swoje najlepsze lata w bezczynności i tracisz czas na drobne rozboje? Cała Galaktyka leży u naszych stóp, trzeba tylko wziąć się za to jak należy”. Pokazał mamie swoje niektóre łupy i namówił ją do ograbienia którejś ze spokojnych planet. Jego plan spodobał się nam wszystkim. Wsiadliśmy na statek Krysa, przypruliśmy tutaj – i powiodło się. Tylko teraz rabują beze mnie.

– Więc niech pan idzie rabować z nimi – powiedziała Alicja. – Przecież i tak się stąd nie wydostanę. Jestem zamknięta.

– Nie namawiaj mnie, mama by mi tego nie darowała...

– A jak się wam udało tak podbić przez zaskoczenie całą planetę? – spytała Alicja. – Podobno nikt nie zdążył nawet okiem mrugnąć!

– To pomysł naszego Krysa – wyjaśnił pirat. – Przecież potrafi zmieniać się, w kogo zechce...

– Ale sam by nie podolał...

– Pewnie że nie... – naraz pirat zreflektował się i powiedział z gniewem: – Cóż to, chcesz mnie wpakować na szubienicę? Po co wyciągasz ze mnie tajemnice państwowe? Ach, ty, nie bez powodu cię tu zamknęli! Jeszcze chwila – i wpadłbym!

– Wcale o nic nie wypytywałam – powiedziała Alicja. – Rozmawiałam po prostu z panem jak z byłym inteligentem, łajdakiem z przekonania.

– Jakiego tam przekonania – zaprotestował pirat. – Okoliczności, a nie przekonanie.

– No więc czemu nie odlatujecie? Nagrabiliście, nabroiliście, czas do domu.

– To żadna tajemnica. Chodzi o to, że mamy tylko jeden mały statek, a nagrabiliśmy tyle, że dwadzieścia liniowców byłoby za mało. Więc jak mamy stąd odlecieć?

– Najlepiej byłoby zwrócić to, co zagrabiliście, przeprosić i odejść.

– Od razu widać, że nie ma w tobie za grosz romantyzmu. Kto dobrowolnie wyrzeknie się łupów? Nie wzięliśmy pod uwagę, że do statków Brastakan się nie zmieścimy. Dlatego musimy zdobyć jakiś inny. Jutro będzie tu liniowiec lecący na Ziemię i przejmujemy go. Teraz mama urabia twoją sąsiadkę w kapeluszu z kwiatami, obiecuje jej kosztowności, żeby pomogła nam dostać się na statek... A ciebie odizolowali. Jasne?

– Jeszcze jak – odparła Alicja i pomyślała: „Żeby tylko nie zdemaskowali Paszki. Bo przecież jutro zbliży się do planety niczego nie podejrzewający liniowiec...”

– A jeśli załoga stawia opór?

– Nasze prawo jest bezlitosne – kto nie z nami, ten przeciwko nam, i od razu pod ścianę. No dobrze, prześpię się z godzinkę.

Alicja zrozumiała, że musi za wszelką cenę się stąd wydostać. Koniecznie. Statek w niebezpieczeństwie! A Paszka o tym nie wie!

Pirat w korytarzu zaczął sapać, widocznie się zdrzemnął.

– Kto tu? – rozległ się cichy szept.

– To ja, Alicja. Jestem z Ziemi, uwięzili mnie piraci.

– Alicja? Co za spotkanie! To ja, Rrrr. Schwyтали mnie dziś rano. A jutro chcą nas wszystkich rozstrzelać.

Głos Rrrr dochodził spod sufitu, gdzie znajdował się wywietrznik. Alicja podczołgała się bliżej.

– Słyszałeś – spytała – co mówił pirat?

– Tak. Trzeba ostrzec statek.

– Na wolności pozostał mój przyjaciel, ale sam nie poradzi sobie z piratami. Muszę koniecznie stąd uciec.

– Poczekaj – powiedział Rrrr – do wieczora z pewnością coś wymyślimy.

UCIECZKA

Czas w celi płynął powoli. Alicji zdawało się, że siedzi tam już parę dni. Wreszcie za jedynym zakratowanym okienkiem zrobiło się ciemno. Alicja słyszała, jak w korytarzu brzęczą naczynia – to żółtoocy dozorczy więzienni przynieśli jedzenie dla Ducza. O Alicji zapomnieli, a ona nie prosiła ich o nic, chociaż była strasznie głodna. Ducz gderał bez przerwy, narzekał, że go nie zmieniają, a później zaczął liczyć zrabowane kosztowności i przekładać je z jednej kieszeni do drugiej.

Za okienkiem ukazał się księżyc. Alicja bała się rozmawiać ze swoimi towarzyszami niedoli, żeby pirat nie usłyszał.

W końcu z korytarza dobiegło ją chrapanie. Ducz zasnął.

– Wszystko w porządku – usłyszała głos Rrrr – udało nam się dosypać mu do kolacji środka nasennego. Nawet wystrzał armatni do rana go nie obudzi. Dozorcy również śpią. Masz tu klucz od głównego wejścia.

Prze kratę przeleciał malutki, mniejszy od paznokcia, kluczyk. Alicja podniosła go ostrożnie.

– Czołgaj się w prawo, dotrzesz do końca korytarza...

– A wy...

– Nasza cela jest zamknięta od zewnątrz na zasuwę, nie uda się nam wydostać.

– A ja nie mogę wam pomóc?

– Nie myśl o nas – w twoich rękach znajduje się los całej planety. Spiesz się, niedługo będzie zmiana warty, złapią cię.

– Nie – odparła Alicja – tak się nie godzi. Ja ucieknę, a was rozstrzelają. Powiedz, gdzie są drzwi do waszej celi?

– To wielkie ryzyko.

– Prędeż.

– Ze stołówki, w której siedzisz, jest wyjście do innego korytarza i z naszej celi – do innego.

– Prędeż!

– Korytarzem na lewo, potem jeszcze raz na lewo i znowu na lewo. Nie, nie zdążysz...

Alicja nie słuchała dłużej. Otworzyła szerzej drzwi stołówki. Ducz spał rozwalony na całej długości korytarza. Niełatwo było odsunąć ciężkiego pirata pod ścianę, opierał się przez sen, mamrotał przez zęby o nie zwróconych na czas książkach i groził, że wyciągnie konsekwencje. Z pewnością wracał we śnie do starych dobrych czasów, gdy pracował w bibliotece.

Za zakrętem korytarz był jeszcze węższy, ledwie mogłyby się tam minąć dwa kociaki, a w dodatku krótki – nogi Alicji znajdowały się jeszcze w dużym korytarzu, a głowa opierała się o ścianę drugiego. Przez chwilę zdawało się jej, że uwięzła. Na zawsze. Policzyła do dziesięciu, żeby opanować nerwy. Nie, nie ma mowy, nie może utknąć w tym brastakańskim więziennym korytarzu. Niebawem noc się skończy, tylko patrzeć, jak nadejdzie zmiana warty...

Alicja wpadła w taką złość na siebie i to głupie lilipucie więzienie, że nawet się nie spostrzegła, jak już prześliznęła się za róg. Oto i drzwi zamknięte na zasuwę.

– Rrrr – wyszeptala – słyszysz mnie?

Za drzwiami rozległ się cichy tupot.

– Jesteś już tu, Alicjo?

– Zaraz otworzę zasuwę.

Jak tu teraz oswobodzić rękę – łokieć się zaklinował. Nareszcie! Zasuwa poddała się nie od razu. Drzwi się otworzyły i dziesięciu Brastakan wypadło przez nie hurmą. Alicja miała uczucie, że się zaraz udusi – Brastakanie usiłovali precisnąć się pomiędzy nią i ścianą, gramolili się na ramiona, łaskotali w twarz...

– Opamiętajcie się! Weźcie się w garść! – krzyknął Rrrr. – Jak się czujesz, Alicjo? Dasz radę czołgać się tyłem?

– Spróbuję – powiedziała Alicja, odpychając się łokciami, by się cofnąć. Nic jednak z tego nie wyszło. Brastakanie szeptali coś do siebie nerwowo.

– Trzech z was musi się jakoś przedostać za zakręt – polecił Rrrr. – Będziecie ciągnąć Alicję za nogi. Reszta wraz ze mną będzie ją pchać. Jasne? Zaczynamy!

Uczucie było niezbyt przyjemne – Brastakanie oblepili ją jak liliputy Guliwera, podrapali twarz, o mało nie powyrywali włosów, rozorali do krwi kostki u nóg, a w rezultacie jeszcze bardziej zaklinowali Alicję. W dodatku zorientowała się, że zgubiła gdzieś kluczyk od bramy więziennej.

– Stójcie – powiedziała – w ten sposób nie damy rady. Najpierw trzeba znaleźć klucz, weźcie go i uciekajcie. Może któryś z was zdoła uprzedzić statek...

– A ty?

– Ja będę musiała poczekać na piratów, żeby mnie stąd wywlekli.

– Za nic – oświadczył Rrrr. – Nie opuścimy cię.

– Co ja mam z wami robić! – rozgniewała się Alicja. – Czyżbyście nie rozumieli, że najważniejsze w tej chwili to uratować planetę...

– Rozumiemy to doskonale – odparł Rrrr. – Ale nie możemy opuścić cię w nieszczęściu.

– Zwariować można – powiedziała Alicja.

Gdzież ten kluczyk? Starła się ze wszystkich sił stanąć na czworakach, wparła się mocno plecami w sufit, aż nagle poddał się i poszedł w górę z takim zgrzytem i skrzypieniem, że z pewnością obudził całe miasto.

Cóż to za cudowne uczucie móc się znowu wyprostować. Gdy Alicja podniosła się, dach zwałił się z jej pleców prosto na więzienne podwórze.

Noc była księżycowa, na horyzoncie, za mrowiem małych domków, ukazała się już różowa smuga zorzy. Alicja spojrziała pod nogi, uratowani przez nią Brastakanie skulili się na podłodze przerażeni straszliwą katastrofą.

– No proszę – powiedziała Alicja – teraz już klucz nam niepotrzebny.

Część więzienia, z której zleciał dach, wyglądała z góry jak dom dla lalek. Dwa metry od Alicji, w odsłoniętym korytarzu, leżał jak w skrzyni pochrupując pirat Ducz.

– Uciekajmy! – ponagliła Brastakan Alicja. – Pomóc wam?

– Nie trzeba – odparł Rrrr. – Umiemy skakać.

W trzy minuty później byli już na wolności. Połowa roboty z głowy.

– Dokąd teraz? – spytała Alicja. – Gdzie jest kosmodrom?

– Daleko stąd – odparł Rrrr. – Pójdę z tobą. Reszta ukryje się u przyjaciół i krewnych.

– Do widzenia – pożegnała się Alicja z otaczającymi ją Brastakanami.

– Powodzenia, Alicjo – odpowiedzieli jeden przez drugiego i na znak Rrrr rozbiegli się we wszystkie strony, przemykając pod ścianami domów.

Więzienie było wyższe od Alicji, tak że zasłaniało jej widok na drugą stronę. Za to z tej strony miała przed oczami nie kończące się dachy. Tu, na peryferiach miasta, domy były niewysokie, przez niektóre Alicja mogłaby bez trudu przejść okrzakiem.

– Musimy jak najszybciej wydostać się z miasta – powiedział Rrrr. – Przekiekamy do rana w lesie.

Alicja pobiegła za nim. Zapomniała, że skoro ona widzi wszystko dokoła, to i sama jest odsłonięta. Z tyłu doleciał krzyk.

– Nachyl się! – zawołał Rrrr.

Alicja obejrzała się.

Całkiem niedaleko, widoczny do połowy ponad domkami przedmieścia, stał pirat i patrzył na nią.

Alicja zgięła się i puściła pędem przed siebie.

Było już widać pierwsze drzewa.

Wiązka z blastera przecięła niebieskawe powietrze świtu.

– Trzymać ją! – krzyknął pirat.

Alicja dosłownie każdym nerwem czuła, jak znów do niej celuje. Nie wytrzymała i przykucnęła. Ale wystrzał nie nastąpił – zamiast niego dobiegły ją straszliwe przekleństwa.

Zerwawszy się na równe nogi, Alicja spojrzała za siebie. Okazało się, że pirat w pośpiechu nie popatrzył pod nogi, potknął się i runął jak długi na podwórze – w górze sterczały tylko czarne buciory.

Dziesięć minut później Alicja wraz z Rrrr przeprawili się przez mały strumień i skrywszy się w zwartym gąszczu, padli prawie bez tchu na miękki, wysoki mech.

– Teraz możemy przespać się parę godzin – powiedział Rrrr. – Tu nas nikt nie znajdzie. Nie bój się, Alicjo, obudzę cię.

– A daleko stąd do kosmodromu?

– Godzina drogi.

DRAMATYCZNE WYDARZENIA NA KOSMODROMIE

– Wasza ekscelencjo – obudził Paszkę głos Mmmm – czas wstawać, zaraz przybędzie kuter. Statek „Arystoteles” wszedł już na orbitę naszej planety.

W pierwszym odruchu Paszka o mało się nie zerwał – na szczęście jednak zdążył przypomnieć sobie, że śpi bez peruki i ciemnych okularów, a szcudła leżą pod łóżkiem... Naciągnął kołdrę na głowę i krzyknął z oburzeniem przez wąską szczelinę:

– To być oburzające! Ja, cudzoziemska kobieta, nie być ubrana, odpoczywam z obnażoną głową, a mężczyzna chodzi po moja mieszkanie. Precz stąd!

– Proszę wybaczyć – Paszka widział, jak Mmmm cofa się ku drzwiom. – Pukałem, ale pani się nie odzywała...

– Zamknij za sobą drzwi, prostaku – zakończył Paszka swój monolog. – Żebym pana więcej nie widziała.

Zza drzwi doleciał drżący głos:

– Ale wstać i tak trzeba, koniecznie. Za przeproszeniem łaskawej pani.

– Dobrze, już wstaję. Lepiej by się pan zatroszczył o śniadanie.

Paszka umył się szybko, doprowadził się do porządku. Potem pozwolił Brastakaninowi przynieść śniadanie.

– Jak tam reszta, gotowi? – spytał, podczas gdy Mmmm, stojąc na tylnych łapkach, rozstawiał na stoliku filiżanki i talerzyki.

– Wszystko w porządku, łaskawa pani – powiedział Mmmm. – Bardzo to pochlebne, że sama królowa piratów obdarzyła panią swoimi względami. Kazała dostarczyć pani szkatułkę z kosztownościami. Postawiłem ją na stoliku przy łóżku.

– Ach tak, szkatułka – Paszka rzucił na nią okiem, ale nie otwierał, zamiast tego spytał: – Jak się miewa moja sąsiadka? Mam nadzieję, że nic się jej nie stało. Szkoda by było, to taka miłą dziewczynka.

– Nie ma w niej nic miłego – odparł Mmmm. – Wielkie stworzenie, poza tym służy obcej sprawie.

– Wszystko z nią w porządku?

– A co? Coś pani wiadomo?

– Co może być mi wiadomo, skoro spałam?

– No więc proszę o tym nie myśleć – rozległ się głos Krysa.

Wszedł do pokoju, poskrzypując skórzanym uniformem, odtrącił butem Mmmm i siadł w fotelu.

– Pospiesz się, Pilagejko – powiedział, rozciągając w uśmiechu cienkie jak nitki wargi. –

Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę?

– Pamiętam, pamiętam – Paszka omal nie udławił się grzanką. – Wy mnie, ja – wam.

– Tylko nie zrób kawału. W razie czego Ziemianie zabiorą ci na statku wszystkie kosztowności.

A co do nas, moja droga, to piraci kosmiczni mają bardzo długie ręce. Osobiście się zgłoszę do ciebie i uduszę. Mnie nie można pokonać, ponieważ jestem usposobieniem zła. Dobro bez zła nie może istnieć, musi przecież być skala porównawcza.

– I po co te groźby? – spytał Paszka. – Czy nie lepiej dogadać się po przyjacielsku?

– Po przyjacielsku nie wolno. Absolutnie wykluczone. Nie ma przyjaciół w naszym zawodzie.

Chodźmy.

Paszka wziął swoje rzeczy oraz torbę Alicji.

Krys uważnie go obserwował, zmrużywszy białe oczy bez rzęs.

– Czego się łapiesz za cudze? – zapytał cicho. – Myślisz, że ją jeszcze spotkasz? Nic z tego. I tak ją złapiemy.

Paszka omal nie wyciął hołubca z radości – złapiemy! A więc Alicja uciekła!

– Nie za cudze – powiedział starając się ukryć uśmiech. – Po prostu mam nadzieję...

– Że co?

– Że ją złapiecie. Po co jej wtedy torba? A mnie się przyda. Rozumiesz, piracie?

– Poważnie mówisz?

– Łap, co ci samo wpada w ręce. Nikomu nie ufaj, obchodź się bez przyjaciół. To moja dewiza – oświadczył Paszka.

– To ci baba! – ucieszył się Krys. – No, nie spodziewałem się po zwykłej turystce. Chociaż u mojej mamy służył żołnierz Ducz, taki wściz, widziałas go. Pracował niegdyś jako bibliotekarz.

Zawód raczej spokojny. A u nas miał opinię pierwszego zabijaki.

– Dlaczego miał?

– Pilnował Alicji. I nie upilnował.

– I co?

– I nic, nie zadawaj zbędnych pytań, bo się prędko zestarzejesz i stracisz swą niezmierną urodę.

Paszka z torbami w rękach pokuśtykał do drzwi.

– Zaczekajże, całkiem zbzikowałaś. Gonisz za kopiejką, a tracisz tonę złota. Rozejrzyj się, niczego nie zapomniałaś?

– Nie, mam wszystko – odparł Paszka.

– Zastanawiasz mnie – powiedział Krys. – A szkatułkę z klejnotami ja mam za tobą nosić?

– Ach, skleroza, skleroza – puknął się w głowę Paszka. – O mało nie zapomniałam o najważniejszym!

Wrócił, włożył szkatułkę – podarunek pirackiej mamy do swojej torby.

Klął w duchu sam siebie – agenci wywiadu zawsze wpadają na drobiazgach.

Paszkę odwieziono na kosmodrom państwowym rydwanem. Nasepiony Krys siedział obok i zrzędził:

– Ach, te dziwactwa mamy. Wyszlibyśmy w Kosmos, zaatakowali liniowiec abordażem bez tych ceregieli. Najbardziej nie znoszę ceregieli.

– A może liniowiec jest uzbrojony? – wtrącił szybko Paszka. – Powinny być na nim lasery i wyrzutnie meteorów.

– Nie zważaj na mnie, po prostu myślę głośno. Tak czy inaczej mama mi nie powierzy naszego

statku, choć prawnie należy on do mnie. Boi się, że dam na nim drapakę razem ze wszystkimi skarbami. Nie wyobrażasz sobie, jaka ona jest podejrzliwa.

– Wyobrażam sobie – rzekł na to Paszka. – Jeszcze jak. Sądzi po sobie.

Pojazd zatrzymał się na skraju pola, przed budynkiem dworca kosmicznego. Kryło się tam w cieniu kilku piratów.

– Schowajcie się, do licha! – krzyknął na nich Krys. – Nie demaskować się!

– Przecież jeszcze nikogo nie ma, księżę.

– Jak już was zobaczą, będzie za późno. Mogą obserwować z góry.

Piraci burcząc pod nosem weszli do budynku. I w samą porę. Nad polem zniżał się powoli automatyczny kuter.

Paszka spojrzął na Krysa.

I znów nie udało mu się uchwycić momentu, gdy pirat zniknął. Zamiast niego stała obok Alicja w różowej sukience z kwiatkiem w ręku.

– Daj mi torbę – powiedziała.

– Ona nie jest twoja, tylko prawdziwej Alicji.

– Gadaj zdrów!

Paszka nie spierał się dłużej. A niech niesie. Nie spuszczał oka z kutra. Żeby choć ktokolwiek nim przyleciał.

– Idziemy – powiedział Krys i pierwszy wyszedł na zalane słońcem pole. Za nim – Paszka.

Luk kutra otworzył się. Ktoś z niego wyszedł.

– Niech to Szara Mgławica! – wykrzyknął Krys. – Tego tylko brakowało. Przecież zawiadomiono nas, że nie ma ani jednego pasażera na Brastak.

Paszka swoim zwyczajem za późno ugryzł się w język.

– Przecież to robot – powiedział. – Robot-stewardessa. Czy nie rozróż...

– Ach, robot! – ucieszył się Krys. – To wspaniale. Lubię roboty.

Stewardessa uśmiechnęła się do pasażerów.

– Prosimy bardzo – powiedziała – na statek „Arystoteles”. Która z was jest Alicją Sielezniewą?

– Ja – Krys wysunął się naprzód. – Wracam na Ziemię do mamy i taty.

– Wejdziesz, dziewczynko – powiedziała stewardessa. – Jesteś na liście pasażerów.

Paszka dopiero teraz uświadomił sobie, że nie ma biletu. A jeśli go nie wezmą na kuter? Nie wolno do tego dopuścić.

– Jestem pilagejską turystką – powiedział szybko. – Zgubiłam swoją grupę.

– Pierwszy raz widzę samotną turystkę pilagejską – zdziwiła się stewardessa. – Wyobrażam sobie, co się z panią działo! Ale przecież nasz statek leci na Ziemię. Nie lepiej poczekać na następny?

– O nie! – zawołał Paszka. – Nie cierpię samotności.

Stewardessa cofnęła się o krok, by przepuścić pasażerów na kuter, gdy nagle usłyszeli zbliżający się warkot motoru i długi klakson. W kierunku kutra pędził niski brastakański samochód, a na dachu, przytrzymując się kurczowo krawędzi otwartych okienek, leżała Alicja. Samochód ostro zahamował przed kutrem, Alicja zeskoczyła, auto zaś pomknęło dalej. Z budynku dworca goniły je świetliste błyski z blasterów – spóźniona reakcja piratów.

Krys, który już wszedł do kutra, obejrzał się i zamarł. Stewardessa kręciła głową, próbując zrozumieć, co się dzieje. Tylko Paszka nie stracił głowy. Pochylił się do przodu i rzucił się na Alicję

w różowej sukience, żeby nie zdążyła przeobrazić się w Krysa. Krys stracił równowagę i wpadł do kutra, Paszka za nim. Równocześnie wbiegła tam prawdziwa Alicja. Podczas gdy Paszka usiłował wstać, przeklinając niezdarne szczudła, Krys zdążył odskoczyć pod ścianę, przyjąc z powrotem postać pirata i wyciągnąć blaster.

– Liczę do trzech – powiedział do Alicji. – Albo zabierasz się z kutra, albo wyrzucę zeń twoje zwłoki. Raz... Dwa...

– Panie Krys! – krzyknął Paszka. – Tak nie postępuje człowiek cywilizowany! Złożę skargę!...

– Ty też wylecisz z kutra – odparł Krys.

Prawdziwa Alicja stała tyłem do pulpitu sterowania.

– No, jazda! Drugi raz nam nie uciekniesz!

Alicja zaczęła przesuwac się do wyjścia. Domyśli się czy nie, by nacisnąć guzik alarmowy, zastanawiał się Paszka.

Przy drzwiach stała stewardessa. Na jej różowej plastikowej twarzy widniał uśmiech – stewardessy zawsze się uśmiechają.

– Proszę zająć miejsca – powiedziała jak podczas normalnego lotu.

– Z drogi! – wrzasnął Krys na robota. – Ta dziewczynka z nami nie leci.

– To niemożliwe – uśmiechnęła się stewardessa – ona ma bilet. To Alicja Sielezniewa.

– Zastrzelę cię! – ryknął Krys. – Z drogi!

– Mnie nie można zastrzelić – odparła stewardessa. – Nie mnie zniszczyć ani blaster, ani działo, ani laser, ani maser, ani też trafienie bezpośrednio meteorytu. Radzę wszystkim zająć miejsca.

– Precz! – Pirat zaczął strzelać do stewardessy, lecz uśmiech nie schodził z jej twarzy. W kabinie zrobiło się gorąco.

– Niech pan przestanie – powiedziała. – Może pan uszkodzić ściany kabiny, a znajdujemy się już w górnych warstwach atmosfery.

– Gdzie? – Krys mimo woli opuścił rękę.

– To kuter automatyczny. Zbliża się już do statku.

Krys stał nieruchomo.

– Proszę oddać broń – zażądał Paszka – bo jeszcze naprawdę uszkodzi pan ściany kabiny.

– Nie oddam – odparł Krys. – Gra się jeszcze nie skończyła.

Położył blaster na stole i znów zmienił się w Alicję.

Ale Paszka, który uważnie obserwował pirata, spostrzegł blaster pozostawiony na stole, skoczył i zdążył go pochwycić wcześniej, niż fałszywa Alicja wyciągnęła rękę.

– Oddaj natychmiast, ty pilagejska idiotko! I tak odbiorą ci wszystkie klejnoty.

Skoczył na Paszkę, potoczyli się po podłodze, a blaster poleciał w bok. Alicja rzuciła się Paszce na pomoc i nie wiadomo, czym skończyłaby się ta bójka, ale stewardessa uprzejmym tonem, jak gdyby takie sceny były dla niej chlebem powszednim, oznajmiła:

– Kuter przybił do statku „Arystoteles”. Proszę pasażerów o przejście na statek.

Luk otworzył się gwałtownie, jak gdyby ktoś go szarpnął z tamtej strony. W otworze luku stał kosmonauta w mundurze kapitana Głębokiego Kosmosu.

– Przerwać bijatykę! – powiedział cicho. – Dzieci!

Paszka podniósł się. Jasne, że w oczach kapitana wszystko to wyglądało na dziecięcą bójkę. Dwie jednakowe dziewczynki i dziwne stworzenie w sukni Pilagejki, ale bez peruki, tylko z ostrzyżoną chłopięcą głową.

Kapitan schylił się i podniósł blaster.

– Skąd macie broń? – spytał.

Za jego plecami stało jeszcze dwóch kosmonautów.

– Nie jesteśmy dziećmi – wyjaśnił Paszka. – Ta oto dziewczynka – to znany kosmiczny pirat

Krys.

– Która? – zmarszczył brwi kapitan.

Paszka i Alicja wskazali na Krysa, Krys – na Alicję.

– Które z was nacisnęło guzik alarmowy? – spytał kapitan.

– Ja – odparła Alicja. – Ale bez Paszki nie poradziłabym sobie.

– Paszka? – zdziwił się Krys. – Jaki znów Paszka?

Paszka uniósł spódnicę i wszyscy zobaczyli, że stoi na szczudłach.

– Nie jestem wcale pilagejską turystką.

– Zdrajca! – wrzasnął Krys. – Co za zmiję przygarnęliśmy z mamą!

– Teraz pan wierzy? – spytała Alicja kapitana.

Druga Alicja w różowej sukience powiedziała:

– Poddaję się. Jestem pirat kosmiczny Krys, nie ma sensu się wypierać. Przegrałem. Gdzie tu u was więzienie?

– Uprzedzam – ostrzegł Paszka podnosząc z ziemi swoją torbę – że on potrafi przyjąć każdą postać, nawet pańską, kapitanie. Proszę go zamknąć w takiej kabinie, gdzie nie ma nawet małej szczelinki.

– To prawda – powiedziała dziewczynka w różowej sukience. – Nie wolno mnie spuszczać z oka.

CHYBA SIĘ WSZYSTKO UDAŁO...

Zanim wszystko kapitanowi wyjaśnili, minęło pewnie z pół godziny, a tymczasem lekarz okrętowy, podobny do konewki ogrodowej, zabandażował wszystkie otarcia i zadrapania Alicji. Kapitan z trudem w tę relację uwierzył – w ciągu dwudziestu lat, odkąd dowodził statkami kosmicznymi na dalekich trasach, nie spotkał się nigdy z taką niesamowitą historią – banda piratów podbiła całą planetę i jeszcze w dodatku chce zagarnąć liniowiec.

Trzeba było podjąć decyzję. Kapitan kazał radiotelegrafście przesłać pilny grawigram – za godzinę dostaną go na Ziemi, a za następną – w Radzie Galaktycznej. Zanim przyjdzie co do czego, liniowiec będzie krążył dalej na orbicie planety.

Czekając na zalecenia Rady Galaktycznej, kapitan kazał przyprowadzić do siebie pirata.

Krys posłusznie stanął przy drzwiach. Wciąż jeszcze pod postacią Alicji w różowej sukience.

– Niech Krys przestanie mnie udawać – powiedziała Alicja. – Przykro mi na to patrzeć.

– Oczywiście – odpowiedział skwapliwie Krys głosem Alicji. – Ale przecież wszyscy kogoś udają. Twój kolega Paszka nie tylko udawał pilagejską turystkę, ale gotów był wszystkich zdradzić.

– Wcale nie miałem tego zamiaru – uśmiechnął się Paszka, który odzyskał już swój normalny wygląd. – Nie słyszał pan nigdy o fortelu wojennym?

– Słyszałem już o wszystkim – odparł pirat. – I jestem pewny, że gdybyśmy zwyciężyli, pozostałbyś Pilagejką i przystałbyś do nas, tak jak były bibliotekarz.

– Ech – machnął ręką Paszka – on nie ma pojęcia o przyjaźni.

– Przyjaźń nie istnieje – powiedział Krys. – Ten jest przyjacielem, kto jest silniejszy. To nawet dżdżownica rozumie.

– Dość – przerwał kapitan. – Pańska filozofia jest obrzydliwa. Niech pan wróci do swojej postaci.

– Już się robi. – Krys przeobraził się w profesora Rrrr. – Proszę, jak pan sobie życzy.

– Znów nie to – powiedziała Alicja.

– A kto wie, jak naprawdę wyglądam? – spytał Krys. – Zaszedłem tak daleko na drodze występku i zbrodni, że już o wszystkim zapomniałem. I nic w tym dziwnego. Z pewnością sam bym się przestraszył, ujrawszy siebie w naturalnej postaci. Czy to nie wszystko jedno, do kogo jestem podobny? Najważniejsze, że się poddałem i gotów jestem odpowiedzieć na każde pytanie. Nikogo nie oszczędzę.

– Nawet własnej matki? – spytała Alicja.

– Jej tym bardziej – odparł Krys. – Nie ma bardziej odrażającego stworzenia na świecie niż moja mama. To ona mnie wychowała na złoczyńcę. Mogłem zostać kosmonautą, inżynierem, ogrodnikiem, ale ona nie dała mi wyboru – stałem się przestępcą. Za późno na skruchę.

Zobaczyli, jak z jedyne go błękitnego oka fałszywego Rrrr spłynęła duża zielonkawa łza.

– Nie zwracajcie na mnie uwagi – wymówił i zakrył twarz łapką. – Oko mam cudze, ale łzy są naprawdę moje.

– Dokąd zamierzaliście lecieć? – spytał kapitan.

– Do domu. Ale zapewniam pana, że w drodze bez wątpienia nastąpiłaby draka. U nas tak zawsze bywa. Można powiedzieć, że miałem szczęście, żeście mnie schwytali. Przynajmniej ocalę życie. A może z czasem zmienię się na lepsze. Jak pan myśli, kapitanie, może jeszcze nie wszystko dla mnie stracone? Czy mogę odkupić swoją winę uczciwą pracą?

– Proszę mu nie wierzyć, kapitanie – wtrąciła znów Alicja.

– Przecież każdy może się zmienić, jeśli tylko chce – oświadczył poważny doktor podobny do konewki. – Znam kilka takich przypadków...

– Kapitanie – przez drzwi zajrzał radiotelegrafista. – Przyszła odpowiedź z Rady Galaktycznej.

– Pokaż – powiedział kapitan.

Radiotelegrafista podał mu grawigram. Kapitan przeczytał i oznajmił:

– Polecają nam zostać na orbicie do przylotu krążownika patrolowego.

– Dlaczego? – spytał doktor. – Żeby im przekazać jeńców?

– Piraci mogą drapnąć z planety na swym małym statku, porzuciwszy łupy. Jeśli tak zrobią, musimy się dowiedzieć, dokąd się kierują...

– Ale mamy na pokładzie pasażerów... – powiedział doktor.

– Kadłub naszego „Arystotelesa” – uspokoił go kapitan – wykonany z superstopu. Nic nam nie zrobią pirackie działa.

– A kiedy przyleci krążownik patrolowy? – spytał Krys.

– To pana nie obchodzi – odparł kapitan. – Nie wierzę w pańską skruchę.

– Myli się pan, kapitanie – powiedział smutno Krys ocierając łzy. – Żałuję szczerze.

Wyprowadzono go.

Alicja z Paskką poszli na obiad do salonu jadalnego. Przy sąsiednim stole siedziała grupa turystek pilagejskich. Na ich widok Paszka szepnął do Alicji:

– Gdyby one wiedziały...

– Jeszcze nie jest za późno – powiedziała Alicja. – Może powinienesz przenieść się na Pilageję? Uchodziłbyś tam za swego.

– Pomyślę o tym – uśmiechnął się Paszka. – Opowiedz mi jeszcze raz, w jaki sposób uciekłaś z więzienia.

Kończąc swe opowiadanie, Alicja powiedziała:

– Żeby ten krążownik już przyleciał. Nie masz pojęcia, jak się martwię o Brastakan.

– To zależy, w którym jest teraz sektorze. Kapitan mówił, że spodziewa się go jutro.

– Aż strach myśleć, jak wściekają się piraci. Z pewnością już się domyślili, że Krys wpadł. Jak ci się wiodło beze mnie?

– Poznałem pewną piękność.

– Jaką znowu piękność?

– Piracką mamę.

Pilagejki nagle zaczęły trajkotać. Wskazywały palcem na podłogę. Biegł po niej duży czarny karaluch.

– Co za paskudztwo – powiedział Paszka.

– Owad jak owad – wzruszyła ramionami Alicja. – Pewnie, że nie powinno go być na statku.

Trzeba koniecznie powiedzieć doktorowi – prawdopodobnie załagał się w kuchni. No, mów dalej.

Karaluch zatrzymał się na ułamek sekundy przed Alicją, potem szybko pobiegł dalej, w stronę kabin.

Paszka opowiadał dalej:

– Piracka mama postanowiła mnie przekupić – w obawie żebym nie wydał Krysa. Podzieliła się nawet ze mną zrabowanymi kosztownościami.

– Jakimi kosztownościami?

– Diamentami, perłami. Dopij kompot, to ci pokażę. Podarowała mi całą szkatułkę. Podejrzewam tylko, że zamieniła później wszystkie kamienie na szkiełka. Bo dlaczego mi jej od razu nie dała, tylko przysłała później?

– Tylko nie zapomnij oddać kamieni Brastakanom.

– A na co mi cudze kosztowności?

Alicja szybko dopiła kompot.

– Idziemy.

Paszka wypluł pestkę i również wstał.

Ale nie zdążyli dojść do drzwi salonu jadalnego.

Stał w nich pirat. Z blasterem w ręku.

– Nie ruszać się – powiedział – niech wszyscy zostaną na swoich miejscach. Statek jest w naszych rękach.

SZKATUŁKA PEŁNA PIRATÓW

Odsunawszy pirata na bok, do jadalni weszła kobieta olśniewającej piękności z pejczem w ręku. Twarz miała jak z alabastru, czarne loki spadały jej na ramiona. Porcelanowe błękitne oczy znalazły Paszkę.

– Podejź tu, chłopcze – powiedziała czule i roześmiała się – zadzwoniły srebrne dzwoneczki. Paszka podszedł niczego jeszcze nie podejrzewając.

Piracka mama powoli podniosła rękę i pejcz świsnął w powietrzu.

Paszka złapał się za policzek, ale nie krzyknął. Zaciśnął zęby. Znowu świsnął pejcz czerwona pręga przecięła rękę Paszki.

– Ja cię nauczę, łajdaku – powiedziała mama – oszukiwać królową. To taka z ciebie pilagejska turystka?!

– Mamo – odezwał się Krys – wchodząc do jadalni i odtrącając pięścią Alicję, która rzuciła się na pomoc Paszce. – Mamo, po co takie okrucieństwo, nie do przyjęcia w cywilizowanym świecie? Powinniśmy dziękować temu naiwnemu chłopczkowi, a ty go karzesz.

– Podziękować zawsze zdążę, a oszustwa nie znoszę, chyba wiesz o tym.

Znów świsnął pejcz. Paszka z bólu upadł na kolana.

– Zdążysz, wszystko w swoim czasie. Każda minuta się liczy. Zanim przeładujemy nasz majątek i odlecimy, minie pół dnia, a krążownik patrolowy już w drodze.

Turyści pilagejscy trajkotali w swoim języku, ani rusz nie mogli zrozumieć, co się dzieje. Piraci wpędzali do jadalni wszystkich pasażerów i członków załogi. Na ostatku wprowadzili kapitana. Był związany i okrutnie skatowany.

Doktor-konewka spostrzegł, że Paszka jest zalany krwią, i pochylił się nad nim.

– Jak pani nie wstyd – powiedział. – Dorosła kobieta...

– A tobie nogi połamię – zagroziła królowa piratów.

– Mamo, to doktor, przyda się nam.

– Kupię sobie nowego.

– A twoje korzonki?

– Dobrze, niech sobie żyje. Weźmiemy go z sobą. Gdzie szkatułka? Bo rozdrapią wszystkie kamyczki.

– Tutaj, Wasza Wysokość – powiedział pirat Szurnięty, podając królowej szkatułkę, którą podarowała Paszce.

– Może ktoś jest ciekaw, jak się tu dostaliśmy? – spytała królowa z uśmiechem. – Nic prostszego. Podziękujcie temu wstrętnemu chłopczkowi. On grał swoją rolę, a my – swoją. Zdawaliśmy sobie sprawę, że Krysowi raczej nie uda się opanować całego statku, i postanowiliśmy – niech go wezmą do niewoli. Nie rozumiecie? A no, Szurnięty, podejź tu.

Królowa postawiła szkatułkę na stole, otworzyła wieczko i wygarnawszy klejnoty, wsypała je za gorset białej sukni, po czym uniosła dno szkatułki.

Było podwójne.

– Tę szkatułkę dostałam w spadku po moim dziaduniu, wykradł ją z magazynu Kosmicznych Wędrowców, którzy już milion lat temu odlecieli do sąsiedniej Galaktyki. Szurnięty, na stół!

Szurnięty wlaź na stół.

– Pokaż im, kochaneczku!

Szurnięty wsadził nogę do szkatułki, wszyscy zobaczyli, jak jego noga staje się coraz mniejsza i znika, a po chwili on cały skrył się w szkatułce.

– Teraz jest wielkości paznokcia – powiedziała królowa. – I czeka, aż nadejdzie jego godzina. Tak jak czekaliśmy wszyscy. Właśnie w ten sposób wasz Paszka własnymi rękami przeniósł nas na statek.

– A gdy mnie zamknięto w kabine – wyjaśnił Krys – zmieniłem się w karalucha, wydostałem się przez szparkę, na oczach wszystkich poszedłem do kabiny Paszki, otworzyłem szkatułkę i wypuściłem trzydziestu piratów z mamą na czele. Hopla-la!

– Przedstawienie skończone – oświadczyła mama, podniosła szkatułkę i odwróciwszy ją do góry dnem, wytrząsnęła na podłogę Szurniętego.

– Może trochę ostrożniej – burknął.

– Idę na pomost dowodzenia – oznajmił Krys – zaraz podejdzie nasz statek. Zaczniemy przeładowywać dobytek na „Arystotelesa”. Wszyscy pasażerowie zostaną na Brastaku, pakujcie, więc rzeczy. Załoga również. Zabierzemy tylko chłopaka. Mamy z nim osobne porachunki.

– I doktora – dodała mama. – Korzonki dają mi się we znaki. Ciągłe wyprawy, wypadki – w przeciągach i wiatrach...

Dopiero wówczas Alicję olśniło.

– Ach, więc w ten sposób podbiliście Brastak!

– Zuch dziewczynka, mądrała – pochwaliła ją królowa. – Krys ze szkatułką pod postacią Brastakanina objechał całą planetę i wszędzie zostawił naszych ludzi. Potem na mój sygnał piraci wyszli ze swych kryjówek.

– Królowo – powiedział doktor-konewka – jako lekarz oświadczam pani, że ten młodzieniec wymaga pomocy lekarskiej. Ma krwawiące rany. Muszę go opatrzyć.

– Nie szkodzi, do wesela się zagoi, a my mu jeszcze dołożymy – uśmiechnęła się królowa.

– Nalegam – upierał się doktor. – W przeciwnym razie odmawiam leczenia pani korzonków.

– A ja cię zmuszę.

– Ależ nie, nie zmusi mnie pani. Nie uda się to. Ja się piratów nie boję.

– A jeśli pozwolę, wyleczysz?

– Oczywiście.

Szurnięty, zaprowadź ich do ambulatorium i miej na oku.

ŚRODEK NA PIRATÓW

– To skandal – denerwował się doktor, gdy Szurnięty prowadził ich do ambulatorium. – To barbarzyństwo, złożę skargę.

– Nieprędko będziesz mógł złożyć skargę, rondlu – powiedział Szurnięty. Zdążył zabrać jakiejś pilagejskiej turystce kapelusz z kwiatami i włożył go sobie na bakier.

– Młody człowieku – zwrócił się do niego doktor. – Proszę nie wchodzić do ambulatorium.

– A to niby dlaczego? – zdziwił się Szurnięty.

– A dlatego, że może pan przywlec bakterie. Zjeździł pan całą Galaktykę, a jak zauważyłem, rąk pan nie myje.

– Myłem wczoraj – obraził się pirat.

– I to bez mydła.

– Skąd mam wziąć mydło? Nie mam. Za to mam diamenty.

– Więc może pan w każdej chwili zachorować – powiedział doktor. – Niech się pan nad tym zastanowi.

Otworzył drzwi, przepuścił Paszkę przodem i zatrzaskał je przed nosem pirata.

– Ależ cię załatwiła! – pokręcił kwadratową głową. – Boli?

– Boli.

– Pocierp.

– Jakoś wytrzymam – syknął Paszka przez zęby.

Doktor grzebał w oszklonej szafce, wyjmując jakieś butelki, strzykawki i narzędzia.

– Może obejdziemy się bez zastrzyku? – spytał Paszka. – Boli mnie już tylko trochę.

– Nie ma mowy, nie wiadomo przecież, co ona robi tym pejczem, może chłoszcze swoich piratów? Sam słyszałeś – nie ma mydła, są diamenty...

– Ale co robić, doktorze? – martwił się Paszka. – Okropna jest świadomość, że to wszystko stało się z mojej winy.

– Nie wiń siebie, młodzieńcze. Co począć, skoro okazał sprytniejsi?

– Teraz my obaj jesteśmy jedynymi ludźmi na statku, którzy mają choć odrobinę swobody. Niedługo przybije ich statek, zaczną przeładowywać kosztowności i wszystkich, z wyjątkiem nas dwóch, odeślą na Brastak.

– Ach, chłopcze, nie denerwuj mnie... Odwróć się do mnie tym policzkiem. Pewnie zostanie blizna.

– To nawet ładnie. Wymyślił pan coś? Oj, boli!

– Rozumie się, że mam wiele pomysłów. Na przykład mam środek nasenny. Ale trzeba go połknąć...

Drzwi uchyliły się i ukazała się gęba pirata Szurniętego w kapeluszu z kwiatami.

– No, długo jeszcze?

– Zaraz, proszę nie przeszkadzać.

Drzwi zamknęły się.

– Tak, jeść przecież nie mają zamiaru – powiedział Paszka. – Czyżbyśmy się mieli poddać, doktorze?

Doktor podszedł do oszklonej szafki i zamyślił się...

– Eureka! – zawołał, wyjmując nieduży flakon z rozpylaczem.

– Co?

– Eureka – to słowo wykrzyknął Archimedes, odkrywając, że ciało zanurzone w cieczy traci na wadze tyle, ile waży wyparta przez nie ciecz.

– Wiem, uczyłem się o tym w szkole, ale co tu ma do rzeczy Archimedes?

– Kiedy wyruszyliśmy w rejs, dano mi ten flakon do wypróbowania na dzikich zwierzętach.

– A jak on działa?

– Jeszcze nie był wypróbowany. I to, że nadaje się dla zwierząt...

Wszedł Szurnięty.

– Królowa kazała przyprowadzić was do jadalni. Za piętnaście, minut rozpoczynamy załadunek.

Paszka dosłownie skręcał się z ciekawości, co też wymyślił doktor.

– I sądzi pan... – spytał ostrożnie, gdy szli korytarzem.

– Nic nie sądzę – odparł doktor. – Nie przeszkadzaj mi... Ach, jakie to ryzykowne...

– Co jest ryzykowne? – spytał Szurnięty.

– Myślę o nowym środku na zapalenie korzonków waszej królowej...

– Niech pan się nie przejmuje, doktorze – wyszczerzył zęby w uśmiechu pirat. – Jeśli ją skreśli, to nic strasznego. Obejdziemy się bez niej. Może mnie wybiorą królem. Niewykluczone...

Weszli do salonu jadalnego. Królowa siedziała na okrągłym taborecie od fortepianu, wykreconym do granic możliwości i w dodatku nakrytym poduszką, żeby piratka górowała nad wszystkimi. Podtrzymywali ją członkowie straży przybocznej, by nie spadła.

– Aj-aj, ależ cię urządziłam! – zawołała wesoło na widok oklejonego plastrami Paszki. – Zostaniesz moim chłopcem do bicia. Kiedy będę w złym humorze albo ktoś mnie rozwścieczy, mój gniew skrupi się na tobie.

– To wam nie ujdzie na sucho – powiedział kapitan. Leżał związany na podłodze.

– Milczeć! – ryknęła królowa. – Rozkazuje ten, kto silniejszy.

Wszedł Krys.

– Wszystko gotowe – powiedział. – Nasz statek z pierwszą partią kosztowności przybił do burty. Można zabierać jeńców.

Paszka kątem oka zauważył, że doktor sięgnął ostrożnie do kieszeni. Wyciągnął flakon i postąpił krok naprzód.

– Co tam masz? – podejrzliwie spytała królowa. – Ostrożnie, nie wykończ nas.

– Każdy lekarz – powiedział doktor – składa uroczystą przysięgę, że nie będzie szkodził zdrowiu ludzi. Ja również ją składałem. Proszę się nie denerwować. Trochę tu nieczyste powietrze, trzeba odświeżyć.

– Schowaj tę swoją dezynfekcję – krzyknął Krys. – Natychmiast.

Ale doktor, jak gdyby nigdy nic, nie spiesząc się opryskiwał rozpylaczem salon jadalny.

Nic się nie zdarzyło.

Piraci wlepili węć oczy.

W powietrzu zapachniało konwalią.

– Bóg z nim – powiedziała królowa. – Pomóście mi zejść z tronu.

Doktor przeszedł obok Paszki. Paszka poczuł dziwną, świeżą woń. Przyjemnie pachnie, pomyślał. Znalazł pusty fotel i usadowił się w nim wygodnie. „I mnie się chciało – myślał – cokolwiek robić”.

Doktor przesunął się tuż obok pirackiej królowej.

Nikt nie zwracał nań więcej uwagi. Piraci zaczęli popędzać jeńców ku drzwiom, nagle jeden z jakiegoś powodu się rozmyślił, odszedł na bok, uśmiechnął się i machnął ręką.

– Pędź ich sam – powiedział do swego sąsiada.

– E tam – odparł tamten – niech się tym zajmie sama królowa.

Rozległ się łoskot. To straż przyboczna podtrzymująca królową odsunęła się od niej i piratka, straciwszy równowagę na kręconym stołku, gruchnęła na podłogę.

– Co za draństwo – powiedziała. – Mogłam się przecież potłuc!

– Nic ci nie będzie – odparł członek straży.

Przez drzwi zajrzał pirat i powiedział:

– Wszystko gotowe na przyjęcie jeńców.

Wciągnął nosem przyjemny zapach i dodał:

– Kto chce, może ich tam zapędzić. Ja już się zmęczyłem na tej służbie...

– Pomóż mi wstać, synku – powiedziała królowa leżąc na podłodze.

– Zaraz – odparł Krys, podszedł do niej i usiadł obok.

– Masz co zapalić? – spytał.

– Wyjmij sobie z torebki – odparła królowa. – Nie chce mi się ruszyć.

– Obejdę się bez palenia – Krys ziewnął, wyciągnął się jak długi na podłodze i zapadł w drzemkę.

Doktor naciskając wciąż rozpylacz, wybiegł z jadalni. Gdy wrócił po chwili, podbiegł najpierw do kapitana, odrzucił na bok pusty flakon i powiedział:

– Wszystko w porządku. Są unieszkodliwieni.

Pochylił się nad kapitanem i zaczął uwalniać go z więzów.

– Hej – zagadnęła go leniwie królowa – źle robisz, doktorze. Nie trzeba go rozwiązywać, on jest jeńcem.

– Ciszej tam – odparł doktor.

Alicja stała pośrodku jadalni i nic nie rozumiała. Piraci stracili wszelkie zainteresowanie tym, co działo się dokoła. Turyści pilagejscy usiedli w krąg na podłodze i zaintonowali cicho jakąś pieśń. Oklejony plastrem Paszka drzemał w fotelu. Co się dzieje? Postanowiła podejść do doktora i zapytać go, ale nie chciało jej się ruszyć. Stała i patrzyła, jak kapitan podnosi się i rozciera zdrętwiałe ręce.

– Czym pan ich tak załatwił? – spytał doktora.

– Przed odlotem dano nam nowy środek przeciwko drapieżnikom, pamięta pan? Pokazywałem panu.

– Jak on działa?

– Jest absolutnie nieszkodliwy, wywołuje tylko nieprzewyciężony napad lenistwa. Niech pan sam zobaczy.

Alicja leniwie przesunęła wzrok w kierunku wskazywanym przez doktora. I spostrzegła, że stojąca w rogu jadalni palma bezsilnie zwiesiła liście.

– Nawet rośliny nie mogą pokonać lenistwa.

– Wspaniale – powiedział z uznaniem kapitan. – A jak pan się czuje?

– A pan? – spytał w odpowiedzi doktor.

– Ja? – kapitan wzruszył ramionami. – Jestem kapitanem statku i odpowiadam za wszystko, co się na nim dzieje. Jakże bym mógł się lenić?

– To jest również odpowiedź na pańskie pytanie – powiedział doktor. – Ja jestem lekarzem. Lenistwo jest atawizmem, zanikającą cechą człowieka. Człowiek przyszłości nie będzie znał tego uczucia.

„Okropność – pomyślała Alicja – czyżbym była człowiekiem przeszłości?” Chciała zawołać do kapitana, że ona również panuje nad sobą, ale nic z tego nie wyszło. Po prostu nie była w stanie otworzyć ust.

– Jak długo działa ten środek? – spytał kapitan.

– Przypuszczam, że będą sobie odpoczywać do jutra.

– Zostawimy ich tutaj. Obawiam się, że niewiele jest na statku osób, które mogłyby nam pomóc.

– Pójdę do mojej radiostacji, dobrze? – rozległ się czyjś głos.

Alicja zobaczyła, że do kapitana podchodzi radiotelegrafista.

– Dobrze – odrzekł kapitan, przechylając głowę i przyglądając się mu uważnie. – Miło mi przekonać się... – zaczął, machnął ręką, po czym dokończył całkiem już innym tonem dowódcy: – Natychmiast nawiąż łączność z krążownikiem patrolowym i powiedz, żeby zjawili się tu jak najszybciej. Jeśli to możliwe. Poinformuj ich krótko o tym, co tu zaszło.

– Och, jakoś tu duszno – powiedziała królowa piratów i leniwym ruchem ściągnęła z twarzy różową, jak gdyby alabastrową maskę.

Alicja odwróciła się szybko, ujrawszy jej prawdziwe oblicze. Ten straszliwy widok pomógł jej przezwyciężyć niemoc. No, przemawiała do siebie w duchu, jeszcze jeden kroczek, jeszcze jeden... Czy będzie zmuszona walczyć tak z sobą aż do jutra?

– Niech pan zaczeka – zwróciła się do kapitana, który zamierzał właśnie zamknąć drzwi do jadalni. – Idę z panem.

– A ja? – spytał Paszka.

– Prędeż, panienko – ponaglił kapitan.

Podeszła do Paszki i pomogła mu wstać.

– Czyżby nie było jakiegoś antidotum na lenistwo? – spytała zamykającego drzwi doktora.

– Na razie nic takiego nie wymyślono – odparł doktor. – Jedynym ratunkiem jest praca.

Alicja pociągnęła Paszkę do kabiny, żeby się trochę zdrzemnął.

* * *

Kiedy Paszka z Alicją schodzili już na pole moskiewskiego kosmodromu, chłopiec zatrzymał się nagle.

– Zaczekaj. Koniecznie muszę o coś zapytać. Ciągle o tym zapominam.

Podbiegł do hałaśliwej grupy pilagejskich turystów.

– Przepraszam – zagadnął ich. – Po co wam koszyki?

– Ach – zagadkały turystki wymachując każda swoim koszykiem. – A jeśli zniesiemy jajko, to gdzie mamy je włożyć?

- To wy znosicie jajka?
- A czy to wstyd?
- Ależ nie, po prostu nie jestem do tego przyzwyczajony.
- Przecież nie możemy zostawić dzieci na pastwę losu.
- Cóż więc znajduje się w państwowym koszyku?
- W państwowym koszyku! Och! Państwowe jajko!
- Jakie to wszystko skomplikowane – westchnął Paszka. – Co planeta, to obyczaj. A skrrruli nie spróbowaliśmy.